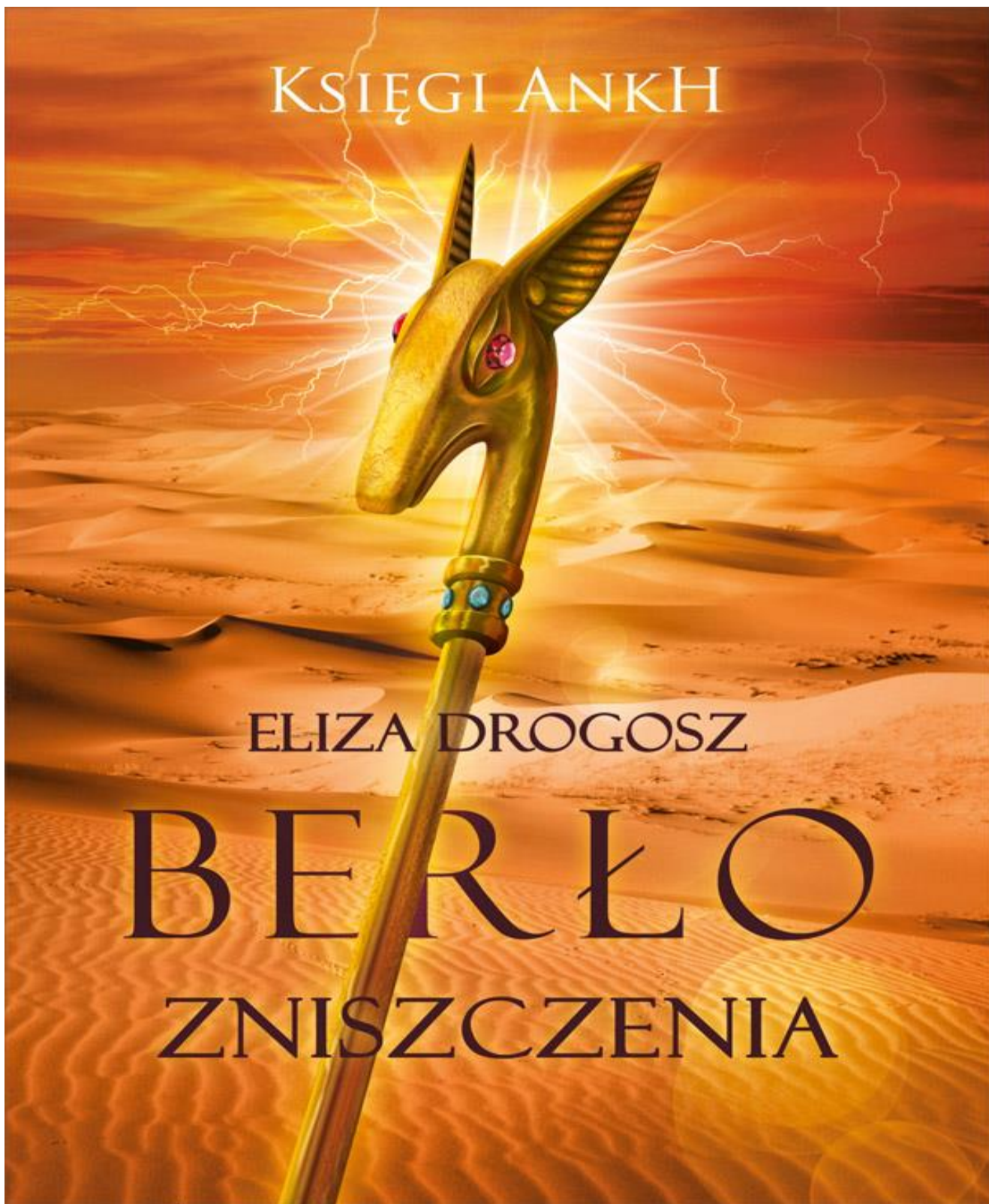


KSIĘGI ANKH

ELIZA DROGOSZ

BERŁO

ZNISZCZENIA



ELIZA DROGOSZ

KSIĘGI ANKH

BERŁO
ZNISZCZENIA

DLA MAMY I TATY,
ZA WSZYSTKO

O „KSIĘGACH ANKH”

Tysiące lat temu w delcie Nilu kwitła niezwykła cywilizacja kraju faraonów. Jej trwanie wydawało się wieczne, choć jej bogowie wiedzieli, że takie nie będzie. To oni jako pierwsi dostrzegli symptomy zbliżającego się upadku. W obawie o los zapomnianych bóstw skazanych na wegetację w nicości nieśmiertelni podjęli próbę zachowania swych mocy. Uśpieni, przetrwali dziesiątki wieków. Teraz wreszcie ponownie nadszedł ich czas. Przebudzili się w ciałach współczesnych, niczego nieświadomych nastolatków, by...

Któż właściwie wie dlaczego?

Gdy Sonia Milewska otrzymuje zaproszenie na obóz zorganizowany w Egipcie, nie ma o tym wszystkim pojęcia. Dopiero na miejscu okazuje się, że wokół zaczynają dziać się coraz dziwniejsze rzeczy. Na jej ręce pojawia się świetlisty znak, zostaje osaczona przez demony o płonących oczach, inni uczestnicy zdają się posiadać nadnaturalne zdolności, a na dodatek jeden z nich wygląda dokładnie jak poszukiwany w całej Europie młodociany morderca.

Przypadek sprawia, że splatają się ze sobą losy Soni i ukrywającego swą prawdziwą tożsamość Brianta de Ramena, wciąż niemogącego pozbierać się po tragedii, która przytrafiła się jego rodzinie, i po tym, jak winą za nią obarczono właśnie jego. Usilnie starając się nie rzucić w oczy i poskromić targający nim gniew, próbuje on odkryć, co ukrywa organizator obozu, Juan Mandara. Briant szczególnie podejrzliwie przygląda się prowadzonym przez niego poszukiwaniom Seta, boga pustyni. Czyli właśnie jego. Briant liczy też na to, że na obozie trafi na ślad skradzionego mu skarbu, potężnego wisiora w kształcie krzyża ankh – klucza życia, atrybutu umarłego Ozyrysa. Rozpaczliwie żywi się nadzieją, że krzyż mógłby mu pomóc przywrócić do życia tych, których odebrał mu brutalny los. Nie ma przy tym pojęcia, że nie wszyscy z jego bliskich zginęli...

Odzyskawszy Amulet Ozyrysa, ścigani przez straszliwego demona, Sonia i Briant uciekają na pustynię. I choć Sonia przeżywa prawdziwy wstrząs, odkrywszy, z kim naprawdę ma do czynienia, ostatecznie dociera do niej, że Briant nie może być tak zły, jak wszyscy myślą. Po tym, jak ratuje jej młodszą siostrę, postanawia mu zaufać i pomóc stawić czoła wrogom – prawdziwym mordercom jego rodziny.

Tak w wielkim skrócie zarysowuje się fabuła „Władcy Piasków”, pierwszej wydanej przeze mnie książki, która otwiera cykl „Ksiąg Ankh”. Dokładnie dwa lata minęły, odkąd ujrzała ona światło dzienne. Dziś wręczam Wam do rąk jej kontynuację, o którą pytaliście mnie od tak dawna. Oto ona, wreszcie. Mam nadzieję, że przypadnie Wam do gustu i wciągnie Was w świat „Ksiąg Ankh” jeszcze bardziej...

Prolog

Srebrny blask księżycyca wślizgnął się do pogrążonego w ciszy pokoju, przemknął po zimnych ścianach i padł na samotne łóżko. Białe światło sprawiło, że napięta twarz pogrążonego we śnie chłopca nabrała odrobinę nieludzkich cech. Wydała się nieco zbyt idealna, pozbawiona niedoskonałości. Gdyby tylko chłopak nie oddychał tak niespokojnie, dręczony sennymi wizjami, niektórym bardziej od człowieka przypominałby może wyrzeźbioną w kamieniu podobiznę jakiegoś starożytnego bóstwa.

Ta noc była bardzo wyjątkowa, sny bowiem przeniosły go do przeszłości.

Słońce oświetlało jaskrawymi promieniami starożytne ruiny świątyni Ra. Chłopiec o włosach w kolorze dojrzałej pszenicy przystanął niepewnie przy jednej ze zniszczonych ścian. W głowie wirowało mu tysiące zamglonych obrazów.

– To tutaj – powiedział cicho, kierując wzrok na brata.

– Miejsce z twoich snów?

Tak. Miejsce z jego snów. Przyłożył dłoń do chropowatego muru, niegdyś pokrytego świętymi napisami. Pod wpływem dotyku kamień zajaśniał złotym blaskiem, który niczym przybrzeżne fale rozlał się na całą powierzchnię ściany, a potem zbladł, pozostawiając po sobie migoczące wzory hieroglifów.

– Ray! Jak to zrobiłeś?!

Chłopiec ze snu uśmiechnął się niepewnie.

– Nie mam pojęcia. Ale w tych ruinach jest coś, co muszę znaleźć. Najdziwniejsze, że wiem, co robić. Patrz...

Po krótkiej chwili wahania sięgnął w stronę wybranego przez siebie znaku, jednego z tysiąca. Gdy tylko musnął go opuszkami palców, symbol zaczął jaśnieć coraz bardziej. Ziemia zadrżała, w powietrzu zawirował kurz, a fragment podłoża nieopodal nich zapadł się z hukiem. Obrócili się z zaskoczeniem, a następnie ostrożnie podeszli do dziury, przez którą widać było podziemny korytarz oraz prowadzące gdzieś w mrok skalne stopnie.

– C... co to jest?

– Nasza droga – szepnął Ray i bez lęku skoczył w dół.

– Zaczekaj! – wyjąkał jego towarzysz. – To może być niebezpieczne.

Lśniące złotem oczy przemknęły po starożytnych ścianach. Ich właściciel czuł, że nic mu tu nie groziło. Że powinien być tu przybyć. Że tajemnicze schody przez wieki czekały właśnie na niego.

– No, chodź, Levi. Nic nam się nie stanie.

Levi skrzywił się niepewnie, ale ostatecznie przycupnął na krawędzi i ostrożnie zsunął się w zatęchłe powietrze podziemi. Gdy ze stukotem wylądował na dnie, Ray posłał mu pewny siebie uśmiech i rzucił latarkę. Sztuczne światło wydobyło z mroku dalszy ciąg tunelu, w który niezwłocznie się zagłębili. Wkrótce stało się ono jedynym źródłem jasności, wydobywającym z ciemności blade ze starości malowidła, które podziwiali w pełnym oszołomienia milczeniu.

Schodzili coraz głębiej w gęstniejący mrok, a jego zimny oddech stawał się coraz intensywniej wyczuwalny. Nawet śniąc, Ray czuł, jak ciężko schodziło mu się w tych potwornych ciemnościach, z trudem rozpraszanym przez wątle snopy światła latarek.

Nosił w sercu dziwne wrażenie, że korytarz powinien być jasno oświetlony. Że kiedyś na pewno tak było. Że wystarczy zmrużyć oczy, by mógł ujrzeć zamierzchłą przeszłość.

W końcu dotarli do rozległej sali i niepewnie przystanęli w jej wejściu. Łuny lamp wydobyły z mroku zakurzone statuy, oplatające je woale pajęczyn oraz ziejące czernią otwory wydrążonych w naprzeciwległej ścianie korytarzy.

– Gdzie teraz?

Ray rozejrzał się uważnie.

Starożytną ciszę rozpraszało jedynie przyspieszone bicie ich serc. I ostrożny szelest dobiegający gdzieś zza ich pleców, który jednak umknął ich uwadze.

– Tam.

Zagłębili się we wskazany przez niego korytarz, zastanawiając się z lekką obawą, jak bardzo rozległa jest podziemna sieć, którą odkryli. Kilkakrotnie Ray miał ochotę zapytać brata, czy też wydaje mu się, że są przez kogoś lub przez coś obserwowani, ale ostatecznie nic nie powiedział. Zadowolił się rzuceniem przez ramię kilku niespokojnych spojrzeń.

Przecież byli w ruinach sami. Nikt ich nie zwiedzał, zapewne z powodu trudności dojazdowych. Nie było tu nikogo innego. To musiał być wiatr.

Gdy ich szeroko otwartym oczom ukazało się wejście do oszałamiająco pięknej rotundy, zapomniał nawet o dziwnym niepokoju. Zatrzymali się w progu, chłonąc widok tańczącego w powietrzu bladego blasku. Z oczarowaniem wpatrzyli się w bogato zdobione ściany i pierścień smukłych kolumn otaczający stosy skarbów lśniących kamieniami szlachetnymi. Wśród prastarych kosztowności błyszczał złotem równie wiekowy sarkofag, a owo tajemnicze światło rozpraszające mrok podziemi zdawało się pochodzić właśnie z jego wnętrza, wypełzać z jego nielicznych szczelin niczym mgła.

– To... to jest absolutnie niesamowite! – szepnął Levi, gdy wreszcie był w stanie wydobyć z siebie głos.

Ray jednak go nie usłyszał. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w sarkofag. Z jakiegoś powodu wydał mu się on o niebo ważniejszy od wszystkich zgromadzonych wokół skarbów.

Ostrożnie przekroczył próg komnaty, a ziemia zadrżała łagodnie.

– Ray...!

Chłopiec zamrugał.

– Spokojnie. Wszystko dobrze. Nic mi się nie stanie.

– Skąd niby...?

– Po prostu wiem. Ja...

Słowa zamarły mu na ustach, albowiem oczy namalowanej na wieku zmarłej nagle zajaśniały blaskiem przewyższającym najostrzejsze słońce. Levi z syknięciem odwrócił się od światła. Jego brat nawet nie drgnął. Mógł patrzeć w słońce równie naturalnie, jak inni ludzie w gwiazdy.

Ale... Te oczy... Te oczy!

Ray wstrzymał oddech, czując gwałtownie bijące w piersi serce. Nagle coś jakby w nim przeskoczyło. Ujrzał dziwne obrazy... Usłyszał dziwne słowa...

Zadrżał.

Te wizje... Nie. Przecież to niemożliwe!

– Panie mój – rozległ się słaby głos.

Ray zamarł. *To on... To sarkofag! Stamtąd dobiegał głos... Ale ten język...* Chłopiec wiedział, po prostu wiedział, że nie ma prawa go rozumieć. Nikt nie mówił w nim od tysięcy lat.

– Kim jesteś? – wyszeptał, próbując nie słyszeć wypełniającego mu umysł chaosu.

– Panie mój – westchnął odległy głos. – Jestem twym najpokorniejszym sługą, którego ba wybrało wieczną służbę tobie zamiast rozkoszy Krainy Umarłych.

Szepty w jego głowie wzmogły się jeszcze bardziej. Nie mógł ich dłużej ignorować... Ale przecież... To nie mogła być prawda.

– Panie mój – mówił dalej słodki głos z zaświatów. – O potężny Ra. Powróciłeś wreszcie po wiekach uśpienia, by przywrócić światu swój blask... Jesteś bogiem Obu Krain. Jesteś bogiem Kemet...

...O potężny Ra...

Ray pobladł.

...Jesteś bogiem Kemet...

Gwałtownie zerwał się z łóżka. Sen rozprysł się na miliony ostrych drobin raniących mu serce. Z trudem łapał oddech. Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń zamglonym od snu wzrokiem. Potem zacisnął wypełnione bólem oczy w kolorze szlachetnego metalu.

– Och, Levi...

Gdyby tylko wiedzieli... To była jego wina. Czemu musiał go w to wciągnąć? Sam mógł zrobić wszystko, o czym mówiła. Sam mógł go znaleźć. Sam mógł zdobyć jego zaufanie. Sam!

– Dlaczego wciągnąłem w to ciebie...? – zapytał otaczającą go pustkę, czując wzbierające pod powiekami łzy.

Gdyby tylko wiedzieli, że nie byli tam sami. Gdyby wtedy odkryli, kto szedł za nimi korytarzami. Gdyby zorientowali się, kto jeszcze znał starożytną magię – nic złego by się nie stało.

Gdyby tylko wiedzieli...

Rozdział pierwszy

PLANY

Gdy tylko po korytarzach rozniósł się świdrujący dźwięk szkolnego dzwonka, Sonia wrzuciła książki do torby i zerwała się z krzesła.

– Nie idziesz dziś na rynek? – zawołały zawiedzione koleżanki, gdy zarzuciła torbę na ramię i skierowała się w stronę wyjścia.

– Nie, nie dziś!

Bo dziś jestem z kimś umówiona – miała ochotę dodać. Powstrzymała się jednak. Miała powody, by przypuszczać, że spowodowałyby to lawinę niewygodnych pytań. Szczególnie, gdyby wydało się, że to chłopak.

I to jeszcze jaki chłopak.

Zbiegła po schodach, a potem pchnęła ciężkie drzwi prowadzące na ulicę. Blask wrześnieego słońca zmusił ją do przymrużenia oczu. Choć świat wciąż zalewały cudowne fale światła, w powietrzu czuć już było stojącą u progu jesień. Już za niedługo korony drzew miały zabarwić się na tęczowo, a wiatr oprócz chłodu miał nieść ze sobą szelest suchych liści.

Maszerując wzdłuż jezdni, spojrzała na duży zegar stojący przy przystanku.

Jestem już spóźniona – uznała z pewną dozą zadowolenia. Dokładnie tak, jak zaplanowała. Specjalnie umówiła się z Briantem na wcześniejszą godzinę, gdy jeszcze trwała jej ostatnia lekcja. Zawsze się spóźniał, absolutnie zawsze. A po tym, jak dwa tygodnie wcześniej niemal wpadła pod samochód, gdy zestresowana starała się dotrzeć na spotkanie na czas, a potem, gdy wreszcie się tam znalazła, musiała czekać na niego pół godziny w ulewnym deszczu, ona też zaczęła się spóźniać. Dzięki temu była szansa, że oboje pojawią się na miejscu mniej więcej o tej samej porze.

Wlekąc się za wycieczką dzieci w wieku około przedszkolnym, zastanawiała się intensywnie, co nowego wymyślił. Coś ważnego. Na pewno. Inaczej nie odzywałby się do niej zaledwie dwa dni po ich ostatnim spotkaniu, które zakończyło się rozstaniem w nastroju wyczuwalnego zniechęcenia. Nie żeby było to coś nowego. Nie mieli pojęcia, gdzie szukać. Błądzili wśród zupełnie przypadkowych domysłów niczym zagubiony w sercu Sahary podróżnik. Nawet coraz to nowe zwoje z przyświątynnej biblioteki nie rzuciły, jak na razie, choćby najmniejszego światła na ich poszukiwania. Na dodatek, ku jej ogromnemu niezadowoleniu, nie mogła się za bardzo wykazać. Chyba że przynosząc kolejne zwoje. Gdyby знаła język starożytnych Egipcjan, wszystko mogłoby inaczej wyglądać... Ale nie znała. Przez to czuła się czasami jak piąte koło u wozu, i właśnie dlatego zabrała się wreszcie za lekturę książki poświęconej tajnikom odczytywania pisma starożytnych. Jak na razie nie szło jej najlepiej. Ale zawsze było to lepsze niż nic.

Usiadła na murku przy bulwarach wiślanych i rozejrzała się po okolicy. Jedyнным jej towarzystwem była pani z dziecięcym wózkiem i grupa zagranicznych turystów. Jego ani śladu. Czyli bez niespodzianki. Zapatrzyła się w rzeczne fale i unoszące się na nich łabędzie. Pozwoliła myślom dryfować.

Wczorajszego wieczoru, gdy krańcowo wykończona wróciła do domu z lekcji

samoobrony, jego wiadomość już na nią czekała, emitując łagodny blask ze schowanego za zasłoną, wypełnionego piaskiem pudełka po butach. Była, jak zazwyczaj, bardzo enigmatyczna. Jedynie krótkie zdanie o tym, że wymyślił coś ważnego i że muszą się spotkać już następnego dnia. Sonia była ogromnie ciekawa, co to mogło być... Może coś sobie wreszcie przypomniał? Gdyby tak było, być może wyruszyliby wreszcie na jakąś emocjonującą wyprawę po starożytne tajemnice!

Czasami, gdy leżała wieczorem w łóżku i próbowała zasnąć, snuła fantastyczne wizje ich wspólnej ekspedycji gdzieś na pustynię, wszystkich niebezpieczeństw, którym razem stawiliby czoła, i czekających na nich stosów złotych skarbów. Odkąd zaczęła mu pomagać, życie przestało być nudne i przeistoczyło się w nieustanną przygodę, ale i tak marzyła, że dokonają razem czegoś bardziej ekscytującego od przeglądania papirusów.

Na sam początek należało odnaleźć jego zgubę. Potem... kto wie?

Gdyby jeszcze była tak odważna jak on... Wtedy już nic nie stanęłoby im na przeszkodzie.

Mówił jej kiedyś, że nigdy nie odczuwa strachu. Zamiast tego ogarniała go złość, która pchała go do działania. Nie wiedziała, czy to prawda, ale jednego nie mogła mu odmówić. Dość często się złościł. Już dawno straciła rachubę w zliczaniu ich kłótni. Najgorzej było na początku, gdy zaczęli się spotykać. Chyba nie potrafił zaufać jej tak do końca. A na pewno nie tak szybko. Nie potrafił się do niej przyzwyczaić, co zdecydowanie nie pomagało jej czuć się przy nim swobodnie. Było naprawdę ciężko, ale na szczęście tylko na początku. Potem atmosfera ich spotkań stopniowo ulegała poprawie. Gdy poznali się na obozie, nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedyś mogą się przyjaźnić. Był okropny. Niemiły. A jednak... Teraz uważała go za swojego przyjaciela i miała nadzieję, że on też tak myśli. Lubiła ich wspólne spotkania. Rozmowa nie była już torturą. Nawet odnosiła wrażenie, że przestał być aż tak ponury i skryty jak kiedyś... Ale mogło jej się tylko zdawać. Może się po prostu do niego przyzwyczaiła.

– Hej! – odezwał się ktoś niespodziewanie, wytrącając ją z rozmyślań.

Obok niej o murek oparł się chłopak o włosach czarnych jak noc, które wyglądały trochę tak, jakby od dawna nie widziały grzebienia. Jak zazwyczaj był cały ubrany w ciemne barwy. Nie miała pewności, czy dlatego, że wyglądał w nich najlepiej, czy były to jego ulubione odcienie, czy może w pewien sposób za ich pośrednictwem chciał pamiętać o swojej przeszłości. Bo zawsze, absolutnie zawsze miał na sobie coś czarnego.

Uśmiechnęła się odrobinę złośliwie.

– No wreszcie jesteś! Już myślałam, że się nie pojawisz. Chyba pobiłeś dziś rekord w byciu nie na czas.

Wzruszył niewinnie ramionami, choć wyraz jego kasztanowych oczu dobitnie mówił, że jak zawsze zrobił to specjalnie i kompletnie się tym nie przejmował.

Z wyglądu nie różnił się wiele od innych jej rówieśników, może jedynie mroczniejszym strojem. Nic bardziej mylnego. Był odrodzonym egipskim bogiem i, jakby tego było mało, osobą powszechnie poszukiwaną.

– To jaki masz pomysł? – zapytała Sonia. – Wiesz, gdzie może być twoje berło?

Na samą wzmiankę o nim w jego oczach zajaśniało to chorobliwe światło. Chciał je odzyskać tak bardzo, że jej zdaniem tylko takim epitetem dało się opisać ten blask.

A mimo to... W zasadzie chyba go rozumiała. Bez Berła Zniszczenia nie był do końca sobą. A przynajmniej tak mówił.

– Może... Pomyślałem, żeby sprawdzić w Mieście na Środku Pustyni. Nie wiem co prawda, czy je tam znajdziemy, ale nie mam już absolutnie żadnych innych pomysłów. Pamiętasz, mówiłem ci o nim?

– Pewnie, że pamiętam. Przecież cię słucham, a nie tylko udaję jak ty. To zniszczona przez Wyklętego świątynia gdzieś na pustyni. Tak?

– Tak. Moi kapłani wiedzieli, jak do niej dotrzeć. A ponieważ jest przeklęta, mogli być pewni, że nikt nie wykradnie z niej berła, dopóki nie powrócę. To dosyć logiczne. Tym bardziej że dodatkową ochronę stanowią śmiertelne pułapki. I krwiożerczy strażnicy.

– Sympatyczne miejsce – rzuciła.

– Kiedyś było prawdziwą perłą na pustyni – odparł, marszcząc brwi. – Ale teraz... to tylko ruiny. Nawiedzone cmentarzysko.

Spochmurniał, więc postanowiła nie drażnić tematu. Już dawno przekonała się, że lepiej nie rozmawiać z nim o przeszłości. Zbyt wiele nieprzyjemnych rzeczy go spotkało, by mógł patrzeć w nią bez żalu.

– Myślisz, że znajdziemy tam berło?

Zawahał się na sekundę.

– Wydaje mi się, że to prawdopodobna opcja.

– Ale pewności nie masz?

– Nie. W tych beznadziejnych zwojach kompletnie nic nie ma! Mam już tego wszystkiego tak strasznie dość! Chcę moje berło. Natychmiast!

– Na początku zwoje bardzo cię fascynowały...

– No niby tak. Opisy skarbów przez pewien czas były rzeczywiście interesujące. Ale teraz?! Okropnie mnie nudzą. Na dodatek nic nie wnoszą. Miasto na Środku Pustyni to jedyny ślad, jakim dysponujemy. I dlatego muszę tam iść i przeszukać skarbiec.

Jej oczy zabłyśły.

– Idę z tobą!

– Eee. Nie wiem, czy to...

– Jasne, że to dobry pomysł! Musisz mnie wziąć. Będzie świetnie! O matko, nie masz pojęcia jak bardzo. Zawsze marzyłam o takiej wyprawie!

Zawahał się.

– No dobrze... Tylko nie mów potem, że nie ostrzegałem, że to miejsce jest nawiedzone.

Wywróciła oczami.

Pewnie przesadza, jak zwykle – pomyślała.

– Proszę cię. Nie strasz bez powodu. To duchy twoich kapłanów. Ciebie na pewno posłuchają. A ja będę przecież z tobą!

– No... tak.

– To kiedy wyruszamy?

Już nie mogła doczekać się tego dnia!

– Jutro?

Znieruchomiła.

– Ale jutro jest czwartek!

– No i?

– Ja... ja mam szkołę.

Uniósł sugestywnie brew.

– Nie pójde na wagary!

To, że przestała być punktualna, to jedno. Ale nie było opcji, by przez niego zaczęła opuszczać szkołę! Rodzina chyba ją zabiła, gdyby się dowiedziała. A dowiedziałyby się na pewno. Prędzej czy później.

– Czemu nie? Ja to chyba połowę roku spędziłem na wagarach.

– Jasne, połowę!

– Okej. Może trochę przesadziłem. Ale naprawdę dużo. Uwielbialiśmy chodzić do lasu, nad taką rzekę. Było super.

– Nie miałeś potem problemów?

Uśmiechnął się trochę pobłaźliwie.

– Coś ty! Dyrektorka była przyjaciółką rodziny. Wiesz, ma się te znajomości.

– Wspaniale. Tyle że moi rodzice nie przyjaźnią się z moją dyrektorką. I nigdy w życiu nie pozwoliliby mi uciec z lekcji.

Lekceważąco wzruszył ramionami.

– Zrobisz, jak chcesz. Ja wyruszam jutro.

– Dobrze. Ja też. Ale pójdziemy po południu.

Rzucił jej ciężkie spojrzenie.

– To dłuższa wyprawa. Miasto jest ogromne, przecież ci mówiłem. Podobno mnie słuchasz. A na wszelki wypadek, żebyś słowa „dłuższa” nie zinterpretowała jako taką trwającą trzy godziny, podkreślam: zajmie nam to cały dzień, od rana do wieczora.

– No to chodźmy w weekend.

– Mówiłem już. Ja idę jutro.

– Ale ja też chcę iść! – Zrobiła nieszczęśliwą minę. – Tak strasznie...

– Przecież ci nie bronię.

– Nie pójde na wagary!

– Wolisz książki ode mnie. Twój wybór.

– Oj, weź! Co ci szkodzi? Chodźmy w weekend... Proszę.

– Jesteś gorsza niż mój brat – uznał, krzywiąc się.

– Pójdziemy?

– W zasadzie... możemy. Tyle czekam, to dwa dni mnie nie zbawią. Sobota ci pasuje czy masz jakieś korki, których nie możesz opuścić?

Zawahała się.

– Em... Nie może być. Co powiesz na niedzielę?

– A co jest nie tak z sobotą?

Poruszyła się niespokojnie.

– Bo widzisz... Z piątku na sobotę organizuję niewielką imprezę dla koleżanek.

– O! Z jakiej okazji?

– U... urodzin.

Zerknął na nią z zaskoczeniem.

– Masz urodziny? I nic nie powiedziałaś?

– Hm. Tak właściwie to już miałam.

– Aha. Kiedy?

– W sierpniu. Ale dopiero teraz robię imprezę.

Zmarszczył brwi.

– No, to wszystkiego najlepszego – mruknął. – Życzenia nie byłyby tak strasznie spóźnione, gdybyś była na tyle łaskawa, żeby mnie powiadomić.

– Ale ja...

– Nieważne. Nic nie mów. Widzimy się w niedzielę. O ósmej rano.

Obrócił się na pięcie, jakby chciał odejść. Zaskoczona Sonia otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, obejrzał się na nią i zrobił to pierwszy.

– I wiesz co? Życie według zasad jest nudne. Spróbuj kiedyś zrobić coś szalonego. Nigdy nie odzyskałbym amuletu, gdybym bał się zaryzykować. I zwracał uwagę na zadania domowe. Niektóre rzeczy są od nich ważniejsze. Warto o tym pamiętać. Cześć.

– Zaczekaj! – zawołała, ale on już zamienił się w piasek, który wiatr porwał gdzieś w niebo.

Zmarszczyła z irytacją brwi.

No jasne, najprościej się obrazić. No bo po co miałby posłuchać tego, co mam do powiedzenia? – pomyślała.

Musiał się naprawdę zezłościć, skoro zignorował swoją własną zasadę: „Uważaj, by nikt cię nie widział, gdy robisz rzeczy, które dla zwykłych ludzi są zbyt przerażające”.

Zeskoczyła z murku i energicznie ruszyła w stronę najbliższego przystanku.

Tak w ogóle, to nie była jej wina z tymi urodzinami. Chciała mu powiedzieć. Nawet specjalnie tak wszystko ułożyła, żeby spotkać się z nim dzień wcześniej. Skąd miała wiedzieć, że nie będzie zadowolony, że zabrała go do pijalni czekolady? Jak niby miała się domyślić, że z niewiadomego jej powodu tak bardzo nie lubi czekolady i pójdzie sobie bez słowa, zostawiając ją samą jak jakąś idiotkę? Tym razem na poważnie ją zirytował. I obiecała sobie, że wiele czasu minie, nim znowu się postara i go gdzieś zaprosi. Lepiej było spotykać się na bulwarach.

Sapnęła poirytowana, gdy zauważyła, że właśnie uciekł jej tramwaj. Trudno. Poczekaj kolejne dziesięć minut.

Wraz z rodzicami i młodszą siostrą wciąż mieszkała u dziadków. Czekali, aż do ich spalonego domu znów będzie można się wprowadzić, co mogło jednak potrwać jeszcze trochę, tym bardziej że mama wykorzystwała sytuację, by unowocześnić wystrój wnętrza. Choć nie mogła narzekać na gościnność babci i dziadka, Sonia z niecierpliwością czekała na powrót do swojego prawdziwego pokoju, swojego prawdziwego domu. Tęskniła zwłaszcza za tą szczególną domową atmosferą, którą wyczuwało się w każdym jego kącie.

Czasem zastanawiała się, jak to jest mieszkać samotnie gdzieś na środku pustyni, w starożytnym ogromnym pałacu. Jak to jest wylaniać się z mrocznego portalu i przemierzać wielkie, puste, zakurzone sale? Nie słyszeć niczyjego głosu? Co robiłaby wieczorami, gdyby miała już dość czytania zwojów? A co robi on? Czy pograża się

w myślach i wspomina swoje dawne życie? A może planuje przyszłość? Cokolwiek by to było, była przekonana, że nie jest mu wesoło. Nie wątpiła, że złotooka Sahara dodaje trochę barw i uroku jego życiu na odludziu. Ale podejrzewała, że to za mało. Pies, choćby nie wiadomo jak mądry, to przecież nie to samo co człowiek. Miała jednak świadomość, że Briant nigdy jej się nie przyzna, jak naprawdę mu się żyje. Zawsze będzie tworzył pozory czegoś lepszego. No bo po co miałby się żalić? Litość i współczucie to chyba ostatnie rzeczy, na jakich mu zależało.

Pewnie jestem dla niego czymś w rodzaju reliktu normalnego życia – pomyślała, opierając się o ściankę przystanku. Może właśnie dlatego nie przestał się jeszcze do mnie odzywać. No bo z jakiego innego powodu? Choć bardzo się staram, jestem wybitnie nieprzydatna w poszukiwaniach. No ale jak jeszcze mogłabym mu pomóc? Starożytny Egipt to nie mój świat. Nic o nim nie wiem.

- Sonia, skończyły nam się orzeszki – zmartwiła się jedna z jej koleżanek.
- Zaraz doniosę, daj miskę – westchnęła, trochę niechętnie wstając z podłogi.
- O, to przynieś jeszcze chrupki!
- I czekoladę!

Sonia uśmiechnęła się miło, choć tak naprawdę miała ochotę skrzywić się z irytacji. Tak się składało, że też chciała oglądnąć ten film. Nawet jeśli umierała za strachu od samego początku, gdy jeszcze nie zdążyło się zdarzyć nic strasznego. Zdecydowanie nie nadawała się do oglądania horrorów, co nie oznaczało, że nie chciała tego robić wraz z innymi.

- Jasne. Już idę.

Czy każą mi też zamówić więcej pizzy, gdy już całą zjedzą? – zastanowiła się, zbiegając po schodach. W kuchni zastała całą swoją rodzinę. Na jej widok jak jeden mąż unieśli brwi.

- Znowu się coś stukło? – prychnęła Lilia.
- Oczywiście, że nie! Brakło nam jedzenia.

– Czemu na co dzień tyle nie jesz, Soniu? – westchnęła babcia. – Powinnaś wziąć przykład ze swoich przyjaciółek.

– Babciu! Proszę cię – jęknęła. – Naprawdę sugerujesz, że powinnam opychać się pizzą, czekoladą i orzeszkami?

- No nie...
- No właśnie.

Wrzuciła do miski potrzebne przekąski i skierowała się z powrotem do salonu telewizyjnego. Już na schodach słyszała głosy podekscytowanych koleżanek tak dobrze, jakby stały tuż obok.

Już nie oglądają filmu? – zdziwiła się, przechodząc obok drzwi swojego pokoju.

Nagle, mimo hałasu, usłyszała coś dziwnego. Coś jakby zgrzyt. Przystanęła z wahaniem. To brzmiało jak poruszane wiatrem okno, które tata już dawno miał naoliwić.

Dziwne – pomyślała Sonia. Ja go na pewno nie otwierałam. A jeśli nie ja, to kto

inny.

Zerknęła na szparę pomiędzy drzwiami a podłogą. W pokoju było ciemno. Czyli to żadna z jej koleżanek. Chyba że któraś postanowiła posiedzieć po ciemku... Zważywszy na to, że właśnie były w trakcie oglądania horroru, Sonia szczerze wątpiła w tę możliwość. W jej głowie zawirowały wizje skradających się pod osłoną nocy złodziei. Albo kogoś jeszcze gorszego od nich... Przystawiła głowę do drzwi i wsłuchiwała się w panującą w pokoju ciszę, którą po chwili ponownie zakłócił tajemniczy dźwięk. Przygryzła wargę.

Och, dlaczego zgodziłam się na horror...! Teraz boję się nawet otworzyć drzwi do własnego pokoju! A przecież powinnam tam zajrzeć...

Niespokojnie obejrzała się za siebie, a potem ostrożnie postawiła miskę z przekąskami na stoliku stojącym obok drzwi. Sięgnęła ręką w stronę klamki, ale zawahała się tuż przed tym, jak jej dotknęła.

Briant by się nie bał – fuknęła na siebie w myślach. Już dawno by to sprawdził. To nie może być nic złego... Przecież nikt, kto życzy mi źle, nigdy nie przekroczy progu tego domu. Ani się do mnie nie zbliży. Albo jakoś tak. Chroniąca dom magia na pewno jest bardzo silna... Nie ma powodu do strachu. Po prostu muszę to zrobić!

Wstrzymując oddech, zacisnęła palce na zimnym metalu. Powoli nacisnęła na klamkę, a gdy wyczuła, że drzwi łagodnie ustąpiły, pchnęła je gwałtownie i błyskawicznie sięgnęła ręką w stronę znajdującego się wewnątrz włącznika. Lampa zabłysła, a jej światło wyłoniło z ciemności ładnie posprzątany pokój. Sonia znieruchomiała, przeczesując wzrokiem każdy z kątów, ale w żadnym z nich nie czaił się spodziewany napastnik. Było pusto, jedynie przez otwarte, poruszane wiatrem okno przedostawały się do środka fale nocnego chłodu.

Oczywiście, że jest pusto! A niby kto miałby się na mnie zasadzić w moim własnym pokoju?!

Zadrzała, nie tylko z powodu chłodu. Wiedziała dobrze, że jej strach nie był do końca bezpodstawny. Obawiała się przecież ogromnie, że pewnego dnia, gdy zupełnie nie będzie się tego spodziewać, zagrożenie powróci... Jak w nawiedzających ją czasami koszmarach, niespodziewanie wyskoczy skądś Wyklęty, a ją znów sparaliżuje przerażenie. Tak jak w lipcu. Bo przecież mógł wrócić. Gdyby zginął na Saharze... Ale został jedynie chwilowo osłabiony i unieszkodliwiony. Niestety. I właśnie dlatego bała się, że jeszcze kiedyś spotka go na swojej drodze.

To, że z niewiadomych jej powodów od ucieczki z obozu nikt nie próbował się z nią skontaktować, bynajmniej jej nie uspokajało. Wręcz przeciwnie, niepokoilo ją coraz bardziej. Nie miała pojęcia, czy próbowali, lecz przeszkodziła im magia chaosu. Czy nie obserwowali jej dyskretnie każdego dnia.

Fakt, że ich nie widziała, nie musiał przecież znaczyć, że ich nie było. Że o niej zapomnieli. Bo na pewno nie zapomnieli.

Pomimo że Briant stuprocentowo ufał swoim czarom i zirytowany powtarzał jej chyba z tysiąc razy, że na pewno nic jej nie grozi, nie potrafiła wyrzucić z głowy wszystkich wątpliwości. W obawie przed tym, że wrogowie boga pustyni pojawią się kiedyś przed jej domem, zapisała się na kurs samoobrony. Zaczęła zwracać uwagę na

wszystko, co działo się dookoła. Starła się być przygotowana na ewentualne zagrożenie. Ku zdumieniu rodziny, zapisała się nawet na dodatkowe lekcje francuskiego. Co prawda doszła dopiero do etapu poznawania liczb, ale była zdeterminowana, żeby nauczyć się go jak najlepiej. Na wszelki wypadek, jakby miało się to kiedyś przydać. A także... Nagle bardzo jej się spodobał. Do angielskiego także postanowiła bardziej się przykładać. Bo Briant był od niej o niebo lepszy, co ją straszliwie denerwowało. Znał tak ogromną liczbę słówek, jakby połknął cały słownik, a na dodatek ten akcent... Też chciała tak mówić.

Podeszła do okna, zaciekawiona leżącym na parapecie przedmiotem, którego wcześniej na pewno tam nie było. Uniosła ze zdziwieniem brwi na widok bransoletki spoczywającej na złożonej kartce. Lekkie linie jej krzywizn i spirali błyszcząły krystalicznie podkreślone czerwienią kilku drobnych kamyczków, które postanowiła uznać za rubiny. Nie miała jeszcze żadnej biżuterii z rubinami, a zawsze uważała je za bardzo piękne. Jednak to, co najbardziej ją zaintrygowało w bransoletce, był materiał, z którego ją wykonano. Wyglądał na szkło albo kryształ górski. Wydawała się przez to tak bardzo krucha... Jakby nawet najłżejsze zetknięcie z czymś twardym mogło ją zniszczyć.

Zerknęła na kartkę, na której czerniło się kilka słów. Natychmiast rozpoznała to specyficzne, pełne zawijasów pismo.

Wszystkiego najlepszego. Tylko następnym razem uprzedź mnie wcześniej, że masz urodziny.

Myślisz, że to łatwo wymyślić jakiś prezent na poziomie, jeśli jest się bogiem?

No przecież nie mogę Ci dać byle czego!

Uśmiechnęła się pod nosem, a następnie wyjrzała przez okno i uważnie zlustrowała całą okolicę. Nikogo nie dostrzegła.

– Dzięki – wyszeptła na wszelki wypadek, jakby jednak czał się gdzieś w cieniu, i zamknęła okno. Aż wzdrygnęła się z zaskoczenia, gdy niespodziewanie ktoś odezwał się za jej plecami.

– Sonia, jest jeszcze pizza?

– Nie, ale możemy zamówić – odparła, wsuwając prezent i karteczkę do szuflady.

– Jaką byście chciały? Znowu hawajską?

Słoneczne promienie przenikały przez bransoletkę i rozszczepiały się, tworząc tęczę na ciemnym drewnie biurka. Sonia oparła głowę na skrzyżowanych na blacie rękach i zapatrzyła się w delikatne kolory.

Przyjaciółki opuściły jej dom prawie godzinę temu, gdy już wspólnymi siłami uporały się ze sprzątaniami. Od tamtej pory podziwiała prezenty. Na sam koniec zostawiła bransoletkę. Była naprawdę śliczna i ogromnie podobało jej się, jak wygląda na jej

nadgarstku.

Naprawdę się postarał – pomyślała, obserwując, jak błyszczy w słońcu. *Chyba mnie polubił. Inaczej na pewno nie dalby mi czegoś tak ładnego. Nie chciałoby mu się tak starać.*

Uśmiechnęła się. Ciekawe, kiedy wreszcie się do niej przekonał...?

Może...

– Sonia! Obiad! – zawołała mama.

Skrzywiła się odrobinę.

– Już idę! – odchrząknęła posłusznie, rzuciła ostatnie spojrzenie na prezent i wstała z fotela.

Zbiegła po schodach i już po chwili zasiadła do stołu wraz z całą rodziną. Spojrzała na swój talerz.

– Babciu – jęknęła natychmiast. – Za dużo! Nie zjem tyle rosołu, przecież wiesz.

– Zjesz, zjesz... To nieduża porcja!

– Chyba raczej ogromna.

– A może ci nie smakuje?

– Smakuje – westchnęła, rezygnując z dalszej rozmowy. Jak doskonale wiedziała, nie sposób było wygrać z takim argumentem.

Posłusznie zanurzyła łyżkę w zupie. Chwilę później tata odchrząknął, przerywając panującą przy stole ciszę, i oznajmił, że razem z mamą wymyślili coś wspaniałego.

– Mam tylko nadzieję, że nikt z was nie ma innych planów na jutrzejszy dzień – dodał takim tonem, jakby to było całkowicie nierealne.

Sonia zakrzuszyła się rosołem i przez to nie mogła zaprotestować.

– Otóż postanowiliśmy, że wyruszymy całą rodziną na wielką rodzinną wycieczkę rowerową! Cały dzień na rowerach. Co wy na to?

– Ależ Zygmuncie! – wykrzyknęła z zachwytem babcia. – To cudowny pomysł! Tak dawno nie byłam na żadnej wycieczce. Mam nadzieję, że nie zapomniałam, jak się jeździ.

– Na pewno nie – uspokoił ją dziadek.

– Gdzie pojedziemy? – zainteresowała się Lilia.

– Gdzieś w plener. Może do lasu?

– Super! Mam dość śmierdzącego miasta.

– Czy to musi być akurat jutro? – wykrztusiła wreszcie Sonia.

– Tak. Podobno to ostatni ładny weekend. Potem ma być już zimno i deszczowo. Trzeba to wykorzystać.

– Może za tydzień też będzie ciepło i wtedy pojedziemy...?

– Jak będzie ciepło, to też możemy pojechać, owszem. Wspaniały pomysł.

– Ale...

– Sonia, będzie fantastycznie – włączyła się mama do rozmowy. – To pewnie ostatnia szansa w tym sezonie. Przecież tak lubimy jeździć na rowerach. Będzie super.

– A mogę nie jechać? – zapytała cicho.

Rodzina aż zamilkła z wrażenia.

– Nie ma mowy. To rodzinny wyjazd!

No właśnie.

– Nie chcesz z nami jechać?

– Nie o to chodzi...

– To o co?

Sonia stłumiła głębokie westchnienie.

– Bo ja się już z kimś na jutro umówiłam. Bardzo chcę się z nim spotkać.

– Z nim? – Lilia aż opluła się zupą i skuliła na krześle, gdy mama spojrzała na nią krzywo.

– Z tym kimś – mruknęła Sonia. – Nie bądź taka drobiazgowa.

– A kto to jest?

– Nie znacie. Mogę zostać?

– Nie. To rodzinny wyjazd. Z koleżanką spotkaj się kiedy indziej. Do kawiarni można iść zawsze, na rowery – nie. Przełoż to spotkanie. Na pewno zrozumie, jak jej wyjaśnisz.

No nie wiem – pomyślała Sonia. Obawiała się jednak, że kłócenie się z rodziną nie miało sensu. I tak postawiła na swoim. Dlatego zrezygnowała z ciągnięcia tematu i zamiast tego zaczęła intensywnie rozmyślać nad najlepszym sposobem poinformowania boga pustyni o zmianie planów. Przypuszczała, że na pewno nie będzie tym zachwycony. Ale cóż, nie ma rady. Gdy w grę wchodzi wielka rodzinna wycieczka rowerowa, wszystko inne przestaje się liczyć. Może to zrozumie. Kiedyś. Bo na pewno nie od razu.

Skąd oni wiedzą, gdzie mnie szukać? – zastanowił się, śledząc nieprzyjaznym wzrokiem niewielki kształt przecinający bezchmurne niebo. Smukłego sokoła o ostrych szponach, wbijającego w pustynię płonące nienawiścią oczy, od czego swędziała go skóra na ręce.

Nawet jeśli Pałac Pośród Piasków znajdował się w innym wymiarze przestrzennym i nikt niepowołany nie potrafił tak po prostu do niego trafić, to mimo wszystko czuł niepokój za każdym razem, gdy intruzi znajdowali się tak blisko jego bram. Za blisko. Za każdym razem przypominało mu się, jak Astrid i Estera wniknęły do środka. Obawiał się, że ktoś inny także mógłby znaleźć na to jakiś sposób. Nawet jeśli po ich wizycie wzmocnił granice swojej oazy tak, by nie udało się to już nikomu.

– Przylatują tu prawie codziennie – powiedział do siebie cicho. – Muszą wiedzieć, czego szukają. I gdzie. Bardzo dziwne.

Z zamyśleniem zerknął za siebie. U stóp wydmy, na której szczycie się znajdował, w całej swojej okazałości rozpościerał się starożytny kompleks pałacowo-świątynny, mieniący się bielą potężnych ścian, złotem piasku, błękitem niewielkich jezior i zielenią ogrodów. Jego dom.

Zbiegł z wydmy i zanurzył się w półcień panujący pod szeleszczącym baldachimem drzew. Tuż przed twarzą śmignęła mu spłoszona papuga, iskrząc się karminową czerwienią piór. Prawie nie zwrócił na nią uwagi. Zdażył się już przyzwyczać, że wszystkie znajdujące się w jego otoczeniu ptaki były dziwnie nerwowe. Zmrużył oczy, delektując się otaczającym go cieniem, zakłócanym jedynie gdzieniegdzie

przez migotliwe smugi słonecznego światła. Uwielbiał spacerować po całym terenie pałacu. Każdy jego zakątek był magiczny. Dlatego wolał poruszać się pieszo niż w postaci wirującego na wietrze piasku lub za pośrednictwem cieni. Wtedy mógł więcej dostrzec. I czuć się odrobinę bardziej jak ktoś normalny.

Po kilku minutach marszu wąską ścieżką w prześwitach pomiędzy roślinnością zamiast piasku pojawiły się kamienne rzeźby tworzące monumentalną Aleję Sfinksów o głowach Salaawy. Gdy tylko na nią wszedł, jego wzrok, jak zawsze, przykuły znajdujące się u jej końca dwa ogromne, pokryte złotem oraz malowanymi obrazami bitew pylony znaczące wejście do Świątyni Gwiazd. Przejście doprowadziło go na rozległy dziedziniec z fontanną, na którym skręcił w prawo i przez ozdobną bramę przedostał się na kolejny, tym razem otoczony gąszczem monumentalnych kolumn. Zanurzył się w panujący pod nimi mrok, który wkrótce doprowadził go do Pałacu Cieni. Z niechęcią pomyślał o ogromnej liczbie starożytnych zwojów, których jeszcze nie przejrzał. Doszedł do pokrytego rzędami hieroglifów rozwidlenia i przystanął z wahaniem. Zerknął na prawo, w stronę per medżat, „domu zwojów”. I w lewo, w stronę wyjścia na taras przy częściowo zarośniętym papirusem jeziorze.

Na dziś wystarczy tej męczarni – uznał i skręcił w lewo.

Chwilę później rozsiadł się wygodnie na hebanowym meblu i wyczarował sobie lodowatą lemoniadę. Sącząc intensywnie cytrusowy napój, zastanawiał się, czy naprawdę każdy inny wyczułby w nim jedynie piasek i przez to nie mógłby go przełknąć. Podejrzewał, że pewnie tak. Na szczęście on sam czuł jedynie smak idealnej lemoniady. Gdy przez chwilę przebywała tu Sonia, musiał wybrać się do sklepu i kupić prawdziwe jedzenie. Ale teraz nie było to potrzebne. Zadowalał się swoimi własnymi wytworami, które zresztą z pewnością były o niebo lepsze od tego, co ewentualnie próbowałby ugotować. No, chyba że byłby to makaron z sosem z proszku albo jajecznicą. Nie przypuszczał, by umiał przyrządzić coś bardziej ambitnego.

Rozluźnił się i pozwolił myślom płynąć swobodnie. Ciekawe, czy Soni spodobał się prezent? Miał nadzieję, że tak. Pierwszy raz zrobił coś takiego i byłby bardzo niezadowolony, gdyby nie zostało to docenione. Przy okazji odkrył, że potrafi zmienić piasek w szkło.

Już jakiś czas temu zauważył, że jej towarzystwo miało na niego dziwny wpływ. Postrzegala życie w jaśniejszych barwach niż on. Być może właśnie to sprawiło, że trochę się przez nią uspokoił. Przestał nieustannie rozmyślać o zemście, przygasło to bez przerwy palące go wcześniej pragnienie zniszczenia istot, które zrujnowały mu życie. Odkrył, że może poczekać. Na ten odpowiedni moment, gdy wymyśli już idealne dla nich katusze.

Wyłowił uchem jakiś dźwięk. Uniósł się na łokciu i obejrzał w stronę wejścia na taras. Zalegające wewnątrz cienie poruszyły się i wyłoniła się z nich zadyszana Sahara. Uśmiechnął się szeroko, a ona machnęła puszystym ogonem.

– Wreszcie wróciłaś – powiedział, przypatrując się, jak ciężko kładzie się na posadzce, a swój kremowy pysk wspiera na nagrzanym kamieniu.

Drapiąc ją za uchem i obserwując wzburzane w ten sposób drobiny pyłu, zastanawiał się, gdzie tym razem była. Nie widział jej całe trzy dni. Co jakiś czas go

opuszczała i wyruszała gdzieś na pustynię. Wiedział, że zawsze do niego wróci, ale i tak nie lubił, gdy znikala. Zostawał wtedy sam. Osaczały go wspomnienia, a każdy szelest poruszanych przez wiatr liści zdawał się skradającym wrogiem... Z nią u boku był bardziej pewny siebie. Był bardziej sobą. I potrafił stawić czoła wszystkim swoim lękom.

– Wiesz co? – odezwał się, żeby zagłuszyć płynące w złą stronę myśli. – Jutro wyruszam do Miasta na Środku Pustyni. Wreszcie.

Nie mógł się już doczekać. Był prawie pewny, że właśnie tam znajdzie Berło Zniszczenia. Berło uas. Symbol władzy, potęgi i panowania nad siłami chaosu. Atrybut bogów i faraonów. Broń, która przywróci mu jego pierwotną moc... Dzięki której na powrót stanie się najsilniejszym bogiem. W pełni sobą. Będzie mógł zrobić wszystko. Nikt mu nie przeszkodzi.

Spochmurniał. Bez niego był tak żałośnie słaby. Wspomnienie beznadziejnej walki z Wyklętym, której nie przegrał jedynie cudem, wciąż go drażniło. Przecież był wtedy zbyt słaby, by walczyć z nim nawet jak równy z równym! A było to zaledwie dwa miesiące wcześniej... Jedynie dwa! Jak bardzo mogła rozwinąć się przez ten czas jego powoli budząca się moc?

– Niewiele – mruknął do siebie, wpatrując się w łagodnie falujące liście palmy. – Za mało.

Drgnął, gdy w powietrzu przed nim pojawiły się utkane z tęczowego blasku litery. Wiadomość od Soni.

„Briant? Strasznie mi przykro, ale nastąpiła pewna komplikacja i nie dam rady jutro z tobą pójść”.

Zmarszczył brwi. *Ze co?*

Trochę zirytowany, wyobraził sobie, że w powietrzu pojawiają się nowe litery. Wiadomość Soni natychmiast zbladła, a w jej miejscu pojawiły się migoczące czerwienią słowa.

„Niby dlaczego?”

„Muszę jechać z rodziną na wycieczkę rowerową. Strasznie przepraszam. Nie mogę tego zmienić, już próbowałam. Możemy iść kiedy indziej?”

– Kiedy indziej? – warknął, aż obudził drzemiącą Saharę. – Nie chcę dłużej czekać!

A na dodatek... Wycieczka z rodziną... Rozpędem rozdrażnionego umysłu nakreślił w powietrzu kolejne słowa.

„Rowery są dla ciebie ważniejsze ode mnie?! Nie mogę czekać w nieskończoność! Ciągłe wolisz robić coś innego. Nie zmienię planów tylko dlatego, że chcesz sobie gdzieś pojechać z rodziną! Masz ich na co dzień”.

„Wolałabym iść z tobą! Naprawdę”.

„To chodź”.

„Nie mogę... To nie takie proste. Przepraszam. Nic nie poradzę. Możemy pójść kiedy indziej?”

„Nie”.

Zmrużył oczy ze złością. *Co ona sobie wyobraża?! Idę jutro i koniec. Nie chce iść ze mną, to nie. Wcale jej nie potrzebuję.*

„Proszę... Naprawdę muszę z nimi jechać. To podobno ostatnie dni ładnej pogody

i w ogóle. Nigdy w życiu nie pozwolą mi zostać w domu!”

Wywrócił oczami. A potem coś zaświtało mu w głowie. *Ostatnie dni ładnej pogody...? Uśmiechnął się chytrze. Zdecydowanie nie.*

„Widzimy się o ósmej, tak jak mówiłem. Nigdzie jutro nie pojedziecie”.

„Niby dlaczego?”

„Spójrz za okno. Takiej burzy dawno nie widziałas. Nie ma opcji, żeby dało się jutro jeździć na rowerach. Chyba że twoja rodzina lubi wielkie sploty w błocie”.

Sonia drgnęła, gdy piorun trzasnął gdzieś bardzo blisko jej okna. Rzuciła szybkie spojrzenie na szybę, o którą zabębniły pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Niesamowite – szepnęła, bo jeszcze przed chwilą świeciło słońce.

„Raczej nie lubimy splotów w błocie. Powinno się udać” – napisała na piasku, a następnie odsunęła pudełko w głąb biurka. Udało się... Nawet nie było tak strasznie, jak myślała. Choć zapewne tylko dlatego, że nie oznajmiła mu tego w cztery oczy. Wtedy na pewno musiałyby wysłuchać miliona wyrzutów. Całe szczęście, że ten sposób porozumiewania się wprowadzał pewne ograniczenia.

Zerknęła na stos zadań domowych i stłumiła jęk.

Och, naprawdę nauczyciele nie wiedzą, co to miłosierdzie...

Uniosła długopis, żeby powrócić do rozwiązywania matematyki, kiedy nagle rozległo się pukanie do jej drzwi.

Tak! Kolejny pretekst, żeby odłożyć pracę na później.

– Sonia? – zapytał tata, zaglądając do środka. – Chyba musimy zmienić plany.

– Ojej...

– Niestety. Sama widzisz, jaka nawałnica idzie. Sprawdzałem prognozy. Podobno jutro ma być tak samo. Nie jedziemy na wycieczkę. To byłby jakiś koszmar. Trzeba ją odłożyć na kiedy indziej.

– Szkoda...

Tata smętnie pokiwał głową.

– Cóż, możliwe, że zamiast jeździć na rowerach, pływalibyśmy w błocie – zauważyła żartobliwie. – Dobrze, że nie jedziemy.

– Hm. Ja tam się nie cieszę. Ale przyszedłem ci powiedzieć, że jak najbardziej możesz się spotkać z koleżanką.

– Dzięki. Tak zrobię.

– No. To ja idę powiedzieć Lili.

– Dobrze, tato – odparła, a gdy zamknęły się za nim drzwi, uśmiechnęła się promiennie i z powrotem przysunęła do siebie pudełko z piaskiem.

„Udało się. Widzimy się jutro”.

Rozdział drugi

STRAŻNICY ŚWIĄTYNI

Sonia stłumiła ziewnięcie i nie do końca przytomnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

Chyba jestem gotowa – pomyślała i po raz kolejny zerknęła w lustro. Ubrana była w dżinsy, zielony T-shirt i lekką kurtkę koloru khaki, którą kupiła niedawno specjalnie z myślą o wyprawie do ruin. *Powinno być dobrze...*

Z oddali dobiegło ją bicie stojącego w salonie zegara. Wpół do dziewiątej.

Zaplatając warkocz, przypomniała sobie zdumione miny rodziców, gdy poprzedniego wieczoru zapowiedziała im, o której ma zamiar wyjść z domu. Zdecydowanie nie mogli uwierzyć, tym bardziej że w weekendy zazwyczaj spała prawie do obiadu.

– A gdzie wy się wybieracie z tą koleżanką? – zdziwił się tata, gdy na dodatek dowiedział się, że jego córka wróci przypuszczalnie dopiero wieczorem.

– Sama jeszcze nie wiem. Ale chcemy spędzić razem cały dzień. Może pójdziemy na zakupy? – odparła, wiedząc, że po takiej odpowiedzi raczej nie będą pytać dalej. Rzeczywiście stracili zainteresowanie drażnieniem tematu. Całe szczęście.

Zbiegła do kuchni, wsłuchując się w pomruki burzy. Jeszcze nie padało. Przypuszczała jednak, że wkrótce się to zmieni. Rzuciła szybkie spojrzenie za okno w przedpokoju. I zamarła ze zdumienia. Briant stał przed furtką i ze złością wpatrywał się w drzwi wyjściowe. *Ups* – pomyślała i umknęła do kuchni, gdzie jak najszybciej zjadła talerz kanapek, które przygotowała sobie wieczorem, żeby móc pospać trochę dłużej. Potem wsunęła nogi w górskie buty, zarzuciła na ramię niewielki plecak i wyszła z domu.

Briant wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Cześć! – zawołała do niego pogodnie.

Spojrzał na nią ze złością.

– Mielśmy wyjść o ósmej! Godzinę temu.

– Wcale nie godzinę! Czterdzieści pięć minut.

– To nie zmienia faktu, że i tak się spóźniłaś.

– Brawo. Tak jak na wszystkie spotkania. Ty nigdy nie przychodzisz na czas.

– Jak mi zależy, to przychodzę!

Uniosła brwi ze zdziwienia.

– Chodź lepiej – rzuciła, ruszając przed siebie.

– Nie wyglądasz na wyspaną – zauważył, zrównując z nią krok. – Czyżby była to dla ciebie zbyt wczesna pora?

– Nikt normalny nie wstaje tak wcześnie z własnej woli – odcięła się. – Zwłaszcza w weekend.

– Ja lubię wcześnie wstawać.

– Ale ty nie jesteś normalny, jakbyś jeszcze nie zauważył.

Skrzywił się, ale nic nie odpowiedział. Skręcili w boczną uliczkę i po niedługim marszu dotarli do działki, na której miano wybudować dom. Jak na razie jednak, nie licząc

przekrzywionego ogrodzenia, które na pewno pamiętało PRL, znajdowała się tam jedynie wielka góra piasku i bujnie rozrośnięte krzewy. Przeskoczyli chyboczącą się, zamkniętą na kłódkę bramę i podeszli do hałdy. Briant wyciągnął w jej stronę rękę i poruszył palcami. Mocny podmuch wiatru poderwał z ziemi kilka liści i porwał je w górę wraz z piaskiem. W powietrzu uformował się kształt, który przy odrobinie wyobraźni wyglądał niczym smukły, utworzony z poruszających się beładnie drobin prostokąt. Portal.

Oczy Soni zabłyśły.

– Gotowa?

– No pewnie!

– To w drogę.

Briant zanurkował w przejście, a Sonia tuż za nim, zaciskając powieki, wstrzymując oddech i zasłaniając dłonią usta oraz nos. Ogarnął ją klaustrofobiczny lęk, gdy ze wszystkich stron odczuła nacisk kłębiących się ziaren piasku. Zupełnie jakby nie chciały przepuścić jej dalej. Nie znosiła tego uczucia chyba najbardziej na świecie! Budziło w niej jakąś pierwotną obawę...

Wreszcie, po kilku sekundach, które ciągnęły się dla niej niczym godziny, opór piasku ustał. Wynurzyła się z przejścia i gwałtownie wciągnęła w płuca drgające od ciepła powietrze. Otworzyła oczy, jednak z powodu oślepiającego blasku słońca musiała natychmiast je przymrużyć. Żar lejący się z nieba od razu dał się jej we znaki i zmusił do zrzucenia z siebie kurtki. Uklękła, wyciągnęła z plecaka okulary słoneczne i upchnęła do niego okrycie. Z ulgą zasłoniła oczy ciemnymi szklami i uniosła wzrok znad ziemi. Jej serce przyspieszyło. Oszołomiona, powoli podniosła się z klęczek.

Po portalu nie było najmniejszego śladu. Znajdowali się na grzbiecie ogromnego barchanu, a we wszystkie strony aż po horyzont ciągnęły się złote fale pustyni. Stojący obok niej bóg chaosu nieruchomo wpatrywał się w rozciągającą się u ich stóp oazę. Spomiędzy zaschniętych kikutów palm wynurzały się ruiny rozległego, choć w znacznej części zasypanego kompleksu świątynnego. Sonia wielkimi oczami chłonęła ponury obraz prawie zupełnie zniszczonego muru, zrujnowanych pylonów, zwalonych kolumn, pokruszonych posągów, wysuszonych akwenów. Miasto na Środku Pustyni przypominało jej zwłoki zagubionego na Saharze podróżnika. Wszystko w nim wydawało się martwe. Otwory drzwiowe przywodziły na myśl skojarzenie z pustymi oczodołami, a szczątki kolumn z rozrzuconymi przez wiatr kośćmi... Zadrżała. Powoli opuszczała ją pewność siebie. To miejsce było takie... upiorne. Emanowało cierpieniem, a swoim nieruchomym milczeniem zdawało się grozić wszystkim istotom, które choćby pomyślały o tym, by się do niego zbliżyć.

Niesforne kosmyki włosów, które wydostały się z warkocza, połaskotały ją w twarz. Łagodny wiatr przemknął nad pustynią, lecz nie wzruszył tym, co niegdyś było oazą. Nawet jedno ziarnko piasku nie przetoczyło się po ziemi.

Również wiatr omijał zrujnowaną świątynię.

Sonia z trudem odetchnęła głębiej, by rozluźnić węzeł, który powoli zaciskał się wokół jej serca.

– Tam jest tak nienaturalnie spokojnie – szepnęła.

Briant drgnął i spojrzał na nią zamglonym wzrokiem.

– Bo tam rządzą upiory – odparł cicho. – I starożytna magia, która ogranicza nawet mnie. Nie mogę otworzyć portalu w obrębie świątyni. Ani nawet zamienić się w piasek.

– Ojej...

– Spokojnie, raczej nic nam się nie stanie. Chodź.

Postąpił krok do przodu i płynnie zsunął się po stromym zboczu. Sonia szerzej otworzyła oczy. Zatrzymał się dopiero hen w dole, tuż przed szczątkami muru świątynnego, i wyczekująco obejrzał się na nią.

– Idziesz czy nie?

– Już, już...!

Przyjrzała się wydmie i poruszyła się niespokojnie. Przecież była prawie pionowa!

On się nie bał. Ty też nie możesz! – pomyślała i odważnie ruszyła naprzód. Założenie było takie, żeby ześlizgnąć się równie zgrabnie jak on. Niestety nie wyszło. Natychmiast straciła równowagę i ze zduszonym okrzykiem wylądowała na twardym piasku, który osunął się kilka metrów niżej, niosąc ją ze sobą.

– Po co ja wczoraj myłam włosy – jęknęła nieszczęśliwie, gdy wreszcie wyhamowała.

Spróbowała wstać, ale ponownie straciła równowagę i zjechała kolejne metry niżej. Rozbawiony Briant parsknął z niedowierzaniem, co usłyszała nawet mimo dzielącego ich dystansu. Zmrużyła oczy.

– Tak dobrze się bawisz? – zawołała, siadając. – Już ja ci pokażę, tylko poczekaj!

– O, brzmi strasznie! A ile jeszcze mam czekać? Ja tu zaraz zasnę z nudów.

– Obudzę cię, jak zejdę – burknęła, ostrożnie podnosząc się na nogi.

– A może ci pomóc?

– Nie trzeba! Dam sobie radę.

– No, chyba nie – powiedział na tyle cicho, by go nie usłyszała, i pstryknął palcami.

Sonia krzyknęła, gdy niespodziewanie piasek pod jej butami stał się bardzo sypki. Rozpaczliwie machnęła rękami, a w następnej sekundzie boleśnie upadła na plecy i z niemal odrzutową prędkością pomknęła w dół. Nim się zorientowała, znalazła się u stóp wydmy, o włos minęła szczątki muru, a potem marne resztki roślinności i zatrzymała się dopiero w zastraszająco niewielkiej odległości od rzeźbionej bogato ściany. Zamrugła, z oszołomieniem wpatrując się w niebo.

– Idiota – stęknęła i zacisnęła powieki, aby odegnać zawroty głowy. – Wiedziałam, że nie chcę jego pomocy.

Ostrożnie usiadła, odczuwając ból pleców. Piach czuła na każdym kawałku swego ciała. Ręce i nogi drżały, a serce biło jak oszalałe.

Coś zachrząściło bardzo blisko niej. Bardzo, bardzo blisko.

Otworzyła oczy, a groza natychmiast zacisnęła palce na jej gardle. Chciała krzyknąć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Z rosnącą w szalonym tempie paniką wpatrzyła się w wychudzoną sylwetkę czegoś, co chyba było kiedyś człowiekiem, a teraz stało dwa metry od niej, obserwując ją pustymi oczodołami. Cała krew odpłynęła jej z twarzy, gdy stwór przekrzywił głowę, której gdzieniegdzie wciąż trzymały się kępy włosów. Kątem oka dostrzegła wokół siebie łagodny ruch. Błyskawicznie spojrzała na boki, a z jej piersi wyrwał się rozpaczliwy wrzask. Zerwała

się z ziemi i przyłgnęła plecami do świątynnej ściany.

Byle dalej od otaczających ją ze wszystkich stron potworów.

– Sonia?

Zza pobliskiego skupiska skamieniałych szczątków roślin wyskoczył Briant. Na widok upiorów szerzej otworzył oczy i zamarł na krótką chwilę.

– Nie, stop! – zawołał rozkazująco. – Zostawcie ją!

Z obrzydzeniem przebił się przez poruszający się nieśpiesznie pierścień umarłych i znalazł się obok bladej jak śmierć Soni. Mumie zamarły na jedną krótką chwilę. Pokłoniły się z czcią niemal do samej ziemi, a potem z powrotem skierowały swe długie palce w stronę upatrzanej ofiary.

– Zrób coś – wyjąkała Sonia.

Z niezrozumieniem wpatrzył się w swoich dawnych kapłanów. Jak mogli go nie posłuchać?! Odpowiedź pojawiła się w jego głowie niemal natychmiast. No jasne. Jak mógł być tak głupi, żeby odezwać się do nich po angielsku?

Spiorunował mumie ognistym spojrzeniem i wysyczał rozkaz w języku dawnych Egipcjan, który choć ujawnił się w jego głowie dosłownie w tej chwili, wydawał mu się znajomy od zawsze.

Wciąż nic! Ale jak to? Powinny mnie słuchać! – pomyślał z zaskoczeniem.

Nagle Sonia drgnęła i z okrzykiem przerażenia spojrzała w dół. Podążył za jej wzrokiem dokładnie w momencie, gdy czołgający się wzdłuż muru upiór zakleszczył na jej nodze trupa rękę. Spróbowała się wyrwać, ale bezskutecznie. Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął jej ciałem. Nim zdążyła zupełnie spanikować, z całej siły kopnął kościste ramię mumii. Uścisk poluzował się odrobinę. Wyswobodziła się rozpaczliwym szarpnięciem i wczepiła się w jego ramię, wrzeszcząc:

– Zabierz mnie stąd! Błagam! Szybko!

– Bardzo bym chciał – warknął. – Ale nie mam jak.

– Teleportuj nas! Stwórz portal!

– Nie mogę!

– To użyj magii...!

– Nie zadziała! Nie przeszkadzaj.

Rozejrzał się nerwowo. Co z tego, że poruszają się tak wolno?! Jeśli czegoś natychmiast nie wymyśli, darowany czas na nic im się nie przyda.

– Rozkazuję wam nie uznawać jej za intruza! – zawołał po staroegipsku.

Nic. Nic! Ale dlaczego?! – myślał gorączkowo.

Coraz to kolejne rozwiązania pojawiały się w jego głowie. Wszystkie zupełnie bezsensowne. Nie potrafił ich zniszczyć ani zatrzymać, nie umiał im rozkazywać, nawet nie mógł odwrócić ich uwagi... Nagle drgnął. Wyszarpnął z kieszeni Amulet Ozyrysa i wcisnął go w rozedrgane ręce dziewczyny.

– Trzymaj! Może je powstrzyma.

Z nadzieją spojrzał na kapłanów, ale oni nadal uparcie sunęli w jej stronę. Zacisnął zęby ze złością. Jeśli nawet na to nie reagują, to co innego może jeszcze wymyślić?! Gdzieś z tyłu jego głowy pojawiły się ponure wizje przyszłości. Co, jeśli nie zdoła jej uratować...? Zadrzał.

Nie... Tylko nie to! Kolejna niewinna osoba nie może stracić przeze mnie życia!

– One akceptują tylko ciebie – wykrztusiła Sonia.

Zdrętwiał.

– Tylko mnie – szepnął, szeroko otwierając oczy.

Było jedno wyjście.

Odskoczył od niej, praktycznie zrównując się z upiorami.

– Co robisz? – wyjąkała, walcząc z atakiem paniki. – Nie zostawiaj mnie!

– Nie mam zamiaru – mruknął, obracając się twarzą w jej stronę. W jego brązowych tęczęwkach zabłyśły drobne iskry czerwieni.

Piasek uniósł się i zawirował dziko, słońce przygasło. Sonia nerwowo wpatrywała się w upiory, które zatrzymały się i zwróciły puste oczodoły w stronę swojego dawnego boga. Briant wyprostował się dumnie i zaczął mówić w języku, z którego nie rozumiała ani słowa. Choć... Wraz z upływem drogocennych sekund, ku jej oszołomieniu, zaczęła jakby chwytać ulotne znaczenia pojedynczych wyrazów... A potem zdań. Wstrzymała oddech.

Jak to możliwe?

Nagle skóra nadgarstka zabolą ją tak, jakby ktoś przyłożył do niej rozgrzane do białości żelazo. Syknęła i złapała się za rękę. Znak Izydy rozjarzył się oślepiającym blaskiem, który przeniknął pomiędzy jej palcami i oświetlił jej bladą twarz.

– Zostajesz wybrana przez najpotężniejszego z bogów Egiptu – mówił Set, a echo jego głosu otaczało ją ze wszystkich stron. – Na znak tego obdarzam cię Darem Iluzji. Niech ci służy do wprowadzania chaosu na świecie i niszczenia ludzkich marzeń. Jak mówię ja, tak niech się stanie.

Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz.

– Poczuj magię boga chaosu – powiedział cicho i jednocześnie wyszeptało to wypełnione wirującym piaskiem powietrze.

Niespodziewanie ogarnęły ją straszliwe zawroty głowy. Jej myśli rozpiezchły się w nicość.

– Wybrałem.

Nadgarstek ponownie zapiekł ją niczym dotknięty żywym ogniem i ten ból pomógł jej z powrotem skupić myśli. Na jej ręce zaczęły się pojawiać kontury nowych, tym razem czerwonych linii, układających się w Znak Seta, który wraz ze Znakiem Izydy stworzył zupełnie nowy, niewidziany jeszcze nigdy wzór.

I nagle wszystko się skończyło, zupełnie nagle. Wirująca w powietrzu magia zbladła i znikła. Piasek opadł na pustynię, a słońce zajaśniało jak dawniej. Jakby nic się nie stało. A przecież...

– Wybrałeś mnie – szepnęła z oszołomieniem.

Przyglądał jej się z uwagą.

– To był chyba jedyny sposób. Oni akceptowali tylko mnie.

Spojrzała w stronę mumii. Z wrażenia aż musiała oprzeć się o zniszczony mur. Byli sami... Upiory zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Jakby wcale nie chciały jej przed chwilą dosięgnąć i zabić.

– Gdzie one się podziały? – wyjąkała. – Odeszły tak szybko, że nie zauważyłam?

– Nigdzie nie odeszły – odparł i wskazał na ziemię.

Zerknęła na złoty piasek, na którym zalegało trochę wybielonych przez pustynię kości oraz strzępów starych tkanin.

– Obróciły się w proch...?

– Tak jakby.

Zadrżała.

– Uch. Wolę nie myśleć, po ilu z nich przejechałam plecami... Przez ciebie.

– Chyba rzeczywiście wolisz się nad tym nie zastanawiać.

Obejrzała się niespokojnie.

– Co, jeśli znowu mnie zaatakują?

– Nie ma opcji. Podniosą się z kurzu, dopiero jeśli pojawi się tu jakiś nowy intruz, żeby uśmiercić go w okrutny sposób.

Wzięła nieco głębszy oddech. Nagromadzony w sercu strach zaczął powoli topnieć. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie strażników świątyni, a potem zaśmiała się nerwowo. To było przerażające. Równie mocno bała się tylko podczas konfrontacji z Wyklętym.

Briant spojrział na nią dziwnie.

– Muszę odreagować – wyjaśniła wciąż drżącym głosem. – To była... zdecydowanie jedna z najgorszych rzeczy, jaka mnie spotkała. W całym moim życiu.

Wbił wzrok gdzieś w bok.

– Całe szczęście, że nie byłam sama – dodała szybko. – Gdyby nie ty... Nawet nie chcę o tym myśleć! Strasznie dziękuję... Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo! Gdyby...

– To nic – przerwał jej szybko.

– Nic?! Jak to nic? Uratowałeś mi życie! I... no wiesz. Wybrałeś mnie. Nie masz pojęcia, jakie to niesamowite! – Z oczarowaniem spojrzała na swoją rękę. – Nie myślałam, że to się kiedykolwiek stanie... Matko, ale super!

Uniósł na nią zdziwiony wzrok.

– Serio?

– No jasne! To takie niezwykle wyróżnienie. A ty jesteś przecież... No, taki strasznie potężny. I jeszcze nigdy nikogo nie wybrałeś, prawda?

– No nie. Ty jesteś pierwsza.

– Właśnie! – rozemocjonowała się. – Więc myślałam sobie, że ktoś taki jak ty... Nie jestem superodważna, ani nie mam jakichś wybitnych zdolności, eee... na przykład bojowych. Sam powiedziałeś kiedyś, że nie masz pojęcia, czym mogłam zwrócić na siebie uwagę Izydy. No więc to wydawało mi się takie nierealne... A teraz jestem podwójną Wybraną! To fantastyczne!

Nie mógł nawet przypuszczać, jak wiele razy wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby ją wybrał! Jaki Dar by jej przekazał. Jak by się to wszystko odbyło... Bo przecież twierdził, że to, w jaki sposób naznaczyła ją bogini magii, było bardzo nietypowe.

Dar Iluzji... Ciekawe, co to dokładnie oznacza? Jakimi nowymi mocami teoretycznie może dysponować? Teoretycznie, bo jak na razie, mimo przeprowadzanych nieustannie prób, nie udawało jej się wyzwolić magii bez pomocy egipskich bogów.

Niestety.

No ale... mam wprowadzać chaos na świecie? Proszę?! – pomyślała niepewnie Sonia.

– Chcesz wracać? – odezwał się Briant z wahaniem, wykorzystując chwilę ciszy, gdy przestała wreszcie nerwowo trajkotać i zamiast tego pograżyła się w myślach.

Uniosła na niego zdziwione oczy.

– Wracać? Gdzie?

– No, do domu.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. *O czym on mówi?*

– Musiałaś się strasznie wystraszyć – kontynuował. – Pewnie nie chcesz iść dalej, mam rację? Na pewno mam. Przed nami jeszcze długa droga do skarbcza, pełna pułapek i ogólnie średnio przyjemna. Jeśli chcesz, otworzę ci portal i wrócisz. Może się myliłem. To chyba dla ciebie zbyt niebezpieczne.

– Nie chcesz, żebym z tobą dalej szła?

– Co? Nie, nie chodzi o to, czy chcę, czy nie. Ale co, jeśli to nie jest dobry pomysł? Coś ci się może stać.

Zmarszczyła ze złością brwi.

– Teraz mi to mówisz? Teraz?! Mogłeś mi to powiedzieć, zanim wyruszyliśmy, wtedy miałyby to sens. Mogłeś mnie przenieść stąd natychmiast, jak tylko pojawiły się mumie. Ale wtedy tego nie zrobiłeś. A teraz, gdy już nic mi nie grozi, chcesz mnie odesłać do domu?! Gdy najgorsze już minęło? Za późno, Briant, za późno! Idę i już.

– Ale...

– Nie, nie zmienię zdania! Jestem teraz twoją Wybraną. Nie możesz mnie tak po prostu odepchnąć. Jasne?

Zaplotła ręce na piersi i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Oczywiście, że mogę – prychnął, przymrużając powieki. – To mnie do niczego nie zobowiązuje. Wybranie cię było jedynym sposobem, żeby cię uratować, rozumiesz? Jedynym. Nawet gdybym mógł stworzyć tu jakiś portal i cię gdzieś przenieść, nic by to nie dało. Strażnicy podążyliby za tobą, dopadliby cię w tym innym miejscu i na dodatek uznali je za część swojego terytorium. Zabiliby każdego w jego obrębie. Dlatego nie miałem wyboru. Jasne?

Skrzywił się w duchu, mając świadomość tego, jak źle to wszystko zabrzmiało. No ale co innego miał jej powiedzieć? Taka była prawda... Prawie cała. Bo nie wybrał jej tylko dlatego, że nie było innego wyjścia. Ale przecież nie musiała o tym wiedzieć.

Sonia wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Z trudem wytrzymał jej wzrok.

Oddechnęła głębiej, próbując uspokoić nerwy. Czyli wcale nie lubił jej tak jak ona jego? Nie uważał jej za przyjaciółkę? Zrobił to, bo musiał? Tylko z tego powodu? Bo było to jedyne rozwiązanie? Nie chciała wracać... Ale jeśli jej tu nie chciał, to co jej pozostało?

– Nie będę ci się narzucać. Wybacz. Mogę wrócić, jeśli tego właśnie chcesz – powiedziała z urazą.

– Nie o to chodzi – zirytował się. – Po prostu nie chcę, żeby przeze mnie coś ci się stało. Czy to aż takie trudne do zrozumienia?

– Przecież jesteś starożytnym bogiem! Następnym razem też znajdziesz wyjście

z sytuacji. A ja bardzo chcę iść dalej! To nic, że przed chwilą prawie zjedli mnie twoi kapłani, że nieomal umarłam ze strachu. Zawsze marzyłam, żeby badać zrujnowane świątynie... Teraz wreszcie może się to spełnić. A ty chcesz mnie wysłać z powrotem do domu?!

Skrzywił się trochę. Potrafiła być uparta, jeśli jej na czymś zależało.

Skoro tak bardzo tego chce... Po co mam się tym przejmować? Jej wybór. To ona potem będzie się trzęsła ze strachu, nie ja.

– Dobrze – ustąpił. – Niech ci będzie.

Rozluźniła się nieznacznie.

– Dzięki... Nie będę cię opóźniać, obiecuję!

Posłała mu uśmiech, choć nie tak szczery jak wcześniej. Bo w jej głowie cały czas rozlegało się echo jego słów. Wybrał ją, bo nie miał innej możliwości. Gdyby nie zagrożenie, na jej ręce nigdy nie zajaśniałby Znak Seta.

– Tylko zanim pójdziemy, oddaj mi Amulet Ozyrysa, bo jeszcze go zgubisz – odezwał się, wyciągając w jej stronę dłoń.

– Wcale nie – oburzyła się, ale posłusznie oddała mu wisior. Z doświadczenia wiedziała, że lepiej się z nim nie kłócić.

Powoli zagłębili się w jeden z zakurzonych korytarzy Miasta na Środku Pustyni, nieświadomi tego, że z cieni obserwowały ich martwe oczy strażników. Pozwalali im przejść. I swemu zamyślonemu panu, i tej dziwnej dziewczynie, mającej w sobie coś z bogów, ale też coś z ludzi.

Rozdział trzeci

MIASTO NA ŚRODKU PUSTYNI

Przemierzali wysmukłe, spowite mrokiem pomieszczenia, zagłębiając się coraz bardziej w gigantyczną świątynię. Wszędzie zalegała gruba warstwa piasku, spod której gdzieniegdzie wyłaniały się kości rąk lub wzbudzające przerażenie czaszki. Mijali kolejne bramy, nierzadko częściowo lub całkiem pochłonięte przez pustynię; pokonywali opuszczone dziedzińce; przemierzali zakurzone komnaty, w których dało się słyszeć odległe, nieziemskie westchnienia. Wreszcie dotarli do wielkich złotych wrót, pilnowanych przez dwa pokruszone ze starości posągi. Drzwi wyglądały na bardzo ciężkie i z pewnością bardzo trudne byłoby ich otwarcie, gdyby nie to, że od wieków były dziwnie wybrzuszone. Jakby z całych sił napierało na nie coś niewiarygodnie wielkiego. I silnego.

Przecisnęli się przez szparę pomiędzy skrzydłami i stanęli na eleganckim niegdyś kamieniu posadzki. Przed nimi otwierała się ziejąca chłodem otchłań schodów. Ściany pokryte były misternymi hieroglifami i budzącymi niepokój malowidłami. Tuż obok stały czujne posągi, nieruchomo wpatrzone w przybyłych. Na pierwszych stopniach schodów zalegał groteskowo wykrzywiony szkielet.

Serce Soni przyspieszyło. Miała tylko nadzieję, że Briant nie zauważył jej przerażenia, wprawdzie wymieszanego z ekscytacją. Było o wiele straszniej niż w jej snach... A to przecież był dopiero początek.

Szerokim łukiem ominęli szczątki kapłana i zaczęli schodzić po zakurzonych stopniach, nieużywanych od tysiący lat. Wraz z zanurzaniem się pod powierzchnię ziemi, robiło się coraz ciemniej i zimniej. W końcu bladozłote promienie wpadające do środka przez szparę we wrotach rozplynęły się gdzieś z tyłu, a jedynym prowadzącym Sonię światłem był złoto-rubinowy blask wytwarzany przez Znaki na jej nadgarstkach.

– Wzięłaś może latarkę? – wyszeptała w stronę milczącego uparcie boga pustyni, ostrożnie badając stopą podłoże w poszukiwaniu nowego stopnia.

Obrócił się w jej stronę ze zdziwieniem, co udało jej się raczej wyczuć, niż zauważyć.

– Oczywiście, że nie. Po co?

– Na przykład, żeby oświetlić sobie drogę.

– Jestem bogiem nocy. Widzę w ciemności. Po co mi latarka?

– Hm.

– A co? Ty sobie nie wzięłaś?

– No...

– Nie żartuj! To po co ci taki wielki plecak?

– Nie jest wielki! Poza tym chyba założyłam, że ty, jako ekspert od łażenia po starożytnych świątyniach, pomyślisz o tym i weźmiesz dla mnie jakieś światło. Albo przynajmniej powiesz mi, żebym wzięła swoje.

Prychnął.

– Brawo. I teraz nic nie widzisz.

Zmarszczyła brwi.

– Mógłbyś mi coś wyczarować? Proszę... Albo chociaż podaj mi rękę. Jak się potknę i złamię sobie nogę, będziesz musiał mnie nieść!

– Nie ma takiej obawy. Mam ze sobą amulet. Możesz się spokojnie potykać.

– O, dziękuję! Ale chyba umiesz wyczarować jakieś światło, prawda?

– Umieję. Tylko że... Pamiętaj, że sama tego chciałaś.

Aż podskoczyła z wrażenia, gdy nad jej głową znikąd pojawił się lewitujący ogień. Ciepłe światło natychmiast odeгнаło przytłaczającą ciemność i wydobyło z niej kształt schodów. Mogła wreszcie uważnie przyjrzeć się otoczeniu. Ściany oraz sufit były gdzieś tam popękane, ale i tak dało się zauważyć pokrywające je pismo, malowidła lub... Sonia wydała z siebie zduszony okrzyk i gwałtownie cofnęła się o krok. Jej oczy zrobiły się wielkie ze strachu, a puls gwałtownie przyspieszył.

Przy ścianie znajdowała się wysoka, rozpadająca się ze starości klatka, a w niej szczyrzył się upiornie częściowo zmumifikowany człowiek.

– Spokojnie, nie zaatakuję cię przecież. Nie żyje od tysiącleci – odezwał się Briant, ani trochę tym nieporuszony. – Próbował wykraść moje tajemnice. I stał się przestroga dla innych złodziei. Na pewno zobaczymy takich jeszcze sporo, więc możesz się powoli przyzwyczajać.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Jak mogłaby przyzwyczaić się do widoku zamęczonych ludzkich zwłok? Przecież to by było tak strasznie... złe.

– Mówiłem, że droga do skarbcza będzie raczej mało przyjemna. Chciałaś światła, to masz. Widzisz wszystko. Zadowolona?

– Nie do końca takie rzeczy chciałam zobaczyć, szczerze mówiąc.

– Trudno. Rusz się wreszcie, już blisko.

– Do skarbcza?

– Oczywiście, że nie. Do końca schodów.

Podążyła za nim z ognikiem unoszącym się nad jej głową. Już po chwili ich oczom ukazał się kraniec schodów, a następnie rozległa, zakurzona komnata, wypełniona zapachem stęchlizny. Przy ścianach stało kilka zapomnianych, wielkich dzbanów. Na podłodze leżały połamane resztki drewnianych mebli, glinianych misek oraz różnych drobniejszych przedmiotów, których nie potrafiła zidentyfikować. Obok szkieletu stołu znajdowały się pokryte kurzem kruche zwoje papirusów, rozsypane przed tysiącami lat. Ściany pokrywały malunki o wciąż żywych barwach. Miejskami z popękanego sufitu odpadły kamienne odłamki, pozostawiając paszcze dziur. W kątach, obok kolejnych zwłok, czaiła się groza.

Briant niepewnie podszedł do papirusów i sięgnął po jeden z nich. Jak tylko go dotknął, zwój rozsypał się w proch. Nieznacznie się skrzywił i spojrzał w stronę zmarłych kapłanów. Nawet po tysiącach lat wciąż wyczuwał unoszące się w powietrzu echo ich cierpienia. Jego źrenice pociemniały. Zginęli przez Wykłętego. To on przeklął całą świątynię. Zamienił ich w upiory, które nigdy nie zaznają spokoju.

Miasto nie było pierwszą rzeczą, jaką mu odebrał. Przedtem... Przedtem stało się coś jeszcze. Coś strasznego, czego nie mógł sobie przypomnieć. To chyba było związane z...

– Wszystko dobrze? – Usłyszał cichy głos Soni, który przywrócił go do rzeczywistości.

Drgnął i odwrócił się od ciała.

– Tak.

– Na pewno?

– Tak – powiedział ze złością i wbił wzrok w znajdujący się w ścianie tunel. –
Idziemy.

Już po chwili połąkła ich chłód starożytnego korytarza. Gdy echo ich kroków odbijało się od ścian, Sonia nie mogła przestać rozglądać się dookoła. Odnosiła wrażenie, że powietrze drga lekko pod wpływem przetaczających się przez nie fal lęku, że z oddali dobiegają dziwne szepty i westchnienia. Objęła się ramionami i przysunęła odrobinę do towarzysza.

– Aż tak ci zimno? – zapytał, zerkając w jej stronę.

– Nie.

– Ale masz głos. Jak mysz.

– Nieprawda – mruknęła urażona i przyspieszyła kroku.

– Nie wyprzedzaj mnie.

– Bo co? – Jeszcze bardziej wydłużyła krok.

Natychmiast pociągnął ją w tył, aż się zatoczyła.

– Hej! Co robisz?

– Chronię cię przed śmiercią – warknął ze złością.

– Tak? A co jest takiego niebezpiecznego w tym pustym korytarzu?

– To.

Pstryknął palcami. Na posadzce kilka metrów przed nimi zmaterializował się głaz wielkości strusiego jaja. Nim Sonia zdążyła w pełni to zarejestrować, podłoga zawałowała się z hukiem, ujawniając skryte w dole kamienne szpikulce. Odskoczyła ze strachem.

– To byłabyś ty – oznajmił chłodno Briant i przesunął się na lewą stronę korytarza, gdzie tuż przy ścianie ostała się wąska półka. – Dlatego właśnie to ja idę pierwszy. I bez mojego pozwolenia nie możesz niczego dotykać.

– Dzięki – szepnęła, obserwując, jak wkracza na kamienną ścieżkę. – Już nie będę.

Nie zareagował, choć wiedziała, że ją usłyszał. Ostrożnie podążyła za nim. Po kilku metrach półka rozszerzyła się i wkrótce mogli już bezpiecznie iść całą szerokością tunelu. Doprowadził ich do niewielkiej rotundy, w której centrum wisiała kolejna klatka. Sonia szybko odwróciła wzrok, niezdolna patrzeć na ludzkie szczątki. Niestety, niewiele jej to pomogło. Wciąż była boleśnie świadoma ich obecności.

– Musimy teraz skręcić w prawo.

Jak najszybciej uciekła z komnaty, odprowadzana spojrzeniem pustych oczodołów. Nawet gdy korytarz skręcił kilkakrotnie, wciąż wydawało jej się, że jest przez nie śledzona. A upiorne wspomnienie kości majaczyło jej przed oczami. Dopiero gdy z mroku wyłoniło się przejście do nowego pomieszczenia, mogła skupić się na czymś innym. Przekroczyła próg rozległej komnaty i zatrzymała się ze zdziwieniem. Znaleźli się na podeście z trzech stron otoczonym nieruchomą taflą wody, z której w niewielkich odległościach wyrastały wysepki o nieforemnych kształtach, a także regularne rzędy

grubych kolumn.

– Nie mów, że trzeba skakać po tych kamieniach – rzuciła powątpiewająco.

– A niby jak ktoś niosący skrzynię skarbów miałby wtedy tędy przejść?

Oczywiście, że nie. To pułapka. Pójdziemy tamtędy.

Wskazał na niewyróżniający się niczym fragment basenu.

– Niby jak? Wpław?

– Zabawne. Jasne, że nie. Po prostu. Przejdziemy.

– Po wodzie?

– Tak – odparł i bez dalszych wyjaśnień zeskoczył z podestu. Wstrzymała oddech, oczekując, że z pluskiem zanurkuje w krystalicznych odmętach, ale ku jej oszołomieniu, stanął na przezroczystej powierzchni, jakby była zwykłą podłogą. I jedynie po nieruchomej dotąd tafli rozbiegły się kręgi migotliwych fal.

– Jak to zrobiłeś?! – wyjąkała, nie wierząc temu, co widzi.

– Normalnie. To tak naprawdę coś w rodzaju kładki. Ukrytej pod iluzją. Chodź.

– Na pewno mnie też utrzyma...?

– Tak!

Przygryzła wargę i ostrożnie poszła w jego ślady. Zeskoczyła, instynktownie wstrzymując oddech. Istotnie, woda utrzymała jej ciężar.

– O rany – szepnęła, wpatrując się w znajdującą się pod jej stopami głębię. – Niesamowite.

Briant uśmiechnął się blado, a potem poprowadził ją dalej, w stronę odległego przejścia. Każdy ich krok wywoływał łagodne fale, które odbijając światło ognika, rzucały migotliwy blask na ściany oraz wyrastające z wody, zdobione w motywy lotosu kolumny. Sonia z oczarowaniem rozglądała się wokoło. Gdy wreszcie mogli wskoczyć na nowy podest i ruszyć w dalszą podróż, była odrobinę zawiedziona, że tak szybko musiała skończyć magiczną podróż.

Po minięciu kilku rozwidleń doszli do portalu drzwiowego, przez którego środek przewieszono całun zapisany krwistoczerwonymi hieroglifami. Zatrzymali się przed nim, Sonia z obawą, Briant z ciekawością.

– Co tam jest napisane? – zapytała, nie będąc do końca pewną, czy chce to wiedzieć. Materiał emanował mroczną magią, od której jeżyły jej się włoski na rękach. No i ta czerwień...

To nie może być krew, prawda?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Tak w skrócie, bez udziwniających zwrotów – odparł po chwili bóg pustyni – mniej więcej coś takiego: każdy, kto przejdzie przez te drzwi, zostanie przeklęty na wieki i zginie w straszliwych męczarniach.

– To tylko taki zwrot, prawda? Tak naprawdę nie ma żadnej klątwy?

– Niestety... jest.

– Co?! To jak mamy tędy przejść?

– Bez obaw. Wystarczy, że przypomnę sobie zaklęcie, które nas przed nią uchroni.

Pobladała. Ta klątwa... I chusta... Od samego patrzenia w jej stronę dostawała dreszczy. Nachodziły ją ponure myśli, z którymi musiała z całych sił walczyć.

– Chyba mam – odezwał się wreszcie Briant.

– Chyba?

– Na pewno – poprawił się szybko.

Niedowierzająco uniosła brew, a on posłał jej twarde spojrzenie. Następnie skupił uwagę na przeklętym materiale i wyrecytował melodyjną formułkę. Sonia wstrzymała oddech, gdy całun poruszył się łagodnie. Gdzieś w mroku rozległ się niezrozumiały szept. Ze strachem obejrzała się za siebie, ale byli w korytarzu sami. A przynajmniej tak jej się wydawało.

– Też to słyszałeś? – szepnęła.

– Tak. Umarli mi odpowiedzieli. To znaczy, że możemy przejść.

– Więc chodźmy stąd jak najszybciej, błagam.

Ostrożnie uniosł zakurzoną tkaninę.

– To przechodź. Tylko nie dotknij całunu! Był przeklęty tyle wieków, że wciąż może być dla ciebie groźny.

Zmartwiała.

– Naprawdę?

– Tak, ale nie przejmuj się. Musiałabyś się postarać, żeby się pod nim nie zmieścić.

Zachęcająco podniósł go jeszcze wyżej. Schyliła się prawie do ziemi i przemknęła pod nim jak najszybciej. Odważyła się wyprostować dopiero kilka metrów dalej. Z mocno bijącym sercem obejrzała się w tył, akurat by ujrzeć, jak Briant opuszcza za sobą całun. Przez jedną krótką chwilę opanował ją niewyjaśniony strach, że zdarzy się jakieś nieszczęście, że pochłonie ją ziemia i już nigdy nie odda świata. Wrażenie zniknęło jednak równie szybko, jak się pojawiło, i po chwili nawet jego wspomnienie rozplynęło się w nicość.

Ciszę starożytnych korytarzy zakłócał jedynie odgłos ich cichych kroków, gdy oddalali się od przeklętej tkaniny, każde pogrążone we własnych myślach. Sonia, choć bardzo starała się tego zbytnio nie okazać, marzyła tylko o tym, by wreszcie dotarli do skarbcza. Tak bardzo chciała już zobaczyć te wszystkie kosztowności...

Tunel wkrótce doprowadził ich do nowej komnaty, która okazała się spełnieniem jej marzeń. Sonia otworzyła szerzej oczy i z zachwytem wbiła je w piętrzące się wokół, otulone welonem pajęczyn kosztowności.

– Wreszcie jesteśmy! – szepnęła drżącym głosem, czyniąc pierwszy krok w stronę kuszącego złota.

– Niestety nie – odparł ponuro Briant i, tknięty nagłym przeczuciem, obejrzał się w jej stronę. – Nie! Niczego nie dotykaj!

Jak oparzona cofnęła rękę, którą prawie zdążyła musnąć piękny, wyeksponowany na kamiennym postumencie naszyjnik.

– Głupia jesteś?! Miałaś niczego nie dotykać, chyba że powiem, że można! Zapomniałaś?

– Przepraszam – wyjąkała. – Nie pomyślałam, że skarbiec może być przeklęty...

– Czasem mózg bywa przydatny – syknął ze złością. – To pułapka, nie skarbiec. Gdybyś dotknęła któregoś z tych skarbów, zginęłabyś na miejscu.

– Co?! – Jak oparzona odskoczyła od postumentu. – Czemu nie powiedziałaś mi

wcześniej?

– Nie sądziłem, że tak łatwo cię skusi.

Spochmurniała.

– A jednak. To naprawdę genialna pułapka.

– Wiem. Sam ją wymyśliłem.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę ukrytego za potężną statua wyjścia, a ona za nim, próbując nie przyglądać się za bardzo otaczającym ją kosztownościom. Odetchnęła luźniej, dopiero gdy zniknęły daleko za jej plecami.

Jednak pewna myśl ciągle nie dawała jej spokoju.

– Briant?

– Co?

Zdecydowanie wciąż się na nią złościł. Postanowiła to zignorować.

– Tak się zastanawiam... Miasto powstało jakieś tysiące lat temu. Zostało zniszczone i przeklęte. Opuszczone na wieki. Jakim cudem te korytarze nie zawaliły się tak jak reszta świątyni? I przede wszystkim, jak to możliwe, że te wszystkie pułapki ciągle działają? Bo wiesz... Tak zazwyczaj dzieje się na filmach, ale... Po takim upływie czasu nie mają prawa...

– Oczywiście, że mają prawo działać – przerwał. – Dzięki magii. Ona chroni to miejsce, a zwłaszcza skarbiec. Jest na tyle potężna, że uchroniła korytarze nawet od klątwy Wyklętego. Gdyby nie magia, na pewno nie przetrwałyby tyle czasu.

Wkrótce natknęli się na dziurę w podłodze. Sonia z zaskoczeniem przyjrzała się szczątkom roztrzaskanej posadzki, zalegającym kilka metrów niżej, pomiędzy zakurzonymi ostrzami. Wśród gruzu dostrzegła nawet czyjaś zaszuszoną dłoń.

– Ktoś już wpadł w tę pułapkę – zauważyła cicho. – Możemy ją bezpiecznie wyminąć i pójść dalej.

Wbiła wzrok w dalszą część zakurzonego korytarza, rozplywającą się w mroku, a potem rozejrzała się w poszukiwaniu przejścia nad dziurą. Briant z zamyśleniem przyglądał się rumowisku.

– Tam jest kładka! – ucieszyła się dziewczyna i skierowała się w jej stronę.

– Czekaj. – Ton jego głosu kazał jej znieruchomieć. – Nie idziemy dalej.

– Dlaczego nie?

– To zła droga.

Obejrzała się na niego ze strachem.

– Zgubiliśmy się?!

– Nie.

– To... powinniśmy zawrócić?

– Nie.

– To gdzie mamy iść?!

Wskazał na dół wypełniony gruzem.

– Tam.

– No co ty – zwątpiła. – Chcesz wejść w pułapkę? Przecież to bez sensu!

– Nie w pułapkę. Przez pułapkę.

Uniosła brwi.

– Przez pułapkę?

– Tak. Ktoś niewtajemniczony postąpiłby jak ty i zaraz trafił na rozwidlenia zakończone ślepyimi zaułkami.

– Och... Sprytne.

Bez wahania zeskoczył na dno fałszywej pułapki, a ona ostrożnie ześlizgnęła się za nim. Gdy wreszcie znalazła się na dole, bóg pustyni zdążył już odkryć przywalone kamienną płytą przejście. Na widok zakurzonego prostokąta ciemności aż poszarzała na twarzy.

– Proszę, powiedz, że jest inna droga.

– Jasne, że nie. A co?

– A co?! – zdenerwowała się. – Nie widzisz w nim nic niepokojącego? Jest ciasny, niski, brudny i mroczny. Na pewno pełen pajęczyn, robali i... I trzeba się jeszcze czułgać...

Nie wyglądał, jakby się tym szczególnie przejął.

– Sama chciałaś tu przyjść. Nie obiecywałem, że będzie prosto, czysto i przyjemnie.

– Wiem, ale wcale mi się to nie podoba...

Wywrócił oczami.

– I tak pójdę pierwszy, więc jakby co, wszystkie pająki spadną na mnie. Nie musisz się nimi przejmować. Dam ci znać, jak już będę po drugiej stronie.

Kiwnęła z ulgą głową, a on kucnął przy przejściu.

– Poza tym – dorzucił, zaglądając do środka – nie wydaje mi się, żeby jakiegokolwiek pająki zdołały tu przetrwać. Klątwa zabiła wszystkie żywe istoty i skutecznie odstrasza wszystkie te, które ewentualnie chciałyby tu przyjść.

– Oprócz nas – mruknęła.

– Oprócz nas – zgodził się i zanurkował w przejście.

Sonia zagryzła wargę, przyglądając się, jak w ułamku sekundy zniknął w mroku korytarza. Od razu poczuła się mniej pewnie. Z przestrachem rozejrzała się po upiornie cichym otoczeniu. Migoczący w powietrzu płomień wywoływał ruchome cienie, które tańczyły pośród gruzów i sprawiały, że wszystko wokół się ruszało. Pogrzebany pod kamieniami nieszczęśnik zdawał się drżeć, poruszać wychudzonymi palcami i sięgać nimi w jej stronę. Stłumiła okrzyk grozy i przywarła plecami do lodowatego muru. Byle dalej od przeklętych kości.

Gdzieś w oddali rozległ się cichy dźwięk, jakby potrąconego kamienia. Jej serce zatrzepotało szaleńczo, skórę pokryła gęsia skórka. Otaczające ją ciemności wypełniały szepty, nasilające się z każdą chwilą.

Coś poruszyło się na krawędzi fałszywej pułapki.

Sonia rzuciła się w stronę przejścia, jedynie ostatkiem woli tłumiąc zrozpaczony wrzask. Spanikowana, zaczęła czułgać się najszybciej, jak mogła, ignorując obtarte łokcie i czające się gdzieś z tyłu głowy poczucie klaustrofobii. Z trudem łapała oddech. Uszy wypełniał jej wściekły łomot serca, nozdrza atakowały wszechobecny kurz i stęchlizna. Nie widziała nic, jedynie ciemność. Nie to było jednak najgorsze. Coś czułgało się jej śladem. Była tego pewna. Słyszała stukot pazurów, szelest wysuszonej skóry. Coś otarło się o jej stopę. Wydała z siebie przerażony krzyk i ze zdwojoną energią rzuciła się przed

siebie. Było za ciasno nawet na to, by obejrzeć się za siebie. Nie była w stanie z tym walczyć. Musiała uciec.

W końcu, gdy blask nowego światła zaczął rozpraszać kłębiący się wokół niej mrok, natrafiła na pustkę pod sobą, krzyknęła i runęła na odległą o kilkanaście centymetrów posadzkę. Ostatkiem sił wyszarpnęła nogi z dziury i odtoczyła się w bok.

Krzyknęła rozpaczliwie, gdy ktoś złapał ją za ramię.

– Sonia! Uspokój się!

Obróciła głowę i spojrzała w zdziwione kasztanowe oczy. Wewnętrznie prawie rozplakała się z ulgi.

– Coś za mną szło – wydusiła z przerażeniem, wczepiając się w jego ramię.

– Niemożliwe. Jesteśmy tu sami.

– Naprawdę...!

Zmarszczył brwi.

– Udowodnię ci, że tak.

Spróbował wyszarpnąć się z jej uścisku, lecz trzymała go za mocno.

– Sonia! Opanuj się.

– Nie mogę, przepraszam... Ale nie, lepiej nie sprawdzajmy. Chodźmy stąd jak najszybciej!

– Aż tak nam się nie spieszy.

Rozkazał lewitującemu płomieniowi zawisnąć w takim miejscu, by oświetlił wejście do tunelu. Sonia jęknęła z rozpaczy i mocniej wbiła mu paznokcie w ciało.

– Zabierz go! – szepnęła ze strachem.

– Żartujesz? Tam nic nie ma!

– Jest – wydusiła. – Patrzy prosto na mnie...!

– Nie!

– Tak... – Rysy jej twarzy wykrzywiły się upiornie. – I mówi do mnie...

Zmrużył oczy, ale nadal widział tylko ciemność.

– Nieważne. Idziemy stąd. Natychmiast.

Musiał ją podtrzymywać za ramię, bo nie była w stanie iść o własnych siłach. Cała dygotała i szeptała coś o otaczających ich cieniach, chowając twarz w drżących dłoniach. Z rosnącą obawą zauważał, że z każdym pokonanym metrem jej stan, zamiast się polepszać, jedynie się pogarszał. Niemal musiał ją ciągnąć.

W końcu dostrzegł w oddali wejście do nowej komnaty.

– Zobacz, już koniec – powiedział. – Może jak opuścimy ten korytarz, poprawi ci się choć trochę.

Odważyła się wyrzucić zza palców. I natychmiast wydała z siebie głuchy krzyk przerażenia i szarpnęła się w tył, zmuszając go do zatrzymania się.

– Tam nic nie ma! – zawołał zirytowany.

– Jest...

– Nie!

– Ja ich widzę... Nie dam rady! Umrę, jeśli tam wejdę!

Spojrzał na nią ze złością.

– Przestań! Co ty w ogóle wygadujesz?!

– Tam jest też Wyklęty – szepnęła zbielełymi wargami. – Krzyczy straszne rzeczy... Ja nie mogę tam wejść!

– Sonia, uspokój się. Jesteś od tego silniejsza – powiedział twardo, stając tak, by zasłonić jej wnętrze komnaty.

– Nie rozumiesz – wyjąkała płacząco. – Tam jest wszystko, czego tylko się boję. Wszystkie koszmary...

– Świetnie. W takim razie je zniszczę.

Odwrócił się i rozkazał płomykowi wlecieć na środek komnaty.

– Patrz, jak giną.

Ogień wystrzelił na wszystkie strony, zalewając komnatę morzem płomieni. Sonia wrzasnęła i cofnęła się w popłochu.

– Stój! – zawołał, łapiąc ją za rękę i nie pozwalając uciec. – Gdzie idziesz?

– Oni płoną! – wykrzyknęła. – Idą po mnie! Zabierz mnie stąd!

– Trzeba było zostać w domu – warknął, myślą gasząc płomienie.

– Przepraszam... Myślałam, że jestem odważna. Ale oni... Oni mnie zabiją! Nie mogę tam wejść.

Spojrzał na pustą komnatę.

– Nie pozwolę im – obiecał cicho, ujmując ją pod ramię. I pociągnął ją w otchłań jej koszmarów.

Komnata zdawała się odbierać jej zdrowe zmysły i wszelkie siły. Każdy krok był ogromnym wysiłkiem. Z każdym krokiem było coraz gorzej, aż zupełnie nie mogła już utrzymać się na własnych nogach. Ciągnął ją przez upiorną nicość wypełnioną jej wizjami, starając się nie słyszeć jej jęków i nie czuć dreszczy wstrząsających jej ciałem. Kilka razy prawie mu się wyrwała. Wreszcie wciągnął ją w nowy tunel. I wszystko się skończyło. Sonia wzdrygnęła się gwałtownie i łapczywie wciągnęła w płuca potężny haust powietrza, jakby wynurzyła się na powierzchnię po długim nurkowaniu. Puścił ją szybko, a ona ciężko oparła się o ścianę. Wraz z upływem kolejnych sekund upiorna bladeść zaczęła znikać z jej twarzy, a szalejące tętno spowalniać. Wreszcie otworzyła błyszczące oczy i uśmiechnęła się żałośnie do wiercącego się niecierpliwie towarzysza.

– Przepraszam – wymamrotała, odrywając się od ściany.

– To była bardzo potężna magia – odparł tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. – Chodźmy stąd wreszcie.

– Tak, ale... – Zawahała się. – Nie rozumiem. Przecież ja potrafię przejrzeć iluzję! Dlaczego więc na mnie zadziałała?

– To nie była iluzja. To były wytwory twojej podświadomości.

Z przestachem obejrzała się za siebie. Przebyta z takim trudem komnata teraz także jej wydała się pusta.

Ruszył przed siebie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a Sonia podążała za nim odrobinę przygnębiona. Po kilku minutach korytarz rozszerzył się, a lewitujący ognik oświetlił nową salę, rozległą i wysoką. Przystanęli w jej progu i przez chwilę w milczeniu przyglądali się posadzce, będącej ogromną mozaiką przedstawiającą scenę walki Seta z Horusem.

– To też jest pułapka?

– Chyba nie. Ale nie jestem pewien. Zaczekaj.

Ostrożnie wszedł na mozaikę, a potem przeszedł całą jej długość aż do ogromnych złotych wrót. Nic się nie stało.

– Czy za nimi jest już skarbiec? – zawołała nieśmiało, bojąc się za bardzo podnosić głos.

– Prawie.

Uśmiechnęła się z ulgą.

– To nie pułapka, prawda?

– Raczej nie.

– To schodzę!

Zbiegła po dwóch kamiennych schodkach i postawiła stopę na mozaice. Jeden krok. Drugi. Trzeci.

Coś jakby zadrżało pod jej stopami.

– Sonia – syknął ostrzegawczo Briant, obracając się w jej stronę.

Znieruchomiała. Serce podskoczyło jej do gardła.

– Co się stało? – jęknęła, spoglądając pod nogi.

– Nie wiem. Nie ruszaj się, idę do ciebie.

Posadzka drżała. Sonia przypatrywała się jej z przerażeniem. Wyobrażała sobie, że podłoga zaraz runie, zabierając ją ze sobą gdzieś w bezdenną otchłań... I wtedy mozaikowe postaci bogów poruszyły się. Ze zdumienia szerzej otworzyła oczy, gdy Horus uniknął ciosu zakrzywionego miecza i wbił w serce wroga lśniący srebrem sztylet. Drgnęła i uniosła wzrok na znieruchomiałego kilka kroków dalej boga pustyni. Gdy trysnęła mozaikowa krew, skrzywił się i oderwał od niej wzrok.

– Chodźmy – zarządził. – To tylko nieszkodliwa magia Wyklętego. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Odniosła wrażenie, że w jego głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

Gdy ruszył w stronę wielkich złotych wrót, bez wahania podążyła jego śladem, rzucając jeszcze szybkie spojrzenie na scenę zastygłą w chwili triumfu boga nieba.

Briant pchnął złote wrota, które uchyliły się z potępieńczym zgrzytem. Blask lewitującego ognika wydobył z ciemności szeroki, pokryty resztkami pajęczyn korytarz.

– Doprowadzi nas do skarbcza – oznajmił.

– Wreszcie.

Zanurkował w pajęczyny, a ona za nim, wzdrygając się z obrzydzeniem. Błądziła wzrokiem po ścianach i suficie, dopóki nie zrozumiała, co przedstawiają pokrywające je malowidła. Natychmiast wbiła wzrok w podłogę, nie mogąc znieść widoku rzezi, tortur, bezgłowych ciał i paskudnych bestii. Niestety, pod warstwą kurzu pokrywającą posadzkę dały się dostrzec kontury kolejnych okrutnych obrazów. Przeniosła więc spojrzenie jak najdalej przed siebie.

– Ten korytarz jest okropny – szepnęła, gdy mijali kolejną zwisającą z sufitu klatkę ze szerniałymi zwłokami.

– To przestroga przeznaczona dla potencjalnych zdrajców i złodziei – odparł, ciekawie zerkając na szczątki.

Dobrze spełnia swoje zadanie – pomyślała Sonia. Gdyby była złodziejem, na

pewno już dawno zrezygnowałyby z planów okradzenia tej świątyni... Jeśli w ogóle by tu dotarła.

Wreszcie z ciemności przed nimi wyłoniły się wielkie wrota, po których obu stronach siedziały monumentalne kamienne Salaawy. Razem pchnęli ciężkie odrzwia, a one ustąpiły bardzo niechętnie.

Gdy ich oczom ukazał się skarbiec, Sonia natychmiast zmieniła zdanie co do złodziei.

Rozdział czwarty

SKARBIEC

Briant gwałtownie wciągnął powietrze w płuca.

– O rany. – Usłyszał szept oczarowanej przyjaciółki.

Prawie nie zauważył złotych stosów, które przyciągnęły jej uwagę. Nie widział dzieł sztuki, finezyjnej biżuterii, ozdobnych posągów, rydwanów i broni. Widział tylko jedną rzecz. Tylko jedną.

– Nie wierzę – wydusił i podbiegł do specjalnego podwyższenia, na którym spoczywała.

– Co takiego? – Jej głos doszedł go z oddali.

Nie odpowiedział. Wędrował oczami po tak doskonale znanych sobie liniach. Ostrożnie uniósł dłoń i położył ją na zimnym metalu. Zamknął oczy, a wyobrażenia podsunęła mu ulotne obrazy dawno przeżytych wojen. Uśmiechnął się, słysząc odległy huk bitew, szczęk oręza i zapach spieczonej słońcem ziemi.

– Co to? – zapytała zdziwiona Sonia gdzieś z bardzo bliska.

Wspomnienia uciekły. Otworzył oczy i z rozdrażnieniem spojrzął w bok.

– To nie berło, prawda? – szepnęła, stojąc tuż obok.

Zwrócił oczy z powrotem na starożytnie płyty metalu.

– A według ciebie tak wygląda berło? – prychnął. – To moja zbroja. Stoczyłem w niej wiele wielkich wojen. I walczyłem w niej z Horusem.

– Naprawdę?

Kiwnął głową.

– A wygodnie było ją nosić? – zapytała powątpiewająco, przyglądając się ozdobnemu hełmowi w kształcie głowy Salaawy. – Wygląda na ciężką i niepraktyczną.

– Jasne, że wygodnie! To nie jest zwykła zbroja. Stworzyła ją magia.

– Aha.

Jego oczy zaśniły.

– Muszę ją wziąć.

– Teraz?

– Nie. Jak już znajdziemy berło.

Niechętnie oderwał uwagę od zbroi i skupił się na pozostałym wyposażeniu komnaty. Obojętnie przemknął wzrokiem po wylewających się ze skrzyń bogactwach i kolekcji rydwanów.

– Widzisz je gdzieś? – zapytała Sonia, rozglądając się po bezmiarze kosztowności.

– Mam nadzieję, że będzie gdzieś na widoku, bo nie wyobrażam sobie przeszukiwania tego wszystkiego. Chyba miesiąc by nam to zajęło.

– Nie martw się. Wyczuję, jeśli będzie gdzieś w pobliżu. Nie musimy sprawdzać każdej skrzyni. Tu... niestety go nie ma. Musi być w innym pomieszczeniu.

Znieruchomiała.

– Innym?! Jest tu tego jeszcze więcej?

– No pewnie. A co myślałaś?

Zszedł z podwyższenia i skierował się w stronę skrytego za rydwanami przejścia. Oszołomiona Sonia podążyła za nim, z trudem mogąc uwierzyć w to, co widziała. Czowała się jak we śnie...

– Jak to możliwe, że skarbiec jest tak ogromny? – wyjąkała, ze zdumieniem opierając się o malowaną ścianę, gdy okazało się, że druga komnata jest równie rozległa. – Czy to fizycznie możliwe, żeby zgromadzić takie bogactwa?

– Oczywiście – odparł, przyglądając się niezliczonej ilości złotych posążków. – Nie powinnaś być zdziwiona ilością tych kosztowności. Religia stanowiła ogromnie ważny element życia starożytnych Egipcjan. Skarbów ofiarowywanych bogom zawsze było mnóstwo. I zawsze były najpiękniejsze. – Skrzywił się z zawodem. – Pusto. Idziemy dalej.

Niestety berła nie było także w kolejnej komnacie. Ani jeszcze w następnej.

– Musi tu być! – rzucił z rozdrażnieniem, wpadając do ostatniego pomieszczenia.

Rozejrzał się czujnie, ale i tym razem wszędzie wokół dostrzegł jedynie bezwartościowe kamienie szlachetne. Poszarzał na twarzy, a przyglądająca mu się Sonia zmarszczyła brwi.

– Nie ma...?

– Musi być – warknął i podszedł do ściany przedstawiającej jakąś starożytną bitwę.

Położył na niej dłoń, a ona zadrżała. Jeden z jej fragmentów odskoczył, ukazując niewielką wnękę. Briant z rozdrażnieniem wyjął z niej kilka zwojów i przyjrzał im się niechętnie.

– Co to?

– Nie pamiętam dokładnie. Były w skrytce, więc to na pewno jakieś superważne zwoje. Najcenniejsze. Ale... Ale co z tego, skoro nie jest w nich zapisane, gdzie jest moje berło?!

– Skąd wiesz? Może właśnie jest?

– Nie. Pochodzą z czasów przed rzuceniem na miasto klątwy.

Poruszyła się niepewnie.

– Co teraz? – szepnęła. – Jeśli nie ma tu berła... Gdzie może być?

– Nie mam pojęcia – mruknął.

Odniosła wrażenie, że jego oczy stały się nieco bardziej czerwone niż zwykle.

– To takie bez sensu! Nie mam już żadnych pomysłów, absolutnie żadnych! Sprawdziłem wszystkie miejsca, w których znajdowały się moje ważne świątynie. Przeszukałem skarbiec w pałacu. Przyszedłem tutaj... I nic! Nie ma już innych miejsc...

– Na pewno coś wymyślisz.

– A co, jeśli nie? Co, jeśli nigdy go nie znajdę?

– Nie mów tak! – przerwała stanowczo. – Znajdziemy je. Na pewno.

Rzucił jej powątpiewające spojrzenie.

– Oczywiście, że tak! – próbowała podnieść go na duchu. – Słuchaj... Berło jest niezwykle potężne i niezwykle cenne... Może chodziło o to, by ukryć je w jakimś nieoczywistym miejscu? Żeby nikt, ale to nikt, oprócz ciebie, nie mógł go znaleźć?...

– To bez sensu. Przecież ja też nie mogę go znaleźć.

– Tak... A może nie przewidzieliście... Ty i kapłani... Że nie będziesz pamiętał

wszystkiego, co działo się przed zaśnięciem? Bo wiesz... Gdybyś pamiętał, od razu mógłbyś je znaleźć. I nikt inny, żaden twój wróg nie mógłby cię ubiec.

– Może – westchnął nieprzekonany. – Ale wątpię, byśmy nie rozważyli takiej opcji. Odzyskanie berła jest kluczowe. Nie mogliśmy założyć, że na pewno będę wszystko pamiętał. Ale sam już nie wiem. – Ponuro przyjrzał się ściśniętym zwojom. – Muszę szukać dalej. Nie zostało mi nic innego. Masz miejsce w plecaku? Mogłabyś je wziąć? Nie bez powodu były w tej skrytce. Mogą się przydać.

– Jasne – zgodziła się i posłała mu uśmiech, którego jednak nie odwzajemnił.

Ostrożnie ulokowała papyrusy pomiędzy fałdami płaszcza, obserwowana przez pogrążonego w milczeniu boga pustyni.

– Obawiam się, że zbroja mi się nie zmieści – rzuciła w przestrzeń, gdy wreszcie skończyła.

– Trudno – odparł bezbarwnym głosem. – Sam ją wezmę.

Zerknęła na niego, zmartwiona. Wyprostował się i przyjrzał otaczającym go skarbowi, jakby wcześniej ich nie dostrzegł.

– Chcesz sobie coś wziąć? – zapytał.

Znieruchomiła.

– Wziąć?

– No tak. Nic stąd nie jest mi potrzebne. Jeśli tylko chcesz, czemu nie?

Rozpromieniła się z zachwytem.

– Czy chcesz? Jasne, że tak! Ale... na pewno? Nie spadnie potem na mnie jakaś klątwa albo...?

– Nie. Bierz śmiało.

Rozejrzała się z niedowierzaniem. Złoto i kamienie szlachetne migotały jej w oczach. Podeszła bliżej skrzyni z biżuterią. Wszystko było takie piękne...

– Będę czekał przy wyjściu. – Usłyszała z oddali zmęczony głos, a potem kroki.

Kiwnęła głową i podeszła do kolejnej skrzyni. I następnej. Wszystkie otaczające ją skarby były cudowne. Najchętniej wzięłaby je wszystkie... Musiała jednak wybrać. Coś niewielkiego, żeby nikt nie zwrócił uwagi. I żeby można było łatwo to coś ukryć... Zatrzymała się przy wazie z niewielkimi figurkami. Ostrożnie ujęła jedną z nich i przyjrzała się jej z oczarowaniem. Uśmiech zatańczył na jej ustach.

– Co wybrałaś? – zapytał Briant, obciążony zbroją zawiniętą w pięknie haftowaną tkaninę, gdy dołączyła do niego przy ogromnych wrotach.

Uniosła dłoń, na której spoczywał niewielki błękitny skarabeusz.

– Lapis-lazuli. Ładne – uznał bez entuzjazmu. – I najważniejsze: będzie cię chronić.

– Naprawdę?

– Tak.

Uśmiechnęła się i schowała skarabeusza do kieszeni. A potem ruszyli w drogę powrotną.

Z nieopisaną ulgą powitali nieśmiało słoneczne promienie, zagładające do komnaty przez wybrzuszone przed wiekami wrota.

Bezzwłocznie opuścili zrujnowane budynki i wyszli na świeże powietrze jednego z dziedzińców, zalanego teraz czerwonym światłem zachodzącego słońca. Cienie zwalonych kolumn powoli pełzły po ziemi, pożerając coraz większe przestrzenie jasnego piasku. Znużonym krokiem przemierzyli otwartą przestrzeń i zanurzyli się w półmrok zawalonego korytarza. Niespodziewanie gdzieś nieopodal zakrzyknął drapieżny ptak. Briant zdrętwiał i pociągnął Sonię w cień najbliższej kolumny. Nad miejscem, w którym niegdyś znajdowało się sklepienie, przemknął smukły ptak.

– Sokół – mruknął wrogo bóg pustyni. – Na pewno szpieg Horusa.

– Tak myślisz? – odszepnęła Sonia. – Czy każdy sokół jest jego szpiegiem?

– Nie. Ale znajdujemy się setki kilometrów od najbliższej oazy. W miejscu, które ze strachu omijają z daleka wszystkie żywe istoty. To nie może być zwykły ptak.

Nagle ciszę umarłej oazy przeciął rozziewający krzyk. Zdrętwieli.

– Co to? – szepnęła z trwogą.

– Strażnicy świątyni. Ktoś obcy wszedł na teren miasta.

Otworzyła szerzej oczy. W tym momencie krzyk się urwał. Gwałtownie. Zbyt gwałtownie.

– Czy on...?

– Tak. Nie miał tyle szczęścia co ty. – Rozejrzał się czujnie. – Idziemy.

Pobiegła za nim w stronę kolejnej plamy cienia. Przemykali od jednej sterty gruzu do kolejnej, wyczuleni na najlżejszy szelest, czujnie obserwując niebo w kolorze czerwonej pomarańczy. A mimo to jedynie łut szczęścia sprawił, że nie dostrzegł ich sokół, który w pewnym momencie ponownie przemknął im nad głowami.

– Zostań. Muszę coś sprawdzić – szepnął Briant i pomknął śladem drapieżnego ptaka.

– Nie zostanę tu sama – odsyknęła Sonia, pośpieszając za nim. – Nie ma mowy!

Biegli, ukryci w cieniu, aż w końcu dotarli do ostatniej zwalonej ściany. Chłopak ostrożnie wyjrzał zza rogu i równie szybko się cofnął.

„Co tam jest?” – Sonia poruszyła bezgłośnie ustami.

Pokręcił głową i posłał jej znaczące spojrzenie.

„Nie waż się tam patrzeć”.

Przestraszona, kiwnęła głową na znak zgody, a on znowu ostrożnie wyjrzał zza rogu w stronę pustyni. Starając się nie dostrzegać leżących nieopodal zmasakrowanych szczątków, wbił czujne spojrzenie w kilka przerażonych ludzkich sylwetek niezdecydowanie stojących u podstawy najbliższej wydmy. Z nieba sfrunął drapieżny ptak i tuż nad ziemią zamienił się w szczupłego chłopca, którego twarz skrywała się za maską lśniącą złotem w promieniach zachodzącego słońca.

– Nic nie widziałem – odezwał się chłopak z niechęcią, a jego oddalony głos z niewiadomego powodu wydał się Władcy Piasków przerażająco znajomy.

– Może go tu nie ma – podsunął ktoś chyba z cieniem nadziei.

– Niemożliwe! Nadajnik wyraźnie wskazuje, że Set jest gdzieś w tej durnej oazie, do której nawet nie można wejść!

Briant zdrętwiał i mocniej wbił palce w pakunek ze zbroją.

– Nadajnik? – szepnęła ze zgrozą Sonia.

- Cicho – syknął i wsłuchał się w słowa jednego z mężczyzn.
- Może się zepsuł... Albo to pułapka.
- Nie. Set na pewno tam jest. Czuję to.
- Może się mylisz...?
- Ja?! Nie ma mowy.

Mężczyźni wymienili między sobą niepewne spojrzenia.

- To co rozkażesz, Horusie?

Set zmrużył nieprzyjaźnie rozjarzone oczy. A więc ten dziwny przebieraniec był jednym z jego największych wrogów? Tylko po co mu ta maska?

Czyżby był tak paskudny z wyglądu, że nie chce straszyć samą swoją twarzą? – prychnął w myślach. To by było ciekawe.

– Znaleźć sposób, żeby tam wejść – odparł ponuro Horus, po czym obrócił głowę w stronę zrujnowanej świątyni. – Gdybyśmy tylko nie musieli wykonywać rozkazów... Co to za pomysł dawać mu jakiś list? Najchętniej wyzwałbym go na pojedynek i zabił, póki jeszcze nie odzyskał pełni mocy...

Briant skrzywił się niechętnie.

– Super – warknął, aż Sonia spojrzała na niego ze zdziwieniem. Cofnął głowę za ścianę. – Chodźmy lepiej.

Nie obchodziło go, czy przyszli z nim walczyć, czy wręczać mu jakiś list. Nic od nich nie chciał. Nie chciał ich nawet widzieć. Mógłby nad sobą nie zapanować, a nie chciał do tego dopuścić w jej obecności. Poza tym... nie miał ochoty na żadną konfrontację. Nie dziś.

Wycofali się ostrożnie i pośpiesznym krokiem wyruszyli w stronę innego wyjścia ze świątyni. W końcu, schowani w cieniu ogromnego pylonu, rozejrzeli się uważnie.

- Czysto – uznał bóg pustyni. – Ruszamy.

Wyszli z ruin energicznym krokiem. Sonia nerwowo strzelała oczami na boki, Briant czujnie obserwował otoczenie, prowadząc ich ku podstawie najbliższej wydmy, gdzie w powietrzu łagodnie wirował stworzony z piasku portal.

Nagle wydało mu się, że kątem oka dostrzegł coś przemykającego nad zrujnowaną świątynią.

– Szybciej – zarządził, oglądając się za ramię i badawczo wpatrując w ciemniejące z każdą minutą niebo.

Sonia przyspieszyła kroku. I wtedy sokół zakrzyknął na niebie.

– Biegnij! – krzyknął Briant, rzucając się jej śladem i przeklinając w duchu magię, wciąż uniemożliwiającą mu nawet zamianę w piasek.

Sonia gnała przed siebie jak szalona, bojąc się zerknąć do tyłu. Widziała tylko portal. Słyszała tylko swój przyspieszony oddech.

Briant zrównał się z nią i ponownie obejrzał się za siebie.

Horus zanurkował w ich stronę, jego oczy lśniły złotem w otaczającej go ciemności.

I wtedy wpadli do portalu.

Bóg nieba błyskawicznie wylądował na piasku, w miejscu, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy znajdowało się magiczne przejście. Ze złością wbił szpony w piasek.

A był już tak blisko... Tak blisko, by spojrzeć w oczy mordercy rodziny. Tak blisko...

Sonia wyskoczyła na plac budowy i dysząc ciężko, zgięła się w pół. Kątem oka dostrzegła, jak Briant obejrzał się na miejsce, w którym zniknął ich portal.

– Udało się – szepnęła, wciąż nie do końca mogąc w to uwierzyć.

To było takie dziwne! Jeszcze przed chwilą uciekali gdzieś na pustyni. Teraz byli już bezpieczni, w Europie... Serce wciąż wybijało w jej piersi przyspieszony rytm, a adrenalina krążyła w żyłach.

Zmęczeni, w milczeniu pokonali drogę do jej domu. Briant przystanął kilka metrów przed jej furtką i mruknął coś na pożegnanie. Obróciła się w jego stronę i posłała mu nieśmiały uśmiech.

– Było super. Dzięki, że mnie ze sobą wzięłeś.

Spojrzał na nią nieufnie.

– Super? Prawie zginęłaś.

– Było niesamowicie! Zawsze chciałam przeżyć coś tak ciekawego. Kiedy wyruszamy na kolejną wyprawę?

Zmarszczył brwi.

– Nie będzie kolejnej wyprawy.

– Co?! Dlaczego?

– Bo to zbyt niebezpieczne. Trochę nie doceniłem miasta i prawie skończyło się to tragedią. Nie chcę cię tak narażać.

– Ale...

Jego rysy stężały.

– Nie! Nigdy więcej, słyszysz?

Posłała mu urażone spojrzenie.

– Nie chcę stracić ostatniej ważnej dla mnie osoby – odparł na to ze złością. – Nie rozumiesz?

I zanim zdążyła jakkolwiek na to zareagować, zniknął w mroku nocy, a ona, po chwili refleksji wywołanej zaskakującym wyznaniem, obróciła się na pięcie i powlekła do domu.

– Wreszcie jesteś, Sonia! – zawołali rodzice, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. Ich głosy dobiegały z salonu, a towarzyszył im dźwięk włączonego telewizora. – Czemu nie odbierasz telefonu? Martwiliśmy się.

– Rozładował się – odparła, ściągając zakurzone buty, które nadawały się tylko do prania.

Czuła się wyczerpana zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Dopiero teraz w pełni zaczęło doskwierać jej bolące ciało, pulsująca tępym bólem głowa. Wzięła z kuchni tabletkę przeciwbólową i udała się na piętro. Po drodze do swojego pokoju zajrzała do siostry, która nie usłyszała uchylanych drzwi, bo w skupieniu pochyliła się nad stertą jakichś rysunków.

– Hej! Co robisz? – zapytała Sonia.

Lilia aż podskoczyła i obróciła się w stronę drzwi, przez przypadek zrzucając na podłogę serię mrocznych rysunków przedstawiających człowieka z głową pustynnego psa. Sonia zamarła, wpatrując się w nie z osłupieniem.

– Czemu nie pukasz? – zezłościła się dziewczynka, niemal z paniką zrywając się z krzesła i rzucając do zbierania kartek. – I gdzieś ty była, że jesteś taka brudna? Miałyście chyba iść na zakupy, nie?

Sonia sięgnęła po rysunek, który podfrunął prawie pod jej stopy. Nawet nie usłyszała pytania.

– Co to jest, Lilia? – odezwała się z oszołomieniem, gdy wreszcie wrócił jej głos. Zwróciła na siostrę wielkie oczy. – Czy ty wiesz w ogóle, co rysujesz?

Lilia rzuciła rysunki na biurko i spojrzała na Sonię buntowniczo.

– Tak, bo co? – odparła, zaplatając ręce na piersi.

– A... dlaczego? Nie wolisz wróżek albo księżniczek?

– Nie.

– Ale... to jest, eee, zły egipski bóg. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego rysujesz właśnie jego?

Dziewczynka zaczerwieniła się gwałtownie.

– Bo... Bo, widzisz... Wtedy, kiedy wybuchł pożar, a ja miałam złamaną nogę, ktoś mnie uratował, prawda?

– Tak... Jakiś odważny strażak.

– Nie! Posłuchaj... Ja... miałam wtedy taką wizję. Wydawało mi się, że uratował mnie właśnie on... Odgonił płomienie, a potem sprawił, że zniknęły poparzenia, a złamana noga okazała się zdrowa. To był Set. Jestem tego pewna. I... od tego czasu próbuję dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Chcę to zrozumieć.

Sonia pobladła. *Co?*

– Nie powiesz rodzicom, dobrze? – poprosiła Lilia błagalnie. – Jeszcze mnie wyślą do psychiatry...

Sonia westchnęła ciężko, czując, jak ból głowy wzmaga się jeszcze bardziej.

– Dobrze – szepnęła słabo. Nie miała teraz siły, by się tym zajmować. Może jutro.

– Tylko obiecaj mi, że nie będziesz miała na jego punkcie jakiejś obsesji. Bo wiesz... to był pewnie tylko dziwny sen.

– To nie był sen!

– Egipskich bogów nie ma, Lilia. Przecież wiesz. I nigdy ich nie było. Półświadoma musiałaś wziąć tego, kto wyniósł cię z płonącego domu, za kogoś o niezwykłych mocach... A później twoja wyobraźnia dorobiła resztę. To nie mógł być Set. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Lilia spochmurniała, a Sonia opuściła jej pokój, marząc o śnie. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi jej pokoju, zdała sobie sprawę, że nie oddała siostrze rysunku. Oparła się o ścianę i jeszcze raz wpatrzyła się w podobiznę Władcy Piasków. Była mroczna i szkaradna.

Skrzywiła się, zrzucając z ramion zakurzony plecak. Ciężko spadł na drewnianą podłogę. Odpiął się, ukazując wciśnięty do środka płaszcz oraz zwoje. Sonia zamrugała. Na śmierć o nich zapomniała.

– Trudno – westchnęła. – Przyniosę mu następnym razem.

Położyła kartkę na biurku i wyjęła z kieszeni niebieskiego skarabeusza. Ostrożnie postawiła go obok szklanej bransoletki. I uśmiechnęła się ze zmęczeniem.

Gdy nawiedziła go nowa fala koszmarów, Briant zadrżał i niespokojnie obrócił się przez sen.

Ponownie kulił się za ogromnym drzewem, którego liście szumiały, targane burzowym wiatrem. Wyglądał zza pnia, czując, jak oczy wypełniają mu się piekącymi łzami. Wbijał palce w szorstką korę, obserwując procesję czarno ubranych ludzi niosących pięć prostych trumien. Widział krewnych pogrążonych w żałobie. Ciotki ocierające łzy. Wujków zaciskających pięści. Wszyscy nieśli kwiaty.

Gdzieś w oddali zagrzmiało.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Wciąż nie był w stanie. Jak to się stało, że zginęli? I dlaczego wszyscy tak łatwo uwierzyli, że to on...? Spędził w ukryciu całe godziny, czekając, aż wszyscy odejdą. Dopiero gdy został zupełnie sam, odważył się wyjść. W rękach trzymał własny bukiet. Mroczny jak noc, w której musiał teraz żyć. Czerwony jak złość, która kiełkowała w rozdartym brutalnie sercu.

Błysk. Sen ustąpił miejsca nowym obrazom, których kontury były tak wyostrome, jakby były odbiciem rzeczywistości...

Był małym chłopcem. Biegł pomiędzy namiotami. Wokoło obozowiska wznosiły się fale wyniosłej pustyni. Słyszał krzyki przerażonych mordowanych ludzi. Gdzieś mignął mu jego ojciec prowadzący wojowników do walki.

Bardzo się bał.

Za wzorzystego namiotu wyskoczyły pokryte pianą konie ciągnące rydwan. Siedzący w pojeździe mężczyzna wrzasnął dziko i rzucił toporem.

Krzyknął rozdzierająco, gdy topór z chrupotem zagłębił się w jego ciało. Upadł na ciepły piasek pustyni. Czuł tylko ból, straszliwy i nieskończony. Z oddali dobiegały do niego jakieś głosy. Ktoś brutalnie wyrwał z jego ciała ukruszoną broń. Cierpienie paliło go niczym ogień. Potem nastąpiła cisza. Leżał pod bezlitosnymi promieniami słońca, konając tak bardzo powoli. Czerwień krwi mieszała się ze złotem piasku.

Potem nie widział już nic. Tylko czerń.

Umierał. Wiedział to.

Nagle się ocknął. Nie czuł nawet echa bólu. Oddychał z trudem przez wysuszone na wiór gardło, ale... oddychał. Uniósł powieki. Ujrzał gwiazdy. Usiadł ostrożnie, jak po przebudzeniu z głębokiego snu. Otaczający go piasek był aż czarny od krwi. Spojrzał na swój bok. Nie krwawił. Z niezrozumieniem przesunął po nim dłoń.

Rany nie było. Została po niej jedynie linia świeżej blizny. I odłupany kawałek topora, który pokryty zakrzepłym karmazynem, spoczywał na wymieszanym z krwią piasku.

Spojrzał na to, co niegdyś było jego domem. Szczątki namiotów i poległych. Swoją matkę. Ojca. A pomiędzy namiotami cienie dzikich psów.

Spojrzał na pustynię. Zdawała się szeptać coś do niego. Tak samo jak noc. Tak

samo jak wiatr. I wtedy zrozumiał.

Gwałtownie otworzył oczy. Serce wybijało mu w piersi szalony rytm. Gwiazdy obserwowały go przez okno. Zimne światło księżyca oświetlało starożytne malowidła. Pustynia szeptała, ale jej nie słyszał.

Ten sen... Ten sen!

– Niemożliwe – szepnął zduszonym głosem, siadając na ogromnym łożu.

Drżącą dłonią dotknął swojego lewego boku. Lodowate palce wyczuły tak doskonale znaną cienką linię blizny.

Blizny, którą miał od zawsze.

Od czasów, których nikt już nie pamiętał.

Od czasów, kiedy narodzili się bogowie.

Rozdział piąty

PRZECZUCIA

Od samego rana dręczyły ją złe przeczucia. Nie mogła skupić się na lekcjach ani nawet na spotkaniu z przyjaciółkami. Dlatego wykręciła się wcześniej, niż planowały, i postanowiła wrócić do domu. Maszerując doskonale znaną sobie drogą, co chwila łapała się na nerwowym przeczesywaniu wzrokiem otoczenia jakby w poszukiwaniu...

Potrząsnęła z rozdrażnieniem głową.

Nie. Przestań o nich myśleć, Estero! Musisz się uspokoić – skarciła się w duchu.

Wdech, wydech. Przecież to dzień jak każdy inny. Co niby miałyby się stać?

Wdech, wydech. Za dużo myślisz o egipskich bogach. Miałaś zapomnieć, nie pamiętasz?

Wdech, wydech. Może już nigdy się nie odezwą? Może zmienili plany...?

– Och, proszę – szepnęła błagalnie, unosząc błękitne oczy ku zachmurzonemu niebu.

Gdyby tylko mogła cofnąć czas... Nigdy w życiu nie pojechałaby na ten durny obóz. Nie poznałaby starożytniej tajemnicy. Nie musiałaby udawać Izydy, która pewnie nigdy więcej by się do niej nie odezwała. I dobrze. Byłaby szczęśliwa. Bezpieczna... Odetchnęła ciężko. I nie musiałaby zamartwiać się o porwaną przez boga złą przyjaciółkę. Ani o to, co przyniesie przyszłość. Nie tylko jej, ale i całemu światu.

Nie było dnia, żeby nie dręczyły jej echa przeżyć z Egiptu albo strach, że bogowie w końcu się o nią upomną, albo troska o Sonię, z którą tak bardzo chciała się zobaczyć, ale nie mogła. Nie dlatego, że jej zakazali. Dlatego, że z całych sił wierzyła, że to jedyny sposób, by utrzymać ją z dala od niebezpieczeństwa. Ostatecznie przecież wróciła do domu, a Astrid przekazała Esterze zasłyszaną przypadkiem rozmowę, z której wynikało, że niezadowolony Ra zakazał Tropicielowi więcej się do niej zbliżać. Nie rozumiała dlaczego ani czy na pewno była to prawda, ale i tak była mu za to do zgonnie wdzięczna. Wystarczyło, że jedna śmiertelniczka znalazła się w pułapce starożytnego świata. Bardzo, bardzo nie chciała, żeby to samo spotkało Sonię. Ona... na pewno nie byłaby w stanie przetrwać tak ogromnej presji. Nie byłaby w stanie się dostosować i nieustannie kłamać, byle tylko utrzymać swój sekret w tajemnicy. Więc Estera trzymała się od niej z daleka, zadowolając się świadomością, że jej życiu nic nie zagraża.

Wreszcie stanęła przy drewnianych drzwiach odnowionej niedawno kamienicy. Wygrzebała z torebki klucze, co trwało irytująco dłużej niż zwykle, i popychając ciężkie odrzwia, wślizgnęła się do chłodnego wnętrza. Mozolnie wspięła się na ostatnie piętro, wbijając wzrok w wychodzone kamienne schody. Gdy w końcu, odrobinę zadyszana, stanęła przed wejściem do swojego mieszkania, wsunęła klucz do zamka, marząc o tym, że już zaraz zaszyje się w swoim pokoju z ogromnym dzbankiem herbaty i pudełkiem czekoladowych ciastek. Jednak nim zdążyła nacisnąć klamkę, ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Aż podskoczyła z wrażenia, a podświadomość natychmiast podsunęła jej obrazy czekających na nią demonów.

W jej oczach zabłysło przerażenie.

– Esti, kochanie! – zaświergotała niewysoka, zaokrąglona miło kobieta i porwała dziewczynę w objęcia.

– Mamo...!

– Jestem z ciebie taka dumna! – wykrzyknęła, wciągając ją do mieszkania.

– Naprawdę? Dlaczego?

Przecież nie zrobiła ostatnio nic nadzwyczajnego... Dostała jedynie dwóję z matmy. Ale to raczej nie był powód do dumy.

– Ale czy ty dasz sobie radę? – zatroskała się mama, odsuwając się od córki. Zupełnie jakby nie dosłyszała pytania. – Nie będziesz za bardzo tęsknić?

Estera zmarszczyła brwi. Złe przeczucia dały o sobie znać ze zdwojoną siłą.

– O czym ty mówisz, mamó? – wyjąkała. – Dlaczego miałabym tęsknić?

Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Och, kochanie! Przyznali ci to stypendium! Czy to nie cudowne? W pełni na nie zasługujesz. Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego nie powiedziałaś nam, że będziesz się o nie starać? Na pewno byśmy cię wsparli i...

– Mamo! – przerwała jej ze strachem. – Jakie stypendium?

– Jak to jakie? To do Stanów!

Pobladła.

– Do Stanów?

– Tak! Właśnie dziś dostaliśmy od nich pismo, że zostałam zaakceptowana! O, tu jest, zobacz sobie! Piszą o tobie same miłe rzeczy! I słusznie, w końcu jesteś taka mądra!

Mama porwała z komody zapisaną gęsto kartkę i zamachała nią z ekscytacją. Estera drżącymi palcami wyjęła ją z jej rąk i spojrzała na treść. Umieszczony w dole pełen zawijasów podpis natychmiast przykuł jej uwagę. Strach zmroził jej serce. Świat zawirował wokół niej, aż musiała podeprzeć się o ścianę.

– O Boże – szepnęła, nie mogąc odegnać sprzed oczu widoku imienia i nazwiska, które przeklinała w duszy prawie każdego dnia.

Juan Mandara.

A więc bogowie naprawdę po nią wrócili.

Pierwszego października, punktualnie o czternastej zadzwonił domofon. Estera zadrżała i z trudem powstrzymała łzy. Rozpaczliwie pragnęła, żeby żadne z rodziców nie podniosło się z salonowej sofy. Żeby nie otwierali drzwi. Żeby nie pozwolili jej jechać.

Oficjalna wersja głosiła, że w uznaniu za osiągnięcia w nauce, postawę społeczną, prezentowane wzorce zachowania oraz pasję do poznawania świata, okazaną w czasie wakacyjnego wyjazdu, została wybrana, by uczestniczyć w projekcie „Szkoła Elit”. Polegał on na tym, że osoby z całego świata miały zupełnie za darmo jechać do niedawno utworzonej na Florydzie szkoły, by tam wspólnie uczyć się na wybitne jednostki przyszłości.

Tak strasznie nie chciała tam jechać! Tak okropnie! Wiedziała przecież, że to tylko przykrywką dla zorganizowania szkolenia odrodzonych bogów. Na samą myśl robiło jej się słabo z przerażenia. Ale przecież nie mogła im odmówić. Musiała jechać. Jeśli nie po

dobroci, na pewno znaleźliby inny sposób, by dostarczyć ją do tej wybitnej szkoły. Była w końcu ważną boginią. Nie zaakceptowaliby zbuntowanej Izydy. Nigdy w życiu.

Tata z westchnieniem wstał z sofy, a Estera zadrżała. Więc koniec już blisko... Z trwogą wsłuchała się w dźwięk otwieranych drzwi. Natychmiast znienawidziła głos nieznajomej kobiety, która zaczęła z entuzjazmem witać się z jej tatą, a kilka chwil później wkroczyła do salonu. Estera spojrzała na nią chłodno. Z lekkim zdziwieniem dostrzegła, że kobieta była bardzo młoda, ubrana elegancko i gustownie. Ze swoją niesamowicie smukłą figurą wyglądała niezwykle atrakcyjnie, nawet mimo nieproporcjonalnie wielkich oczu, które przypatrującej się podejrzliwie Esterze skojarzyły się odrobinę z modliszką. Kobieta uśmiechnęła się promiennie, zatrzymując na dziewczynie nieodgadnione spojrzenie intensywnie zielonych tęczywek.

– Dzień dobry. Tak bardzo się cieszę, że dołączysz do nas, Estero – odezwała się aksamitnym głosem, z gracją rozsiadając się w skórzanym fotelu. – Zanim wyruszymy na największą przygodę twojego życia, pozwolicie państwo, że najpierw opowiem nieco więcej o naszym projekcie...

Płynnym ruchem wyciągnęła z czarnej teczki plik dokumentów i zaczęła roztaczać przed rodzicami zachwycające wizje tego, jak będzie wyglądała nauka i jaka przyszłość czeka ich córkę. Na sam koniec podsunęła im do podpisania odpowiednie papiery, podkreślając, jakie to wyróżnienie móc uczestniczyć w „Szkołe Elit”. Estera przysłuchiwała się temu wszystkiemu w ponurym milczeniu, całym sercem życząc sobie, by okazało się to tylko paskudnym snem. Niestety, nadaremno. Nim się obejrzała, nadszedł czas na pożegnania. Mocno przytuliła się do rodziców, pragnąc zaczerpnąć od nich siły. Wyszeptała, że ich kocha, a już w następnej chwili wbijała przerażone spojrzenie w tylną szybę samochodu, pragnąc na zawsze zapamiętać obraz ich malejących sylwetek. Gdy zniknęli za zakrętem, zmusiła się do obrócenia głowy w stronę kobiety, która zdążyła już zrzucić z twarzy radosną maskę i zamiast niej przywdziać tę poważną. Jechały kilkanaście minut, przemierzając tak dobrze znane Esterze ulice Gdańska. Z piskiem opon zatrzymały się dopiero nieopodal szkieletu nowo powstającego osiedla.

– Jesteśmy – oznajmiła kobieta i wysiadła z auta.

Estera odetchnęła, próbując zapanować nad nerwami, i niechętnie poszła w jej ślady. Przewodniczka otworzyła bagażnik i wyjęła z niego dwie ogromne walizki, które tuż przed odjazdem włożył tam tata Estery.

– Chodź – poleciła, ruszając w stronę pustego otworu drzwiowego, bez wysiłku unosząc bagaże.

Estera posłusznie podążyła za kobietą w stronę najbliższego budynku. Nie rozumiała, dlaczego przyjechały akurat tutaj, i to sprawiało, że jej obawy stawały się jeszcze większe. Chyba to nie tu miała się szkolić...? Wkroczyły do środka, płosząc stadko szarych gołębi. Przemierzyły kilka pogrążonych w cieniu pomieszczeń, których nieruchomy spokój zakłócał jedynie stukot obcasów prowadzącej. Zatrzymały się w ciemnym pokoju bez okien. Estera dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Zmarszczyła brwi, dostrzegając zawieszony w powietrzu, utkany z obracającego się powoli dymu okrąg. Niewątpliwie portal.

Kobieta podeszła do okręgu i odwróciła głowę w stronę dziewczyny, ukazując

w uśmiechu ostre ząbki.

– Ty pierwsza.

Jej serce gwałtownie przyspieszyło. Powoli ruszyła przed siebie, wbijając w kłębiący się dym spojrzenie, w którym widać było niemożliwy do ukrycia strach. Wstrzymała oddech i zacisnęła powieki. Wkroczyła w przenikający do szpiku kości chłód, który błyskawicznie otoczył ją ze wszystkich stron. Zagłębiała się w niego coraz bardziej i bardziej... zostawiając za sobą całe swoje życie i całą znaną sobie rzeczywistość.

Niespodziewanie w twarz uderzył ją lodowaty powiew wiatru. Otworzyła oczy i z zaskoczeniem rozejrzała się wokół. Stała na ulokowanym na dachu lądowisku dla helikopterów. Potężny budynek, na którym się znalazła, w większości pokryty był intensywnie czerwoną dachówką, choć dostrzegła też kilka złotych kopuł, w których lśniło oślepiająco jasne słońce. Zdumiona Estera obróciła się wokół własnej osi. Okolice nie do końca wyglądały na Florydę. Niedaleko migotał turkusowy ogrom zbiornika wodnego, w którego gładkiej tafli odbijały się oddalone góry. W niewielkiej odległości od stromego, kamienistego brzegu, strzeżonego przez wynurzający się z odmetów olbrzymi skalny odłamek, znajdowała się samotna bryła budynku, a za nią jedynie przygaszona zieleń łagodnych wzniesień porośniętych drzewami, które, przynajmniej z daleka, nie wydawały się tropikalne. Podobnie jak pogoda.

Zagubiona dziewczyna zadrżała i w ochronie przed wiatrem objęła się ramionami.

– W życiu nie uwierzę, że tak wygląda Floryda – mruknęła do siebie.

– Co mówiłaś, kochana? – zapytała przewodniczka, która nie wiadomo kiedy zmaterializowała się tuż za jej plecami.

– Nic.

– To chodźmy. W środku jest cieplej – zachęciła i ruszyła w stronę przeszklnych drzwi niewielkiej nadbudówki. Estera rzuciła ostatnie spojrzenie nieruchomemu jezioru i podążyła za nią. Już tęskniła za swoim domem.

Sama nie wiedziała, jakiego wystroju wnętrza się spodziewała po budynku pokrytym czerwienią i złotem. Jednak z pewnością nie takiego, jakie ujrzała. Jej sportowe buty aż zapadły się w rozkosznie puszystym błękitnym dywanie, a śliczne kolczyki z turkusami, które dostała od rodziców na urodziny, wydały jej się niesamowicie ubogie w porównaniu z otaczającym ją złotem. Jej sylwetka odbijała się zniekształcona w pięknych lampach, jaśniejących ramach obrazów z martwą naturą, połączonych elementach drewnianych mebli. Oszołomiona, podążyła za przewodniczką, która wyczekująco obejrzała się na nią z najwyższych stopni schodów z piaskowca. Zeszły dwa piętra niżej, a następnie zagłębiły się w labirynt równie imponujących korytarzy i znajdujących się wśród bukietów sztucznych kwiatów rzędów białych drzwi oznaczonych błyszczącymi numerami.

Gdy Estera zdążyła już stracić orientację w tym szafirowym labiryncie, zatrzymały się wreszcie przed drzwiami z numerkiem „1275”.

– To twój pokój – oznajmiła przewodniczka, upuszczając na ziemię walizki. – Współlokatorki powiedzą ci, kiedy kolacja. Na biurku leży broszura z zasadami, koniecznie się z nią zapoznaj. Ciesz się chwilą wolnego. Już wkrótce rozpocznie się

ciężka praca. Miłego dnia, Izydo.

Obróciła się na pięcie i odmaszerowała, pozostawiając pełną lęku Esterę przed nieprzyjaznymi drzwiami. Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. Ręce jej się trzęsły, a serce łomotało w piersi. Położyła lodowatą dłoń na jeszcze bardziej lodowatej klamce. Przygryzła wargę i zmusiła się do naciśnięcia metalowego przedmiotu. Drzwi ustąpiły z cichym zgrzytem i otworzyły się nieśmiało, ukazując przestronne, ozdobne wnętrze szafirowego pokoju. A w nim...

– Estera! – pisnęła Astrid, zrywając się z elegancko pościelonego łóżka.

– Astrid! – wyjąkała. – I... Bairre? Anita! Amanda?!

Odpowiedziały jej promiennymi uśmiechami.

– Jak fajnie, że to ty jesteś naszą ostatnią współlokatorką! – wykrzyknęła Szwedka, rzucając się nowo przybyłej na szyję. – Bałyśmy się, że przydzielą nam jakiegoś gbura!

– No – potwierdziła Amanda i zerknęła nieprzyjaźnie na jedno z dwóch pustych łóżek. – Nie wytrzymałabym drugiej Rin.

– Kogo? – zapytała Estera, wyzwalając się z niedźwiedziego uścisku uradowanej Astrid.

– Rin – wyjaśniła Anita, odrywając wzrok od telefonu. – Japonka, strasznie małowówna. Ale to nie znaczy, że jest gburem, Amando! Jestem przekonana, że tak naprawdę jest bardzo miła. Po prostu... jest nieśmiała. Jeszcze się z nią zaprzyjaźnimy, zobaczycie.

– Gdzie ona w ogóle jest? – rzuciła pytająco nieznajoma dziewczyna, która leżała na łóżku najbliższej szafy. – Ktoś wie?

– Em... gdzieś poszła – odpowiedziała powoli Bairre. – Nie mam pojęcia gdzie. Tak w ogóle, Estero, poznaj Mogali. Jest z Południowej Afryki.

Mogali uśmiechnęła się przyjaźnie, zerkając na Esterę spod burzy czarnych włosów iskrzącymi się bursztynowo oczami.

– Cześć! O matko, nie uwierzycie, jak bardzo się cieszę, że was wszystkie widzę... Bałam się, że nikogo nie będę знаła, że będzie strasznie...

– Będzie super!

– Z wami na pewno. – Estera rozejrzała się po pokoju. – Które łóżko jest moje?

– To samotne obok okna. – Bairre skrzywiła się przeproszająco. – Gdybyśmy wiedziały, że to ty będziesz ostatnią dziewczyną z naszego pokoju, to powiedziałybyśmy Rin, że jej jest zajęte, i to ona byłaby tak z boku... Nie ty.

– Oj tam, nic nie szkodzi. – Estera skierowała się w stronę swojego łóżka, po drodze przeskakując nad rozwaloną w przejściu walizką. – Może dzięki temu Rin bardziej się ośmieli. A to miejsce pod oknem wcale nie jest daleko od was! Na pewno nie będzie nam to przeszkadzać.

– W rozmowie na pewno nie. Ale jak zarządzimy bitwę na poduszki, to będziesz najdalej! – Anita machnęła rękami, udając, że uważa to za bardzo niesprawiedliwe.

Estera roześmiała się i usiadła na ozdobnej narzucie. Jej wzrok odruchowo pobiegł za okno, za którym rozciągał się widok na bezkresną wodę. Uśmiech zbladł na jej twarzy.

– To wcale nie jest Floryda, prawda? – szepnęła.

Zamilkły, zdziwione.

– Pytanie! – prychnęła Amanda. – Pewnie, że nie. Choć zrobiłabym wszystko, żeby tam teraz być. O matko, poszłabym na plażę...

Estera obróciła twarz w ich stronę.

– Powiedzieli ci, że będziesz na Florydzie? – zapytała Astrid.

Kiwnęła głową.

– Mnie powiedzieli, że pojedę do Anglii – odezwała się Mogali.

– Mnie, że do Australii...

– A gdzie się znalazłyśmy? – zapytała niepewnie Estera. – Co to za jezioro?

Astrid odchrząknęła niepewnie.

– To Bajkał. Najgłębsze jezioro świata.

Estera uniosła brwi.

– Czyli...

– Tak – potwierdziła Anita. – Jesteśmy w Rosji.

– Jako zadanie dowiedzcie się czegoś więcej o jeziorze Bajkał! Będę pytać! – zawołała nauczycielka, z trudem przekrzykując dzwonek i młodzież, która rozwrzeszczała się natychmiast, jak tylko zadzwonił.

– Idziesz z nami na kawę? – zapytała Julia, wpychając piórniki do przepelnionego plecaka.

Sonia posłała jej przepaszający uśmiech.

– Strasznie mi przykro, ale akurat dzisiaj nie mogę. Już się z kimś umówiłam.

– Z kim?

Roześmiała się odrobinę nerwowo.

– Och, nie znasz. Do jutra!

Przepchnęła się do drzwi, a potem przez korytarz, zbiegła po wysłużonych schodach i wreszcie znalazła się na zewnątrz. Od razu szcелniej opatulila się skórzaną kurtką i rozglądnęła dookoła. Uśmiechnęła się wesoło na widok samotnej postaci stojącej po drugiej stronie ulicy i przypatrującej się wiszącym na niebie stalowoszarym chmurom.

– Cześć! – zawołała, przebiegając przez jezdnię.

Spojrzał w jej stronę.

– Hej. Wreszcie jesteś.

– Jak to wreszcie? Dopiero co skończyłam lekcje. Nie moja wina, że dziś też nie spóźniłeś się tak drastycznie jak zawsze. A poza tym co ci szkodzi chwilę poczekać? Przecież i tak nie masz nic do roboty.

– Jak to nic? Szukam nowych tropów. Czytam najnudniejsze zwoje świata i próbuję coś wymyślić. Masz ochotę gdzieś pójść czy wolisz tu stać?

– Jasne, że pójść! Za bardzo dziś wieje na bulwary. Może pójdziemy do kawiarni? Znam całkiem fajne miejsce bardzo blisko stąd.

– Może być.

Skinęła głową z zadowoleniem i poprowadziła go w stronę centrum, przy okazji rzucając ukradkowe spojrzenie w szybę zaparkowanego obok samochodu. Tak jak się kiedyś umówili, Briant dzięki iluzji wyglądał jak trochę mroczna nastolatka o lekko

kręconych czarnych włosach. Tak dla bezpieczeństwa.

Po kilku minutach marszu dostrzegła wreszcie szyld swojej ulubionej kawiarenki. Pchnęła przeszklone drzwi i wkroczyła do przytulnego, wyłożonego drewnem wnętrza. Natychmiast otoczył ją słodki zapach świeżych wypieków.

– Ojej, ale pachnie – usłyszała westchnięcie zza jej pleców. – Tak strasznie dawno nie jadłem nic normalnego. Tylko ten piach i piach.

– To idź na zakupy. Przecież możesz – odparła, ustawiając się w kolejce.

– Proszę cię! Naprawdę myślisz, że mi się chce?

– Leń.

– Nieprawda.

– Prawda. Całymi tygodniami siedzisz w domu, bez przerwy masz czas wolny. Robisz, co chcesz i kiedy chcesz, przypominam. I nie chce ci się nawet ruszyć do sklepu. Rozumiem, jakbyś musiał z tej pustyni jechać jakimś bussem albo czymkolwiek innym. Ale nie, ty masz przecież por...

Zmrużył oczy, a głos natychmiast uwiązał jej w gardle.

– Uważaj, co i gdzie mówisz, Sonia.

– Przepraszam – szepnęła. Zwróciła wzrok na szklaną gablotę. – Chcesz coś?

– Nie mam pieniędzy. Od pewnego czasu nie są mi potrzebne.

– Mogę ci coś kupić.

– Żartujesz? Nie będziesz za mnie płacić!

– Czemu nie? To normalne wśród przyjaciół.

– Ja jestem inny niż twoi przyjaciele.

Wywróciła oczami.

– No, tego raczej nie da się ukryć. Ale co z tego? Poza tym dostałam od ciebie figurkę, która pewnie warta jest miliony. Jeśli kupię ci ciasto, naprawdę nic się nie stanie.

Zmarszczył brwi.

– No. Nie daj się dłużej prosić! Co chcesz?

– To co ty – ustąpił wreszcie.

Kupili więc po szarlotce i dzbanku herbaty. Znaleźli wolny stolik, szczęśliwie wciśnięty w kąt obok drzewka w donicy oraz okna, i usiedli.

– To na pewno jest z jabłkami? – zapytał Briant, podejrzliwie przypatrując się ciastu. – Bo wygląda, jakby nie było.

– Jest. I jest superdobre. – Nachyliła się bliżej i ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Ale powiedz. Masz jakiś nowy pomysł, gdzie może być ukryte...

Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– ...sam wiesz co?

Z niechęcią dźgnął szarlotkę widelcem.

– Nie. Nie mam pojęcia. A najgorsze jest to, że nie wiem nawet, gdzie jeszcze możemy szukać. Miasto było najważniejsze. Gdzie może być, jeśli nie tam? Przecież... nie ma innych miejsc! Nie było go w Pałacu, nie było tam...

– Może w jakiejś innej świątyni?

– Może – prychnął. – Tylko gdzie? Byłem już w kilku, ale to tylko głupie pustkowia albo kupy gruzów. Nic tam nie ma. Nawet w Avaris. Mam zamiar sprawdzić jeszcze parę

innych miejsc, ale to jest jak błądzenie w ciemnościach. Na pewno go tam nie będzie. To wszystko jest takie bez sensu. Dlaczego nic nie pamiętam?! Nie powinno to trwać tak długo.

Zamilkł i ponuro wpatrzył się w przestrzeń za oknem. Sonia westchnęła cicho. Również nie miała żadnych pomysłów. Co gorsza, nie wiedziała też, jak mogłaby podnieść go na duchu. Miał rację. Nieustannie błądzili w ciemnościach.

– Przyniosłam ci zwoje – powiedziała, sięgając po przywiązaną do torebki reklamówkę. – Zapomniałam ci je oddać.

Kiwnął głową, a jego oczy rozbliły, jakby coś sobie przypomniał.

– Ja z kolei znalazłem nadajnik – oznajmił z zadowoleniem. – Ten, o którym mówił Horus.

– Naprawdę?!

– Tak. Jeden z kamieni w amulecie nie był oryginalny. Spalił się, jak wrzuciłem go do kominka.

– Żartujesz! – przeraziła się. – Wrzuciłeś Amulet Ozyrysa do kominka? Co... Co jakby się stopił?

– Oczywiście, że by się nie stopił! To magiczny przedmiot. Na dodatek atrybut Ozyrysa. Nie można zniszczyć go tak po prostu. Tak samo jak nie dałoby się zniszczyć mojego berła. No, nie tak prosto przynajmniej.

– Nigdy nie mówiłeś mi o atrybutach. To coś specjalnego?

– Tak. Każdy bóg ma swój. Moim jest berło, Ozyrysa amulet, Horusa jego Księżycowe Ostrze... I tak dalej. To wyjątkowe przedmioty, stanowiące w pewien sposób części naszych dusz. Dlatego dopiero gdy odzyskam swój atrybut, stanę się w pełni sobą. Odzyskam pełnię mocy. I trudniej będzie mnie zranić.

– A zabić? – zapytała strwożonym szeptem.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Zabić?

– Tak...

– Bogów nie da się zabić.

– A Ozyrys?

Zmarszczył brwi.

– To co innego. Zabiłem go, ale tylko pozornie. Tylko jego ciało. Nie na zawsze. Jak doskonale wiesz, Izyda go wskrzesiła. Aby zabić kogoś tak zupełnie, trzeba zabić coś więcej niż tylko jego ciało. Trzeba sprawić, by nie odżył w Dat. W Krainie Umarłych. Żeby całkowicie zniknął... Nie sądzę, by było to możliwe w przypadku boga. Na pewno nie.

– Ale Wyklęty...

Spochmurniał.

– Tak, pamiętam. Wiele o tym myślałem. Mogę się tylko domyślać, i to bardzo ogólnie. Zapewne trzeba zniszczyć wszystkie elementy, z jakich się składamy.

– Czyli?

– Ciało, serce, cień, imię i duszę. Trzy dusze. Zabijając Ozyrysa, zniszczyłem jedynie jego ciało... I cień. Trzeba by jeszcze zabić wszystkie dusze i imię...

– Jak można zniszczyć imię? – zdziwiła się. – I dlaczego jest to takie ważne?

– Imię, szczególnie w przypadku boga, jest źródłem i gwarantem jego potęgi. Oczywiście to prawdziwe imię. Znając je, można zdobyć nad kimś kontrolę... I dlatego nikt nie zna prawdziwych imion bogów. Oprócz nich samych, rzecz jasna. Zdobyć ich... jest właściwie niemożliwe. Wyklęty musiałby wymyślić sposób, jak zniszczyć imię bez jego znajomości, co wydaje mi się zupełnie nierealne.

– Ale mówił przecież...

– Wiem, co mówił – przerwał jej ze złością. – Kłamał. To jasne.

– Nie sądzę – zaprotestowała nieśmiało. – Wiedziałabym, gdyby kłamał... On naprawdę wie.

– Nie może wiedzieć! – uciął. – Nie ma na to sposobu. Już dawno bym go odkrył, gdyby rzeczywiście istniał.

Skrzywiła się. Bardzo chciała w to wierzyć... Naprawdę. Ale nie mogła. Odwróciła wzrok, natrafiając nim na wiszący na ścianie obraz.

– Musimy o czymś porozmawiać – powiedziała, sięgając do rzuconej na ziemię torby.

– Po to tu jesteśmy – mruknął, chyba z ulgą zmieniając temat.

Zajrzała do podręcznika z matematyki i wyjęła z niego złożoną na cztery kartkę.

– Zobacz.

Podąła mu ją przez stół. Rozprostował ją, wpatrzył się na dobre kilka sekund, a potem spojrzał na nią dziwnie.

– To ja?

– Tak...

– Cóż... Raczej nie za piękne.

Zganiła go wzrokiem i zabrała mu kartkę.

– Nie chodzi o to, czy jest ładne, czy nie.

– To o co?

Poruszyła się niespokojnie.

– O Lilię...

– Ona to narysowała?

– Tak. To i jeszcze... jeszcze kilkanaście podobnych.

– Kilkanaście?! Dlaczego?

Spojrzała na niego zmartwiona.

– Nie wiem... Ale to ma związek z pożarem. Wtedy się wszystko zaczęło. Coś się z nią stało... Zmieniła się.

– Jak to?

– Ona wie, że to ty ją uratowałeś.

– Powiedziałaś jej?!

– Nie! Nic jej nie powiedziałam – zdenerwowała się. – Umiem dotrzymywać sekretów. Lilia mówi, że miała wizję. Wyniosłeś ją z płomieni. I teraz oszalała na twoim punkcie. Gromadzi o tobie wszystkie możliwe informacje, za wszelką cenę chce zrozumieć, co widziała. Co ja mam z tym zrobić?! Nie powinna aż tak się w to angażować. A przecież nie mogę jej powiedzieć prawdy!

– A co jej powiedziałaś?

– Że to sen. A co miałam powiedzieć? I że przecież egipscy bogowie nie istnieją.

– A ona co na to?

– Nic! Wciąż upiera się przy swoim.

Poruszył się niepewnie.

– No a jak ja mam ci niby pomóc? Mogę jedynie zgadywać, o co chodziło z tą wizją.

– Nie trzeba, sama się domyśliłam. Ja miałam coś podobnego. To chyba zdarza się zawsze, gdy uzdrawiasz kogoś amuletem. Problem polega na tym, że Lilia za bardzo się w to angażuje. Za bardzo w to wierzy. Za bardzo chce poznać odpowiedzi. Ja z miejsca uznałam to za sen, a ona...?

– Ale tobie nie zrosła się złamana noga.

– Wiem – westchnęła. – Co ja mam z nią zrobić? Sama już nie wiem... Pomóż.

Zmarszczył brwi.

– Też nie wiem. Nie znam się na pomaganiu ludziom. Bardziej mógłbym być przydatny, gdybyś chciała kogoś zniszczyć.

– Nie, dzięki. Raczej nie mam takich potrzeb.

– Domyślałam się. Ale... Może okaż jej, że wierzysz, że to była wizja, a gdy ci zaufa, przekonaj ją, że to było coś zupełnie innego? Coś bardziej logicznego i normalnego?

– Czyli co na przykład?

– Skąd mam wiedzieć? Ty coś wymyśl! Chyba wszystko brzmi lepiej od ingerencji starożytnego boga z Afryki. Może przekonaj ją, że pomógł jej anioł?

Sonia uniosła brwi.

– Z głową psa?

– No dobra. Może nie.

Rzuciła rysunkowi ostatnie zmęczone spojrzenie i złożyła kartkę na czworo.

– Dobra, pomyślę. A jeśli już mówimy o magii... – Sonia uśmiechnęła się tajemniczo. – ...to mam do ciebie sprawę.

– Jaką?

Jej oczy zabłysły.

– Naucz mnie czarować.

Zamrugął ze zdziwieniem.

– Czarować?

– Tak! – zaświergotała z zachwytem. – Jestem już podwójną Wybraną. Mam aż dwa Dary! A nie umiem z nich korzystać. Próbowалаm już tyle razy... I ciągle nic! Może robię coś nie tak? Jak...

– Sonia.

Przerwała i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak?

Poruszył się niespokojnie, rozsmarowując na talerzu resztki szarlotki.

– Em... Ty nigdy nie będziesz czarować. Przykro mi.

Zamarła. Serce głucho łomotało jej w piersi.

– Jak to? Ale przecież...

– To niemożliwe.

– Ale mówiłaś... Po co mi w takim razie Dary, skoro nic nie mogę z nimi zrobić?! Skrzywił się trochę i skupił wzrok na widelcu, chyba nie mogąc znieść jej zrozpaczonego spojrzenia.

– Musiałaś mnie źle zrozumieć... Bogowie ofiarowują komuś Dary, owszem. Ale ten ktoś sam nie potrafi ich używać. Nie ma w sobie tego czegoś, tej wrodzonej umiejętności. To tak, jakbyś oczekiwała, że jak wręczysz analfabecie swoje pióro, natychmiast zacznie czytać i pisać równie dobrze jak ty. Wybrani to takie narzędzia. Bóg może nimi kierować i wykorzystywać do swoich celów. Wspomagać w realizacji jakiejś wyznaczonej przez nich misji. Wpływać na losy świata, nie ujawniając swojego wkładu. Rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem. To bez sensu! A analfabetę można nauczyć pisać. Wystarczy trochę się postarać i będzie w stanie używać tego pióra. Równie dobrze jak ja.

– Okej, może nie było to najlepsze porównanie, ale to niczego nie zmienia. Nie nauczysz się czarować. Nie ma na to sposobu. Przykro mi.

Zacisnęła usta i wbiła wzrok w blat. A więc jej największe marzenie nigdy się nie spełni... Nawet jeśli przez chwilę wierzyła, że jest to możliwe.

Wzięła głębszy oddech, żeby uspokoić zawiedzione straszliwie serce.

– Szkoda – westchnęła, aż zadrżał. – Już myślałam, że będę kimś niezwykłym.

Uniósł brwi.

– Niezwykłym?

Wzruszyła ramionami.

– No. Kimś jak ty.

– Sonia, proszę cię! – prychnął. – Nie potrzebujesz czarów, żeby być kimś niezwykłym.

– Jasne – odfuknęła. – Skoro próbujesz być miły, to musi być naprawdę źle.

– Ja? Miły? Chcesz mnie obrazić?

– I tak ci nie wierzę – burknęła z irytacją, wstając od stolika. – Muszę się już zbierać, wybacz. W przeciwieństwie do niektórych chodzę do szkoły i muszę robić zadania domowe.

– Tak szybko? – zdziwił się. – Nie skończyłaś ciasta.

– Przestałam mieć na nie ochotę.

Zarzuciła na siebie kurtkę, a on niechętnie wstał. Jeszcze nie chciał się rozstawać. Nie chciał wracać na pustynię, do ogromnych, pustych pokoi starożytnego pałacu. Miał już dość samotności. Najchętniej spędzałby z Sonią całe dni. To była w końcu jedyna osoba, która chciała z nim rozmawiać.

Jesienny wiatr zaatakował ich twarze, gdy opuścili przytulne wnętrze kawiarni.

– Koniecznie daj mi znać, jakbyś wymyślił coś nowego – powiedziała Sonia na pożegnanie. – Cześć!

– Czeka! – przerwał jej szybko, nim zdążył się nad tym zastanowić.

Znieruchomiała.

– Tak?

Poczuł do siebie złość. No nie, co za żenada. Nie może jej przecież powiedzieć, że

nie chce wracać do domu. Jakby to wyglądało, gdyby poprosił ją, żeby jeszcze nie odchodziła? Nie miał prawa jej zatrzymywać. Miała swoje własne życie. To, że on go nie miał, do niczego jej nie zobowiązywało.

– Był chyba kiedyś jakiś Wybrany, który umiał czarować – powiedział z wahaniem, żeby ratować sytuację. – Kto wie, może ty będziesz druga?

– Na pewno – mruknęła ponuro.

A potem odwróciła się i nieubłaganie zaczęła się oddalać, pozostawiając go samego. Odprowadził ją wzrokiem aż do momentu, w którym zniknęła za zakrętem. Potem westchnął i roztopił się w mroku, by wyłonić się z niego dopiero gdzieś w sercu Sahary.

Rozdział szósty

PÓŹNIEJ

Dźwięk budzika gwałtownie wyrwał ją z głębokiego snu. Estera poderwała głowę z poduszki i rozejrzała się wokoło nieprzytomnie.

Gdzie ja jestem...? – zdziwiła się, nie rozpoznając błękitnego pokoju.

I nagle wszystko jej się przypomniało. Z nieszczęśliwym westchnieniem opadła z powrotem na łóżko.

Więc to nie był koszmar. Naprawdę tu jestem! – pomyślała z rozpaczą.

– Dobra, dziewczyny... Trzeba wstawać. – Estera usłyszała czyjś zaspany głos. – Pamiętacie, co się stało, kiedy ostatnio się spóźniłyśmy?

Wszystkie jęknęły z rozpacz na samo wspomnienie.

– Ale tak strasznie mi się nie chce nigdzie iść – westchnęła żałośnie Astrid.

– Może nie trzeba było gadać do czwartej – odparła Rin, wstając z łóżka.

– Może – mruknął ktoś niechętnie, podczas gdy drobna Japonka wyjmowała z szafy złożone równiutko ubrania.

Estera odprowadziła ją zdziwionym spojrzeniem, gdy trzaskając drzwiami, zniknęła w łazience.

– Weźmy z niej przykład, co? – ziewnęła Anita.

– No, i to nie tylko we wstawaniu – odparła Bairre. – Chyba przydałoby się rozpakować walizki. Jesteśmy tu już tydzień.

– Kto jest, ten jest. – Amanda uśmiechnęła się złośliwie. – Ja przyjechałam dopiero trzy dni temu.

– O nie! – przeraziła się nagle Mogali. – Dziewczyny, mamy tylko dwadzieścia minut!

Wszystkie natychmiast wyskoczyły z łóżek i rzuciły się do swoich toreb.

– To nie tak mało – zdziwiła się Estera, siadając na skraju swojego posłania.

– Oj, uwierz, że mało! – wydusiła Anita, próbując rozplątać włosy.

– Samo dojście do jadalni zajmuje co najmniej pięć! – dorzuciła Bairre, nerwowo grzebiąc w stercie bluzek w pastelowych kolorach. – A ci, którzy nie stosują się do dyscypliny, muszą w ramach rehabilitacji robić różne upokarzające rzeczy – dodała jeszcze.

Estera natychmiast poszła w ich ślady, akurat gdy Rin wyszła z łazienki i bez słowa opuściła pokój, nie zaszczycając współlokatorek ani jednym spojrzeniem.

– Zawsze się tak zachowuje? – zdziwiła się Estera, w szalonym tempie szukając szczotki.

– Tak – odparły prawie chórem.

Wpadły do jadalni spóźnione może o dwie minuty, ale na szczęście mieściło się to w dopuszczalnym marginesie braku punktualności. Zadyszane, dołączyły do Rin siedzącej przy ich wspólnym stoliku i przekrzykując się wzajemnie, zabrały się do jedzenia. Jedynie Estera nie miała apetytu. Miała wrażenie, że jeśli tylko spróbuje coś przełknąć, zrobi jej się niedobrze. Sącząc lurowatą herbatę, lustrowała uważnym

spojrzeniem salę jadalną, jednym uchem słuchając opowieści Anity o przygodach jej niesforne koci.

W sali ciasno ustawiono rzędy oddzielonych od siebie stołów, jeszcze nie do końca wypełnionych. Przy żadnym nie dostrzegła posilających się dorosłych, kilku jednak stało nieopodal drzwi, rozmawiając przyciszonymi głosami. Wszędzie krążyły osoby mniej więcej w jej wieku, z całego świata. Wszyscy radośni. Wszyscy potężni. Bogowie.

Gdzieś w tłumie mignęły jej dwie blond czupryny, które skierowały się do wyjścia. Estera uśmiechnęła się blado.

– Widziałam Johna i Steve’a – powiedziała, korzystając z przerwy w wywodzie Rumunki.

– Tak, my też – odparła Astrid. – Byli u nas kilka razy pożyczyć czajnik.

– Spotkałyście jeszcze kogoś znajomego?

Szwedka spoważniała.

– Chciałyśmy z tobą na ten temat porozmawiać. Ale później, dobrze? To nie jest dobre miejsce.

– Za dużo wścibskich uszu – dorzuciła spokojnie Bairre, sięgając po szynkę.

Estera obrzuciła je zdziwionym spojrzeniem.

– No dobrze – zgodziła się niepewnie.

Chyba przypuszczała już, o co im chodziło.

– Naprawdę nie mamy żadnych zajęć? – Nie mogła uwierzyć, gdy po śniadaniu wróciły do pokoju. – Nic, zupełnie nic?

– Naprawdę. Tylko czas wolny. Fajnie, nie?

– Niby tak... Ale po co w takim razie nas tu ściągnęli?

– Och, na pewno coś dla nas planują – odezwała się Astrid. – Przypuszczamy, że na razie sprowadzają tu wszystkich bogów. Kiedy skończą, zaczniemy się szkolić.

– Już się nie mogę doczekać! – ucieszyła się Mogali.

Estera tylko wpatrzyła się w dywan.

A ja owszem. To będzie jakiś koszmar!

– Chciałyście porozmawiać – przypomniała Estera, żeby zmienić temat. Nie chciała o tym myśleć. Jeszcze nie.

– Tak. Ale jeszcze nie teraz.

– Niektóre ściany podobno mają uszy – wyszeptała konspiracyjnie Anita, wymownie spoglądając wokoło.

– Och. No dobra.

Rin wywróciła oczami, zamaszystym ruchem zgarnęła z szafki słuchawki, telefon oraz jakąś książkę i wyszła bez słowa.

– Tak jest codziennie? – zapytała Estera.

– Tak. Widujemy się w zasadzie tylko na posiłkach.

– No i czasem mignie nam gdzieś w ogrodzie – dorzuciła Anita.

Oczy Estery zabłyśły.

– W ogrodzie?

– Tak! Zaraz ci wszystko pokażemy – obiecała Astrid. – Skoro Rin już poszła, możemy ruszać. Tylko porządnie się ubierz! Tu jest naprawdę zimno.

Chwilę później cała szóstka, wystrojona w płaszcze i kolorowe czapki (na Esterę komplet ciepłych ubrań czekał w szafie), opuściła pokój. Przyjaciółki rozpoczęły oprowadzanie nowo przybyłej po ogromnym budynku.

– Pan Mandara wynajął dla nas cały hotel? – zdziwiła się Estera, gdy minęły obszerną recepcję i udały się w stronę siłowni.

– Nie użyłabym słowa „wynajął”. Jesteśmy przekonane, że nie musiał za niego płacić.

– Nie?

– Nie. Ale to wyjaśnimy później.

Gdy przez grubą szybę oglądały piękny kryty basen, minęła je grupa trajkoczących radośnie osób. Estera zerknęła w ich stronę.

– Nie zwracaj na nich uwagi – mruknęła Anita.

Minęli ich energicznym krokiem. Estera rozpoznała pośród nich jedynie złotookiego blondyna, który na obozie budził niepokój w Soni.

Sonia. Na samo jej wspomnienie coś ukłuło ją w sercu. Zwróciła wzrok z powrotem na basen. Byle nie myśleć o przeszłości.

– Mogali? – odezwała się znacząco Astrid, gdy zaszyły się w najdzikszej części ogrodu hotelu, który jak jej powiedziały, nazywał się „Oko Syberii”.

Afrykanka przymknęła w skupieniu oczy, zamierając na kilka długich sekund.

– Już – odetchnęła.

Wszystkie rozluźniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i rozsiadły wygodnie na pożyczonych basenowych ręcznikach, pod rozłożystym drzewem, wśród jakichś krzewów. Estera niepewnie zerknęła na Mogali.

– Co takiego zrobiłaś?

– Stworzyłam wokół nas ochronną barierę. Dzięki temu nikt nas nie podsłucha.

– O! A nie mogłaś tego zrobić w pokoju?

– Nie. To mogłoby się wydać podejrzane.

– No... Bo to jest podejrzane.

– Prawda – wtrąciła Anita. – I dlatego wolimy nie pokazywać tego całemu światu. Minimalizujemy ryzyko, że ktoś odkryje zdolności Mogali.

– Nie chcę was martwić, ale w końcu na pewno i tak je odkryją.

– Na pewno. Ale korzystamy z tego, że jeszcze tego nie zrobili.

– Aha. Okej. Chyba nie bardzo wiem, co się tu dzieje. Wtajemniczcie mnie wreszcie czy muszę czekać na kolejne „później”?

– Nie musisz czekać. „Później” nadeszło właśnie teraz.

– No to zamieniam się w słuch.

Dziewczęta wymieniły między sobą niepewne spojrzenia.

– Może najpierw opowiemy ci o tym miejscu...?

– Jasne, czemu nie.

– Dobra. No to słuchaj. Właścicielem tego hotelu jest jakiś bogacz, którego córka jest jakąś boginią, choć nie wiem, jaką dokładnie...

– Jakąś marną – prychnęła Amanda.

Bairre wywróciła oczami.

– Tak, wiemy, że jej zazdrościsz. Ale nie przerywaj, dobrze? Otóż jej ojciec, dowiedziawszy się o wszystkim, zaproponował panu Mandarze współpracę.

– To chyba jakaś mafia, mówię ci – wtrąciła z przerażeniem Mogali. – Planują straszne rzeczy... Spotykają się z dziwnymi ludźmi...

– Zainteresowali się pomocą Ra, bo podobnie jak on chętnie widzieliby siebie rządzących całym światem – dodała chłodno Astrid.

– A on na to przystał – kontynuowała Bairre. – Ten Rosjanin oddał Mandarze do dyspozycji cały hotel i jeszcze jakichś ludzi. To ci, którzy chodzą po korytarzach albo pilnują nas na posiłkach.

– Albo patrolują ogrodzenie – dorzuciła złowrogo Amanda.

– No właśnie.

– Podejrzewamy, że w hotelu praktycznie wszędzie są kamery, mikrofony albo coś w tym stylu. Dlatego staramy się zachowywać ostrożność. Konspirujemy. Zawsze tutaj, w ogrodzie, i za zasłoną czarów. Tak w ogóle... może przydałoby się przedstawić?

– W sumie dobry pomysł – zgodziła się Astrid. – Ja jestem Neftyda, ale już o tym wiesz.

– Ja jestem taką pomniejszą boginką światła, o której nikt nigdy nie słyszał – powiedziała cicho Anita.

– Ona jest jedną z tych, których imiona zagubiły się na przestrzeni wieków – pośpieszyła z wyjaśnieniem Bairre. – Ja jestem Neit. Wojownicza łuczniczka. I patronka zmarłych. Oraz tkactwa. Możecie śmiało przychodzić do mnie, gdybyście potrzebowały jakiegoś bandaża.

– Ja jestem Amonet – oznajmiła radośnie Mogali. – Bogini nieba, a przede wszystkim wiatrów północnych. Do mnie możecie przyjść, jeśli będziecie chciały puszczać latawce. Załatwię wam idealną pogodę.

– Mojego imienia na pewno w życiu nie słyszałaś – mruknęła niechętnie Amanda. – Nikt nie słyszał. Jestem niestety tylko jakąś głupią boginią wojny, rywalizacji i zazdrości. Ale i tak jestem potężna!

– Nie wątpię – zapewniła Estera, po czym poruszyła się niepewnie. – Ja jestem Izydą...

Amanda spochmurniała, a pozostałe kiwnęły głowami.

– Wiemy – powiedziała Astrid i zawahała się na jedną krótką chwilę. – Ale... Właściwie to chcieliśmy porozmawiać z tobą o naszych wspólnych znajomych. O dawnej grupie Ra.

– Możemy o nich porozmawiać – zgodziła się powoli, świadoma uwagi, z jaką się jej przypatrywały. – Oprócz nas widziałam tylko braci. Jest jeszcze ktoś?

– Tylko Otto. Nie widziałyśmy Marko, chyba nie jest żadnym bogiem. Brian, ten z kolczykiem w nosie, w dość dziwny sposób zniknął w ostatnim dniu obozu, co na pewno pamiętasz, a Oliver... – Bairre znacząco zawiesiła głos.

– Okazał się naszym największym wrogiem – dokończyła ponuro Anita, po czym wybuchła: – A pomyśleć, że mi się podobał!

Estera wybałuszyła oczy.

– Mnie też – szepnęła Astrid, gwałtownie spuszczać wzrok.

– I mnie – wydusiła niechętnie Amanda.

Estera zacisnęła usta, ale postanowiła tego nie komentować.

– A z dziewczyn jesteśmy tylko my – powiedziała Bairre, spoglądając na nią ze smutkiem.

– Biedna Reet, Betina i Anetta... – wyjąkała Astrid.

– Tak, pamiętam – odparła ponuro Estera, wspominając przestraszone koleżanki, czekające w kolejce, by na ich umysły rzucone zostały czary, których natury jedynie mogła się domyślać.

– No i Sonia – dodała Amanda znacząco.

Estera zmarszczyła brwi.

– Wiesz, co się z nią stało? – zapytała ostrożnie Anita.

– Nie wiem niczego, o czym wy byście nie słyszały.

– Niczego? – rzuciła Bairre wątpiaco. – Przecież byłyście przyjaciółkami. No i mieszkacie w tym samym kraju.

Estera stłumiła wewnętrzną chęć nakrzyczenia na nie wszystkie. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i zmusiła się do wygłoszenia wyjaśnienia, które skrupulatnie ułożyła wcześniej w głowie. Wiedziała, po prostu wiedziała, że prędzej czy później ten temat wróci niczym niechciany bumerang.

– Wiem tyle, co wy. Czyli niestety niedużo. Że uciekła z Setem, choć osobiście jestem przekonana, że nie z własnej woli. Że Tropicielowi nie udało się jej zabić, na szczęście. Ale to wszystko. Nie wiem nic więcej. Nawet nie próbowałam się z nią kontaktować, żeby nie ściągnąć na nią niebezpieczeństwa. Bo uznałam, że skoro żyje... Że jeśli będzie trzymać się z dala od tego wszystkiego, to zostawią ją w spokoju. To było z jednej strony ciężkie i okropne nie wiedzieć, jak się czuje, co o mnie myśli, czy wszystko u niej w porządku. Ale to była najlepsza rzecz, jaką mogłam zrobić. Nie zmienia to faktu, że od obozu nieustannie się o nią martwię. Cały czas, nawet gdybym chciała zapomnieć, to i tak nie mogę. Mam nadzieję, że naprawdę nic jej nie zrobili. Nie mogę tego nawet sprawdzić, bo...

Urwała, zauważywszy zagadkowe spojrzenia, którymi wymieniły się jej rozmówczynie.

– Nawet gdyby chcieli coś jej zrobić, nie daliby rady – powiedziała powoli Anita.

Estera zmrużyła nieufnie oczy.

– Jak to? I skąd niby możesz to wiedzieć?

– Mogali umie słuchać na odległość – wyjawiała cicho Bairre.

– Co umie?

– Słuchać na odległość – powtórzyła Afrykanka, prostując się z zadowoleniem. – Jak się skupię, potrafię usłyszeć, o czym rozmawia się w innym pokoju, na innym piętrze, a nawet w innym budynku.

– Naprawdę?!

Mogali kiwnęła głowa, a oczy Estery załśniły. Gdyby ona potrafiła coś takiego...

– To dzięki mnie wiemy, że z Sonią wszystko dobrze. Usłyszałam, jak kierownik wściekał się, że nie mogą się do niej zbliżyć, bo chroni ją magia chaosu.

Estera zdrętwiała. *Magia chaosu?!*

– Że co? – zdenerwowała się. – Chcecie powiedzieć, że on... Nie! Przecież to nawet brzmi abstrakcyjnie!... Że on ochrania Sonię?!

Niepewnie kiwnęły głowami.

– Ale... dlaczego?

– Liczyliśmy, że ty nam to wyjaśnisz.

Otworzyła szerzej oczy.

– Ja? No to wybaczcie, ale nie mam zielonego pojęcia! W ogóle nie wydaje mi się to prawdopodobne!

– Może to miłość... – rozmarzyła się niespodziewanie Astrid.

Wszystkie równocześnie spojrzały na nią tak, jakby postradała zmysły.

– No co? – wymruczała. – To by było bardzo romantyczne.

– Co? – wybuchła Amanda. – Romantyczne? Chyba chore! I zupełnie nierealne.

– Dlaczego? Bo wciąż ci się podoba?

– Nie!

– Amanda ma rację. To niemożliwe – wtrąciła się Estera. – Wiedziałybyście, gdybyście lepiej go poznały. Poza tym to przecież morderca. I bóg wojny. Jestem pewna, że nie odczuwa żadnych pozytywnych emocji. Bez urazy, Amando, to nie tyczy się ciebie.

– Oj, tak tylko powiedziałam – wycofała się Astrid.

– Mogali słyszała też wiele innych, bardzo niepokojących rzeczy – zmieniła temat Anita. – Nie знаła tu nikogo, wszystkie przyjaciółki z jej obozu okazały się zwykłymi ludźmi, więc postanowiła zaufać nam i wszystko nam opowiedziała. To dlatego zachowujemy taką ostrożność. To, co słyszała Mogali... To było straszne. Nie ufamy teraz nikomu. Tym bardziej że nie podoba nam się to, co tu się dzieje i co planują.

– Pamiętasz tę grupę, która minęła nas przy basenie?

– Tak. Tam był Rale, prawda?

– Tak. On i jego otoczenie są naszymi największymi wrogami – oznajmiła z powagą Bairre.

– Wrogami? Dlaczego?

– Bo oni ślepo wykonują wszystkie polecenia Ra. Zrobiliby wszystko, byle tylko jeszcze bardziej wkupić się w jego łaski. Nie mają swoich mózgów, są jak jego wredne, zarozumiałe, węszące wszędzie cienie. Ich musimy strzec się najbardziej. Gdyby domyślili się, co wiemy i co myślimy... Wydaliby nas bez mrugnięcia okiem.

– Na pewno spotkałoby nas coś mało przyjemnego – wtrąciła ponuro Mogali. – Bardzo nie lubią zdrajców i konspiratorów. Wystarczy przeczytać broszurkę powitalną.

Estera poruszyła się niespokojnie.

Kłamców na pewno też nie lubią...

– Rale wydaje się bardzo miły – powiedziała cicho. – Nie bardzo pasuje mi do opisu wrednego, zarozumiałego cienia. Poza tym... Jesteśmy tu dopiero kilka dni. Może nie powinniście wyciągać pochopnych wniosków?

– Nie są pochopne – prychnęła Anita. – Mogali podsłuchiwała ich rozmowy. Te prywatne, nieprzeznaczone dla obcych uszu. Rale jest jednym z najbardziej służalczych bogów. Dla kierownika zrobiłby wszystko. Zależy mu tylko na sobie i swoich wpływach.

– À propos! – zawołała nagle Astrid. – Znowu na ciebie spojrzal! Wtedy przy basenie.

Anita pobladła.

– On chyba podejrzewa, że coś ukrywam – jęknęła z przerażenia. – Co ja mam zrobić?

– Może nie o to chodzi – próbowała ją pocieszyć Mogali. – Może podobają mu się twoje włosy? Są cudowne!

Rumunka rzuciła jej żalosne spojrzenie.

– Przestań żartować! To poważne zagrożenie.

– O co chodzi? – zapytała niepewnie Estera.

– W pierwszy dzień wpadłam na niego na schodach – wyznała Anita słabym głosem. – Na Rale’a. I oczywiście pisnęłam ze strachu jak... jak jakaś mysz. Serio. To musiało tak zabrzmieć. On... On obrzucił mnie takim dziwnym spojrzeniem... I od tamtej pory ciągle mnie obserwuje! To okropne. Musiał wyczuć mój strach... Jest jak drapieżca. I teraz na pewno tylko czeka, aż się potknę...

– Dlatego nie chcemy mieć z takimi osobami nic wspólnego – zadeklarowała Astrid. – Nie martw się, Anito. W końcu o tym zapomni. Straci zainteresowanie, gdy nie damy mu powodów do podejrzeń.

– Na pewno będzie dobrze. – Estera uśmiechnęła się blado. – Tylko jednego nie rozumiem... Skoro nikomu nie ufacie, to dlaczego tak otwarcie mi o tym wszystkim mówicie? Skąd wiecie, że nie pobiegnę zaraz do Rale’a albo kierownika?

Ich poważne twarze rozjaśniły się w porozumiewawczym uśmiechu.

– Wiemy, że stoisz po naszej stronie. Że jesteś taka jak my.

– Niby skąd?

– Ode mnie. – Astrid strzepnęła chodzącą po jej nodze mrówkę. – Wiedzą wszystko, Estero. Powiedziałam im o tym, jak razem poszłyśmy do Seta, żeby nakłonić go do udzielenia pomocy Soni. Uznałyśmy, że możemy cię wtajemniczyć. Także masz sekrety, które ukrywasz przed kierownikiem. Jak my.

Estera zamrugwała.

Sekrety...

– Tak... Macie rację – przyznała z oporem. – Jestem taka jak wy. Też nie zgadzam się z wieloma rzeczami.

– Na przykład? – zaciekawiła się Bairre.

Zawahała się.

– Na przykład z tym, że ludzie są gorsi. Że to niewolnicy, że powinni służyć bogom... Że są nikim.

Astrid uśmiechnęła się szeroko i uniosła dłoń.

– Witaj w jedynym kręgu, który tego nie akceptuje, Izydo! Piątka!

Estera zamrugwała i przybiła ją niepewnie.

– No. To głupie – dorzuciła Bairre.

– I niesprawiedliwe – oceniła Anita.
– Nikt nie powinien uważać się za lepszego od innych – dodała Mogali.
– Tak! A ci potężni i sprawujący władzę powinni służyć biedniejszym oraz tym, którzy potrzebują pomocy – oznajmiła z powagą Astrid. – Właśnie na tym polega władza. Odpowiedzialność za innych.

– Astrid! Ty beznadziejna idealistko – prychnęła Amanda. – Tak jest chyba tylko w tych twoich głupich książkach.

Neftyda spojrzała na nią z ogniem w oczach.

– To źle, że wierzę w ideały? Że świat może być inny? Lepszy?

– To naiwne – odparła chłodno Portugalka. – Tak nigdy nie będzie wyglądała władza. Nieważne, co myślisz czy zrobisz.

– Ale zawsze warto mieć marzenia, prawda? – wtrąciła nieśmiało Mogali, a na jej twarz wypłynął niepewny uśmiech.

Estera odwróciła wzrok. Marzenia. Czy pozostawało im coś innego?

Pod wpływem jego spojrzenia Horus poruszył się niespokojnie.

– Naprawdę się staraliśmy – zapewnił szybko. – Zrobiliśmy wszystko, co tylko mogliśmy. Jednego z moich ludzi nawet zagryzły...

– To już wiem – przerwał Juan Mandara, wykrzywiając wargi. – Skoro masz zamiar się powtarzać, nie marnuj mojego czasu.

Rémi zdrętwiał. Jego oczy zabłyśły z rozdrażnienia. Bez słowa wstał i wyszedł z gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami.

Okropny bachor – pomyślał kierownik. *Wciąż równie rozpuszczony.*

Przed oczami mignął mu obraz z przeszłości. Ozdobny salon. Skórzana kanapa. I ten chłopak o złotych oczach i czarnych włosach.

Zacisnął zęby.

Kolejny przebłysk z przeszłości. Inny chłopiec, drobny i chudy. Uśmiech na jego zmęczonej chorobą twarzy.

Oczy kierownika pociemniały.

– Myliłeś się – odezwał się w przestrzeń. – Wcale nie był zainteresowany rozmową ze swoim największym wrogiem.

Od ściany odkleił się cień i przybrał postać człowieka o rozjarzonych niczym węgle żrenicach.

– Nie wiem czemu. Byłem przekonany, że będzie – warknął, opadając na opuszczony przez Horusa fotel. – Dawniej na pewno nie opuściłby okazji, by go poniżyć. Szczególnie przy jego podwładnych.

– Dlaczego więc teraz jest inaczej?

Demon zmarszczył czarne brwi.

– Prawdopodobnie wciąż wszystkiego nie pamięta. Gdy odnajdzie berło, na pewno się to zmieni.

– Świetnie – zirytował się kierownik. – Wtedy, kiedy złapanie go będzie prawie niemożliwe.

– Prawie. Nam na pewno się uda. Znajdziemy na to sposób.

– Tak? Bo ja zaczynam wątpić, tak świetnie nam idzie!

– Uda nam się – wysyczał demon z oczami błyszczącymi pradawną niechęcią. – A jak już będzie nasz, Horus da mu radę. Na pewno. Wystarczy, jeśli dobrze ich obu poprowadzimy...

– Owszem. Tylko najpierw musimy zachęcić lub zmusić go do współpracy – przypomniał chłodno kierownik, wbijając ponure spojrzenie w blat drogiego biurka.

– Pozwól mi pójść – poprosił Wyklęty nienaturalnie przymilnym jak na niego głosem. – Tym razem mi się uda.

– Nie – uciał natychmiast kierownik. – Na razie musimy spróbować zjednać go po dobroci.

Demon skrzywił się paskudnie.

– Tak jak za pierwszym razem? Wtedy też chciałeś go sobie zjednać... A potem wysadziliśmy jego rodzinę w powietrze. I to był koniec działań po dobroci.

Mandara rzucił mu niezadowolone spojrzenie.

– To był błąd. Do którego ty mnie sprowokowałeś.

Wyklęty wzruszył lekceważąco muskularnymi ramionami.

– Nie zapominaj, że to dzięki mnie jesteś silniejszy. I możesz być jeszcze bardziej... Nawet on nie potrafi rozkazywać Nu...

– Ja też wciąż nie. Przez ciebie! Gdyby nie ten cały pożar... już dawno mógłbym wskrzesić Ozyrysa i uwolnić siły chaosu... A teraz muszę czekać!

Aż zadrżał ze złości. Wszystko, wszystko szło niezgodnie z planem! Ten wstrętny chłopak nigdy nie powinien był im uciec. Gdyby nie dał się wówczas ponieść emocjom... Set nie znenawidziłby innych bogów i nie skrył przed nimi gdzieś na pustyni. Zaufałby im i dołączył do nich. Nic nie stałoby im na przeszkodzie.

Wtedy on osiągnąłby swój cel.

– Mówiłem, że na niego najlepiej działa siła – mruknął niechętnie demon. – Trzeba być naprawdę sprytnym i przekonującym, by zjednać go słowem.

– Sam widzisz, że nie jest teraz dokładnie taki jak kiedyś – przypomniał kierownik.

– Może wtedy rozmowy rzeczywiście nic by nie dały. Ale teraz! Teraz to jest nasza szansa. Dobrze wiesz, w jakim jest stanie. Zaoferujemy mu coś, o czym nawet nie śni. Zgodzi się. Na pewno. I będzie nasz. Tylko najpierw musi chcieć z nami rozmawiać. Ignoruje wszelkie próby, jakie podejmujemy, by przekazać mu list przyjaźni.

Wyklęty zmrużył płonące oczy.

– Chyba wiem, kogo może zechcieć słuchać. I kto go może przekonać.

– Kto?

– Neftyda. Ją na pewno pamięta. Była jego żoną.

Mandara uniósł brew. Zamyślił się na krótką chwilę.

– To się może udać. A jeśli nie... Wtedy może dam ci wolną rękę.

Wyklęty uśmiechnął się drapieźnie.

– O, tak. Wówczas już na pewno nam się uda.

Kierownik odwrócił wzrok.

W końcu bóg pustyni wpadnie w ich sidła. Jak nie w jedne, to w kolejne. Musi im

się przecież udać. Bo potrzebował Seta. Od niego zależało wszystko, co sobie zaplanował.

Rozdział siódmy

WSPOMNIENIA

Sonia uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie. Podobało jej się, że dzisiaj zza chmur wreszcie wyjrzało słońce, że ładnie wyglądała w nowym płaszczu, że włosy układały się właśnie tak, jak chciała, że minął kolejny tydzień szkoły i że znowu spotykała się z Briantem. Już z daleka go dostrzegła. Czekał obok drzwi kawiarni, ubrany zupełnie nie do pogody. Znowu.

– Nie jest ci zimno? – zapytała na powitanie, z niedowierzaniem przyglądając się czarnemu T-shirtowi, na który nie zarzucił nawet lekkiej kurtki.

– Nie. A co?

– Naprawdę? Ja marznę od samego patrzenia na ciebie.

Uśmiechnął się krzywo.

– Poczekaj do zimy.

– No, nie mów, że wtedy też nie założysz niczego ciepłego!

– A po co mam zakładać, jeśli nie będzie mi zimno?

Wzruszyła ramionami.

– Rób, co chcesz. Ale jak się rozchorujesz, na pewno nie będę cię odwiedzać, zapamiętaj to sobie. Wchodzimy?

– Pewnie.

Pchnęli drzwi i weszli do wypełnionego cynamonowym aromatem wnętrza.

– Ale tłok – zauważył, niespokojnie spoglądając na kolejkę. – Może zajmiesz nasz stolik?

– A kto wtedy zapłaci?

– No ja, a kto?

– Podobno nie masz pieniędzy.

– Już mam. Sprzedałem na czarnym rynku jedną z brzydszych ozdób ze skarbcu. Handlarz dał mi za nią całą fortunę.

Znieruchomiła.

– Żartujesz, prawda?

– Nie.

Aż zadrżała.

– Co? Ale...

– Cicho – przerwał. – To był całkiem uczciwy człowiek. Dałem mu zarobić, okej? On sprzeda to komuś, kto fascynuje się Egiptem. Gość wsadzi to do gabloty i będzie podziwiał do końca swojego życia. To da mu radość. W skarbcu tylko by się marnowało.

– To może oddaj resztę skarbów do muzeum. Albo rozdaj biednym – rzuciła kąśliwie. – To dopiero byłoby uczciwe.

Skrzywił się.

– Proszę cię! Lepiej idź zajmij stolik.

Wywróciła oczami.

– Tylko kup jakieś dobre ciasto – rzuciła na odchodnym.

Na widok nieforemnej pomarańczowej bryły, którą przyniósł kilka minut później, zrobiła bardzo przerażoną minę.

– Co to jest?

– Ciasto. Dyniowe. Podobno hit sezonu.

– Nie wygląda na jadalne. Nie uważasz?

Usiadł naprzeciwko niej i wzruszył ramionami.

– Dla mnie nie ma różnicy. Mogę zjeść wszystko, byle tylko było prawdziwe.

Uniosła brwi.

– Ostatnio wybrzydzałeś z szarlotką. Poza tym naprawdę nie widzę problemu, żebyś gotował dla siebie coś prawdziwego, jeśli tak bardzo nie lubisz piaskowego jedzenia.

– To nie jest tak, że ja go nie lubię... Po prostu mi się znudziło. Ale nie będę gotować. Nie umiem.

– Naucz się. To nic trudnego.

– Może dla ciebie.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– O, wreszcie jest coś, w czym jestem od ciebie lepsza.

– Brawo.

Z zadowoleniem zabrał się za ciasto, a ona po chwili wahania sięgnęła do kieszeni.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – powiedziała, decydując się poruszyć temat, który dręczył ją nieustannie od poprzedniego dnia.

– Znowu coś o Lilii?

– Nie, nie tym razem.

– Rozmawiałaś z nią w ogóle?

– Próbowałam... Ale muszę się bardziej postarać. Nieważne. O tym kiedy indziej. Posłuchaj... Wczoraj wieczorem mama otworzyła skrzynkę na listy, żeby sprawdzić, czy przyszło jakieś ważne awizo. I znalazła wiadomość do mnie.

– Wiadomość?

– Tak. A w środku... Sam zobacz.

Podawała mu pomietą kartkę. Rozprostował ją na stole, czując na sobie jej wyczekujące spojrzenie.

– „Domy bogów” H. Green – zacytowała Sonia, obserwując, jak jej przyjaciel blednie. – I jeszcze ten dopisek: „On będzie wiedział”. Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Wpatrywał się w kartkę tak żałośnie, że aż się przestraszyła.

– Briant? O co chodzi? Wpisałam to w Internet. To książka jakiejś angielskiej pisarki. O egipskich świątyniach.

– Wiem – przerwał słabym głosem. – Napisała ją moja mama.

– Twoja mama?

– Tak. Pochodziła z Londynu. Green to jej panieńskie nazwisko. I pseudonim artystyczny. Jak już chyba ci mówiłem, uwielbiała starożytny Egipt. Organizowała wykopaliska, pisała o nim prace i książki...

Zamrugła.

– Więc jesteś w połowie Anglikiem?

– Tak. Brawo za spostrzegawczość. Myślisz, że gdybym nie był, podawałbym się za mieszkańca Wysp na obozie? Przecież od razu by mnie zdemaskowali. Na przykład John i Steve.

– No tak... Myślałam, że może po prostu masz taki supertalent do języków. Albo miałaś dużo dodatkowych zajęć. Nieważne. Myślisz, że to jakaś wskazówka?

Skrzywił się.

– Nie wiem. Bo niby od kogo mogłaby być? Nikt nam przecież nie pomaga. Ale... To bardzo dziwne. Zdobędę książkę. Musimy się dowiedzieć, dlaczego ktoś ci podsunął ten tytuł.

Odrobinę przybity, wpatrzył się w przestrzeń, a Sonia przygryzła wargę. Odważyła się ponownie odezwać dopiero po upływie dłuższej chwili.

– Wiesz... Dużo myślałam o Wybranych – szepnęła niepewnie. – O tym, co mi powiedziałaś. I nie rozumiem. Po co tak właściwie bogowie kogoś wybierają? Jeśli Wybrani nie potrafią sami czarować... Po co w ogóle istnieją?

Zamrugnął i bez energii dźgnął widelcem ciasto.

– Są bardzo ważni. Za ich pośrednictwem można dokonywać wielu czynów, oficjalnie się do nich nie przyznając. Możesz obserwować świat ich oczami, widzieć to, co oni. To dobry sposób na przykład na szpiegowanie innych bogów albo ich zwolenników. No i przede wszystkim... są takimi pionkami, za ich pośrednictwem bogowie wpływają na losy świata. Zamiast własnoręcznie się w coś angażować, posyłają tam Wybranego. A ponieważ to oni kontrolują jego magię, mogą dopilnować, by wszystko potoczyło się tak, jak chcą.

– Chyba nie rozumiem. Nie prościej samemu to zrobić? Po co angażować w to śmiertelników?

– No wiesz... głównie z lenistwa.

– Aha. A co tak naprawdę decyduje o tym, że ktoś staje się Wybranym? Mówiłaś, że najczęściej taka osoba w pewien sposób się wyróżnia, imponuje bogom. Ale... Tak się zastanawiam. Dlaczego Izyda mnie wybrała? Nie zrobiłam nic niezwykłego. Ona po prostu napadła mnie w muzeum. Nawet nigdy jej nie spotkałam!

– Skąd wiesz? Może jednak?

– Nie. – Gwałtownie pokręciła głową. – Na pewno nie. Mam takie... przeczucie.

– Ale przecież Estera jest Izydą.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Nie jest.

– Jasne, że tak.

– Nie! To nie był jej głos... To nie mogła być ona! No i byliśmy w muzeum razem! Była równie zdumiona jak ja, gdy zostałam wybrana. Nie... Izyda była inna. Ona... Wydawała mi się taka... przestraszona i zagubiona. Zmęczona. Sama nie wiem... Chora?

Zmarszczył brwi.

– Chora?

– Tak...

Zawahał się.

– To by mogło choć trochę tłumaczyć dziwny sposób, w jaki zostałam wybrana.

Z tego co wiem, to pierwszy taki przypadek w historii. Zawsze było tak, że bóg bezpośrednio spotykał osobę, którą potem wybierał. Zresztą sama widziałaś. I słyszałaś. To chwilę trwa.

– Ona powiedziała w muzeum tylko jedno słowo – wtrąciła Sonia niepewnie. – A wcześniej mnie zahipnotyzowała.

– No właśnie. To bardzo, bardzo nienormalne. Dlaczego nie wybrała cię w tradycyjny sposób? I dlaczego ciebie, skoro, jeśli masz rację, nigdy cię nawet nie widziała na oczy?

– Może dlatego, że jestem do niej podobna?

Skrzywił się powątpiewająco.

– Raczej nie. Podobieństwo niewiele znaczy.

– No, to sama już nie wiem – zirytowała się. – Chciałabym wreszcie to zrozumieć. Ale powiedz mi jeszcze... Czy to normalne, że słyszałam jej głos w swojej głowie?

– Tak. Bóg może się porozumiewać ze swoim Wybranym za pośrednictwem umysłu. To dlatego, że wybranie to w pewnym sensie powiązanie ze sobą dwóch dusz.

Otworzyła szerzej oczy.

– Nasze dusze są teraz połączone?

– No... Tak jakby. Ale nie jakoś bardzo.

– A... Możesz czytać mi w myślach?

Rzucił jej spojrzenie pełne politowania.

– Zgadnij.

– O matko, co za ulga – odetchnęła. – Kamień spadł mi z serca! To byłoby straszne.

– Choć... Właściwie może się to czasem zdarzyć, gdy nasze umysły będą połączone.

Działa to dokładnie tak, jak sama mogłaś zaobserwować, gdy rozmawiała z tobą Izyda. Możemy komunikować się za pośrednictwem myśli. Ale... nawet jeśli pudło z piaskiem teoretycznie nie jest ci już potrzebne, to, jeśli tylko chcesz, wciąż możemy używać przede wszystkim jego. Tak... dla twojego komfortu.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Zastanowię się – powiedziała, choć w rzeczywistości była przekonana, że jeśli tylko będzie to możliwe, będzie używać ich tradycyjnego sposobu komunikacji. – Jeszcze jednego nie rozumiem. Skoro Wybrani i tak nie potrafią czarować, to pewnie tak naprawdę nie ma znaczenia, jaki Dar im ofiarujecie? I tak to wy będziecie sterować jego magią.

– Jasne, że ma to znaczenie! Dary definiują, jaki rodzaj magii może za twoim pośrednictwem przekazywać bóg. Dla przykładu twój Dar Iluzji umożliwia mi przesyłanie przez ciebie pełnej mocy w zakresie tylko i wyłącznie iluzji, ale nie pozwala mi wywołać prawdziwej burzy lub władać piaskiem. Rozumiesz?

– Teraz tak... Czyli hasło wprowadzania chaosu na świecie za pomocą mojego Daru było tylko formułką? Nie zobowiązuje mnie do niczego, prawda?

– Nie.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Całe szczęście! Bo wiesz, ja raczej wolę porządek i spokój.

Odwzajemnił uśmiech, choć bez większego przekonania. I wtedy stało się to. Świat

zniknął, a zastąpił go jaskrawy urywek przeszłości.

– *Więc ty jesteś Set – odezwał się ktoś za jego plecami.*

Odwrócił się czujnie.

– *Podobno walczysz jak demon – powiedziała piękna kobieta, przyglądając się wystawionej na kamiennym bloku kolekcji mieczy.*

– *Jak tu weszłaś? – zapytał ostro. – Zakazałem straży kogokolwiek tu wpuszczać.*

To moja świątynia. Mój dom.

Uśmiechnęła się, a jej oczy zabłyśły światłem tysiąca gwiazd.

– *Wiem. Dlatego tu jestem.*

Uniósł brwi.

– *Jestem taka jak ty, Secie.*

Podeszła krok bliżej.

– *A ty jesteś dokładnie taki, jakim cię sobie wyobrażałam – szepnęła. – Oczy wypełnione ogniem... Sylwetka króla... I tylko po tym spojrzeniu można poznać, od ilu lat szukasz zemsty na ludziach, którzy wymordowali twój lud. Masz potężną moc... Inaczej tyle ziem nie oddałoby się pod twe berło. Tyle ludów nie oddawałoby ci czci. A jednak...*

Wciąż jesteś sam.

Cofnął się o krok, przypatrując się jej podejrzliwie.

– *Kim jesteś?*

– *Jestem Nut – odparła cicho. – Bogini nieba. Nie jesteś sam, Secie. Jesteśmy twoją rodziną. Dołącz do innych, do takich jak ty. Ty i twoi ludzie. Razem... Razem stworzymy wielkie rzeczy. Imperium, jakiego świat nigdy nie widział i już nigdy więcej nie zobaczy.*

Uśmiechająca się łagodnie bogini wyciągnęła w jego stronę delikatną dłoń.

– *Chodź – poprosiła. – I pozwól mi być ci niczym matka...*

Obraz kobiety rozproszył się w nicość. Zamrugał gwałtownie. Uszy wypełniał mu huk.

Nienaturalnie blada Sonia wpatrywała się w niego ze strachem.

– *Co ci się stało?! – wyjąkała drżącym głosem.*

– *Co? – szepnął, wciąż walcząc z oszalałymi myślami.*

– *Zawiesiłeś się na pięć minut!*

Spojrzał na nią trochę nieprzytomnie.

– *Możesz mi to wyjaśnić? – syknęła, pochylając się nad stołem. – Rozmawiamy sobie, a ty nagle wytrzeszczasz oczy i przez całe pięć minut nieruchomo wpatrujesz się w przestrzeń. Bez mrugnięcia okiem! Dlaczego? Co się stało? I czemu się tak na mnie gapisz? Ja zachowuję się normalnie! W przeciwieństwie do ciebie. Nie masz pojęcia, jak mnie wystraszyłeś!*

– *Miałem wizję – udało mu się wydusić.*

– *Kolejny, który ma wizje! – jęknęła zdenerwowana. – Cudownie. Kto będzie następny? Twój pies czy może jednak ja?*

– *To już druga – mówił dalej, ignorując jej słowa, być może bardziej do siebie niż do niej. – Druga w ciągu kilku dni. Ja... zaczynam przypominać sobie przeszłość. Stopniowo.*

Otworzyła szerzej oczy.

– Przeszłość! Naprawdę? Wiesz już, gdzie jest berło?

Potrząsnął głową.

– Nie. Na razie... To są wspomnienia z samych początków.

– Pamiętasz początek świata? – wyjąkała, blednąc.

– Nie! Tak... Ale nie o to chodzi. Pamiętam mój początek.

Poruszyła się z napięciem.

– Opowiesz...?

– Nie!

Spojrzała na niego dziwnie, zaskoczona tak gwałtowną reakcją. No, ale co miał jej powiedzieć? Przecież by go nie zrozumiała. Miał opowiedzieć jej o tym, jak jego dusza narodziła się tuż po tym, jak świat wyłonił się z Nu? I o tym, jak potem dusze ich wszystkich zstąpiły na ziemię, tworząc zupełnie nowe istoty? O tym, jak bogowie żyli wśród ludzi, a po ich zdradzie oddzielili niebo od ziemi i zamieszkali w księżycowym wymiarze? Nie. To nie było coś, co chciałby jej wyjaśniać. Nie miał na to siły.

– Muszę już iść – powiedział, wstając od stołu. – Dam ci znać, jak zdobędę tę książkę.

– No dobrze – westchnęła, niechętnie podnosząc się z krzesła. – Jeśli to problem, mogę ją zamówić przez Internet...

– Nie. Pożyczę ci swój egzemplarz. Tylko najpierw muszę go odzyskać.

A więc oto nadeszła ta chwila... Wróci do domu. Pierwszy raz od miesiący. Zadrzał na samą myśl, ale wiedział, że musi to zrobić. Nie może wiecznie od tego uciekać.

Wiatr zatrzaskał za nimi drzwi kawiarenki. Sonia rzuciła przyjacielowi kolejne niespokojne spojrzenie.

– Wszystko dobrze?

– Tak.

– Poczekaj chwilę. – Jej prośba powstrzymała go od rozpląnięcia się w mroku. – Powiedz... Naprawdę był Wybrany, który potrafił czarować?

Zamrugął.

– Tak, jasne. Przecież bym nie kłamał.

Uśmiechnęła się niepewnie, a potem odwróciła się i powoli odeszła. Ciemność zaczęła gęstnieć wokół niego, gotowa, by przenieść go na Saharę.

– Nie było takiego Wybranego – odezwał się ktoś cicho za jego plecami.

Odwrócił się czujnie. Z odległego o kilka kroków cienia wychynęła smukła sylwetka w długim, eleganckim płaszczu, który wyglądał jak utkany z cieni. Lodowato zielone oczy zdawały się lśnić blaskiem gwiazd.

Zdrętwiał.

– Nie uciekaj – poprosiła bogini. – Nie mam zamiaru cię atakować.

– To czego chcesz?

– Porozmawiać... Pójdziemy na spacer?

Posłał jej zaskoczone spojrzenie.

– Nie. Raczej nie. Mów, co masz mi powiedzieć, i odejdz.

Prawie niedostrzegalnie zmarszczyła idealne brwi.

– Jak chcesz. Ale najpierw powiedz... Po co ci Sonia?

Zmrużył czujnie oczy, a Astrid kontynuowała niepewnie:

– Pomogłeś jej uciec... Chronisz ją i z nią rozmawiasz. Dlaczego?

– A co cię to obchodzi? – zirytował się. – Jeśli to jest cel twojego przybycia, to żegnam.

– Nie, czekaj! – zawołała, gdy prawie zniknął w ciemności.

Znieruchomiał zaintrygowany. Czyżby usłyszał w jej głosie strach?

– Dlaczego cały czas przed nami uciekasz? Jesteśmy wszyscy tacy sami, powinniśmy trzymać się razem! Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

W jego oczach pojawiło się zdumienie.

– Proszę?

Poruszyła się niepewnie.

– Nie jesteśmy twoimi wrogami...

– Nie? To kim? Zabiliście moją rodzinę i nasłaliście na mnie ich mordercę! I na Sonię też. To nie wygląda jak deklaracja przyjaźni, nie uważasz?

– To było nieporozumienie!

– Nieporozumienie?! Chyba żartujesz!

– Nie... Proszę, posłuchaj! Nie chcemy być twoimi wrogami. Wszyscy powinniśmy trzymać się razem. To, co się zdarzyło... To było straszne i okropne. Ale... Chcemy to naprawić. Ra bardzo chciałby wynagrodzić ci wszystko, co się stało z naszej winy...

Jego oczy zabłyśły groźnie.

– Wątpię, by był w stanie.

– Ale Briant...! My możemy to wszystko odwrócić!

– Co odwrócić?

– Ra... Ra zna sposób na przywrócenie zmarłych do życia. On...

– To niemożliwe – wycedził. – Gdyby było, już dawno bym to zrobił.

– Możliwe! – zaprotestowała gorączkowo. – On odkrył sposób. Jeśli do nas wrócisz, zrobimy to. Oni znów będą żyli... Nie będziesz już sam.

Oni znów będą żyli... Tysiące myśli wirowało mu w głowie. Ledwie mógł oddychać. Czy to możliwe? Czy naprawdę...?

Astrid uśmiechnęła się smutno.

– Proszę, wróć do nas – szepnęła. – Nie walcz z nami. Jesteśmy twoją rodziną. Nie pamiętasz? Nie pamiętasz mnie...?

Uważnie spojrzał jej w oczy. W głowie rozległo się echo głosu Nut.

– Moją rodziną? – powtórzył beznamiętnie.

– Tak...! Wróć, proszę... Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Drgnął. Jego rysy stężały.

– Nie.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Nic nie będzie dobrze! – zezłościł się. – Nigdy nie było! Nie sprzymierzę się z wami, nie ma mowy. Istnieje sposób, by wskrzesić zmarłych? Akurat! A nawet jeśli, sam go znajdę! Nie będę go o nic prosić. Nie ufam wam i wątpię, by kiedykolwiek się to zmieniło. Znam was zbyt dobrze. Całą wieczność. I ty jesteś taka sama jak wszyscy inni!

Zupełnie bezwartościowa! Słaba. Zapatrzona tylko i wyłącznie w siebie.

– Ale... – przerwała z przestrachem, wyciągając w jego stronę dłoń.

Oczy Brianta zabłyśły.

– Nie jesteście moją rodziną – syknął. – I nigdy już nie będziecie! Nie zbliżaj się do mnie więcej.

– Zaczekaj!

Ale nim zdążyła go powstrzymać, rozpląnął się w mroku. Została sama. I tylko wspomnienia przeszłości raniły jej duszę.

Wyłonił się z cieni zamieszkujących starą aleję. Zimne światło księżycy sprawiało, że park zdawał się pozaziemskim tworem wykonanym z mgły i srebra. Powoli ruszył przed siebie, uważnie lustrując okolice. Jakby oczekując, że zaraz coś się na niego rzuci. Jednak nic nie zakłócało nocnej ciszy, jedynie szum wiatru i oddech drzew. I wspomnienia. Starał się ich nie dostrzegać, ale to było ich królestwo. Mieszkały w każdym zakątku wielkiego ogrodu. Przy każdej fontannie, nad brzegiem rzeki, wśród krzewów róż. Tam Rémi skręcił sobie nogę, gdy spadł z drzewa... O ten krzew Élodie podarła suknię ślubną mamy... W okolicy tamtego kamienia był ponoć ukryty skarb... Tamto drzewo spłonęło, gdy trafił je piorun... W tamtym miejscu Den wpadł kiedyś – a właściwie został przez niego wepchnięty – do rzeki...

Zmarkotniał. To wszystko było tak bardzo odległe, jak sen. Tak bardzo świat się zmienił, odkąd to się zdarzyło. Stał się inny. Bardziej mroczny i złowrogi. Wtedy... Wtedy starożytność nie wkroczyła jeszcze do ich życia, by zniszczyć je na zawsze.

Spacerując wśród przeszłości, nie chciał czuć się bogiem. Chciał być tym dawnym sobą... Tym zwykłym sobą.

Wśród drzew zamigotały pierwsze światła. Oddech w postaci mgiełki umykał gdzieś w niebo. Zamek wyglądał pięknie, jak zawsze. Aż przez chwilę pozwolił sobie wierzyć, że ostatnie miesiące były tylko snem.

Ale nie były.

Żwir chrząścił mu pod stopami, gdy zbliżał się do kamiennego tarasu wychodzącego na rzekę. Serce zabiło mu szybciej, gdy przy przeszklonych drzwiach prowadzących do salonu coś się poruszyło. Cień podniósł się, a potem rozdzielił na cztery. Otworzył szerzej oczy. Dogi zbiegły po trzech szerokich schodkach i przypały do niego, trzęsąc się z radości. Ukląkł, wyciągając w ich stronę rękę.

– Stęskniłem się za wami – wyszeptał drżącym głosem, starając się tarmosić wszystkie równocześnie. – Nie macie pojęcia, jak strasznie.

Przez jedną krótką chwilę poczuł się jak dawniej. Prawdziwie szczęśliwy. Przy istotach, które na jego widok nie krzywiły się z niechęcią ani nie starały się uciec.

– Chciałbym was stąd zabrać – westchnął żałośnie. – Ale co wy byście robiły ze mną na pustyni...? To nie jest miejsce dla was.

Choć odwlekał ten moment, jak tylko mógł, w końcu musiał nadejść czas rozstania. Przytulił się do nich po raz ostatni i podniósł się na nogi. Podprowadziły go pod niedomykające się drzwi tarasowe, łasząc się bezustannie i starając się go powstrzymać.

– Nie – wyszeptał z naciskiem, gdy chciały wraz z nim wsunąć się do środka.

Spojrzały na niego żałośnie ogromnymi oczami. Z bólem zamknął za sobą drzwi i odwrócił się od nich. Uważnie przyjrzał się eleganckiemu wnętrzu. Nie zmieniło się ani trochę... Ulubiony fotel mamy stał w tym samym miejscu. Połączony zegar wciąż był krzywo ustawiony na marmurowym kominku. I tylko zabytkowe lustra na ścianach odbijały teraz zupełnie inny świat niż wtedy.

Wyczulony na najłżejszy szmer, wymknął się z salonu do sąsiedniego pomieszczenia. Przemierzając drewniany parkiet, starał się nie patrzeć na surowe oblicza wystrojonych w wojskowe stroje przodków, którzy obserwowali go z przepysznych ram wielkich portretów. Uchylił kolejne drzwi i wyszedł na cichy korytarz, który doprowadził go do reprezentacyjnej klatki schodowej. Przystanął z wahaniem przy kamiennych schodach, błędząc wzrokiem pomiędzy wielkimi drzwiami biblioteki a piętrem. W końcu odetchnął ze zdecydowaniem i wstąpił na schody skąpane w srebrnym blasku księżyca, który zaglądał do wnętrza przez sferyczny świetlik gdzieś w odległym suficie. Zwykle wbiegał na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Teraz jednak szedł powoli, sunąc dłonią po wygładzonej przez wieki balustradzie i błędząc wzrokiem po każdym szczególe wystroju, którego wcześniej w zasadzie nie dostrzegał.

Na piętrze panowała pusta cisza. Jedynie gwiazdy zaglądały do długiego korytarza przez smukłe okno na jednym z jego końców. Wstrzymując oddech, minął drzwi prowadzące do pokoiów rodzeństwa i zatrzymał się przed tymi znanymi sobie najlepiej. Ze ściśniętym gardłem nacisnął ozdobną klamkę. Musiał mocniej popchnąć, by otworzyły się wystarczająco szeroko. Przystanął w progu i wielkimi oczami przyjrzał się miejscu, które kiedyś należało tylko do niego.

Pokój był zakurzony, zapomniany i od dawna nieużywany. Zasłony były odsłonięte, a przez ogromne okna zaglądały do środka cienie drzew. Podłoga była zasłana najróżniejszymi, zrzuconymi z biurka przedmiotami. Szuflady wciąż były otwarte, kilka marnych książek wraz z kolekcją gier komputerowych pozrzucone były z półek przeszklonej biblioteczki. Stojąca niegdyś obok kominka sofa smutno leżała na boku, podobnie jak fotel. Zagubione poduszki wały się po podłodze.

Briant zmarszczył brwi. No tak. Na pewno wszystko przeszukali. A potem nikt nie pofatygował się, by przywrócić w pokoju porządek. Z rozdrażnieniem rozglądał się dokoła. Swojego drugiego laptopa pewnie nie miał co szukać. Na pewno go zabrali. Całe szczęście nikt nie wpadł na pomysł zdemontowania drewnianej obudowy kominka. Podeszedł do niej i ostrożnie zdjął jeden z jej fragmentów, odsłaniając skrytkę wypełnioną pogniecionymi papierami.

– Tego mi brakowało – szepnął, przeglądając zakurzone notatki z pierwszych spotkań z Ra. Potem uśmiechnął się złośliwie. – Ciekawe, co by o mnie pomyśleli, gdyby to znaleźli?

Z powrotem zamknął skrytkę i po chwili ociągania opuścił swój pokój. Czuł się dotknięty obrazem zniszczenia, jaki w nim zastał. Wolał jego dawny wygląd, zachowany w pamięci. Wciskając notatki do kieszeni, wrócił na klatkę schodową. Nie zdecydował się iść na drugie piętro, gdzie znajdowały się pokoje rodziców, tylko zbiegł z powrotem na parter.

W momencie, w którym stanął na posadzce, ciszę panującą w zamku przeciął

dźwięk, który zmroził mu serce. Seria z karabinu maszynowego. Otworzył szeroko oczy i uskoczył w mroczny kąt, wtapiając się w cienie. Wstrzymał oddech, oczekując ataku. I wtedy dźwięk się urwał, a jakiś męski głos zawołał:

– Udało się! Wszyscy bandyci zginęli. Chodźmy uwolnić miłość mojego życia!

Ze zdziwieniem wysunął się z kąta i bezszelestnie przeszedł na drugą stronę schodów, skąd dobiegały dalsze wołania i pojedyncze strzały. Zrozumiał wszystko, gdy dostrzegł uchylone drzwi salonu telewizyjnego. Podeszedł jeszcze bliżej i ostrożnie zajrzał do środka. Na widok rozwalonego na drogiej sofie kuzyna poczuł ukłucie ogromnego zawodu. A potem złości. No bo czego się głupio spodziewał?

Wycofał się pod rzeźbione drzwi biblioteki. Ostrożnie zajrzał do wnętrza, na szczęście pustego. Jedynie przez uchylone drzwi prowadzące do salonu dobiegał szelest przewracanych kartek i złoty blask lamp. Zacisnął zęby. To na pewno ciotka Eleonora. Uciekł wzrokiem w bok i natrafił na rodzinne zdjęcie wyeksponowane na fragmencie muru pomiędzy oknami. Wpatrzył się w nie z żalnością. A potem skrzywił. Może i nie on był teraz właścicielem tego miejsca, ale wciąż pozostawał właścicielem jego tajemnic. Ostatnim.

Podeszedł do zdjęcia i bezszelestnie zdjął je ze ściany, a następnie, starając się nie patrzeć w oczy uwiecznionych na nim osób, ostrożnie odłożył je na parapet. Nacisnął odpowiedni fragment boazerii, która odskoczyła, ukazując skryty pod nią sejf. Powoli wbił kod na podświetlanej klawiaturze, obawiając się, by podejrzone dźwięki nie zwróciły uwagi zaczytanej ciotki lub wujka. Na szczęście nie zwróciły i już po chwili drzwiczki stanęły otworem, ukazując wypełnione prawie po brzegi wnętrze. Kasztanowe oczy zabłyśły triumfalnie. Ostrożnie wyciągnął wszystko ze środka i cicho położył obok rodzinnego zdjęcia. Tuż przed zamknięciem sejfu wyczarował w nim drobną pamiątkę i dopiero wtedy zatrzęsął drzwiczki, boazerię, a następnie umieścił ramkę na swoim miejscu. Rzucił drzwiom od salonu drwiące spojrzenie i skupił się na właściwym celu swojej wizyty – na książce.

Delikatnie przystawił finezyjną drewnianą drabinkę do długiego regału poświęconego starożytnemu Egiptowi. Bezszelestnie wspinał się po wąskich stopniach aż pod malowany sufit i przyjrzał się rzędowi opasłych tomów. Po wielu bardzo długich sekundach wreszcie dostrzegł to, czego szukał. „Domy bogów” Helen Green. Sięgnął po książkę. Chciał wyciągnąć ją jak najłagodniej, ale ani drgnęła. Musiała być nieźle wciśnięta. Pociągnął mocniej. Z oporem wysunęła się może na centymetr. Zacisnął zęby i szarpnął. Wyskoczyła z regału, aż zachwiał się na drabinie. Iskierki uśmiechu rozświetliły mu oczy.

A potem rozległ się huk.

– Alfredzie? Co to było?

Przerażony, spojrzął na podłogę, na której wylądowała zatrważająco gruba książka poświęcona mumifikacji, pociągnięta w dół przez sąsiadujące z nią „Domy bogów”. Zeskoczył na ziemię w momencie, w którym zabłyśło światło. Przypadł do pozostawionych na parapecie przedmiotów dokładnie wtedy, gdy w drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka. Ciotka Eleonora wydała z siebie zduszony krzyk. Porwał cenne papiery i obejrzał się w jej stronę. Stała w wejściu, blada i zszokowana.

– B... Briant... – wyjąkała. – Co... co robisz w moim domu?

Zmrużył oczy, w których zajaśniała czerwień.

– Twoim domu?! To m ó j dom – odparł ze złością i nim zdążyła powiedzieć coś więcej, rozsypał się w złoty piasek.

Rozdział ósmy

DOMY BOGÓW

Deszcz bębnił o szyby. Ponura szarość zapanowała nad światem, odzwierciedlając nastrój jego myśli. Śledząc wzrokiem spływające po oknie krople, Juan Mandara zastanawiał się, jak to możliwe, że jego plan zawiódł. Przecież ofiarował mu coś tak wspaniałego. Możliwość przywrócenia bliskich do życia.

Jak mógł się na to nie złapać?... Może to wina Neftydy? Może nie była zbyt przekonująca?

– Nie wierzę, że się nie zgodził – mruknął do siebie.

Przecież znienawidził świat właśnie z tego powodu. Bo zginęli. Nie chciał tego naprawić? Naprawdę? I na dodatek przyłączyć się do innych, takich jak on?

Musiał przyznać, że w takim razie nie miał pojęcia, co kieruje bogiem pustyni. Dotąd był pewien, że wie. Tak bardzo pewien... On sam zrobiłby wszystko, dosłownie wszystko, by jego przeszłość nigdy nie nastąpiła. By wszystko potoczyło się inaczej... Przecież Briant był taki sam. A skoro on potrafił przewyciężyć nienawiść do magii, byleby tylko wszystko zmienić, nie wierzył, by ktoś inny – nawet dumny i nieprzewidywalny jak pustynia – nie był do tego zdolny.

Wykrzywił wargi w niechętnym grymasie.

Nie był zwolennikiem tego, by Wyklęty ponownie wkroczył do akcji. Jak dotąd jedynie wszystko psuł. Najpierw w Paryżu. Zamiast dyskretnie uprowadzić prawdziwego Ra, musiał zrobić to na oczach Seta. Na dodatek pozwolił mu uciec.

Potem spowodował wybuch, który zabił wszystkich bliskich Brianta. Za jego przyzwoleniem, owszem, ale przecież Wyklęty wiedział, że Mandara nie myślał wtedy klarownie. Przeszłość go zaślepiła... Demon powinien był się powstrzymać. Dla dobra planu.

Później w Egipcie... Nie udało mu się pojmać ani zabić Seta. I jedynie cudem nie uśmiercił jednej z uczestniczek. Na samo wspomnienie kierownika ponownie ogarnęło rozdrażnienie. Jak demon mógł działać tak pochopnie? Gdyby ją zabił, jego autorytet jako faktycznego króla bogów mógłby zostać znacznie zachwiany. Co innego karmić odrodzonych przyjemnymi sentencjami o wyższości bogów nad ludźmi, co innego zabijać ich koleżankę, i to w taki sposób, by na pewno wszyscy wiedzieli, że dzieje się to za jego pozwoleniem czy wręcz na jego rozkaz.

No, ale co mu pozostało? Możliwe, że Wyklęty był jedyną istotą, która potrafiła pokonać Seta. Przynajmniej dopóki ten nie odzyska swojego atrybutu. Potem... Cała nadzieja w Horusie. I w sprycie.

Drgnął.

Horus...

Była jeszcze inna droga. Na pewno.

– *Jak ja go nienawidzę!* – warknął, jak burza wypadając z komnaty.

Za sobą usłyszał jeszcze zirytowany głos Ozyrysa:

– Znowu się obraził! Świetnie!

Zazgrzytał zębami, roztrącając zbyt powolne strażę.

– Co za idiota! Napuszony, głupi i arogancki! I taki ktoś ma być kiedyś królem?!

To ja powinienem nim być! – mruknął, wbijając jarzące się oczy w ciemniejące gwałtownie niebo. – Jestem lepszy niż on. Czemu nikt tego nie widzi?! Dlaczego wszyscy tak bardzo go kochają?

Wstęga błyskawicy wystrzeliła z chmur i wstrząsnęła ziemią, dając upust gromadzącemu się w nim gniewowi.

Otworzył oczy. Głowa wciąż pulsowała mu od uciążliwego bólu. Wiatr łaskotał go w twarz, cienie palmowych liści tańczyły na skórze. Papirusy szeleściły nieśmiało, a Sahara oddychała spokojnie. Gdyby nie to, że czuł się tak fatalnie, na pewno uznałby ten dzień za bardzo piękny. A jednak miał dość. Najchętniej zasnąłby, i to tak na zawsze. Nic mu nie wychodziło. Nic! Był już tak strasznie tym wszystkim zmęczony... Ile by dał, żeby wreszcie znaleźć berło... Może ono pomogłoby mu odzyskać spokój.

Jeszcze te wizje... Jasne! Na początku był nimi zachwycony. Oznaczały przecież możliwość poznania samego siebie. Swojej historii. Ale w praktyce zawsze wytrącały go z równowagi. Bał się, że napadną go w jakimś ważnym momencie i wszystko zniszczą. Na przykład w czasie walki z Wyklętym. Bądź kimkolwiek innym. Dlatego odzyskanie berła stało się jeszcze bardziej naglące. Nie mógł liczyć na to, że odpowiadzi na swoje pytania odnajdzie, czekając na nowe wspomnienia. Zanim ukaże mu się cała historia... minie bardzo dużo czasu. Za dużo. Berło musiał znaleźć szybciej.

Wtedy na pewno i tak wszystko sobie przypomni. Stanie się w pełni sobą. I wszystko będzie w porządku.

Spojrzał na leżącą obok stertę papierów. Przeglądał je przez pół nocy. Ostrożnie, jakby zaraz miały zniknąć. Większość z nich nie przedstawiała dla niego realnej wartości, ale i tak nigdy by ich nikomu nie oddał. To były nieliczne pamiątki, jakie zostały mu po dawnym życiu.

Otworzył zaciśniętą dłoń i spojrzał na zaręczynowy pierścień swojej mamy. Najważniejszą pamiątkę ze wszystkich. Żałował tylko, że nie miał nic należącego do taty. Na przykład skórzanego zegarka z grawerem.

Znajdę go następnym razem – obiecał sobie. Choćbym miał zerwać go z ręki wuja.

Ostrożnie odłożył pierścionek na paszporty, a potem sięgnął po „Domy bogów”. Poglądził odbijającą słońce okładkę, dłużej zatrzymując wzrok na autorze. Potem otworzył książkę na jednej z pierwszych stron. Wstrzymał oddech, z oszołomieniem wpatrując się w dedykację.

Jak mógł zapomnieć? Jak...?

W jego oczach zabłysła tęsknota, gdy czytał odręcznie wykonany napis.

Dla Setiego.

Mam nadzieję, że zrozumiesz kiedyś, dlaczego tak bardzo kocham starożytny Egipt.

To był jego prezent na dwunaste urodziny! Zadedykowała ją jemu... A on nigdy nie przeczytał nawet pierwszego zdania. Od razu zaniósł książkę do biblioteki, stwierdzając w duchu, że nigdy nie przeczyta czegoś tak grubego o czymś tak głupim jak jakieś starożytne świątynie.

No i mam.

– Tylko dlaczego ktoś chciał, żeby przeczytała ją Sonia? Co było w niej tak niezwykłego?

Przekartkował całość, ale nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi. Jedyne związki, jakie dostrzegł, to fakt, że najdłuższy dział został poświęcony działalności Setiego I. To był jeden z jej dwóch ulubionych faraonów. Den otrzymał imię po pierwszym. On miał dostać po drugim. I tylko dzięki uporowi przerażonego taty zamiast Seti otrzymał imię Briant. Choć jej i tak zdarzało się nazywać go inaczej.

Seti.

– Zupełnie jakbyś wiedziała, kim jestem – wyszeptał. – Ale nie mogłaś tego wiedzieć, mam.

Estera z przerażeniem wpatrywała się w stół. Świergotanie podekscytowanych przyjaciół dobiegało do niej jakby z bardzo daleka, choć siedzieli przecież przy tym samym stole. Drżącą ręką sięgnęła po herbatę. Nie ma opcji, by była w stanie cokolwiek dziś zjeść. Ani dziś, ani jutro. Ani kiedykolwiek.

– Hej! Cieszyście się, że wreszcie zacznie się coś dziać? Że wreszcie zaczynamy szkolenie? – zapytał Otto, zjawiając się obok ich stolika. – Bo ja strasznie! Chyba dłużej nie zniósłbym tej nudy.

– O matko, my też! Nie, Steve? – rzucił John, cisnący się wraz z bratem na dostawionym na rogu krześle.

– Pewnie – odparł Steve, z zapalem mieszając w kubku kisiel o nowym smaku.

– My też – zapewniła Mogali, przyglądając się ciekawie kolorowi przygotowywanej przez bliźniaków przekąski.

– A słyszałyście...?

– O czym?

– Set wreszcie wyszedł z ukrycia!

– Naprawdę?

– Tak. Wczoraj pojawił się we Francji. W tym swoim zamku czy czymś.

Amanda skrzywiła się niechętnie.

– Po co?

– Nie wiem na pewno. Ale podobno chciał coś ukraść. To musiało być coś ważnego, nie?

– Złapali go? – zapytała Bairre, przejęta.

– Pewnie, że nie – parsknął John. – On jest dla nich za sprytny. Słabeusze, mówię wam.

– Dokładnie – zgodził się jego brat. – W życiu im się nie uda.

Astrid zerknęła na nich dziwnie.

– Wyglądacie, jakby was to cieszyło! – wyrzuciła im Amanda.

Wzruszyli ramionami.

– To równy gość – mruknął pod nosem John i schował się za paczką kisielu.

– Że co?! Chyba żartujesz!

– Nie, no fajnie się siedzi, ale musimy iść – oznajmił Steve i gwałtownie zepchnął brata z krzesła. – Musimy ogarnąć porządek w pokoju, zanim ktoś się o coś potknie i zabije. Do zobaczenia na siłowni, Bairre. I na obiedzie, wszyscy inni.

Uśmiechnęli się szeroko i uciekli, odprowadzani zdziwionymi spojrzeciami.

– Chyba nigdy do końca ich nie zrozumieję – rzuciła Anita. – Otto, mamy wolne krzesło. Siadasz?

– Pewnie. Ale mówię wam, pojawienie się Seta we Francji to dobry znak.

– Niby czemu?

– To może znaczyć, że czuje się bezpieczniej. Traci czujność. Tak długo nic mu nie groziło... To nasza nadzieja. Może popełni wkrótce jakiś błąd, który pozwoli nam go złapać!

– Jaki błąd? – zważyła Astrid, przygaszona. – Nie sądzę, by zrobił coś tak głupiego, co miałyby aż takie skutki. Poza tym... – Zawahała się. – Nieważne.

Odwróciła wzrok, postanawiając nie odzywać się już więcej. Zgodnie z rozkazem, który nie był dla niej do końca jasny. Dlaczego Ra nie chciał, by wszyscy wiedzieli, że próbuje przeciągnąć Seta na swoją stronę? Czemu było to takie ważne, by wszyscy mieli go za najważniejszego przeciwnika? Za wroga? Przecież jedynym ich prawdziwym nieprzyjacielem był Apophis. Nie Set. On nie był przecież aż tak zły... Czy mogli o tym zapomnieć? I tak bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co mówił im Ra...?

Przecież nie mogą! – pomyślała Astrid.

Tu działo się coś, czego nie rozumiała. Nie mogła znaleźć dobrego powodu, dla którego Ra postanowił sprowadzić ich akurat tutaj, do hotelu nad jeziorem. Dlaczego chciał mieć siedzibę w świecie ludzi? Czemu nie w świecie bogów? W księżycowym wymiarze. Tam, gdzie ich miejsce. Gdzie ich opuszczone przed wiekami pałace. Dlaczego nie otworzył przed nimi bram swojej podniebnej siedziby? Tam nikt nie byłby równie silny jak on... Do czego potrzebni mu ludzcy strażnicy i pomocnicy? Dlaczego zależy mu na ich obecności? Przecież sami daliby sobie radę. Byli bogami.

Próbowała opowiedzieć kiedyś o swoich wątpliwościach Esterze. Chciała się upewnić, czy tylko ona dostrzega to wszystko. Chciała, by ktoś jej wyjaśnił, o co chodzi, by ją przekonał. Ale przyjaciółka zdawała się nie podzielać jej obaw. Zupełnie jakby nie dostrzegała niczego niepokojącego. Nikomu innemu z ich grupy nie odważyła się o tym powiedzieć. Ani Anicie, ani Bairre, Amandzie czy Mogali. Ani bliźniakom, ani Otto. Bo skoro Izyda nie podzielała jej opinii... Oni tym bardziej tego nie zrobią.

W dawnych czasach były przecież z królową magii siostrami.

Zniechęcony, Briant rozejrzał się po pustej przestrzeni. Gdyby nie wiedział, że znajdował się tu kiedyś wielki kompleks świątynny, chyba nigdy by się tego nie domyślił.

Prawie całą godzinę spędził na przeszukiwaniu okolicy, ale nie zachowało się z niego ani jedno podziemne pomieszczenie. Ani nawet jego fragment.

Sahara początkowo z zapałem ganiała wokoło, szukając ciekawych tropów, ale nawet ona straciła w końcu chęci i położyła się na nagrzanym piasku, skąd leniwie obserwowała spacerującego wśród pustki boga, pogrążonego w rozmyślaniach na temat bezcelowości swoich działań.

– Bez sensu – mruknął po raz kolejny i kopnął leżący na ziemi kamień, który potoczył się, wydając przy tym dźwięk kojarzący mu się, nie wiedzieć czemu, z biciem bębnow.

Znieruchomiał ze zdziwieniem. A potem jego źrenice poszerzyły się gwałtownie, gdy w głowie zajaśniała mu nowa wizja.

Ceremonialne bębny wybijały równy rytm, od którego wibrowało powietrze. Czuł na sobie ciężar bogatej zbroi. Nikt nie miał mu równej. Nawet promieniejący Ozyrys, dumnie stojący przed królewskim tronem.

Stał w cieniu, obok precudnie wystrojonych sióstr. Wbijał niechętnie spojrzenie w brata, wyobrażając sobie, że to on zamiast Ozyrysa stoi w blasku wojennej chwały. Pogrążony we własnej złości, niemal nie słyszał przemawiającego brata. I całe szczęście, bo nie mógłby znieść malowanych przez niego obrazów wielkich zwycięstw. W końcu nie mógł już nawet na niego patrzeć.

Wbił pochmurny wzrok w niekończącą się procesję jeńców. I wtedy dostrzegł ją. Trzymaną na boku między strażą. W zakurzonej szacie, ale o dumnie uniesionej głowie. O fali włosów w kolorze najczarniejszej nocy. O delikatnych rysach i lśniących oczach, w których migotał ogień niezwyklej siły.

Przekrzywił lekko głowę, przypatrując się jej z uwagą. Zapomniał o Ozyrysie. Zapomniał o wygranych bitwach. Zapomniał o zazdrości. Była tylko ta dziewczyna, na której widok jego serce przyspieszyło i która urodą przyćmiewała nawet olśniewającą Hathor.

Zawirowało mu w głowie. Gdy wizja rozplynęła się w nicość, jak porażony wpatrzył się w przestrzeń.

Pamiętał ją. Lepiej niż wszystko. Lepiej niż wszystkich.

Zacisnął powieki, ponownie przywołując ulotne wspomnienie dziewczyny z przeszłości.

– Astarte – wyszeptał w pustkę.

Odpowiedział mu tylko wiatr.

Astarte. Była jedyną, która kiedykolwiek naprawdę coś dla niego znaczyła. I której wspomnienie wciąż przywoływało echo dawnego bólu.

– Jaki macie plan na dziś? – zapytała zarumieniona Bairre. – Ja ćwiczenia indywidualne, potem siłownię, a na koniec... tkactwo. No dobra... Mam nadzieję, że na siłowni mają chociaż strzelnicę!

– Ja zaczynam od sztuk walki, a potem mam ćwiczenia indywidualne – powiedziała powoli Astrid. – A na koniec coś, co nazywa się „drogi do Dat”. Myślicie, że będą mnie

uczyć o Krainie Umarłych? Wątpię, by mieli mi do powiedzenia coś, czego nie wiem.

– Ja zaczynam od jakiejś głupiej „strategii wojskowej” – jęknęła Amanda. – Ale beznadzieja.

– Ja tak samo – wtrąciła Anita, która wyglądała na bardzo niewyspaną.

– A ja zaczynam od godziny wolnego! – zawołała triumfalnie Mogali. – I co, kto jest najfajniejszy? Kto?

Amanda wywróciła oczami.

– Estera, a ty? Jakie masz zajęcia?

Poruszyła się niespokojnie.

– Sztuki walki, ćwiczenia indywidualne, istota magii – szepnęła.

– Super! – zachwyciła się Astrid. – Pierwsze dwie godziny mamy takie same!

Uniosła kąciki ust w imitacji uśmiechu.

– Taa, super.

To będzie jakaś katastrofa. Wiedziała to na pewno. Przerazona nie mogła spać całą noc... Nie ma opcji, by udało jej się długo udawać Izydę. Zdemaskują ją. A prawdziwa Izyda... Tym razem na pewno jej nie pomoże. Nie odezwie się, tak jak przez ostatnie trzy miesiące.

Była zdana tylko na siebie.

Nie może jej się udać. To niemożliwe.

Rale w milczeniu przypatrywał się ściskanej w dłoni kartce. Strategia wojskowa, ćwiczenia indywidualne, godzina wolnego. Zmarszczył brwi.

Jak bardzo chciałby być teraz zupełnie gdzie indziej... To nie było jego miejsce.

Zwrócił złote oczy ku oknu. Tak bardzo chciał stąd uciec... Ale nie mógł. Najpierw musiał go znaleźć. Ją odzyskać. I dowiedzieć się jak najwięcej na temat planów fałszywego Ra. Dopiero gdy osiągnie to wszystko... Wtedy będą mogli uciec. Razem. I zrobią to natychmiast.

Zerknął w stronę stolika znajdującego się po drugiej stronie sali. Może przynajmniej będzie miał z nią jakieś zajęcia... Z tą uroczą dziewczyną o spiętych w ogromny kok włosach koloru czekolady, która wpadła na niego na schodach w pierwszy dzień, gdy tu przyjechał. Widział, jak śmieje się do siedzącej obok Estery, gestykulując z ożywieniem. Ostatnio odkrył ze zdumieniem, że brakowało mu lśniącego brązu jej oczu. Niestety nigdy nie patrzyła w jego stronę. Nigdy. Ale i tak stanowiła jedyny pozytywny aspekt wyjazdu. I jedyny, dla którego odrobinę mniej palił się do ucieczki. I by zrobić to, co od zawsze planował.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. Gdy wyłonił się z cieni, uderzył go unoszący się w powietrzu chłód, tym wyraźniejszy po gorącym wietrze pustyni.

– Cześć! – zawołała czekająca przed furtką Sonia, opatulona wełnianym swetrem.

Zwrócił na nią zamyślony wzrok. Jego serce w jednej chwili zamarło. Wstrzymał oddech.

Niemożliwe...! – pomyślał Briant.

– Wszystko dobrze? – zaniepokoiła się Sonia. – Pobladłeś...

Myśli szalały mu w głowie. Ledwo mógł nad nimi zapanować. Ona... Przez jedną krótką chwilę wydała mu się tak podobna... Zmarszczył brwi. Nie. To głupie. Jak mogłaby...?

– Zimno tu – powiedział, z trudem odpychając niepokojące myśli. Gdzieś w oddali dał się słyszeć warkot silnika. – Może dlatego.

W jej oczach dostrzegł zwątpienie.

– Może czas porzucić krótkie rękawki, co? Możemy wejść do środka, jeśli chcesz.

– Nie, nie trzeba. – Szybko podał jej „Domy bogów”. – Masz, dla ciebie.

– Dzięki! – Ostrożnie przejęła książkę, jakby była bezcennym skarbem. – Ale ciężkie!

– A co myślałaś? Egipskie świątynie to bardzo obszerny temat.

– Wiem. – Uśmiechnęła się blado. – Sama miałam okazję jedną zwiedzać.

Odwzajemnił uśmiech. Chciał nawet coś powiedzieć, jednak w tym momencie ogromny samochód wtoczył się na podjazd, oślepiając ich reflektorami. Briant cofnął się o krok i wbił wzrok w widniejący na boku auta napis. Lodowaty uścisk przerażenia zacisnął się na jego gardle.

Policja!

– Spokojnie – rzuciła nerwowo Sonia, zerkając w szybę, aby upewnić się, że przyjaciel ukrywa swą prawdziwą twarz pod iluzją. – To tylko mój tata.

– Co? – syknął. – Twój tata jest...?

Zrobiła skruszoną minę. Przyciemniana szyba zsunęła się, ukazując kierowcę.

– Cześć, Sonia! – zawołał pogodnie.

– Cześć, tato. – Uśmiechnęła się szeroko. – Szybko dziś przyjechałeś z pracy.

– Tak, akurat tak się dziś złożyło. Były podejrzenie małe korki.

Intensywnie wpatrujący się w chodnik Briant poczuł na sobie jego zaciekawione spojrzenie. Przed oczami mignęły mu wypełnione bólem wspomnienia. Z trudem powstrzymał chęć ucieczki.

– Kim jest twoja nowa koleżanka? – zapytał tata przyjaźnie. – Znacie się ze szkoły?

– Nie – odparła po chwili wahania. – Poznałyśmy się latem.

– Miło mi poznać – oznajmił Zygmunt Milewski, spoglądając na nową znajomą córki. Gdy w najmniejszym stopniu nie okazała, że zauważyła jego obecność, zmarszczył brwi.

– Tato... – próbowała ratować sytuację Sonia. – To Marysia... Żaluzja. Jest bardzo nieśmiała...

– Aha. Nie stój tu za długo, jest już zimno – rzucił chłodniej, po czym wjechał na podwórko przez otworzoną już bramę. Odprowadziła go niemalże załamany spojrzeniem.

Co on sobie pomyślał...

– Twój tata jest gliną?! – wybuchł Briant. – I nigdy nie raczyłaś mi o tym choćby wspomnieć?!

– Wybacz – jęknęła. – Chciałam ci powiedzieć... Tylko bałam się, że wtedy nigdy

mi nie zaufasz...

– Co? – Aż zadrzał ze złości. – A dlaczego teraz mam ci ufać?! Skąd mogę wiedzieć, czy mu o wszystkim nie powiedziałaś? Albo jeszcze lepiej! Że sam się wszystkiego nie domyślił?

– Nie, na pewno nie... Posłuchaj!

Rzucił jej ostatnie urażone spojrzenie, po czym cofnął się w cień i natychmiast zniknął.

Nerwowo przygryzła wargę. Gdyby tylko mógł to zrozumieć... Ale wątpiła, by dla niego było to tak jasne jak dla niej. Dlatego też nigdy mu o tym nie powiedziała. Poza tym... bała się, jak mógłby zareagować.

Jak widać, słusznie.

Podłamana wróciła do domu.

– Sonia? – zawołał tata z kuchni, gdy usłyszał trzask zamykanych za nią drzwi. – Mogłabyś tu podejść?

– Jasne – westchnęła, zrzucając skórzane trzewiki.

Z ociąganiem przysła do kuchni, przytulając do siebie książkę.

– Tak?

Zajęty robieniem kawy, tata rzucił jej rozbawione spojrzenie.

– Powiedz, czy naprawdę jestem aż tak przerażający? Twoja koleżanka wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. A może to jej naturalny wyraz twarzy?

Zmusiła się do bladego uśmiechu.

– Nie, nie naturalny, tato. Ona jest szalenie sympatyczna, naprawdę. Tylko... bardzo nieśmiała. Na początku.

– Nieśmiała to może i jest. Ale to nie usprawiedliwia złego wychowania.

– Tato! – jęknęła. – Ona...

– Sonia, kochanie. Nie powiedziała nawet dzień dobry.

Zamilkła, nie mając pomysłu, jak to wyjaśnić.

– Ona jest z zagranicy... Słabo zna polski – wydusiła w końcu.

Spojrzał na nią z z troskaniem.

– Przecież mogła się przywitać po angielsku, aż taki słaby nie jestem, by tego nie zrozumieć. Nie jestem pewien, czy to na pewno odpowiednia koleżanka dla ciebie. Jesteś taka miła i dobra... Uważaj, żeby nie zaprowadziła cię na manowce. Źle jej z oczu patrzyło.

– Tato! Jak możesz...? Przecież ty nic o niej nie wiesz. Zobaczyłeś ją pierwszy raz w życiu i już ci się wydaje, że ją znasz na wylot! A poza tym nie jestem głupia! Mam swój rozum.

– Oczywiście, że tak... Ale z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Po prostu uważaj. Wywróciła oczami.

– Tak, tak. Nie jestem już dzieckiem! Wiem, co robić. Nie musisz się o mnie ciągle bać.

– Muszę, Sonia. – Jego głos dobiegł ją, gdy ze złością szła w stronę schodów. – Od tego są rodzice.

– Jasne – mruknęła. – Niestety.

Czasem miała dość ich nadopiekuńczości. Powinni jej zaufać! Przecież wie, z jakimi ludźmi powinna się trzymać!

Z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi i rzuciła „Domy bogów” na łóżko, a następnie opadła na narzucony na pościel koc.

Gdyby znali prawdę... Gdyby znali Brianta...

Westchnęła z bólem.

Byłoby jeszcze gorzej. Oszaleliby z przerażenia. Przecież zawsze z całych sił starali się chronić ją przed złem. Kategoriecznie kazaliby jej trzymać się od niego z daleka. Jej tata na pewno musiałby to zgłosić. Może nawet interweniować.

Nigdy by go nie zaakceptowali. Dla nich zawsze byłby tym złym. Może jedynie Lilia byłaby skłonna to zrozumieć. To wyjaśniłoby przecież jej wizje... Choć... Czy strach nie byłby silniejszy?

Ja przecież uciekłam, choć uratował mi życie.

Zacisnęła powieki. Nie chciała więcej kłamać...! Nie chciała więcej kryć przed rodziną tego, co stało się dla niej tak ważne... Przecież nigdy nie miała przed nimi żadnych tajemnic. Żadnych! Ufali sobie bezgranicznie i dzielili się wszystkim, co tylko im się przydarzało. A teraz... Teraz musiała patrzeć, jak rośnie pomiędzy nimi mur niewyjawionych tajemnic. Jak ona sama go buduje... Dzień za dniem. Spotkanie za spotkaniem. Rozmowa za rozmową.

– Ja tak dłużej nie chcę – szepnęła, czując wzbierające łzy.

Rozdział dziewiąty

CIENIE ŚWIĄTYŃ

Zamknęła za sobą drzwi i zrzuciła wypchaną książkami torbę na ziemię. Wreszcie piątek... Całe szczęście! Potrzebowała odpoczynku. Od wszystkiego.

Zerknęła w stronę nocnej szafki. I zamarła.

Była pusta.

Zlustrowała uważnym spojrzeniem cały pokój. Parapet. Biurko. Podłogę. Serce podeszło jej do gardła.

– Gdzie ona jest? – jęknęła nerwowo.

Zostawiła ją na szafce. Na sto procent.

– Lilia! – zawołała ze złością, jak burza wpadając do pokoju siostry. – Gdzie jest moja książka?!

Dziewczynka uniosła głowę znad otwartego w połowie tomu.

– Ta?

Sonia aż zadrżała, rozpoznając „Domy bogów”.

– Tak! Oddawaj, jest moja.

Lilia skrzywiła się nieco.

– Spokojnie, co się tak złościysz... Tylko przeglądałam. I tak z niej nie korzystałaś.

– I co z tego? Kto w ogóle pozwolił ci ruszać moje rzeczy?

– Nikt. Ale przecież zabieram ci wszystko od zawsze.

– Widocznie w końcu zaczęło mi to przeszkadzać. Oddawaj.

Siostra z ociąganiem podała jej książkę.

– Nie wiedziałam, że lubisz czytać po angielsku – rzuciła.

Sonia wzruszyła ramionami, kartkując tom, jakby w poszukiwaniu uszkodzeń.

– Czemu nie? To dobre ćwiczenie językowe.

– Niby tak. Ale czemu czytasz akurat coś takiego?

– Bo jest ciekawe.

– No, domyślam się, że musi cię ciekawić. Nie wiedziałam tylko, że aż tak interesujesz się Egiptem.

– To niedawno odkryta pasja.

– Tak jak moja! – Rozpromieniła się. – Wiesz? Ta książka jest super! Cały rozdział poświęcono Setiemu!

Sonia znieruchomiała.

– Komu?

– Setiemu I. To taki faraon.

Wpatrzyła się w Lilię z napięciem.

– Czy on ma coś wspólnego z Setem? Pewnie tak, skoro cię tak interesuje.

– Tak! Jego imię wyraża podziw dla jego potęgi. Super, nie?

Sonia zmarszczyła brwi.

– On był naprawdę fajnym królem – mówiła Lilia tymczasem. – I zbudował fantastyczną świątynię w Abydos! Tak strasznie chciałabym ją kiedyś zobaczyć...

– To świątynia Seta?

– Nie. Akurat Ozyrysa. Ale i tak chciałabym ją zwiedzić. Wiesz, strasznie by było fajnie, jakby można było zwiedzać świątynie Seta – westchnęła Lilia. – Ale niestety ich nie ma. W pewnym momencie, gdy wszyscy go tak strasznie zaczęli nie lubić, miejsca, gdzie stały, zostały uznane za nieczyste i je opuszczono. I przez to nie mogę ich zobaczyć. To okropne!

Sonia zmrużyła uważnie oczy. Jej tętno przyspieszyło.

– Kiedy opuszczono te świątynie?

– A skąd mam to wiedzieć? Nie jestem historykiem – prychnęła młodsza z sióstr.

– Nie oczekuję, że podasz mi konkretną datę! Ale kiedy to było? Tuż przed upadkiem Egiptu? Wcześniej?

– Jasne, że wcześniej. Dużo wcześniej.

Z wrażenia aż musiała oprzeć się o ścianę.

– O rany... Dzięki, Lilia.

Odwróciła się na pięcie i wypadła na korytarz.

– Nie ma za co...? – Uchwyciła jeszcze zdziwiony głos dziewczynki.

Miała pomysł. Ogromnie ważny. Gdyby jeszcze okazał się prawdziwy...

Przypadła do biurka i otworzyła komputer. Przeczytawszy kilka stron na temat Setiego I i świątyni w Abydos, była już pewna. Zsunęła się na podłogę i wysunęła spod szafy pudełko z piaskiem. Napisała:

„Coś wymyśliłam. Musimy się zobaczyć”.

Z napięciem obserwowała złotą powierzchnię. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone.

To musi być to!

Nie odzywał się tak długo, że aż zaczęła się niepokoić. Ale w końcu, gdy niemal straciła nadzieję, odpowiedział:

„Kiedy? Jutro czy znowu masz jakąś wycieczkę rowerową?”

„Teraz”.

„Teraz?”

„Tak”.

„No dobrze. Zaraz będę”.

Zerwała się z fotela, porwała książkę i już po chwili była przy drzwiach.

– Wychodzę! – zawołała, zarzucając na siebie płaszcz.

– Gdzie? – zdziwiła się mama, pojawiając się w wejściu do salonu.

Na widok jej eleganckiej sukni Sonia znieruchomiała.

– Na zewnątrz...

Mama zmarszczyła brwi.

– A kto zostanie z Lilią?

Otworzyła szerzej oczy. Opera!

– Och. Zapomniałam – wyjąkała.

– A gdzie się wybierasz? – zainteresował się tata, wraz z dziadkami wyłaniając się z kuchni.

– Na spotkanie z koleżanką.

– Może zamiast tego zaprosz ją do siebie? – zaproponowała mama, wsuwając nogi w czarne szpilki. – Zróbcie sobie wieczór filmowy albo coś. Lilka się ucieszy, no i nie będę się musiała martwić, że jest sama. Może być?

Zawahała się.

– Chyba tak. To ja... W takim razie po nią pójde.

Sięgnęła w stronę klamki.

– Kazałaś jej czekać na zewnątrz? – przeraziła się babcia. – Trzeba było od razu zaprosić ją do środka!

– Nie chciała się narzucać. Ona jest...

– ...bardzo nieśmiała? – dokończył tata, uśmiechając się porozumiewawczo.

Poczuła, jak palą ją policzki.

– Tak. Właśnie.

Nim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, wypadła na zewnątrz. Ze zdziwieniem zauważyła, że przed furtką było pusto. Niepewnie wybiegła na chodnik i rozglądnęła się we wszystkie strony. Szepnęła w noc jego imię.

– Tu jestem.

Wyłonił się z cienia po drugiej stronie ulicy i ostrożnie spojrzął w stronę domu.

– Już myślałam, że obraziłeś się na śmierć i jednak nie przyjdiesz!

Zerknął na nią ponuro.

– Nie myśl, że tak łatwo ci to zapomnę. Możemy już iść? Wolałbym nie spotkać ponownie twojego taty.

– Tak... Niestety kompletnie zapomniałam, że nie mogę dzisiaj nigdzie wyjść. Może wpadniesz do środka? Tylko na chwilę.

– Chyba żartujesz! Nie ma mowy.

– Taty nie będzie. Tylko Lilia. Cała reszta rodziny wybiera się do opery. No chodź... Muszę ci wszystko opowiedzieć. To może być strasznie ważne.

Zawahał się.

– No, dalej! – Złapała go za rękę i pociągnęła w stronę furtki. – I tak jesteś dla nich wszystkich tylko jedną z moich znajomych.

Ustał bez przekonania.

Gdy dochodzili do drzwi, te niespodziewanie otwarły się na oścież, wypuszczając na jesienny chłód cztery sylwetki.

– To jest Marysia! – zawołała Sonia wesoło. – Chyba nie mieliście jeszcze okazji jej poznać. Bawcie się dobrze! Do zobaczenia!

Wepchnęła przyjaciela do środka i zamknęła drzwi.

– No. Udało się – odetchnęła.

Briant ciekawie rozejrzał się po przedpokoju, czekając, aż Sonia ściągnie płaszcz. Potem poprowadziła go na górę. W korytarzyku na piętrze natknęli się na Lilię, która na widok boga pustyni gwałtownie wytrzeszczyła oczy i upuściła szklankę z sokiem. Szkło rozprysło się na podłodze.

– Lilia! Ty niezdar! – zawołała Sonia, otwierając drzwi swojego pokoju. – To jest Marysia. Nie przeszkadzaj nam.

– Ale... Nie będziemy oglądać filmu? – wyjęczała siostra, wpatrując się

intensywnie w jego twarz. – Obiecałaś! A ja specjalnie kupiłam bajkę o starożytnym Egipcie!

– Obejrzymy później. Jak Marysia już pójdzie, a ty to posprzątasz. Zajmij się sobą. Zamknęła jej drzwi przed nosem i dopiero wtedy odrobinę się rozluźniła.

– Ona na pewno nie wie, kim jestem? – zdenerwował się Briant, niespokojnie zerkając na drzwi.

– Na pewno.

– Bo wyglądała trochę, jakby mnie rozpoznała. Nie uważasz?

Skrzywiła się.

– Trochę tak... I to jest bardzo dziwne. Przecież to niemożliwe! Może coś innego ją zaskoczyło? Na przykład to, że jesteś najbardziej emo znajomą ze wszystkich moich przyjaciółek.

– Na pewno – prychnął, ostrożnie przysiadając na fotelu. – To co takiego wymyśliłaś?

Jej oczy zaśniły.

– Coś genialnego. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Uniósł brew.

– Ach tak?

– Tak. Słuchaj. – Usiadła na łóżku i sięgnęła po „Domy bogów”. – Ale najpierw... Wiedziałeś, że tu z tyłu jest mapka ze wszystkimi znanymi świątyniami?

Kiwnął głową.

– Tak. Byłem we wszystkich, które są tu zaznaczone. A nawet jeszcze w innych. Nic tam nie ma. Zostały po nich tylko cienie.

– Czyli nie ma w nich berła?

– Nie.

Kiwnęła głową. Tak jak się spodziewała.

– A sprawdzałeś w Abydos? – zapytała niewinnie. – W świątyni Setiego I?

Spojrzał na nią, jakby oszalała.

– Oczywiście, że nie! To miejsce poświęcone Ozyrysowi. Nie zbliżam się tam.

– I być może to jest błąd – oznajmiła z powagą. – Uważam, że berło może być właśnie tam.

– Szczerze wątpię. Niby skąd ci się to wzięło?

– To logiczne.

– Nie.

– Tak! Tylko posłuchaj. Wszystkie twoje świątynie zostały opuszczone, gdy Egipcjaci daleko było do upadku, prawda?

– Tak. Zaczęli mnie nienawidzić z dwóch powodów. Po pierwsze, przez zniszczenie Miasta na Środku Pustyni. Po drugie, przez Hyksosów, którzy opanowali Egipt i na swojego głównego boga wybrali właśnie mnie. To był mądry wybór z ich strony, choć niekoniecznie dobrze na tym wyszedłem. – Spochmurniał odrobinę. – Rdzenni Egipcjanie, szczególnie ci z ruchów wyzwoleniczych, zaczęli czuć do mnie coraz większą niechęć. Utożsamiać z najeźdźcami, z wrogami... Potem zupełnie mnie znienawidzili. Ale nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z berłem. To było wieki

przed tym, jak zapadliśmy w sen. Wieki przed upadkiem.

– No właśnie! Wieki przed! Pomyśl. W momencie, kiedy oddawałeś swoim kapłanom berło, nie było już twoich świątyń. Wiemy, że nie zanieśli go do Miasta na Środku Pustyni. Ani że nie ukryłeś go w Pałacu Pośród Piasków. To oznacza, że musieliście wymyślić coś innego. Co takiego...?

Zerknęła na niego wyczekująco.

– Nie wiem – zirytował się. – Praktycznie nic nie pamiętam z tego okresu! Ale ty ponoć znasz odpowiedź. Więc słucham.

Poruszyła się z ekscytacją.

– Tak. Popatrz... Nie było już żadnych twoich świątyń. Twoi kapłani byli niepopularni i pewnie musieli konspirować. Musieli znaleźć kryjówkę, która przetrwa wieki. Ale też taką, żebyś mógł o niej pamiętać.

Skrzywił się powątpiewająco.

– I ty myślisz, że wybrali Abydos? To bez sensu.

– Z sensem! W Abydos znajdowała się wielka, wspaniała świątynia.

– Ozyrysa.

– No właśnie. Ozyrysa, z którym jesteś bardzo silnie związany. Przez ciebie zginął. Dlatego wybierając kryjówkę, mogli pomyśleć właśnie o nim... Mielicie pewność, że będziesz o nim pamiętał. Zawsze i wszędzie.

Zmrużył oczy.

– W Abydos znajduje się jego grób...

– To tym bardziej! I na dodatek świątynię ufundował Seti I. Faraon, który nosił imię na twoją cześć. Tyle powiązań... Nie uważasz, że to może być to? Że mogliście wymyślić właśnie coś takiego?

Wpatrywał się w nią z oszołomieniem. Tysiące myśli wirowało mu w głowie.

– Nie mam pojęcia – szepnął. – To trochę naciągane... Wydaje mi się, że raczej wybrałbym inne miejsce... Bardziej bezpośrednio ze mną powiązane. Ale z drugiej strony... To nie jest złe, chyba. Ozyrys. Seti I...

– I ten list – dorzuciła zduszonym głosem. – Ktokolwiek mi go podrzucił, może rzeczywiście chciał nam pomóc... Gdyby nie on, nigdy byśmy na to nie wpadli.

– Ten list – powtórzył jak echo. A potem uśmiechnął się blado. – O rany. Sonia. To może być to.

– Myślisz?!

Jego oczy załśniły.

– Tak. To... To mogłoby też wyjaśnić, dlaczego dotąd nie natrafiliśmy nawet na najmniejszy ślad berła... Po prostu szukaliśmy tam, gdzie nigdy nie miało go być! Będę musiał się tam wkrótce wybrać.

– A ja z tobą!

– Nie.

– Tak!

– Nie! Przecież mówiłem: nigdy więcej. Znowu coś ci się stanie!

– Wcale nie, zobaczysz...! – Wbiła w niego błagalne spojrzenie. – Abydos to cywilizowane miejsce w porównaniu z twoim miastem. Bardzo chciałabym je

zobaczyć... No i nie ma tam przecież przeklętych kapłanów i morderczych pułapek...

– A skąd wiesz? Może są?

– Na pewno nie ma! Proszę...

– Nie.

– Beze mnie nigdy byś nie wpadł na to, żeby tam pójść – oburzyła się. – Dlatego mam prawo iść tam z tobą. Koniec, kropka.

Uniósł brew powątpiewająco.

– To zasługa tego, kto przyniósł list, nie twoja. A zresztą, żadna różnica. I tak cię ze sobą nie wezmę. Nie ma opcji.

Spojrzała na niego ze złością. Jednak nim zdążyła się odezwać, drzwi otworzyły się ostrożnie i do pokoju zajrzała Lilia.

– Mogę wejść? Nie chcę siedzieć sama.

– Nie – warknęła Sonia, rzucając bogu pustyni urażone spojrzenie. – Zresztą Marysia właśnie wychodzi. Idź włącz tę swoją bajkę, zaraz do ciebie zejde.

– Okej – ucieszyła się Lilia, obrzuciła Brianta dziwnym spojrzeniem i uciekła.

– O co chodzi? – zapytał niepewnie.

– Już czas na ciebie – odparła chłodno, wstając z łóżka.

Mrugnął ze zdziwieniem i także wstał.

– No dobrze.

W milczeniu zeszli na parter. Otworzyła drzwi i wpatrzyła się w niego z urazą.

– Jesteś niemożliwa – mruknął, mijając ją. – Naprawdę nie rozumiesz, że po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało?

– A co może mi się stać w popularnych ruinach, na dodatek z tobą? – odparła z rozdrażnieniem. – To słaba wymówka. Nie nabierzesz mnie na nią.

– Wymówka? – zdenerwował się. – Czy ty słyszysz samą siebie? Co ci się w ogóle stało? Wcześniej się tak nie zachowywałaś!

Wyprostowała się.

– Może wreszcie postanowiłam dokonywać własnych wyborów.

– Lekceważenie ryzyka to zły wybór.

– Tyle że bez ryzyka nie da się niczego osiągnąć w życiu. Nieprawdaż?

Nim zdążył odpowiedzieć, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Zacisnął ze złością usta i odszedł w noc.

Rozdział dziesiąty

DESPERACJA

Gdy Briant szedł tak doskonale znanymi sobie ulicami, hałas wielkiego miasta docierał do niego niczym zza grubej zasłony. Jakby znajdował się w kolejnym śnie, a nie w rzeczywistym świecie.

Wreszcie zza rogu wyłoniła się piękna kamienica. Serce załomotało mu w piersi. Lodowate dłonie drżały, brakowało mu tchu. Zatrzymał się naprzeciw budynku, na którego ozdobnych drzwiach widniało ostrzeżenie wraz z informacją, że grozi zawaleniem i jest przeznaczony do rozbiórki. Uniósł spojrzenie w stronę ostatniego piętra, gdzie w miejscu wielkich okien i szorstkiej ściany znajdowała się ogromna dziura, od której na wszystkie strony, niczym trucizna, rozchodziła się sieć zabójczych pęknięć.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, ignorując trąbienie oburzonych kierowców, którym wyszedł przed maskę. Położył dłoń na klamce i nacisnął. Ku jego zaskoczeniu ustąpiła. Drzwi uchyliły się z potępięcym zgrzytem. Wstrzymał oddech i wkroczył na marmurową posadzkę, niegdyś lśniącą i czystą, teraz pokrytą kurzem.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem za jego plecami. Podeszedł do schodów i musnął dłonią mosiężną balustradę. Uniósł wzrok hen ku górze, wsłuchując się w panującą wokół martwą ciszę. Odgłosy ulicy zniknęły zupełnie, jakby po przestąpieniu progu kamienicy wkroczył do innego świata. Jedynie gdzieś z oddali dobiegał smutny świst wiatru.

Zamknął oczy i rozpoczął wspinaczkę, wyobrażając sobie, że wciąż tętni tu życie, że nie wydarzyło się nic złego. Że wciąż jest kimś zwykłym. Kimś szczęśliwym.

Uniósł powieki, a rozświetlona słońcem klatka schodowa ze wspomnień na powrót stała się szara i opuszczona.

Wreszcie schody się skończyły i znalazł się na ostatnim piętrze. Spojrzał na uchylone drzwi, na których wciąż znajdował się numer 7. Podeszedł bliżej, słysząc jedynie bicie swego serca i tańczące w pustce powietrze. Ostrożnie pchnął drzwi i wkroczył do środka. Z oszołomieniem rozejrzał się po przestrzeni, która niegdyś była jego domem.

Głosy w jego duszy szeptały z przerażeniem, że nie powinien był tu przychodzić. Że nie jest gotowy. Z trudem łapiąc oddech, skierował się w stronę wejścia do salonu, starając się nie dostrzegać otaczającej go pustki osmalonych ścian. Gdyby nie wiedział, raczej nie odgadłby, że był to niegdyś salon. W miejscu okien znajdowała się dziura. Część sufitu zapadła się. Nie było nawet ściany działowej od strony kuchni. Pośród nielicznych już gruzów wirowały zaschnięte liście.

Zachwiał się i oparł o czarną ścianę.

To tu zginęli!

Cierpienie wykrzywiło jego rysy. Nie był w stanie skupić się na konturach otaczającej go rzeczywistości. Zacisnął powieki, walcząc z echem przeszłości.

Był tu pierwszy raz, odkąd to się stało. Dokładnie pięć miesięcy temu. Od tamtego czasu łączył wyschły, a ból po ich stracie zmalał. Ale nie zniknął. Nigdy nie zniknie.

Wydało mu się, że szum wiatru rodzi jakieś szepty. Znieruchomiał, a one wzmagaly się z każdą chwilą. Bał się je zrozumieć, ale z drugiej strony tego pragnął. Jego ręce

drżały.

– Wiedziałem, że w końcu tu przyjdiesz – odezwał się ktoś niespodziewanie.

Otworzył oczy i wbił je w dziurę po drzwiach. Tajemnicze szepty zamilkły. Stojąca w progu postać wysokiego chłopaka o bezładnych, pszenicznych włosach wydała mu się dziwnie znajoma. Dopiero po chwili zrozumiał skąd. Jego rysy stężały.

– Oliververver – powiedział cicho. – Nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy. Co tu robisz?

Blondyn przekrzywił głowę. W jego oczach czał się dziwny błysk. Nie było śladu po okropnym kolczyku, którym przekłuł sobie w wakacje nos.

– Czekam na ciebie. Nie masz pojęcia, od jak dawna próbujemy się z tobą skontaktować.

– Chyba jednak wiem. Nie jesteście zbyt dyskretni. Poza tym przecież rozmawiałem z Neftydą. Jej się nie udało, to wysłali ciebie? Jeśli chcesz tego samego co ona, to odpowiedź wciąż brzmi nie. I zawsze będzie tak brzmiała.

Chłopak wpatrywał się w niego czujnie.

– Neftyda? Coś ci proponowała?

Wywrócił oczami.

– Nie udawaj, że o niczym nie wiesz! Obaj wiemy, że nie jestem głupi. Ty też chyba nie jesteś aż tak tępy, żeby wierzyć, że mnie na to nabierzesz.

– Chyba nie. I dlatego jestem szczery. Nie jestem bogiem, Secie. Nikt z nas nie jest.

Briant zmrużył oczy. Próbował wyczuć, czy dawny znajomy z obozu kłamie, ale nie był pewien.

– Jacy „my”?

– Wciąż nie wiesz? Naprawdę...?

– Niby czego?

– Kim jesteśmy.

– No kim?

Blondyn z powagą uniósł rękę. Na środkowym palcu prawej dłoni lśnił ozdobny złoty sygnet z wygrawerowanym symbolem o nieco dziwnym kształcie. Briant zmarszczył brwi. Gdzieś z tyłu głowy zamigotało odległe wspomnienie. Ten znak... Skądś go znał. Na pewno. Ale nie miał pojęcia skąd.

– Nie przypominasz nas sobie? – szepnął Oliver z zawodem. – Naprawdę?

– Nie. Powinienem?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć! Ale... to na pewno tylko kwestia czasu, gdy wszystko zrozumiesz. A wtedy chcę, byś coś pamiętał. Niektórzy wciąż stoją po twojej stronie.

Zdętwiał.

– Po mojej stronie?

– Tak... Ale musisz odzyskać berło jak najszybciej. Inni zaczynają wątpić.

– Skąd wiesz o...?

– Abydos – przerwał blondyn, poważniejąc. – Powinieneś tam iść.

Cofnął się o krok.

– Abydos? To ty dałeś Soni list? Dlaczego?

– Zobaczysz, jak już się tam znajdziesz. Musisz tam pójść.

– Ja nic nie muszę!

Oliver uniósł brwi.

– Tak? A mnie się wydawało, że musisz odzyskać Berło Zniszczenia. Inaczej nigdy nie staniesz się w pełni sobą. Czyż nie tak?

Posłał Władcy Piasków rozbawione spojrzenie i odwrócił się w stronę wyjścia. Briant odprowadził go zaskoczonym wzrokiem, aż zniknął za ścianą. Umysł wypełniał mu chaos myśli. Kim on był?

Musiał się dowiedzieć.

Wypadł na klatkę schodową, ale po Oliverze nie było już śladu. Zupełnie jakby rozpląnął się w powietrzu.

Sokół przemknął nad koronami starych drzew, rozkoszując się poczuciem upragnionej wolności. Zanurkował w stronę ciemnej bryły zamku i z trzepotem skrzydeł wylądował na kamiennym tarasie. Już jako złotooki chłopiec rzucił w stronę parku ponure spojrzenie i ostrożnie wsunął się do salonu przez niedomykające się drzwi. Skupiony na swej misji, jak najszybciej przeszedł do gabinetu. Rzucił dumne spojrzenie wyniosłym przodkom obserwującym go z przepysznych ram i wymknął się na zacieniony korytarz. Krocząc po wypolerowanym parkiecie, błędził wzrokiem po otaczających go wspomnieniach. Przeszedł obok kamiennych schodów, nie zaszczycając ich szczególną uwagą, i otworzył drzwi prowadzące do biblioteki. Blask księżycy doprowadził go do rodzinnego zdjęcia. Dłońmi drżącymi z napięcia zdjął ramkę, starając się nie myśleć o losie uwiecznionych na nim osób. Nacisnął odpowiedni fragment boazerii, a chwilę potem sejf, bojąc się, by zasłyszane plotki nie były prawdą.

– Nie! – warknął wściekle i zacisnął palce na umieszczonej wśród pustki figurce egipskiego boga pustyni. A więc jednak to prawda... Set włamał się do środka, by wykraść rodzinne pamiątki i w ten sposób zranić go jeszcze bardziej. Zupełnie jakby nie wystarczyło to, co zrobił w czerwcu. Rémi zmiażdżył figurkę w dłoni. Rozkruszyła się i zamieniła w piasek, który ze wstrętem strząsnął na ziemię.

Zatrzasnął drzwiczki, odwiesił obraz i czym prędzej wypadł z biblioteki. Księżyc obserwował go uważnie, gdy wbiegał na piętro tak doskonale znaną sobie klatką. Rozdrażnienie mąciło mu w głowie. Złość paliła duszę. Nie dbając już o dyskrecję, z hukiem otworzył drzwi prowadzące do dawnego pokoju Dena, a potem te od jego dawnej sypialni. Kuzyn podskoczył w łóżku i wbił nieprzytomne spojrzenie w skąpaną w srebrnym świetle sylwetkę.

– Mamo...? – wyjąkał zaspianym głosem, mrużąc powieki.

Oczy boga przyciągnął złoty błysk od strony nocnej szafki.

– Nie poznajesz mnie, kuzynie? – szepnął, podchodząc do etażerki i ostrożnie unosząc skórzany zegarek z grawerem.

Kuzyn zadrżał, usłyszawszy głos tego, którego od dawna uznawał za zmarłego. Naturalnie blade policzki pokryła trupia biel. Nim ze ściśniętego gardła zdołał wydobyć

się krzyk, na ramieniu zakleszczył mu się żelazny uścisk. Jean wydał z siebie zduszony jęk i szarpnął się z jakąś pierwotną paniką.

– Spokojnie, kuzynie. – Horus zwrócił zachmurzony wzrok ku oknu. – To dla twojego bezpieczeństwa. Set próbował omamić twój umysł. Dzięki nam mu się nie uda... Obiecuję.

Pokój zalało księżycowe światło. Kuzyn wrzasnął rozpaczliwie, walcząc z Rémim. W następnej sekundzie rozplynęli się w zimnym blasku. A ciszę zamku zakłócały jedynie odległe odgłosy zaalarmowanych osób biegnących ku pustej sypialni.

Zmrużył groźnie oczy i dopiero wtedy ustąpili. Niechętnie uchylili przed nim odrzwia komnaty, która była jej więzieniem.

Odwróciła się od okna wychodzącego na rzekę.

– Kim jesteś?

Miała najpiękniejszy głos na świecie. Łagodny jak pustynny wschód słońca, melodyjny jak śpiew ptaków.

– Twoim przyjacielem, księżniczko.

Zmarszczyła brwi.

– Nie sądzę, bym miała tu przyjaciół. Bym w ogóle ich jeszcze miała.

Uśmiechnął się i oparł o malowaną ścianę.

– A jednak.

Zmrużyła śliczne oczy.

– Nie rozumiem. Nie mam kraju ani tronu. Mój lud wyginął bądź został przemieniony w niewolników. Wraz z krewnymi zostaną wkrótce złożona w ofierze żywym bogom. Dlaczego więc szukasz mej przyjaźni, nieznajomy?

– Mam swoje powody.

– Ach tak? – prychnęła. – Czy je poznam?

– Może kiedyś. A teraz pozwolisz... – zawiesił głos i czujnie obejrzał się na drzwi.

– Niech to. Czas na mnie, pani.

– Tak szybko? – zdziwiła się.

Z ogromną satysfakcją wyłowił z jej głosu nutkę zawodu.

– Miałam nadzieję, że jedyna miła osoba w tym królestwie zaszczyci mnie rozmową nieco dłużej.

Podszedł do drzwi i zerknął w jej stronę. Zagadkowy blask rozświetlał mu oczy.

– Wróć na pewno, księżniczko. Tym bardziej że mój brat na pewno nie będzie tym zachwycony.

– Brat?

Spoważniał.

– Ozyrys – szepnął. – Zabójca twego narodu.

Na pięknej twarzy odbił się szok. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Briant uniósł powieki. Echo snu wciąż unosiło się w pustynnym powietrzu, czyniąc go zbyt przytłaczającym, by oddychać. Przeszłość obserwowała go martwymi oczami z mrocznych kątów, tak bardzo różnych od nasłonecznionych sal z czasów ją

poprzedzających.

Zadrzał. Astarte... Jej oczy. Piękne, smutne. Niewinne. Pradawna rozpacz ścisnęła mu serce. Musiał gdzieś wyjść. Natychmiast.

Sahara uniosła głowę, gdy ześlizgnął się z łoża i przepadł w ciemnym korytarzu. Biegł przez nieskończone przestrzenie kamiennych sal, starając się nie słyszeć pradawnych głosów. Nie dostrzegać cieni przemykających po ścianach. Wreszcie dostrzegł srebrne światło wyjścia. Zanurkował w szeleszczący gąszcz ogrodu. Zimny wiatr targał liśćmi palm i odganiał duchotę. Księżyc wyglądał spomiędzy gałęzi i śledził alejki, wśród których Briant pragnął zgubić prześladowające go obrazy.

To była bardzo niespokojna noc. Pustynia szeptała z napięciem, jeszcze bardziej utrudniając mu zebranie myśli.

Astarte... Jej widok budził dawne rany, o których nie chciał pamiętać. Bał się kolejnych wizji. Nie chciał ponownie zobaczyć tego, co się potem stało.

Ciężko oparł się o chropowatą korę drzewa. Zdawało mu się, że zaraz oszaleje. Urywki przeszłości wirowały mu w głowie. Natura płakała. Palmy trzeszczały. Zwierzęta krzyczały. Pustynia jęczała.

I nagle wszystko ucichło. Ogłuszająca cisza zaatakowała go równie mocno jak wybuch. W następnej sekundzie prześwitujące między liśćmi niebo rozbłysło ogniem. Poderwał głowę do góry. Ptaki zerwały się z drzew. Zwierzęta czmychnęły do nor. Gdy przedarł się przez gąszcz na aleję sfinksów, niespotykane zjawisko wciąż jaśniało na niebie. Uniósł ku niemu zdziwione oczy. Płonące wśród gwiazd litery układały się w wiadomość: „Za dwanaście godzin Jean de Ramen zginie. Chyba że przyjdiesz z nami negocjować”.

Oczy Brianta zabłysły tłumioną czerwienią. Starożytna złość przebudziła się ze snu.

Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w okno, obserwując atakujący szybę śnieg, skrzący się w blasku wschodzącego słońca. Była jedynie częściowo świadoma obecności współlokatek, rozmawiających beztrudnie o planowanym zwiększonym stopniu trudności treningów. Kilka dni temu dołączyła do nich Rin, porzucając wreszcie próby dołączenia do elity. Okazała się całkiem sympatyczną dziewczyną, wbrew temu, co na początku myślały.

Esterę oparła brodę na podciągniętych do klatki piersiowej kolanach i zacisnęła powieki. Choć wkładała w to całe serce i robiła, co tylko mogła, nie potrafiła wyzwolić w sobie magii. Nic nie potrafiła. Z każdym dniem zostawało jej coraz mniej czasu. Wiedziała to. Nie będą przecież wiecznie czekać. W końcu się domyślą.

Jeśli już się nie domyślili.

Potrzebowała cudu, by dalej udawać Izydę.

Ale przecież cudów nie ma. Przekonała się o tym dobitnie. Za wszystkim stała magia. A ona już dawno Esterę zostawiła. Wraz z prawdziwą boginią nieba.

Rale pstryknął palcami i świat został zalany przez falę olśniewającego blasku.

Sekundnik zegara zawieszony w hotelowym barze zmarł. Rale podniósł się z fotela, obrzucił znieruchomiałych wokół bogów drwiącym spojrzeniem i pobiegł w stronę zamkniętego skrzydła „Oka Syberii”. Po minięciu recepcji i dwóch rozwidleń znalazł się przed drzwiami pilnowanymi przez dwóch uzbrojonych po zęby ludzi. Wyminął ich i pobiegł dalej, w kierunku pomieszczeń, które chciał dzisiaj obejrzeć. Miał około piętnastu minut na to, by wrócić do recepcji. Jak na razie nie potrafił zatrzymać czasu na dłużej niż na kwadrans. Niestety. Bo choć i tak było to znacznie więcej niż w lipcu, to wciąż za krótko, by mógł być z siebie zadowolony.

Zatrzymał się przed upatrzonymi drzwiami i sięgnął w stronę klamki. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że jej nienaturalnie srebrny kolor powinien być go ostrzec. Zbyt późno. Gdy tylko jej dotknął, jego palce przeszła błyskawica bólu. Spróbował odskoczyć, lecz był zbyt wolny. Jego dłoń opanował kłujący lodem paraliż. Złote oczy zabłyśły strachem. Wrogie igielki chłodu pełzły mu po ramieniu. Szarpnął się z desperacją. Ale było to równie bezskuteczne jak próby przywołania magii. Oddychał z coraz większym trudem.

Rozległy się czyjeś kroki. Zmarły świat zmienił swą barwę z bladego złota na zimne srebro. Zapadła ciemność.

A potem znikła, równie szybko jak się pojawiła. Otworzył oczy, czując ból powodowany przez wszechobecne srebro, zniekształcające kontury jego otoczenia. Głowa pulsowała wściekle, utrudniając zebranie rozpierzchłych myśli. Rzeczywistość nabrała wyraźniejszych konturów.

– A więc to ty próbujesz mnie szpiegować – powiedział ktoś z rozbawieniem, a jego głos rozdarł ciszę niczym grzmot. Rale uniósł zamglony wzrok z podłogi. W postaci opierającej się o masywne biurko z przerażeniem rozpoznał kierownika. Obok niego stał chudy chłopak w czarnych okularach, kryjących błyszczące inteligencją szare oczy. Thot... Bóg czasu.

– Przypuszczałem, że to ty, Rale – powiedział Mandara. – A może raczej powinienem powiedzieć „Rayan”.

Rale drgnął i skupił na nim rozbiegany wzrok. Koszmarne przeczucia zawładnęły jego duszą.

– Och, Ray. Byłeś tak nieuważny... Czego szukałeś wśród moich tajemnic? Czyżby swojego brata? – Uśmiechnął się drwiąco i odczekał krótką chwilę. – Nic mi nie odpowiesz? Jaka szkoda. W takim razie będę mówił pierwszy. Postawmy sprawę jasno. Wiesz, kim jestem. Ja wiem, kim ty jesteś. I wiem, kim jest twój brat.

Rale szerzej rozwarł przestraszone oczy. Walczył o pełne odzyskanie nad sobą kontroli, lecz wciąż nie mógł wydusić z siebie nawet jednego dźwięku.

– Zaskoczony? – prychnął Juan Mandara. – Nie powinieneś. Levi Van Baar jest moim więźniem, Ray. Jeśli zależy ci na jego zdrowiu, to nigdy więcej nie zrobisz nic przeciwko mnie. Och, cóż za mordercze spojrzenie... Pewnie zastanawiasz się, jak mógłbym mu coś zrobić... Jest przecież bogiem. W przeciwieństwie do ciebie.

Rale znieruchomiał jak porażony. Serce biło mu jak oszalałe. Ich zdaniem to Levi był Słońcem?

Ale...

Kierownik uśmiechnął się chytrze.

– Powiedz, czy słyszysz czasami głos swojego brata? Podobno nawet uspieni bogowie potrafią kontaktować się ze swoimi Wybranymi... Mówi ci, jak bardzo cierpi pod wpływem zatrutego kadzidła?

Zdrętwiał. Zatrute kadzidło... Jedyna rzecz zdolna osłabić bogów. Wyssać z nich siły i moc. Pogrążyć we śnie pełnym koszmarów.

– Jak duża... dawka? – udało mu się wychrypieć.

– Odpowiednio duża, by go trwale nie uszkodzić – odparł chłodno kierownik. – Lecz ty możesz sprawić, że wzrośnie... I to tak, że pozostanie z niego tylko wrak.

– Proszę... nie.

Jeśli coś się stanie Leviemu... To, co krzywdzi boga, zazwyczaj zabija człowieka. Jeśli jego brat umrze, z jego powodu...

– Wszystko w twoich rękach, Rale – wyszeptał Mandara, kucając obok niego. – Tylko pamiętaj, jeden fałszywy krok będzie kosztował twojego brata dużo bólu. Bądź mi wierny, a nic mu nie będzie. Nie życzę sobie rozłamów wśród bogów. Każdy, kto jest mi przeciwny, musi zmienić swoje poglądy. Musimy być zjednoczeni i silni, by zawładnąć całym światem. Pomożesz mi, Ray?

Rale odwrócił załamany wzrok, byle nie patrzeć na jego zadowolony uśmiech.

Jego pięknie poukładany świat runął.

Kiwnął głową.

Czas nieubłaganie odmierzał uciekające sekundy. Briant nieruchomo wpatrywał się w przestrzeń, wsłuchując się w bicie swojego serca.

Iść czy nie iść?

Z jednej strony czuł, że powinien. Jean był przecież niewinny. Nie zasłużył, by tak skończyć.

Ale z drugiej strony... *Rodzina dawno się mnie wyrzekła* – pomyślał Briant. *Dlaczego więc miałbym się o nią troszczyć?* Przecież oni go nienawidzili. Nie zasłużyli na jego pomoc.

Poczuł przemożną ochotę, by zostać i jasno pokazać im, kogo odrzucili. Sprawić, by żalowali. Ale... Czy naprawdę byłby w stanie skazać Jeana na śmierć?

Jeszcze trzy minuty.

Sonia nie wahałaby się ani chwili. Wybrałaby to, co dobre. Nie odezwała się, odkąd wyrzuciła go za drzwi. A on nie miał zamiaru odzywać się pierwszy. Tym bardziej że nie potrzebował rozmowy, by wiedzieć, co by mu poradziła.

Minuta.

Spojrzał w wirujący piasek portali i odetchnął ciężko. Nie miał wyboru. Wyprostował się, zacisnął pięści i dumnie wkroczył w magiczne przejście. Serce szeptało mu, że popełnia błąd. Ale nie miał wyboru. I oni dobrze o tym wiedzieli.

Gdy zmaterializował się przed nimi z nicości, zdrętwieli. Obrzucił ich wyniosłym spojrzeniem, omijając jedynie związanego magią kuzyna, który natychmiast wlepił w Brianta zszokowane, przerażone oczy. Uderzyła go bladeść twarzy Rale'a i to, że uparcie wpatrywał się w to, co niegdyś było zadbanym dojazdem do obozowych

budynków. Teraz wyglądały na opuszczone, a puste okna martwo spoglądały na pustynię. Astrid była prawie równie blada jak Rale i także starała się nie patrzeć w stronę Brianta. Obok niej stała wyprostowana sztywno Estera. Na jej widok przez głowę przemknęła mu myśl, że być może Sonia miała rację. Nie przypominała Izydy. Brakowało jej tej siły spojrzenia i królewskiej godności bijącej z postawy.

Po drugiej stronie zmarniałego, roztrzęsionego Jeana stała osoba, na której widok krew zagotowała mu się w żyłach. Juan Mandara wyglądał dokładnie tak jak w lipcu. Pewny siebie, z błyszczącymi niepokojąco oczami. Nieprzewidywalny.

Morderca.

– Jednak przyszedłeś – odezwał się przywódca bogów. – Już myśleliśmy, że się nie pojawisz.

– Długo się nad tym zastanawiałem – odparł lodowato. – Ale jednak jestem. Czego chcecie?

– Porozmawiać.

– To wiem. Czego chcecie konkretnie?

Mandara uniósł brwi.

– Briant, chyba wciąż nie do końca się rozumiemy...

– Tak? Bo mnie się wydaje, że jest wręcz przeciwnie. Myślę, że rozumiemy się bardzo dobrze.

– Nie sędzę. Nie jesteśmy wrogami. Jesteśmy...

– ...jedną wielką rodziną? – przerwał, mrużąc drwiąco oczy. – No, chyba nie. Stało się to nieaktualne wiele tysięcy lat temu. A z tobą to mnie już zupełnie nic nie łączy. Nie jesteś nawet bogiem.

– Oczywiście, że jestem – syknął przywódca. – Wciąż wierzysz w te bzdury, które wymyśliłeś sobie w lipcu? Myślałem, że przemyślałeś już to wszystko i zrozumiałeś, że się mylisz.

– Owszem, wszystko przemyślałem bardzo dokładnie, dokładniej, niż myślisz. Tyle że wnioski wyciągnąłem zupełnie inne. Ale nie po to tu przyszedłem. Nie chcę rozmawiać z wami dłużej niż to konieczne. Czego chcesz?

– Chcę tylko, by znów wszystko było w należyтым porządku. Tak, jak być powinno. Dołącz do nas.

– Nie. I nie zmienię zdania, choćbyście proponowali mi to jeszcze milion razy. Nie!

– Nie rozumiem. Dlaczego jesteś taki uparty? Mogę wskrzesić twoją rodzinę... Cofnąć wszystko to, co poszło nie tak. Możemy wymazać to z pamięci. Możemy zacząć wszystko od nowa.

Oczy boga pustyni rozbłysły ogniem.

– Od nowa? – wycedził. – Oczekujesz, że zapomnę, jak zniszczyłeś mi życie?! Wszystko się zmieniło. Nawet gdyby oni wrócili, już nigdy nie byłoby jak dawniej! A co z Levim? Co z prawdziwym Ra? Jego też uwolnisz?

– Nie wiem, o kim mówisz.

Rale drgnął, a coraz bardziej wściekły Briant roześmiał się drwiąco.

– Och, naprawdę? To powinno ci wyjaśnić, dlaczego nigdy do was nie dołączę.

Przywódca wyprostował się.

– Jeśli tego nie zrobisz, zabijemy twojego kuzyna – oznajmił spokojnie. – I całą resztę twojej rodziny. Zastanów się dobrze, bo nie zapytam ponownie.

– Świetnie – warknął, robiąc wszystko, byle tylko nie spojrzeć na desperacki wyraz twarzy Jeana. Nie mógł na niego patrzeć. Nie mógł ulec jego błagalnemu, przestraszonemu wzrokowi. – Rób z nimi, co chcesz! Nic dla mnie nie znaczą, podobnie jak ja dla nich. Nienawidzą mnie równie mocno jak ty. Dlaczego miałbym poświęcać dla nich swoją wolność?

Odwrócił się na pięcie i zniknął w rozbłysku błyskawicy. Ostatnią rzeczą, jakiej był świadomy, był niemal zwierzęcy, wypełniony przerażeniem krzyk Jeana oraz zdumiony syk bogów.

Pałac Pośród Piasków wydawał mu się jeszcze cichszy niż dotychczas. Bez sił oparł się o lodowatą ścianę, nie mogąc pozbyć się echa wrzasku wypełniającego mu uszy. Wbił zdruzgotany wzrok w posadzkę. A potem zadrżał i wybiegł z Komnaty Piasków. Wypadł pod ciemniejące gwałtownie niebo.

Jean zginie. Już zginął. Przez niego. To on go zabił.

Zatrzymał się wśród pustki starożytnego dziedzińca i uniósł zdesperowany wzrok ku chmurom. Wspomnienia głosu Soni szumiały mu w uszach.

Następnym razem też znajdziesz wyjście z sytuacji...

Powietrze zaczęło trzeszczeć od nagromadzonej w nim magii.

Jesteś bogiem...

Grzmot wstrząsnął pustynią.

Przy tobie nie powinnam się niczego bać.

Zacisnął powieki. Magia chaosu wypełniła jego duszę.

Rozdział jedenasty

TAJEMNICE BOGÓW

Ze złością wpatrywał się w burzowe chmury kłębiące się za oknem. Gdyby nie to, że kojarzyły mu się z bogiem, którego autentycznie nie cierpiał, cieszyłoby go, że odzwierciedlają to, jak się czuł. Z całej siły zaciskając zęby, Mandara obserwował ataki wściekłych błyskawic.

Jak. To. Możliwe.

Ten. Paskudny. Set. Powinien. Był. Się. Zgodzić.

Jak. On. Może. Być. Tak. Bezmyślny. Uparty. Nieugięty.

Drgnął, gdy poczuł ukłucie bólu. Zwrócił wypełnione ogniem oczy na krwawiącą dłoń. Resztki zmiażdżonego kieliszka wyglądały jak diamenty rozrzucone na drewnianym parkiecie.

– Bez sensu – warknął, miażdżąc je butem.

Czas na zmianę planów. Wszystkie sposoby zaproponowane przez Kapłankę zawiodły. Trzeba go sprowadzić siłą.

Wydał stosowne polecenia czekającemu pod drzwiami osiłkowi, a potem udał się do łazienki przemyć rękę. Obserwując spływającą z palców krew, miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie i ponownie opatrywał rany spowodowane odłamkami rozbitej przez Salaawę szyby. Pozostały mu po tym zdarzeniu głębokie blizny, które swoją obecnością nieustannie mu przypominały o paskudnym pustynnym psie i jego panu.

Gdy wrócił do gabinetu, Rémi już czekał. Wyprostowany i pogrążony w zadumie. Jak zawsze.

– Chciał mnie pan widzieć – rzucił, przyglądając się uważnie kierownikowi. – Czy Jean czuje się już lepiej?

– Wręcz wyśmienicie – wycedził, ciężko zasiadając przy biurku. – Ale nie dlatego cię wezwałem.

– Czy coś się stało? – zapytał ostrożnie Horus.

– Tak. Mamy nowy cel. Musimy złapać i uwięzić Seta.

– Mówiłem, że negocjacje...

– Nie przerywaj! – Rémi natychmiast ucichł. – Nie pozwoliłem ci się odzywać. Co prawda miałem zlecić tę misję Tropicielowi, ale ponieważ nie uszło mojej uwadze twoje ogromne zaangażowanie, postanowiłem dać ci szansę. To będzie twoja misja, Horusie.

Rémi zamrugnął z niedowierzaniem.

– Składa się z dwóch części. Pierwsza to informacje. Druga to akcja. Nie zawieźdź mnie, a zrobię z ciebie swojego zaufanego współpracownika. Niczym nieograniczonego. Zawieźdź mnie, a...

– Nie zawiodę. Zrobię wszystko, co pan każe.

– Świetnie. Jak doskonale wiesz, Set jest zupełnie nieuchwytny w swoim pałacu na środku pustyni. Chcieliśmy wykorzystać szantaż, ale nie wyszło. Nie dba o nikogo, może oprócz tej dziewczyny z Krakowa. Ale nie ma opcji, by się do niej zbliżyć. Nawet Tropicielowi się nie udało. Na razie. Możliwe, że w końcu wymyśli jakiś sposób, by

obejść zabezpieczenia. A może nie. Musimy wykorzystać okazję, gdy Set będzie poza swoją bazą. I ty musisz się dowiedzieć, gdzie i kiedy to będzie. A także co musimy zrobić, by go złapać.

– Rozumiem. – Rémi poruszył się niecierpliwie. – Jak to zrobić?

– Bardzo prosto. Wystarczy zapytać. Mamy atut, który daje nam ogromną przewagę nad Setem. Wyrocznień Ra.

– Wyrocznień? Ale... Myślałem, że...

– Została ostatnia. Siergiej cię do niej zaprowadzi. Znasz zasady. Trzy pytania. Potem koniec. Natychmiast wrócisz, by mi o wszystkim opowiedzieć. I będziesz mógł zacząć organizować obławę.

Horus skinął głową i niczym we śnie wyszedł z gabinetu za łysym mężczyzną. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Ra powierzył mu wreszcie jakieś zadanie... Czy to oznaka rosnącego zaufania, na które tyle czekał?! Oby. Marzył, żeby wreszcie mieć wolną rękę. Nie musieć słuchać niczyich rozkazów. Nie musieć ćwiczyć z innymi, ciągle nic nierozumiejącymi bogami. Teraz wreszcie miał szansę! Mógł udowodnić, ile jest wart. Mógł schwytać mordercę swojej rodziny. Mógł się zemścić. Mógł wszystko naprawić.

Zatrzymali się przed drzwiami zabezpieczonymi jak żadne inne.

– To tutaj – mruknął Siergiej, siłując się z zamkami. – Poczekam na ciebie. Powodzenia.

Gdy tylko drzwi stanęły otworem, wślizgnął się do wypełnionego niezwykle blaskiem wnętrza. Po ścianach przemykały migotliwe refleksy, wydobywające się z ustawionego pod jedną z nich pięknego sarkofagu. Jego wieko było otwarte. Położona czasem mumia spoczywała w dumnej pozie, obserwując boga nieba malowanymi oczami.

– Witaj, Kapłanko – szepnął Rémi, błędząc wzrokiem w poszukiwaniu jej ba.

Wreszcie dostrzegł je na wieku sarkofagu. Utkany z blasku sokół zatrzepotał skrzydłami i otworzył dziób jakby do krzyku. Jednak zamiast dźwięku wydobył się z niego wściekle żółty dym, który spłynął na podłogę i uformował się w przezroczystą sylwetkę pięknej dziewczyny.

– Czego chce ode mnie Pan Nieba? – westchnęła głosem umarłych tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

– Chcę znać odpowiedzi.

– Pytaj więc.

– Kiedy i gdzie będziemy mogli pojmać Seta?

Jej oczy zabłysły złotem.

– Kiedy i gdzie? – szepnęła niepewnie. – On sam jeszcze nie wie... Wybiera się do Abydos, to pewne... Lecz kiedy? Jeszcze się nie zdecydował. Będzie to najpewniej ostatni tydzień listopada, patrząc na używany współcześnie kalendarz.

Rémi zdrętwiał.

– Tak szybko?

– Tak. Ostatnie pytanie, Panie Nieba?

Nie wahał się ani chwili.

– Co musimy zrobić, żeby Set wpadł w nasze ręce? – zapytał drżącym głosem.

– To proste. Nie zostało mu wiele cennych rzeczy na tym świecie. Wykorzystajcie

jedną z nich.

– Już próbowaliśmy – zaprotestował ostrożnie. – Ale jemu tak naprawdę na niczym nie zależy. To nie zadziała.

Jej rysy stały się ostrzejsze. Oczy zapłonęły upiornym światłem.

– Ja się nie mylę! – fuknęła z jakąś prymitywną furią, aż cofnął się o krok. – Wiem wszystko o przeszłości i teraźniejszości. Znam wszystkie myśli i plany. Wszystkie sekrety i uczucia... Dziewczyna. Pies. Berło. Dom. Jeśli odpowiednio się do tego zabierze, będzie wasz. Żegnaj, Horusie.

Zniknęła w wybuchu złotego dymu, a Rémi jak najszybciej wycofał się na korytarz. Wstrząśnięty, dał się zaprowadzić z powrotem do biura pana Mandary.

– I co? – zapytał ten, unosząc badawczy wzrok znad jakichś papierów.

– Wiem wszystko. Uda nam się. Na pewno.

W zamyśleniu wyglądała za okno, wyczekując końca lekcji. Nie mogła już usiedzieć w szkole, miała dość słuchania monotonnego głosu nauczycielki. Chciała wybiec na zewnątrz, jak najdalej od miasta, jak najdalej od ludzi. Gdzieś, gdzie nikt by jej nie przeszkadzał, gdzie mogłaby w spokoju uporządkować rozbiegane myśli.

Pierwsza wyszła z klasy, zanim jeszcze polonistka skończyła dyktować zadanie domowe. Założyła płaszcz i z ulgą opuściła budynek szkoły.

Dostrzegła go natychmiast. Stał po drugiej stronie ulicy i spoglądał w jej stronę. Przystanąła niepewnie. Nie rozmawiali, odkąd wyrzuciła go za drzwi. Obawiała się, że już więcej się do niej nie odezwie. Po takiej zniewadze... Ale jednak wrócił. Uśmiechnęła się, a ponury nastrój prysł jak bańka mydlana. Przebiegła przez jezdnię, odnosząc wrażenie, jakby zrzuciła z serca jakiś ogromny ciężar.

– Już się na mnie nie...? – zaczęła, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Dopiero z bliska dostrzegła, że coś było nie tak. Nie pamiętała, by kiedykolwiek był aż tak blady. Patrzył na nią jakoś dziwnie. Kąciki jego ust nawet nie drgnęły na jej widok.

– Briant – szepnęła z przestachem. – Co się stało?

Zmarszczył brwi.

– Nic. Już nie jesteś obrażona?

– Ja? Oczywiście, że nie! Myślałam, że to ty wciąż się na mnie złościś.

– Nie... Już nie.

– To co się stało?

– Nic. Znudziło mi się samotne siedzenie na pustyni. I tyle.

– Przecież widzę, że to nieprawda! – zawołała z rozdrażnieniem, a on wbił wzrok w chodnik.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Co się stało? – zapytała cicho.

– Ja...

Urwał, jakby nie mogąc powiedzieć nic więcej. W jej oczach zamigotał strach. Przysunęła się bliżej.

– Co się stało? – zapytała delikatnie. – Powiedz, proszę.

Widziała, że walczył ze sobą. Czekwała cierpliwie.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział wreszcie, tak cicho, że nie była do końca pewna, czy nie wyszeptał tego wiatr.

Pobladła. On prosił ją o pomoc?

– W czym? Co się stało?

Uniósł na nią smutne oczy.

– Pomóż mi zapomnieć.

Zaniemówiła z wrażenia. Kusiło ją, by wypytać go dokładniej, ale powstrzymała się. Ostrożnie ujęła go pod ramię. Drgnął.

– W takim razie zabieram cię na miasto – powiedziała, przywołując na twarz blady uśmiech. – I nie próbuj się wykręcać. Nie uda ci się.

– Na miasto? – powtórzył, pozwalając, by poprowadziła go w stronę centrum. – I co chcesz tam robić?

– Same fajne rzeczy. Najpierw idziemy zjeść coś, co nie jest z piasku. A potem... Coś wymyślę. Może pójdziemy do kina?

– Do kina?

– Tak! Uwielbiam kino. A ty pewnie nie oglądałeś nic od wieków.

– Pff. No, w sumie prawda. Tylko nie jakiś romans, błagam – powiedział żałośnie.

– Wtedy ucieknę.

Roześmiała się. Spojrzał na nią z zaskoczeniem. Po samotnych godzinach wypełnionych zgryzotą jej śmiech wydał mu się najpiękniejszą rzeczą pod słońcem.

– Hej! Czy to spojrzenie mam odczytać jako znak, że zaraz rzucisz jakąś kąśliwą uwagę na mój temat? – zapytała zaczepnie. – Rozmazał mi się tusz czy co?

– Nie no, chyba nie. Jeszcze się obrazisz i pójdziesz, więc powstrzymam się od złośliwości. Na razie.

– Dzięki. Miło z twojej strony.

Gdy szli wieczornymi ulicami, obserwując chmurki ich oddechów, zapragnął zatrzymać tę chwilę na zawsze. Zabawne, jak łatwo udało jej się skupić jego myśli na czymś innym niż prześladowające go nieustannie krzyki kuzyna. Zerknął na nią kątem oka. Nigdy wcześniej nie zauważył, jaka była ładna. Jej oczy iskrzyły się, gdy z przejęciem opowiadała o swojej siostrze. Odrobinę zadarty nosek sprawiał, że wydała mu się urocza, a usta...

Zamrugął i wbił spojrzenie w chodnik. Odetchnął niespokojnie. Nigdy wcześniej nie patrzył na nią z tej perspektywy. Nie myślał o niej w ten sposób. Uśmiechnął się do siebie blado. Podobało mu się to nowe spojrzenie. I to, jak szła z nim pod ramię, zagłębiając się w gęstniejący mrok. To było tak naturalne. Gdyby mógł zatrzymać czas, najchętniej zastygłby tak na wieki. Z dala od innych bogów, pustyni i ponurych myśli. Z dala od poczucia winy i troski o przyszłość. Po prostu tu i teraz.

– Dziwny dziś jesteś – powiedziała Sonia, wrywając go z zadumy. – Rzucasz za mało wrednych uwag na temat przechodniów. Na pewno dobrze się czujesz?

– Co? Jasne, że tak. Zamyśliłem się tylko.

– Zauważyłam. O czym tak intensywnie myślałeś? Pewnie o tym, jak

poinformować mnie, że chętnie wybierzesz się ze mną do Abydos.

Zmarszczył brwi. Od dawna miał w głowie ułożoną całą listę powodów, dla których nie może z nim iść. Teraz jednak nie mógł sobie przypomnieć żadnego z nich.

– Oj, weź! – Mocniej ścisnęła go za ramię. – Przecież to miejsce odwiedzają miliony turystów. Nic mi nie grozi.

– Na trasie turystycznej może i nie. Ale my zagłębimy się w sieć ukrytych korytarzy.

– Ha! – wtrąciła triumfalnie. – Powiedziałeś „my”!

– Jedynie hipotetycznie – odciął się, choć z wahaniem.

– Dlaczego? Też jestem częścią twojego świata. Świata bogów. Nie możesz mnie odsunąć od tego wszystkiego! Już za późno. Poza tym może ci się przydam? Zasluguję, by tam pójść, bo gdyby nie ja, nigdy byś nie wpadł, żeby tam szukać. No i naprawdę ogromnie chciałabym być przy tym, jak odzyskasz berło... Rozumiesz, jak ci nagle odbije po tym, jak już staniesz się „w pełni sobą”, ktoś musi cię powstrzymać przed używaniem kredki do oczu i noszeniem starożytnych spódniczek. Jestem twoją ostatnią deską ratunku przed kompletną kompromitacją. Nie możesz tego zignorować.

Parsknął, a ona posłała mu porozumiewawczy uśmiech.

– Widzę, że rzeczywiście się bez ciebie nie obejdzie – powiedział w końcu. Z wrażenia otworzyła szerzej oczy. – Kiedy ci pasuje, strażniczko obyczajów? Nie chciałabym zaburzyć ci harmonogramu imprez jakąś marną wyprawą.

– W sobotę – odparła natychmiast. – O matko, nie wierzę! Dzięki! Nie spodziewałam się, że zgodzisz się tak szybko. Nawet nie zdążyłam użyć wszystkich argumentów...

– Mogę zmienić zdanie, jeśli to cię zadowoli.

– Nie trzeba! – zawołała i wskazała na pobliską restaurację. – Masz ochotę na pizzę?

– Czemu nie.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. Przez jedną krótką chwilę wydało mu się, że znów znalazł się w przeszłości. Że w zielonych oczach ujrzał czarne tęczówki Astarte. Księżniczki, której obecność wyznaczała jedyny czas w całej jego historii, gdy był prawdziwie szczęśliwy. Gdy świat coś dla niego znaczył.

Odwzajemnił uśmiech i w jednej krótkiej chwili tamto uczucie sprzed tysięcy lat wróciło. Wszystko mogło jeszcze być piękne. Naprawdę zaczynał w to wierzyć.

Drzwi zatrzęsły się za nią z hukiem. Estera zagłębiła się w zmrożony ogród, z trudem panując nad kłębiącymi się w niej emocjami. Lodowate powiewy znad jeziora pozbawiały ją tchu. Wreszcie gdy zupełnie zgubiła się w białym gąszczu, nie wytrzymała. Osunęła się na otuloną drzewami ławeczkę i pozwoliła, by tłumione z całej siły łzy spłynęły jej po twarzy.

Przed oczami wciąż miała nieruchomą twarz Ra, gdy sugerował, że powinna coś ze sobą zrobić. Był wściekły z powodu braku jakichkolwiek postępów w jej umiejętnościach magicznych. Była beznadziejna. Na pewno już nie wierzą, że jest Izydą. Wkrótce

nadejście jej koniec. Na pewno nie wypuszczą jej ot tak sobie. Za dużo widziała. Za dużo wie.

Skuliła się na zimnym kamieniu.

Każdego dnia przeklinała wszystko, co doprowadziło ją do tej sytuacji. Z całego serca żałowała, że jej rodzice przyjaźnili się z rodziną Brianta. Gdyby się nie znali, nigdy nie pojechałaby z nimi na wykopaliska. Nie poznałaby go. Ani Dena. Nie musiałaby po nim płakać, gdy zginął.

Pamiętała, jak bardzo cieszyła się na te wykopaliska... Helen de Ramen spodziewała się znaleźć tam jakiś ważny grobowiec... I rzeczywiście jej się udało. Znalazła piramidę zapomnianego władcy. I miejsce ukrycia Amuletu Ozyrysa. Wraz z Denem, Réميم i czasem Élodie błądzili po zakurzonych korytarzach, szukając mitycznego wisiora. Było tak wspaniale... Briant trzymał się z boku i już wtedy wydał jej się jakiś dziwny. Spowity mrokiem i tajemnicą. Samotnie badał ruiny albo siedział na piasku, wpatrując się w horyzont.

Potem znaleziono skrytkę z amuletem. I zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Umysł ludzi wypełnił strach. Widziano tajemnicze cienie, słyszano straszne rzeczy... Wydawało im się, że prastare legendy ożywają. Teraz była pewna, że to Set mieszał swoją magią chaosu i iluzji. Wystraszył wszystkich. Sprawił, że zaczęli wierzyć w zupełnie nieracjonalne rzeczy. Wykradł Amulet Ozyrysa i na pewno ukrył go gdzieś, gdy ponoć zagubił się na Saharze. Kiedy cenny wisior zniknął, rozpętała się straszliwa burza. Tuż przed tym, gdy przyjechali ludzie z jakichś służb i domagali się natychmiastowego zamknięcia wykopalisk.

Tej samej nocy we śnie nawiedziła ją Izyda. Do dziś wspominała spowite płomieniami magii skrzydła u jej ramion, błyszczące najczystszyimi barwami błękitu, złota i czerwieni. Wtedy właśnie została wybrana. Obudziła się z nadgarstkiem, na którym jaśniał Znak Izydy. Widywała ją w snach jeszcze kilkanaście razy. Wszystko trwało mniej więcej do czerwca, potem Izyda zamilkła, by odezwać się dopiero na obozie... Następnie zamilkła już na dobre. I wciąż milczała.

Nawet kilka miesięcy po wydarzeniach z obozu Esterę drażniło to, że Izyda zamiast niej objawiła się w lipcu Soni, na dodatek także obdarzając ją swoim znakiem. Nie rozumiała dlaczego. To przecież nie Sonia spędziła na rozmowach z nią tyle nocy. To nie Sonia z całych sił starała się ją zrozumieć. Ona nie miała o niczym pojęcia. Dlaczego więc bogini ją wybrała? Po co była jej druga Wybrana?

Zagryzła wargę. Gdyby to wszystko się nie zdarzyło... Jej życie byłoby tak wspaniałe. Wkrótce umrze, to pewne. Wątpiła, by był jeszcze dla niej ratunek. Uniosła wzrok ku niebu, nowe łzy spłynęły jej po policzkach.

Gdyby tylko to ona była właścicielką Amuletu Ozyrysa... Marzyła o tym, odkąd dowiedziała się o jego tragicznej śmierci. Gdyby go miała, mogłaby przywrócić mu życie. Jedynej osobie, która w pełni ją rozumiała. Którą straciła przez Brianta.

I dlatego nienawidziła go z całego serca. Gdyby tylko mogła odebrać mu amulet... Może wszystko mogłoby stać się na powrót piękne.

Rale z roztargnieniem wpatrzył się w widoczną za przeszkloną ścianą przestrzeń. Nerwowo przygryzł wargę.

I co teraz...? – pomyślał.

Abydos. Dlaczego Briant miałby się tam wybrać? Przecież tam znajdował się grób Ozyrysa. To miejsce z pewnością wciąż wypełniało jego cierpienie, jego ból. To był bardzo zły pomysł, by pojawił się tam jego zabójca.

Musi mieć naprawdę ważny powód.

Na pewno nie spodziewa się, że nie będzie tam sam. Powinien go ostrzec. Musi to zrobić. Briant nie może wpaść w ich zasadzkę. Tylko... jak? Tyle razy próbował się z nim skontaktować... I nic. To było niemożliwe.

Ze zniechęceniem wstał z sofy i skierował się w stronę wyjścia do ogrodu. Musiał się przejść. Nie mógł już wysiedzieć w tym przeklętym miejscu. Nie mógł już w nim oddychać.

Przecież nie mogę go zawieść. Ani Leviego. Ani Wyrocni...

Jej słowa wciąż nawiedzały go w snach.

„Nie pozwól, by jego serce skryło się w mroku. Znajdź go. Od niego wszystko zależy”.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Otoczyło go lodowate powietrze, tak orzeźwiający. Tak inne. Zupełnie takie samo jak w ten dzień, gdy nawiedziła go pierwsza wizja. Pamiętał ją doskonale. Jakby wcale nie wydarzyło się to prawie trzy lata temu. Pamiętał też inne wizje, które wydawały mu się tak dziwne... Pojawiały się rzadko. Co kilka tygodni. Powoli odsłaniały mu starożytne tajemnice. Opowiadały jego historię. Opowieść o tym, kim kiedyś był.

Ponadto prześladowały go obrazy starożytnej świątyni. Wizje drogi przez podziemny korytarz, prowadzącej do czegoś bardzo ważnego, co jednak umykało jego pamięci.

Najpierw myślał, że to po prostu fantastyczne sny. Ale potem... Potem odkrył, że potrafi manipulować światłem. Że ma wpływ na pogodę. Że jest mu posłuszny ogień. A nawet czas.

W pierwszej chwili był zachwycony. Dopiero później zaczął się bać. Był inny. Chciał zrozumieć dlaczego. Powiedział wszystko bratu. Temu samemu, który zawsze był dla niego tak ważny, którego podziwiał i któremu zazdrościł. Levi był jedyną osobą, której potrafił na tyle zaufać. Oczywiście na początku jego brat uznał to za żart. Gdy jednak ujrzął jego zdolności... Nie miał wyjścia. Musiał uwierzyć. Tak bardzo mu pomógł... To on był pomysłodawcą wyprawy do Egiptu w poszukiwaniu świątyni ze snu.

Rale przystanął przy nieczynnej fontannie i wpatrzył się w zamarznąłą wodę deszczową.

Nigdy nie wierzył w to, co ukazywały mu sny. Że jest bogiem. Myślał raczej, że był to rodzaj jakiegoś symbolu albo alegorii. Ale na pewno nie, że to prawda.

Sny doprowadziły ich do zapomnianych ruin, z dala od osiedli ludzkich. Odnaleźli starożytne korytarze i znajdujący się w ich sercu skarb – Wyrocnię. Wtedy zrozumiał, że to wszystko prawda. Zrozumiał, że wizje nie kłamały. Że naprawdę był odrodzonym Ra.

Zacisnął powieki, jakby w ochronie przed przeszłością.

Wtedy też popełnił największy błąd swego życia. Nie dopilnował jej. Spuścił ją z oczu... Tylko na kilka minut, potrzebnych na to, by z Levim pobiegli do samochodu i z powrotem. Gdy wrócili z linami niezbędnymi do jej przetransportowania... jej już nie było. Jej i kilku innych, drogocennych przedmiotów. Zniknęła. Nie wiedział gdzie. Nie wiedział dlaczego.

Wciąż był za to na siebie wściekły. Co z tego, że zdążyła dać im wskazówki i wyjaśnić, że oto nadszedł czas, gdy wszyscy się odrodzą, jeśli dopiero potem naprawdę jej potrzebował? Gdyby jej nie stracił, nie musieliby szukać tak długo najpotężniejszego z dawnych bogów. Podpowiedziałyby, jak zdobyć jego zaufanie. Nie musieliby tak ryzykować. Levi nie udawałby Ra, żeby być bardziej wiarygodnym. Żeby mieć większy autorytet. I przede wszystkim, dlatego że Rale nie mógł ot tak wyprowadzić się do innego kraju. Levi był już dorosły i samodzielny, mama nie czepiała się już jego ocen. Nie miała ciągłych pretensji o to, że opuszczał szkołę... Więc wyjechał do Francji. I utrzymywał ciągły kontakt z Briantem. Wtajemniczył go we wszystko. Z pomocą i nieustannym kontaktem myślowym z prawdziwym Ra, jako Wybrany, mógł przekonująco udawać Słońce.

Rale zacisnął pięści. Tak przekonująco, że uwierzył w to cały świat.

Gdyby nie pozwolił Wyroczni zniknąć, odkryliby, że Levi jest śledzony, nim było już za późno. Uniknęliby zasadzki. Levi nigdy by nie zniknął... Briant nie musiałby uciekać i samotnie zmagać się ze straszną prawdą. Jego rodzina byłaby żywa, świat spokojny. Mandara nie miałaby szans go szantażować.

Razem z Briantem byliby niepokonani. Wszystko byłoby dobrze.

– Ale nie jest – syknął, z furią kopiąc szkielet krzewu.

Nagle zdrętwiał i czujnie wsłuchał się w ciszę ogrodu. Czy to był czyjś płacz? Ostrożnie podążył ścieżką. Z każdym krokiem coraz lepiej słyszał stłumiony szloch. Wreszcie pomiędzy bezlistnymi gałęzmi zamigotało coś kolorowego. Schował się za pień drzewa i dopiero po chwili ostrożnie zza niego wyjrzał. Zamrugął z zaskoczeniem.

Ester? – pomyślał zdziwiony.

W jego głowie zabrzmiało echo słów pana Mandary. I wszystko stało się jasne. Niespokojnie obejrzał się w stronę majaczącej w oddali bryły „Oka Syberii”, a potem swobodnym krokiem wyszedł z ukrycia.

– Też lubię tu przychodzić, gdy mam wszystkiego dość – rzucił, przywołując na twarz swój ulubiony uśmiech.

Jak oparzona zerwała się z ławki i wbiła w niego przerażone oczy. Dostrzegł w nich łzy.

– Spokojnie. Nikomu nie powiem, że Izyda płacze w ogrodzie z powodu braku postępów w magii...

Wyprostowała się dumnie i rzuciła mu spojrzenie, które chyba miało być mordercze.

– Kto ci powiedział takie bzdury?

– Nikt nie musiał. Sam widziałem. Nie pamiętasz? Mamy razem ćwiczenia. – Zbliżył się do niej o kolejny krok. Odsunęła się gwałtownie. – Niektórzy nawet mówią, że nie jesteś boginią... Czy to prawda, Izydo?

Jej źrenice zabłyśły.

– Co ty wiesz o potężnych bogach? – warknęła. – Jesteś tylko marnym bogiem światła, Rale! A wywyższasz się, jakbyś był nie wiadomo kim!

Chciała go wyminąć, lecz złapał ją za ramię i zmusił, by spojrzała w jego oczy.

– Bo może jestem? – zapytał cicho. – Może nie tylko ty udajesz kogoś innego?

Spróbowała się wyszarpnąć, ale był silniejszy.

– Czego chcesz? – wyjąkała, drżąc cała. Miał wrażenie, że ledwo nad sobą panuje.

– Nie możesz dać mi spokoju?! Przecież znasz prawdę! Wszyscy ją znają!

Do oczu napłynęły jej nowe łzy. Odwróciła twarz, nie chcąc ich pokazywać. Zaskoczony, puścił jej rękę.

– Więc to prawda? Nie jesteś Izydą?

– Przestań ze mnie kpić! – wybuchła. – Mandara to wie, każdy to wie! Nie udawaj, że ty nie... I tak wiem, że już po mnie. Zabijecie mnie, tak jak zrobicie to z każdym, kto się wam przeciwstawia! – Spojrzała na niego z desperacją. – Ja nie chciałam, Rale. Ja... Ja po prostu chciałam być bezpieczna...

Odwróciła się na pięcie i odbiegła w gąszcz. Odprowadził ją wzrokiem, w którym widniało wahanie.

– Estera! Zaczekaj! – Dogonił ją bez trudu. – Stój, proszę. Mogę ci pomóc...

Obejrzała się na niego ze strachem, ale się zatrzymała. Pstryknął palcami, a posłuszny mu świat zastygł w złotym bezruchu. Rozejrzała się z oszołomieniem, skupiając uwagę na znieruchomiałym w locie ptaku. Na jej twarzy odbił się szok.

– Zaufaj mi – poprosił. – Nie wiedziałem, że jest aż tak źle... Wybacz. Wiem, że uważasz mnie za swojego wroga. Wszystkich nas. Nie wierzycie w ideały kierownika.

Pobladła i ciężko oparła się o drzewo.

– Musicie być ostrożniejsze – przestrzegł. – Wszyscy już wiedzą, że Izyda i Neftyda są gotowe się zbuntować... To niebezpieczne.

– Czemu mi to mówisz?

– Nie uważasz, że przyda ci się sprzymierzeniec? Ja też mam swoje sekrety. Muszę służyć Mandarze. Rozumiesz? To obowiązek, nie pragnienie. Wszystkich, których postrzega za niebezpiecznych, traktuje tak samo.

– Nie rozumiem... Kim jesteś?

– Kimś o wiele potężniejszym, niż wszyscy myślą – odparł z powagą. – Kimś, kto może pomóc ci udawać boginię.

Otworzyła szerzej oczy. Wciąż widział w nich nieufność.

– Dlaczego?

– Nie chcę, by kolejni niewinni cierpieli z naszego powodu. Jeśli tylko chcesz, możemy zostać przyjaciółmi. Wybiorę cię i pokieruję twoją magią. Nic nie jest jeszcze stracone. Przekonasz ich, że się mylą.

– Nie masz już dość przyjaciół? – prychnęła, obserwując go uważnie.

– Żartujesz?! Nawet w większości ich nie lubię. Mój jedyny przyjaciel jest naszym największym wrogiem. Drugi jest naszym więźniem. Nie mam nikogo innego. Wszyscy pozostali... Ci z dawnego życia... To już przeszłość.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że masz prawo mi nie ufać. Ale musisz, jeśli chcesz przeżyć. Mogę cię wybrać. Zaczaruję światło tak, by twój znak nigdy nie był widoczny. Razem przekonamy ich, że jesteś Izydą. I wszystko będzie dobrze.

Przypatrywała mu się niedowierzająco. Uśmiechnął się zachęcająco i wyciągnął do niej dłoń.

– Zgoda? Wiesz, i tak nie masz nic do stracenia.

Poruszyła się niespokojnie. Po chwili wahania ujęła jego dłoń. Jego oczy zabłyśły niczym słońce.

Dobrze. Potrzebował sojuszników na dzień, gdy wreszcie stanie po słusznej stronie.

Grę w karty przerwało im pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołały chórem.

Do środka zajrzała urocza blondynka o pięknym uśmiechu.

– Estero, kierownik chciałby się z tobą zobaczyć – oznajmiła miło.

Dziewczyna pobladła odrobinę.

– Już idę.

Niechętnie podniosła się z dywanu i wyszła za kobietą, rzucając przyjaciółkom odrobinę zdenerwowane spojrzenie. Astrid uśmiechała się uspokajająco. Jej intensywnie zielone oczy mówiły, że nie ma się czego bać.

Gdybyś wiedziała... Gdybyś nie była Neftydą... – pomyślała Estera.

Idąc błękitnymi korytarzami, starała się wyglądać na spokojną. Jednak wewnątrz cała drżała. Prawie nie dostrzegła mijających ją roześmianych bogów. Pograżona w złych przeczuciach, nie zauważyła, jak Rale obrócił się za nią ze zdziwieniem.

„Wszystko w porządku?”

Wzdrygnęła się, usłyszawszy jego głos w swoich myślach. Wciąż musiała się przyzwyczaić, że stała się teraz drugą Wybraną... Wybraną Ra. Skoncentrowała się, by wysłać mu odpowiedź.

„Nie wiem... Zostałam wezwana do kierownika...”

„Może to nic poważnego?”

„Może”. – Skrzywiła się odrobinę. „Ale jakoś nie mogę w to uwierzyć”.

Odezwał się po krótkiej chwili.

„Nie martw się. Będę z tobą”.

Wyprostowała się nieco i zaplotła dłonie, aby nie było widać ich drżenia. Żeby wyglądać na silniejszą. Nie była już sama... Teraz wszystko będzie dobrze.

Gdy jednak prowadząca ją kobieta zapukała do drzwi gabinetu kierownika, znikły wszelkie resztki jej spokoju. A gdy weszła do eleganckiego biura i ujrzała stojącą przy oknie majestatyczną postać, nawet przekazany jej przez Rale’a optymizm umknął w nicość.

– Dzień dobry – udało jej się wydusić.

Odwrócił się w jej stronę.

– Witaj, Estero.

Aż zadrżała na dźwięk jego głosu.

– Przypomnij mi proszę, jaką to jesteś podobno boginią?

Zdrętwiała. Serce ogłuszająco biło jej w piersi.

– Jestem Izydą.

Zmrużył błyszczące oczy.

– Tak... Tak w istocie wszyscy myślą.

– Nie rozumiem... Tak przecież jest.

Uniósł brwi.

– Ach tak?

– Oczywiście.

– To wyjaśnij mi w takim razie, Izydo, dlaczego twoje postępy w posługiwaniu się magią są tak... mierne.

– Ja... ja nie wiem. – Jeszcze mocniej zacisnęła drżące palce. – Bardzo się staram. Naprawdę. Ale... ale nie mogę. To zupełnie tak, jakbym miała jakąś wewnętrzną blokadę... która nie pozwala mi czarować. Ale jestem pewna, że wkrótce...

– A czy nie uważasz – przerwał jej kierownik – że jest to dosyć podejrzane, jeśli jakieś pomniejsze bóstwo, taki nikt jak na przykład Rale, radzi sobie o niebo lepiej od najpotężniejszej bogini?

Wyczuła, jak Rale aż się zjeżył. Udzieliła jej się jego złość. Śmielej spojrzała w zimne oczy przywódcy.

– Wydaje mi się, że postępy w magii nie zależą od mocy, tylko od wewnętrznej siły każdego z nas.

– To źle ci się wydaje.

Zmarszczyła brwi.

– Każdy, kto by ci się uważniej przyjrzał, kto obserwowałby twoje żenujące próby korzystania z magii, miałby wątpliwości, czy naprawdę jesteś tą, za którą się podajesz, Estero. Co mi na to odpowiesz?

– Te podejrzania byłyby zupełnie błędne.

Kierownik uniósł brwi.

– Tak? Bo powiem ci szczerze, że ja właśnie mam takie podejrzania. Jak przekonasz mnie, że jestem w błędzie?

Wpatrzyła się w niego ogromnymi oczami. W głowie miała pustkę. Zupełną. Co teraz...?

„Powiedz mu, że pokażesz mu magię znaną jedynie najpotężniejszym” – polecił szybko Rale.

„Ale ja nie umiem niczego takiego!”

„Powiedz to!”

– Mogę pokazać panu magię, o której wiedzą tylko najpotężniejsi bogowie – wydusiła Estera.

Prychnął drwiąco.

– Proszę bardzo. Tylko jestem ciekawy, jak ci się to uda, skoro nie potrafisz nawet najprostszych rzeczy.

– To jest zupełnie inna sytuacja – zaprotestowała. – Jeśli pana nie przekonam, będę

potraktowana jak oszustka, którą przecież nie jestem.

– To się okaże. Czekam na pokaz.

– Potrzebuję tylko chwilki, żeby wymyślić coś naprawdę efektownego, dobrze? – zapytała z wahaniem.

– Ależ proszę! Obym się tylko nie zawiódł.

– Nie zawiedzie się pan. Na pewno.

Z trudem odetchnęła przez ściśnięte gardło i wpatrzyła się w podłogę.

„I co teraz, Rale?” – wyjąkała w myślach.

„Spokojnie. Mam plan. Tylko... chyba jednak jesteś za słaba, żeby...”

„Za słaba? To wymyśl coś innego! Musi się udać!”

„Uda się. Tylko...”

– Długo jeszcze? – zapytał kierownik.

– Jeszcze chwilkę.

„Słuchaj” – odezwał się Rale. „Jest inny sposób. Nie będziesz musiała czarować. Ja zrobię to za ciebie”.

„To możliwe?”

„Tak...”

„To na co czekasz?!”

„Bo... Musiałbym cię opętać”.

„C... co?”

„Tylko na chwilę. Ale... i tak nie będzie to przyjemne. To podobno bardzo traumatyczne przeżycie. Czasami kończy się utratą zmysłów. Zawsze chorobą”.

Mandara rzucił Esterze zniecierpliwione spojrzenie. Aż zadrżała.

„Rale! Jeśli to jedyne wyjście, po prostu to zrób”.

„No dobrze...” – W jego głosie wyczuła napięcie. „Przygotuj się”.

Nie zdążyła zapytać jak albo na co, kiedy coś straszliwie zabolęło ją w sercu, a głowę zaatakował niewyobrażalny ból. Zawirowało jej przed oczami. Jej myśli wypełnił huk.

I wtedy to się stało.

Nagle ból ustał, a ona poczuła się dziwnie pusta. Otworzyła oczy i wyprostowała się, ale... to tak naprawdę nie była ona. To nie stało się z jej inicjatywy. Jej głowa samowolnie uniosła się w górę. Chciała krzyknąć ze strachu, ale głos jej już nie słuchał. Nie była w stanie nawet otworzyć ust. Nawet mrugnąć.

Pan Mandara przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Przepraszam. – Usłyszała swój głos. – Walczenie z psychiczną blokadą jest bardzo bolesne.

– Aha. Jesteś wreszcie gotowa?

Jej usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Jak najbardziej.

To było przerażające. Miała ochotę wrzeszczeć i płakać, ale nie mogła. Była sobą tylko wewnątrz. Ciało wcale jej nie słuchało. Nie było jej. Było... opętane.

„Spokojnie” – odezwał się Rale. Tym razem jego głos był straszliwie donośny i otaczał ją ze wszystkich stron. „Wszystko będzie dobrze”.

Naprawdę chciała mu wierzyć.

– Niech pan patrzy – odezwał się Rale ustami Estery. – Bowiem potrafią to tylko nieliczni.

Rozłożyła ręce. Poczuła, jak gęstnieje otaczająca ją magia. Ujrzała jej tęczyowy blask. Uniosła dłonie w górę. Światło tańczyło w ciemnym drewnie i kryształowym szkłe eleganckich mebli.

– To nie jest nic nadzwyczajnego – zauważył kierownik.

– Bo to nie jest to, co chcę panu pokazać – odparła, po czym upuściła kulę magii.

Kula w złotym rozbłysku rozlała się po całej podłodze, wskoczyła na ściany i zamknęła się na suficie. Kierownik z zaskoczeniem rozglądał się po magicznym kokonie.

„Gdzie mieszkasz, Estero?” – zapytał Rale.

„W Gdańsku”.

– Gdańsk!

Magiczna powłoka zafalowała. Stopniowo wyłaniały się z niej tajemnicze kształty, z każdą chwilą ostrzejsze. Znaleźli się w Gdańsku. Estera z osłupieniem wpatrzyła się w most, na którym stali. Gdzieś w dole dał się słyszeć łagodny chłupot wody. Pachniało morzem. W szerokim kanale przeglądały się kamieniczki Długiego Targu. Stary żuraw pochylał się nad wodą. Po błękitnym niebie płynęły obłoki. Gdzieś zakrzyknęła mewa.

Estera chłonęła całą sobą obraz spacerujących turystów, migotanie słońca tańczącego po powierzchni wody, tak dobrze znane jej budynki... Tak bardzo chciała rzucić się biegiem w stronę swojego domu. Chciała zobaczyć rodziców, przytulić ich i powiedzieć, że już nigdy ich nie opuści. Tak bardzo chciała wrócić... Ale nie mogła. To nie był prawdziwy Gdańsk. Kątem oka wciąż mogła dostrzec kontury ścian i mebli. Milczący w zadumie kierownik przyglądał się straganom z bursztynami. To nie był jej prawdziwy dom.

– I co? – odezwał się Rale jej własnym głosem. – Wciąż mi pan nie wierzy?

Mandara spojrzał na nią z powagą.

– Wybacz, Izydo. Zdecydowanie jesteś jedną z nas.

Prawie go nie słyszała, skupiona na obrazie jej miasta.

„Udało się” – szepnął Rale i wycofał się ostrożnie z jej głowy.

Zachwiała się, na powrót stając się sobą. Łzy kryształowymi strumieniami spłynęły po jej twarzy.

Dostrzegła, że obraz zaczyna się rozmywać.

– Pokaż mi teraz kryjówkę Seta – rozkazał kierownik.

Jego głos dotarł do niej z bardzo daleka. Zaatakowały ją mdłości.

– No, dalej, Izydo!

Rzuciła ostatnie tęskne spojrzenie na znikającą panoramę pięknego miasta. Potem pokonał ją ból rozsadzający jej czaszkę. Pokój przekrzywił się gwałtownie, gdy osunęła się w ciemność.

Rozdział dwunasty

ABYDOS

Sonia zmrużyła oczy, delektując się ciepłem słonecznych promieni. Powietrze pachniało pustynią. Dotknęła jednej z przepięknie zdobionych kolumn, a potem zanurzyła się w ich gąszcz. Światło dnia zgasło. Otoczył ją mrok. Niepewnie rozejrzała się wokoło. Dopiero teraz dostrzegła, że kolumny wcale nie były pokryte tysiącem kolorów. Były szare i zniszczone. Wszędzie zalegał kurz. Przyspieszyła kroku. Biegła na oślep, przez kłębiącą się wokół mgłę. Krzyknęła, gdy jej stopa natrafiła na pustkę. Runęła w bezdenną otchłań, a jedynym towarzyszącym jej dźwiękiem był jej własny krzyk. Kłęby dymu pożarły całe otaczające ją powietrze. Dusila się.

– Otwórz oczy – poprosił ktoś cicho.

Pokręciła gwałtownie głową, walcząc z brakiem tchu. Chciała powiedzieć, że nie może, lecz nie była w stanie.

– No, dalej. Oni wszyscy czekają. Przyszli specjalnie dla ciebie.

Ostrożnie uchyliła powieki. Słońce poraziło ją w oczy. Zdezorientowana wpatrzyła się w zgromadzony przed nią tłum, który zakrzyknął z uwielbieniem. Nie spadała.

– Widzisz, jaką radość daje im sam twój widok? – zapytał ktoś pogodnie.

Spojrzała w bok. Briant uśmiechał się do niej szeroko. Był... inny. Nie dostrzegała w nim cierpienia. Wyglądał jak ktoś bardzo szczęśliwy. Spokojny.

– Nie mogę oddychać – udało jej się wydusić.

– Nie musisz – odparł, ujmując ją za rękę. – Bogowie nie muszą.

– Nie jestem boginią.

Roześmiał się i ten szczerzy śmiech, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszała, sprawił, że słońce zaświeciło jeszcze mocniej. Brak powietrza przestał jej przeszkadzać. Zapomniała o nim.

Niepewnie zerknęła na rzesze ludzi zgromadzone u stóp platformy, na której się znajdowali.

– Co oni tu robią?

– Przyszli cię zobaczyć.

Zwróciła na niego zdumione spojrzenie. Wyglądał naprawdę dziwnie. Jak starożytny faraon. Miał na sobie nietypowe ubranie, na głowie koronę, nawet sztuczną bródkę. Niespodziewanie pojęła, że znajdują się na białym tarasie wielkiej budowli o monumentalnych kolumnach, a ona siedzi na złotym tronie ubrana jak starożytna królowa Egiptu.

– Czy nie jesteś szczęśliwa z powodu wielbiących cię poddanych?

– Sama nie wiem – wyznała, przyglądając mu się niepewnie.

– Przyzwyczaisz się. Gdy razem będziemy rządzić światem, często będziemy organizować piękne parady.

– Rządzić światem?

– No tak.

– A... A co z innymi bogami? Co z Mandarą?

– Och, przecież ich już dawno nie ma!

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Zostaliśmy tylko my. Ja i ty. Moja królowa.

Poruszyła się niepewnie. Dopiero teraz dostrzegła, że wpatrywał się w nią jakby była czymś najpiękniejszym na ziemi. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Sonia! – zawołał ktoś z oddali.

Zignorowała ten głos.

– Sonia!

Spojrzała w dół. Przestraszony Briant przepychał się w jej stronę przez masę śpiewających coraz głośniejszych ludzi. Zamrugowała ze zdumieniem i zwróciła wzrok na stojący obok tron. Poważny Rale wpatrywał się w nią nieodgadzionymi złotymi oczami podkreślonymi czarną kredką. Zesztywniała i wyrwała rękę z jego dłoni. Korona Egiptu na jego głowie zaśniła w promieniach zachodzącego słońca.

– Przekaż mu, żeby uważał – powiedział cicho. – Będziemy na niego czekać.

Muzyka stała się ogłuszająco głośna.

Otworzyła oczy. Serce biło jej w piersi jak szalone. Uniosła głowę z kusząco miękkiej poduszki i wyłączyła grający na cały pokój budzik. Nieprzytomnie wpatrzyła się we wciąż ciemne okno.

Abydos – przypomniało jej się. To dziś. Nareszcie!

Rozbudzona natychmiast wyskoczyła z łóżka. Błyskawicznie zarzuciła na siebie ubrania i zbiegła do kuchni. Szykując sobie śniadanie, wróciła myślami do dziwnego snu. Poruszyła się niespokojnie na wspomnienie tego, jaki Briant był w nim dziwny... Uśmiechnęła się pod nosem. W sumie... Nie mogła powiedzieć, że nie podobał jej się ten sen. Tylko... daleko mu było do rzeczywistości.

Może to i dobrze? – pomyślała.

Trochę jej się podobał, jasne, ale jej wyśniony ideał zawsze wyglądał inaczej. Tak, myślała o nim bardzo często, ale przecież nic w tym dziwnego. Mieli wspólne tajemnice. Tylko ze sobą mogli rozmawiać o starożytnej magii. Poza tym... w przeciwieństwie do snu w rzeczywistości nie była boginią. No i...

Pokręciła głową i zerwała się od stołu. To niedorzeczne.

O jakich ja rzeczach myślę?

Zarzuciła na siebie kurtkę i porwała z przedpokoju plecak. Punktualnie o ósmej wypadła z domu wprost w lodowaty poranek. Briant czekał na nią przed furką. Zabawne, że od pewnego czasu w ogóle przestał się spóźniać. Przekrzywiła z uśmiechem głowę, dostrzegając kręcącą się w świetle latarni Saharę.

Wspomnienie snu mignęło jej przed oczami.

Idąc w stronę placu budowy, przysłuchiwała się, jak opowiadał o tym, co ostatnio przeczytał w zwojach. Nim się obejrzała, przeskoczyli rozchybotaną bramę i podeszli do góry piasku przysypanego świeżym śniegiem. Ich buty przyjemnie zgrzytały na białym puchu, a oddechy unosiły się w górę w postaci obłoczków pary.

– Śnieg ci nie przeszkadza? – zapytała, wciskając zmarznięte dłonie jak najgłębiej w kieszenie.

– Nie.

Z fascynacją obserwowała, jak w powietrzu przed nimi pojawia się biało-złoty portal. Uderzenie ciepła, które towarzyszyło wyłonieniu się z niego gdzieś w Afryce, dosłownie odebrało jej dech. Mrużąc oczy, zrzuciła z siebie kurtkę. Wciągnęła w nozdrza zapach nagrzanej słońcem ziemi. Zapach pustyni.

– Jak ci się podoba? – zapytał Briant. – Nie tak ładne jak moje miasto, prawda?

Uniosła wzrok. I zamarła z wrażenia. Rząd majestatycznych, wspaniałych kolumn. Przebłysk snu.

– Będziemy na niego czekać – wyszeptała, blednąc.

– Co mówisz? Tak mamrociesz, że nie rozumiem.

Nerwowo rozglądnęła się wokoło.

– Sonia? Coś nie tak?

– Wyglądasz jak ty czy jak Marysia Żaluzja?

– Jak ja, oczywiście. Tu przecież nikt mnie nie zna.

– Tak, ale... Miałam dziś w nocy sen i...

– Ale super. Miałaś sen. Jesteś taka wyjątkowa.

– Przestań i posłuchaj do końca! Śniło mi się to miejsce. I śnił mi się Rale.

– Rale?

– Tak. Powiedział, że musimy uważać, bo będą tu na ciebie czekać.

Zmrużył oczy.

– Myślisz, że to mogło być ostrzeżenie? – wyjąkała. – Czy tylko głupi sen?

– Nie wiem. Ale... Lepiej nie ryzykować.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Lekceważenie ryzyka to zły wybór, co nie?

– Dokładnie. Ale jeśli Rale naprawdę zdołał dostać się do twojego snu, będę musiał wzmocnić chroniące cię czary. Na wszelki wypadek. A teraz chodź wreszcie, chcę załatwić to jak najszybciej.

Podążyła za nim w stronę oszalałymi pięknymi ruin.

– Dziwnie tu pusto – zauważyła niepewnie. – Za wcześnie nawet na turystów?

– Może... Ale przez ciebie wszystko wydaje mi się teraz podejrzane!

– Może lepiej przenieś nas od razu do świątyni? Za pomocą piasku?

– To byłby dobry pomysł, gdybym tylko mógł – odparł ponuro.

– Nie możesz?

– Nie. To Abydos. Magia ochronna działa na mnie szczególnie mocno. Nie ma opcji. Musimy jakoś przemknąć.

– A Sahara?

Równocześnie spojrzeli na Salaawę, która z napięciem przypatrywała się ruinom.

– Pójdzie osobno. Za bardzo rzuca się w oczy.

– I nie wiadomo, czy wpuszcziliby nas z psem.

– Nie mieliby wyboru. Ona musi iść z nami.

– Musi? Wcześniej jej nie wzięłeś.

– Ale teraz owszem.

Skręcił w bok.

– Wkradniemy się od tyłu.

Energicznym krokiem obeszli wejście do świątyni. Sahara pomknęła przodem i wkrótce zniknęła im z oczu. Sonia z rozmarzeniem chłonęła obraz ruin, a Briant przyglądał się im ostrożnie. Jakby były dzikim zwierzęciem, które w każdej chwili może go ukąsić.

– Ale tu pięknie – westchnęła, rozkoszując się ciepłem słonecznych promieni i przyjemnie łagodnymi powiewami wiatru.

– Niby tak... Ale panuje tu taka dziwna atmosfera. Nie uważasz?

– Dziwna?

– Tak. Taka niespokojna. Nieprzyjazna... Nie czujesz?

Zerknęła na niego z konsternacją.

– Nie.

Skrzywił się i przyspieszył kroku, a ona obejrzała się za ramię, zaniepokojona jego słowami. W oddali mignęła jej samotna sylwetka. Zdrętwiała.

– Briant...!

Mimo odległości rozpoznała go od razu. Blond włosy lśniły złotem, gdy patrzył w ich stronę. Powietrze zamarło. Pustynia wstrzymała oddech. A potem Rale odwrócił się i odszedł, by rozpląnąć się w blasku dnia. Briant złapał przerażoną Sonię za rękę i pociągnął w stronę cienia.

– Miałaś rację – powiedział cicho, gdy przemykali wzdłuż starożytnego muru. – Rzeczywiście chciał nas ostrzec.

– Skąd wiedzieli, że tu będziemy?

– Chętnie bym się dowiedział.

Przeskoczyli mur w miejscu, które wybrał, i chwilę później zanurzyli się w półcień panujący pod kolumnami, równie wspaniałymi jak te z jej snu. Echo ich kroków odbijało się od starożytnych ścian. Pustka świątyni zdawała się ich obserwować. Briant nerwowo rozglądał się wokoło, a Sonia czujnie przyglądała się opuszczonemu placowi świątynnemu. Choć wiedziała, że cienie osłaniają ich od wzroku każdego, kto spojrzałby w ich stronę, nie potrafiła pozbyć się uczucia niepokoju. Szczególnie gdy przypominały jej się ludożercze mumie z Miasta na Środku Pustyni.

– Gdzie podziła się Sahara? – zapytała szeptem.

– Znajdzie nas. Nie martw się o nią – odparł i ostrożnie poprowadził ją do wnętrza świątyni. Szedł powoli, jakby zaraz coś miało się na niego rzucić.

Gdy tylko pojawił się przed Abydos, zrozumiał, że to miejsce go nie znosi. Musiał walczyć z instynktem, który kazał mu uciec jak najszybciej od zagęszczonego niechęcią powietrza, od wrogiej ciszy i emanujących żądzą jego cierpienia murów. Każdy odgłos niósł się upiornym echem przez opustoszałe sale. Wyrzeźbione postaci śledziły go pustymi oczami.

Nigdy nie powinien był tu wchodzić. To był grobowiec jego wroga. Grób Ozyrysa. Abydos było przesycone nienawiścią do niego. Ono tak bardzo pragnęło jego śmierci... Tak bardzo...

Ciężko oparł się o ścianę, gdy świat stracił ostrość na jedną krótką chwilę.

– Briant – pisnęła Sonia, łapiąc go za ramię. – Co się stało?

– Nie wiem... To miejsce...

Wpatrywała się w niego niespokojnie.

– Znajdźmy berło i znikajmy stąd jak najszybciej – szepnęła. Chciała pomóc mu złapać równowagę, ale mruknął coś o tym, że nie potrzebuje pomocy, i samodzielnie ruszył przed siebie.

Przemierzali mroczne korytarze, nie wiedząc do końca, czego szukają. Przyglądali się malowidłom, kolumnom, podłodze.

– Czekaj – odezwał się nagle Briant, przystając przy zniszczonej ścianie.

Obejrzała się na niego pytająco.

– Znalazłeś coś?

– Nie wiem. Ale... ta ściana chyba się ruszyła.

– Ruszyła? Jesteś pewien?

Podeszła bliżej, a on z wahaniem wyciągnął dłoń w stronę kamienia. Jego palce zagłębiły się w ścianę gładko, jakby była powietrzem. Sonia gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca, a Briant spojrzał na nią z uśmiechem.

– Iluzja.

Nagle rozległ się cichy trzask. Cofnął dłoń i otworzył szerzej oczy.

– Co to było?

– Zniszczyło mój obraz Marysi Żaluzji.

– Jak to?

Z fascynacją przyjrzał się swoim palcom, a potem ścianie.

– Mistrzowska robota – ocenił. – Iluzja tak dobra i gęsta, że zabija wszystkie inne.

Potęzna magia.

– Starożytna?

– Możliwe. Jesteśmy na dobrej drodze. Na pewno.

Sonia uśmiechnęła się i także uniosła rękę. Oczekiwała delikatnego muśnięcia, gdy przeniknie przez iluzję, ale zamiast tego jej palce natrafiły na szorstki kamień ściany. Zamarła.

– Dlaczego nie chce mnie przepuścić?

Briant wyglądał na równie zaskoczonego jak ona. Wyciągnął dłoń, by położyć ją tuż obok jej własnej... i jego palce bez żadnego oporu zanurzyły się w ścianie.

– Hej! To niesprawiedliwe!

Uderzyła pięścią w kamień, ale jedyne, co osiągnęła, to ból w nadgarstku.

– Siłą nic nie zdziałasz.

– Ale to nie chce mnie wpuścić! Nie będę mogła wejść?!

– Zobaczymy. Może spróbujemy... O! To może zadziałać. Daj rękę.

– No, dobrze...

Ostrożnie podała mu dłoń, starając się wyrzucić sprzed oczu kolejne wspomnienia snu. I wtedy ciszę świątyni zakłócił dziwny dźwięk. Czujnie spojrzeli w bok. Żółty kształt wyskoczył zza rogu korytarza. Sonia w ostatniej chwili powstrzymała krzyk, rozpoznając Saharę. Briant oderwał wzrok od jej zjeżonej sierści i spojrzał w stronę, z której nadeszła.

– Jesteś pewien, że to było Zwierzę Seta? – Powątpiewający głos Rale'a rozdarł ciszę niczym grzmot. – I że pobiegło akurat w tę stronę?

Bóg pustyni zdrętwiał. Sonia mocniej ścisnęła go za rękę. Zmrużył oczy i pociągnął

ją w iluzję. Stęknęła z bólem, gdy trafiła na opór ściany, ale szarpnął mocniej i przeciągnął ją przez magiczną barierę. Zatoczyli się gwałtownie i obili o prawdziwy kamień. Sahara skoczyła za nimi, a końcówka jej ogona zniknęła w przejściu akurat w momencie, gdy szybkie kroki innych bogów stały się niepokojąco bliskie. Znieruchomieli i wpatrzyli się w prostokąt portalu, który od tej strony wyglądał jak zupełnie zwyczajne przejście. Gdy w polu ich widzenia znalazła się dwójka chłopców, Sonia wstrzymała z przerażenia oddech.

– Nic tu nie ma – zauważył Rale, rozglądając się czujnie.

Jego towarzysz, mający na twarzy dziwną maskę, mruknął coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

– Powiedziałem, że to bardzo dziwne – warknął z irytacją Horus, tym razem głośniej. – Na pewno pies pobiegł w tę stronę! Ale to ślepy zaulek.

– Może ci się przewidziało, co?

– Nie! Na pewno nie.

– No to chodźmy szukać dalej.

– Świetny pomysł. Tylko tym razem zachowuj się tak, jak masz się zachowywać. Masz być cicho, jasne? Bo ewentualne niepowodzenie misji zwałę na ciebie.

Rale wywrócił oczami, a jego towarzysz rozejrzał się ze złością. Briant wpatrywał się w zamaskowaną twarz. Ten głos... Tak znajomy. Tylko... skąd? Zupełnie nie mógł skojarzyć.

– No chodź – zachęcił Rale, znikając im z oczu. – Tu przecież nic nie ma. Na pewno znajdziemy go gdzie indziej. Jego też ogranicza magia Abydos. Pewnie nawet bardziej niż nas.

Horus westchnął i niechętnie ruszył jego śladem. Kilka uderzeń serca później w korytarzu ponownie zapadła martwa cisza. Jakby nic się nie zdarzyło.

– Było tak blisko – szepnęła Sonia ze zgrozą.

– Za blisko.

– Rale chyba robi to specjalnie, co?

– Chyba tak. Nie rozumiem do końca dlaczego, ale to dobrze. – Spojrzał w ciemność tunelu, u którego początku się znajdowali. – Chodźmy lepiej.

W powietrzu między nimi rozkwitł lewitujący płomynek, rzucając światło na zaskakująco zadbaną posadzkę i misternie zdobione ściany.

– Jak tu czysto – zdziwiła się Sonia. – Byłam pewna, że będzie tak jak ostatnio. Chyba nawet nie zakurzą mi się buty.

– Cieszę się razem z tobą – prychnął Briant, przyglądając się hieroglifom. – Może magia wypełniająca to miejsce nie znosi nie tylko mnie, ale i kurzu. Nie wiem i, tak szczerze, kompletnie mnie to nie obchodzi. Chcę tylko znaleźć swoje berło i zniknąć stąd na zawsze.

Za pierwszym zakrętem czekało na nich też pierwsze rozgałęzienie. Przystanęli z wahaniem. Briant zmrużył oczy. Wydawało mu się, jakby z korytarza po prawej bił jakiś dziwnie straszny chłód. Im dłużej mu się przyglądał, tym większy czuł niepokój. Wreszcie wzdygnął się i zwrócił spojrzenie na drogę po lewej. Wydawała się odrobinę spokojniejsza.

Jeśli jego kapłani rzeczywiście ukryli tu berło, to nie miał wątpliwości gdzie.

– Chodźmy w lewo.

Korytarz szybko doprowadził ich do nowego rozgałęzienia, a ono do kolejnego. Na każdym skrzyżowaniu Briant wybierał korytarz, który w mniejszym stopniu wypełniała pradawna furia zamordowanego boga. Wreszcie ostatni tunel otworzył się na dużą siedmiokątną salę. Na każdej z jej ścian znajdowały się kolejne mroczne przejścia, a pomiędzy nimi z cieni wyglądały wspaniałe malowidła o żywych barwach oraz rzędy wyrazistych symboli.

– To wszystko jest o mnie – zauważył Briant, wpatrując się w sklepienie.

Sonia także uniosła wzrok. Ujrzała imponujący wizerunek boga z głową Salaawy, trzymającego w ręce charakterystyczny kij, rozdwojony u dołu, a u góry zakończony zwierzęcą głową.

– To Berło Zniszczenia, prawda?

– Tak.

– Nie wygląda imponująco – ośmieliła się zauważyć.

Rzucił jej ciężkie spojrzenie.

– Zobaczmy, co powiesz, jak zobaczysz je na żywo – odparł urażony i skupił się na sklepieniu, a ona rozejrzała się wokoło.

Ze wszystkich stron dostrzegła coraz to nowe wizerunki berła uas. Było wszędzie, na każdej ścianie, dzierzzone przez niezliczone rzesze namalowanych postaci. Miała ogromną, ogromną nadzieję, że oznacza to, że ich poszukiwania wreszcie się zakończą.

Zsunęła plecak z ramienia i położyła go obok siedzącej sztywno Sahary. Rozpięła zamek, wygrzebała spod zimowej kurtki aparat, a potem wstała i skierowała obiektyw w stronę najbliższej ściany. Światło lampy rozeszło się w półmroku świątyni niczym błyskawica, a pstryknięcie niczym strzał z broni palnej. Briant podskoczył i obrócił się w jej stronę.

– Przepraszam. – Zrobiła skruszoną minę. – Mogłam cię uprzedzić.

Skrzywił się.

– Co ty robisz? Nie byłeś nigdy w muzeum? Twój flesz zniszczy jedyne wskazówki, na jakie udało nam się natrafić!

Czując, jak pieką ją policzki, wymamrotała coś pod nosem i wyłączyła lampę błyskową, a rozdrażniony bóg pustyni wrócił do analizowania hieroglifów. Skruszona, zrobiła próbne zdjęcie bez flesza. Nie wyszło najgorzej, aczkolwiek nie była nim zachwycona. No, ale cóż. Zaczęła obchodzić komnatę i przyglądać się namalowanym na jej ścianach scenom, z zamiarem uwiecznienia ich na zdjęciach. Z oczarowaniem zatrzymała się przed malowidłem, które wydało jej się najpiękniejsze. Jego kontury aż błyszczały, a barwy migotały w blasku ognia.

– Musisz to zobaczyć – westchnęła. – Jest wspaniałe...

Gdy nikt jej nie odpowiedział, rzuciła za ramię zdziwione spojrzenie. Briant stał w centrum komnaty i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Jego oczy migotały czerwienią. Szybko odwróciła głowę. Wyglądał odrobinę strasznie, gdy nawiedzały go wizje... Nie widział nic. Niczego nie rozpoznawał. Jej również.

Ponownie przyjrzała się bogatej w detale postaci pięknej kobiety, której czarne

oczy zdawały się wpatrywać prosto w jej własne. Sonia przekrzywiła głowę. Postąpiła krok bliżej i ostrożnie uniosła dłoń. Egipcjanka uśmiechała się do niej tęczą kolorów. Smukłe palce dziewczyny dotknęły jej idealnej twarzy. I wówczas ściana zafalowała i nim Sonia zdążyła zauważyć, brutalnie wessała ją w ciemność. Krzyknęła i runęła gdzieś w dół. W twarz uderzył ją intensywny, słodki zapach, od którego zrobiło się jej niedobrze. Dym wypełnił jej płuca. Poczula straszliwy ból, gdy zderzyła się z podłogą i przetoczyła gdzieś w bok. Huczało jej w głowie. Uchyliła załzawione powieki. Gdzieś z oddali bił słaby blask. Przez wszechobecny dym dostrzegła zbliżające się do niej czarne sylwetki. Wciągnęła kolejną dawkę przerażająco słodkiego aromatu. Ktoś nachylił się nad nią. Nie miała nawet siły drgnąć.

– To nie Set, do cholery – warknął ktoś z rozdrażnieniem.

Potem zapadła ciemność.

Rozdział trzynasty

MRO CZNA MAGIA

Biegł, nie zwracając na nic uwagi.

– Uwolnić ją! – zawołał do strażników, którzy właśnie wyprowadzili ją z więzienia. Zwróciła na niego uważne spojrzenie. W jej oczach nie dostrzegł strachu. Wiedział, że była pogodzona ze swoim losem. Ale to nie znaczyło, że on był.

Zawahali się.

– To rozkaz – warknął.

Ulegli. Nie mieli wyboru. Narażanie się na jego gniew oznaczało wyrok śmierci.

– Co z Ra? – zapytała niepewnie, gdy prowadził ją opustoszałymi korytarzami. – To wbrew jego woli...

– Nie zakwestionuje tego, co zrobiłem. Oznaczałoby to wojnę domową.

Przystanęła z zaskoczeniem.

– Wojnę? – szepnęła, potrząsając głową.

W jej włosach migotała kryształowa ozdoba w kształcie róży z Jerycha. Jego dar dla niej. Dar godny królów.

– Jesteś w stanie poświęcić aż tyle, żebym mogła żyć? – zapytała.

Obrócił się.

– Tak.

– Ale... Nie rozumiem.

Ujął ją za piękną dłoń.

– Astarte – zaczął cicho.

Uniosła na niego oczy.

– Nie pozwolę, by stało ci się coś złego – zapewnił. – Nie mogłem uratować twoich ludzi. Ani twojego kraju. Ale zrobię wszystko, by uratować ciebie.

Pokręciła łagodnie głową.

– Dlaczego? Jestem tylko...

Nie pozwolił jej dokończyć. Przyciągnął ją do siebie, a ich usta złączyły się w pocałunku.

Zatoczył się, z trudem odzyskując równowagę. Rozświetlony słońcem pałacowy korytarz na powrót stał się mrocznym świątynnym pomieszczeniem. Astarte rozwiała się w nicość.

Sahara piszczała żałośnie.

Obejrzał się, walcząc z zawrotami głowy. Salaawa kręciła się przy jednej ze ścian. Nigdzie nie dostrzegł swojej przyjaciółki.

– Sonia?

Gdzie ona się podziała?!

Jej plecak leżał porzucony na posadzce. Rozejrzał się czujnie.

– Sonia?!

Podbiegł do Sahary i dopiero wtedy dostrzegł roztrzaskany na posadzce aparat. Zaklął pod nosem i spojrzał na nienaturalnie lśniące malowidło. Malowana twarz ożyła.

Echo głosu Astarte ponownie wypełniło mu uszy.

„Jesteś w stanie poświęcić aż tyle, bym mogła żyć?”

Salaawa warknęła, przywracając go do rzeczywistości. Cofnął uniesioną dłoń i wbił odrobinę zamglony wzrok w roztrzaskany aparat. Byle nie patrzeć na zaczarowaną ścianę. Zacisnął zęby.

Starożytną ciszę zakłócił odległy szelest. Wbił uważny wzrok w jeden z tuneli.

– Sonia...?

Odpowiedziała mu cisza. Próbował przeniknąć spojrzeniem ciemność korytarzy, ale mrok panujący w Grobie Ozyrysa ukrywał przed nim swoje tajemnice. Sahara zjeżyła sierść na grzbiecie. I wtedy ze wszystkich tuneli wystrzeliły srebrne kule i ze stukotem rozlały się po podłodze, plując dymem. Słodkawy aromat wypełnił starożytne korytarze. Briant odskoczył jak oparzony. Ten zapach... Znał go doskonale.

Zatrute kadzidło.

Wstrzymując oddech, porwał z ziemi plecak przyjaciółki. Sahara szczerknęła ostrzegawczo. Kątem oka dostrzegł poruszenie we wszystkich korytarzach. Powietrze wokół niego zaczęło trzeszczeć, gdy wezwał swoją magię. Mroczne postaci wypadły z dymu i rzuciły się w jego stronę. Dokładnie wtedy, gdy eksplodowała ściana przedstawiająca Astarte. Jej odłamki wystrzeliły na wszystkie strony. Briant wskoczył w ciemność, a Sahara tuż za nim. Wylądował na twardym dnie pułapki, przeturlał się dwa metry dalej i zerwał z ziemi. Otaczał go ocean zatrutego kadzidła. Płuca zaczęły upominać się o tlen, ale nie mógł ich posłuchać.

Wystarczy jeden oddech, i po nim.

Ktoś wyskoczył na niego z dymu, ale nie był wystarczająco szybki. Briant uchylił się przed ciosem, złapał napastnika za rękę i powalił na podłogę. Z oddali dało się słyszeć nowe kroki. Rzucił Saharze znaczące spojrzenie. Razem wpadli w mrok egipskich korytarzy. Smugi kadzidła plątały się im wokół nóg, szepty wypełniały drżące powietrze. Cienie poruszały się i starały się ich powstrzymać. Brak tlenu boleśnie dawał mu się we znaki.

„Nie uciekniesz nam!” – szeptał wirujący wokół mrok. „I tak wpadniesz w nasze ręce...!”

Serce łomotało mu w piersi. Potknął się i zachłysnął się powietrzem. Ciągące się za nim pozostałości słodkawego aromatu natychmiast zmały mu zmysły. Zacisnął zęby i pobiegł dalej. Musiał biec dalej. Musiał odnaleźć Sonię. Szpony przerażenia zacisnęły się na jego sercu, gdy bez skutku próbował nawiązać z nią kontakt myślowy. W pierwszej chwili pomyślał, że nie żyje. Ale szybko odepchnął od siebie tę myśl.

To musiał być wpływ zatrutego kadzidła. Ona musiała żyć!

„Nie uciekniesz przed zrodzonymi z mroku” – drwiąco syczało powietrze wokół niego.

W oddali zabłysło światło dnia. Sahara pierwsza wystrzeliła pod palące promienie słońca. On wyskoczył tuż za nią. Usłyszał zdumione okrzyki turystów, gdy wypadł pomiędzy nich prosto ze ściany. Roztrzącił ich i pognał za podążającą ulotnym tropem Salaawą.

Kolejne krzyki rozdarły ciszę ruin. Obejrzał się przez ramię. Z ukrytego za iluzją

przejścia wylała się fala mrocznych postaci. Przyzwał magię chaosu. Nie zareagowała tak, jak chciał, ale musiał się tym zadowolić. Czuł, jak trucizna krąży w jego żyłach. Pędził przed siebie, starając się nie zwracać na to uwagi. Musiał być od niej silniejszy.

Jego złe przeczucia stawały się z każdą chwilą jeszcze gorsze.

„To twoja wina” – szeptały głosy w jego duszy, pogłębiając jego przerażenie. „Jak mogłeś pozwolić jej zniknąć?!”

Sahara zatrzymała się dokładnie pośrodku niczego i zaczęła niepewnie krążyć dookoła. Podbiegł do niej, z trudem łapiąc oddech. Gdy Salaawa spojrzała na niego smutno i machnęła przeproszająco ogonem, z wrażenia prawie przewrócił się na ziemię.

– Szukaj dalej – zażądał.

Ale to było bez sensu. Trop się urywał.

– Nie – szepnął, błędząc wzrokiem po otoczeniu. Piasek. Kilka marnych krzaków. Jakieś kamienie. Trochę dalej ruiny. Piasek.

Przecież nie mogła rozplynać się w powietrzu!

Sahara wydała z siebie groźny pomruk. Zaskoczony, obejrzał się w stronę świątyni. Tłum ubranych na czarno postaci gnał w jego stronę, celując do niego z broni, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że odnaleźli go tak szybko. Chaos powinien był ich powstrzymać.

Rozległ się huk, gdy broń wystrzeliła. Jednym ruchem ręki odtrącił buchające dymem pociski. Potoczyły się po piasku, sycząc i rozprzestrzeniając zatrute kadzidło.

Jego oczy zabłysły groźnie. Gdyby tylko mógł, zmiotłby ich jednym trzaśnięciem błyskawicy. Jednym drgnięciem ziemi otworzyłby pod nimi rozpadlinę. Ale jego magia słabła.

Pierwsza zasada walki z trucizną. Odpocznij. Każdy twój wysiłek ona wykorzystuje przeciwko tobie. Jedynie spokój może ją zabić.

Wezwał wiatr, który zawirował wokół niego, by utrzymać pełną ramiona kadzidła jak najdalej. Jakaś część jego duszy wylała, by zabił ich jak najszybciej. Ale przecież... Nie mógł jej ulec. Sahara napięła mięśnie, gotowa do ataku, ale ją powstrzymał. Pustynia uniosła się z groźnym pomrukiem. Napastnicy krzyknęli i wystrzelili kadzidłem z jeszcze większą zaciekłością. Przemykał wzrokiem po ich zasłoniętych twarzach, odbijając pociski.

Niebo zagrzmiało i wypluło oślepiającą wstęgę błyskawicy wycelowaną prosto w jego serce. Zaskoczony uskoczył w ostatniej chwili. Wybuch wstrząsnął pustynią, wypalając w niej bliznę. Podmuch gorąca odebrał mu dech. Sahara zawyła, a on rzucił niebu zabójcze spojrzenie. Skąpany w blasku słońca sokół zanurkował ostro. Jego oczy jarzyły się drapieźnie. Szpony lśniły zabójczo.

Ze wszystkich stron zaatakowała go magia. Bogowie byli coraz bliżej.

Warknął, a wraz z nim zawarczała pustynia. Błyskawice zderzyły się w powietrzu, posyłając w niebo deszcz płomiennych iskier. Machnął ręką, a wiatr pchnął gęste kłęby trucizny i posłał je w górę, tworząc z nich zatrutą kopułę. Uchylił się od ciosu pierwszego ze śmiertelników. Sahara wystrzeliła jak z procy i powaliła na ziemię drugiego.

Briant uderzył napastnika łokciem w twarz i rzucił się pomiędzy pozostałych. W stronę tego, którego sobie wcześniej upatrzył. Drobniego, młodego. Najslabszego.

Sokół zakrzyknął wojowniczo i wpadł w ocean dymu. Złote oczy natychmiast dostrzegły swego wroga.

Set odbił magią ataki śmiertelników i złapał jednego z nich za czarną szatę. Napastnik szarpnął się ze strachem, ale był bez szans. Wraz z Władcą Piasków rozsypał się w tuman piasku dokładnie w momencie, gdy szpony Horusa miały rozorać twarz boga pustyni.

Sokół zacisnął szpony na pustce. Napastnicy krzyknęli. Bogowie przebili się przez truciznę. I wtedy połknęła ich wszystkich burza piaskowa.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuła, był ból głowy rozsadzający jej czaszkę. Uniosła ociężałe powieki i z konsternacją wpatrzyła się w obcy, kamienny sufit. Zamroczone myśli błądziły wśród nicości. Z każdym oddechem łykała powietrze, w którym dyskretnie unosił się słodkawy zapach. Dokuczały jej wyschnięte na wiór gardło i spierzchnięte usta. Odetchnęła głębiej, walcząc z zamroczeniem, a potem uniosła się na łokcie. Aromat zawirował wokół niej, jakby chcąc ją unieruchomić. Z niezrozumieniem rozejrzała się po wypełnionym półmrokiem pomieszczeniu, tak bardzo obcym. Jej oczy powiększyły się ze zgrozy, gdy wspomnienia wróciły do niej z całą swoją mocą.

Sonia zerwała się z twardego łóżka i stanęła bosymi stopami na lodowatej posadzce. Zawirowało jej przed oczami. Ciężko oparła się o ścianę i ze strachem rozejrzała się po pokoju. Znajdowały się w nim jedynie drewniane łóżko i stojąca obok czarnych drzwi kadź, z której wydobywało się blade, migoczące światło i słodkie opary. Nie było okna.

– Nie – szepnęła, walcząc z paniką. – Niemożliwe!

Podbiegła do drzwi i spróbowała je otworzyć, ale ani drgnęły. Nawet gdy szarpała z całej siły. Warknęła i uderzyła w nie pięścią, a potem oparła czoło na zimnej powierzchni. Skupiła się najmocniej, jak umiała, i spróbowała nawiązać kontakt myślowy z bogiem pustyni. Dokładnie tak, jak jej kiedyś tłumaczył. Słodkawy aromat wypełnił jej płuca. Zakrztusiła się. Ciężko oparła się o drzwi i zaplotła na piersi drżące ręce.

Nie udało się. Nie udało się! – pomyślała w panice.

W jej oczach zamigotał strach.

I co teraz?

Osunęła się na podłogę. Ponownie nawiedziła ją przeszłość. Kobieta z malowidła. Nieobecny Briant. Ten zapach... I ciemność.

I te słowa.

– To nie Set – szepnęła do siebie. Jej serce gwałtownie przyspieszyło.

To on był ich celem, kimkolwiek byli. Z całej siły wbiła sobie paznokcie w skórę. Musiała się skupić. Musiała wymyślić sposób, jak się z nim porozumieć.

Otoczająca go ciemność rozrzedzała się opornie. Zamrugał, chcąc pozbyć się mgły przesłaniającej mu wzrok. Kontury otoczenia nabrały ostrości. Upiorne malowidła na ścianach zdawały się jarzyć niebezpiecznym światłem. Cienie wywoływane przez palące

się nieśmiało pochodnie tańczyły na posadzce. Monstrualne kształty kolumn rozplływały się gdzieś w niezgłębionym mroku sklepienia.

Poblądł i spróbował wyswobodzić skrupowane za plecami ręce. Przy każdym ruchu drzazgi z drewnianego słupa, do którego był przywiązany, wbijały mu się w ramiona i plecy, ale nie zwracał na to uwagi. Musiał uciec, zanim...

– Nie uda ci się uwolnić. – Czyjś lodowaty głos rozległ się w powietrzu. – Osobiście wyczarowałem te więzy.

Więzień zdrętwiał i uniósł wzrok. Z cieni wyłoniła się złowroga postać o jarzących się czerwienią oczach. Z jego przystojnej twarzy promieniał beznamiętny chłód, choć zastygłe rysy zdradzały gniew. U jego boku stąpał bezszelestnie ogromny pies, w którego kłach odbijały się płomienie pochodni.

Związany skulił się, przez co wydał się jeszcze mniejszy.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiał, z przestachem śledząc każdy ruch starożytnego boga.

Set uśmiechnął się złośliwie.

– W samym sercu pustyni. W moim pałacu. Jesteśmy tu sami. Tylko ty i ja. Radzę być ostrożnym. – Z zadowoleniem przyjął trupa błądź twarzą więźnia. – Cieszy mnie, że znasz angielski. Pozwoli to na pozbycie się wielu nieścisłości w naszej rozmowie.

– Nic ci nie powiem.

– Jasne – prychnął. – Wszyscy tak myślą. No, ale... Bądźmy szczerzy. Naprawdę liczę, że będziesz się zachowywał rozsądnie. Nie porwałem akurat ciebie przez zwykły przypadek. Wybrałem cię, bo wyglądasz na kogoś, kto chciałby jeszcze żyć... No, ile ty możesz mieć lat? Dziesięć?

– Nic ci nie powiem – powtórzył chłopiec z uporem.

Briant uniósł brew.

– Zaczniemy więc. Kim jesteście i dlaczego zastawiliście na mnie pułapkę?

Pojmany zacisnął zęby i rzucił bogu najbardziej harde spojrzenie, na jakie umiał się zdobyć.

– Ach tak. Saharo.

Krążący wśród cieni pies skoczył w stronę młodego więźnia. Chłopiec krzyknął z rozpaczą i bólem, gdy poczuł na ramieniu ukłucie kłów. Po policzkach spłynęły mu łzy. Set ukląkł obok niego i przyjrzał się jego wykrzywionej przerażeniem twarzy. Czerwone oczy błyszczały złowrogo.

– Słuchaj – syknął.

Pochodnie przygasły.

– Jeśli myślisz, że nie zrobię ci nic złego, bo wyglądam na kilka lat więcej niż ty, to jesteś w błędzie. Narodziłem się tysiące lat temu jako bóg wojny. Jeśli myślisz, że zaimponujesz mi swoją odwagą, to wiedz, że nie tędy droga. Łamałem ludzi ze stali, kruszyłem całe armie. Zabiłem własnego brata. Myślisz, że dla ciebie zrobię wyjątek? Nie. Nie zrobię. Więc jeśli chcesz zachować swoje śliczne, niewinne życie, mój jeszcze kiedyś ruszać ręką i zobaczyć rodziców, to odpowiesz na wszystkie moje pytania. Zrozumiano?

Ledwo łapiąc z przerażenia oddech, chłopiec kiwnął głową. Łzy nieprzerwanie

płynęły mu po policzkach.

– Świetnie.

Briant z gracją powstał z podłogi i rozsiadł się na złotym krześle.

– Kim jesteście i dlaczego zastawiliście na mnie pułapkę?

Więzień rzucił Saharze zapłakane spojrzenie, a potem wbił je w podłogę.

– Nie wiesz? – odparł drżącym głosem. – Jesteśmy Sługami Pustyni.

Briant zdrętwiał. Echa przeszłości odezwały się w jego głowie.

– Sługami Pustyni – powtórzył za chłopcem jak zakłęcie. – Powiniennem was znać?

Więzień uniósł zdziwione oczy.

– Tak... Przecież byliśmy kiedyś twoimi kapłanami. A przynajmniej tak nam mówią na historii.

– Kapłanami? – Pobladł. – Gdzie moje berło?

Więzień wybałuszył oczy.

– Co takiego? Nie wiem!

– Kłamiesz! – zawołał, zrywając się z tronu.

Sahara mocniej zacisnęła zęby, chłopiec krzyknął z bólu.

– Nie! Nie kłamię! Nigdy nie słyszałem o żadnym berle... – Szloch wstrząsnął jego drobnym ciałem. – Proszę... To była moja pierwsza misja... Dopiero zaczynam... Nic nie wiem!

Set odetchnął nerwowo i dał znać Salaawie, która odsunęła się od więźnia i położyła nieopodal.

– Niech będzie, że ci chwilowo wierzę. Ale... Dlaczego mnie zaatakowaliście? Czy jako moi kapłani nie powinniście mi pomagać?

– Nie, nie... My wywodzimy się od twoich kapłanów, ale od dawna już cię nie czcimy.

Bóg pustyni zmarszczył brwi.

– Od wieków robimy coś innego. Naszą misją jest zniszczenie magii.

– Co?!

Chłopiec skulił się ze strachu.

– Niszczenie magii – szepnął z desperacją. – Dlatego zastawiliśmy na ciebie pułapkę. Bo... ty jesteś z nich najpotężniejszy.

Set przypatrywał mu się nieodgadzionym wzrokiem. W jego duszy szalała prawdziwa burza. To wszystko... To wszystko było tak bardzo dziwne! Ale... Nie wyglądało, by dzieciak kłamał. Za bardzo się bał.

– Co się stanie z dziewczyną, która wpadła w pułapkę zamiast mnie?

– Nie wiem... Naprawdę! – wyjąkał więzień.

– Gdzie ją trzymają?

– Nie wiem...

– Gdzie znajduje się wasza siedziba?

– Nie wiem. – Rozplakał się. – Wiedzą o niej tylko wtajemniczeni... Ja jestem nowicjuszem!

– Tak? I dopuścili cię do akcji tak po prostu? Żebyś sobie popatrzył?!

– Żebym się uczył... Pomagałem w wytwarzaniu kadzidła...

– Nowicjusz nie brałby udziału w czymś takim! Nie oszukasz mnie.

– Ale ja nic nie wiem... Przysięgam!

– To lepiej się dowiedz! – wycedził. – Zapłacisz życiem za brak odpowiedzi!

Chłopiec zmartwił, a Briant obrócił się na pięcie i wypadł ze świątyni. Świat wirował mu przed oczami. Nie przypuszczał, że próba powstrzymania wspomnień będzie aż tak ciężka... Zatonął się. Natrafił ręką na nagrzaną od słońca kolumnę i oparł się o nią ciężko. Nie mógł dłużej znieść kotłujących mu się w sercu obrazów... Uwolnił je.

Pałac na pustyni rozwiął się w nicość. Otoczyła go ciemność.

Przypatrywała mu się ze smutkiem, gdy polerował złoty hełm w kształcie głowy pustynnego psa.

– Naprawdę musisz iść?

Posłał jej rozbawione spojrzenie.

– Jakże bóg wojny mógłby nie iść na wojnę? Poza tym buntownicy muszą być ukarani. Nie pozwolę, by znieważali Ra. I mnie.

Astarte zmarszczyła brwi. Piękne czarne oczy błyszczały niepewnie. Przekrzywił głowę.

– Coś nie tak?

Zawahała się.

– Nie – odparła i wbiła wzrok w ziemię.

Zamrugał gwałtownie. Och, gdyby wiedział... Gdyby nie był tak ślepy...! Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Gdy wszystko zrozumiał, było już za późno. A mógł przecież...

Zeskoczył z rydwanu, nim pokryte pianą konie zdążyły wyhamować.

– Gdzie ona jest? – wrzasnął, wpadając do pałacu. Iskrzące się czerwienią oczy błędziły po znieruchomiłych twarzach innych bogów. Na budzącej postrach zbroi wciąż widniała zakrzepła krew pokonanych wrogów.

Ra powoli podniósł się z tronu.

– Nie żyje.

Jego serce zamarło.

– Jak to? – warknął, odtrącając współczującą dłoń Neftydy. Wściekłość wypełniła jego duszę. – Ona była moją żoną! Kto śmiał ją zabić?!

Powietrze zatrzęszczało.

– Ona była przywódczynią buntu, Secie – oznajmił lodowato król bogów. – Jedyłą słuszną karą za to jest wieczna śmierć.

– Ale...

– Wolałbyś, gdybym rozkazał Sechmet zniszczyć całą ludzkość?

– Tak! Bo inni mnie wcale nie obchodzą!

– Ale mnie obchodzą! – zawołał Ra ze złością. – I tak powinien myśleć prawdziwy władca!

Set zacisnął pięści, a król bogów z rozdrażnieniem spojrział za okno. Wydał się nagle bardzo zmęczony.

– Jak mogliście skazać ją bez mojej zgody?! – warczał dalej bóg pustyni, coraz bardziej zatracając się w szalejących mu w sercu uczuciach. – Dobrze wiecie, kim dla

mnie była! Dowiódłbym, że się mylicie! A nawet jeśli nie, wyjaśnijcie mi, co było tak pilnego, że nie pozwoliliście mi się z nią nawet pożegnać?!

– Chcieliśmy czekać – wyjąkała Izyda. – Chcieliśmy pozwolić ci ją zobaczyć...

Wbił w nią morderczy wzrok.

– Ale co?

– Ozyrys był innego zdania. Tak mi przykro...

Ziemia zadrżała. Nie słyszał fałszywych słów innych bogów. Rzucił Ra straszliwe spojrzenie i obrócił się na pięcie. Wrota zatrzęsły się za nim z hukiem. Czerwone oczy wypełniała nienawiść. I ból tak straszny, że nie potrafił go nawet w pełni pojąć. Wiedział, że nigdy się z tym nie pogodzi. A Ozyrys zapłaci za to, co zrobił. Za życie, które zniszczył. Za szczęście, które obrócił w cierpienie.

Zapłaci za jej śmierć.

Wściekłość sprzed tysiąca lat ustąpiła miejsca terażniejszej rozpacz. Wbił drżące palce w chropowatą powierzchnię kolumny. Rozdrapane rany bolały prawie tak strasznie jak wtedy. Astarte... Była dla niego wszystkim. Pamiętał doskonale jej czarne oczy wypełnione tajemnicą. Które tylko on potrafił zachęcić do uśmiechu. Była piękna i dumna. A potem... Potem wybuchł bunt. Ludzie ośmielili się pomyśleć, że mogą obalić bogów. Wyruszył na wojnę, tak samo jak inni. Ona została... Ziemia spłynęła krwią. Ra wysłał uosabiającą jego potęgę Sechmet, by zniszczyła ludzkość. To Astarte sprawiła, że zmienił zdanie. Czy Ra żałował potem, że posłuchał błagań dziewczyny, która okazała się jedną z przywódców buntu? Na pewno tak... Nakryli ją, gdy wykradała boską broń dla buntowników. Zabili ją tuż przed tym, jak wrócił z frontu, wściekły i przerażony. Gotów na wszystko, byle ją ocalić. Ale było już za późno.

Przez tyle wieków był przekonany, że to jego brat ją zabił. Osobiście. Ale w końcu zrozumiał, że był w błędzie. Że nie uczynił tego bóg, lecz jego sługa.

Nie płakał za nią. Nigdy za nikim nie płakał. Ale jego serce umarło wraz z nią, a rana po nim nigdy się nie zabiłiła. Miłość do niej przekuł w nienawiść do brata. Już nigdy potem nikogo nie pokochał. Nawet Neftydy, którą Ra wybrał mu na żonę w nadziei, że piękna bogini pomoże mu zapomnieć o unicestwionej śmiertelnicy. Ale nie pomogła.

Nieobecnie wpatrywał się w mury pałacu, malowane czerwienią przez umierające słońce. Wdychał uzdrowicielski zapach pustyni, który zwalczał coraz odleglejsze skutki działania kadzidła. Echa dawnej furii szumiały mu w głowie. Wspomnienia cierpienia ponownie raniły.

Nie mógł pozwolić, by przeszłość się powtórzyła. By Sonię spotkało to samo. *Odnajdę ją. Na pewno.* Wpatrzył się w piasek, który miał kolor krwi. *Jak to w ogóle możliwe, że ona zaginęła? To nigdy, nigdy nie powinno się było zdarzyć.*

Po raz setny spróbował nawiązać z nią kontakt, znów bezskutecznie. Nie wiedział, czy to przez to, że ciągle osłabiało go kadzidło, czy może to jej coś się stało... Musiał coś wymyślić. Musiał ją odnaleźć. Gdyby tylko ten mały kapłan był bardziej przydatny... Z rozdrażnieniem wpatrzył się w zabarwione karmazynem niebo. Zbliżał się czas, gdy Sonia powinna wrócić do domu... Co będzie, jeśli jednak... nie wróci?

Wstrzymał oddech.

Nie. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. O tym, że zaginęła. To jego sprawa.

Naprawi to, nim wszyscy się zorientują. Nie mogą niczego zauważyć. Bo wtedy... Wtedy mogą zacząć pytać. Wszystko może runąć. A do tego nie można dopuścić.

Ignorując zawroty głowy, skierował swe kroki w stronę Komnaty Piasków. Gdy ujrzał przed sobą wirujące portale, wiedział już dokładnie, co powinien zrobić. Natychmiast, jak tylko wyłonił się z cieni naprzeciw domu dziadków Soni, zaatakował go nieprzyjazny wiatr. Jego oddech zamieniał się w parę, uchodzącą w granatową głębię nieba.

Wpatrzył się w ciemne okna jej pokoju. Nie mógł pozwolić, by pozostały tak zimne i martwe. Jakby odeszła na zawsze. Bo nie odeszła. Na pewno nie. Zerknął w stronę rozświetlonych okien salonu. Mleczne zasłony były niedokładnie zaciągnięte i przez niewielką szparę dostrzegł zgromadzoną przy herbacie rodzinę przyjaciółki. Szybko umknął wzrokiem, nie mogąc znieść widoku poruszających się cieni. Zbyt mocno przypominały mu o tym, co sam bezpowrotnie utracił. I o tym, co się stało z Jeanem. I z Sonią. Zamrugał, żeby pozbyć się śniegu, który wiatr wciskał mu do oczu, a następnie przywołał magię iluzji. Widmowa Sonia wyłoniła się z zamieci i spojrzała na niego z uśmiechem.

– Idź – szepnął, a głos z trudem wydostał się przez jego ściśnięte gardło.

Odwrócił się i zniknął, nie chcąc widzieć, jak rodzina wita się z nieprawdziwą dziewczyną. To były tylko czary. Perfekcyjne, ale tylko czary. Jego prawdziwa przyjaciółka była nie wiadomo gdzie, samotna i przestraszona. Musiał ją odnaleźć. Musiał wymyślić na to jakiś sposób. Ale... Czuł się tak bardzo zmęczony... Najchętniej zaszyłby się gdzieś i pograżył w odżywczym śnie, który wygnałby z jego ciała resztki trucizny.

Przystanął w wejściu do Świątyni Nocy i ponuro przyjrzał się swojemu więźniowi. Siedział na ziemi, dokładnie tak, jak go zostawił. Sahara leżała nieopodal i przypatrywała mu się czujnie. Młody kapłan wbijał załamane spojrzenie w posadzkę i starał się ukryć przed światem spływające z oczu łzy. Briant stłumił ciężkie westchnienie i zdecydowanie wkroczył do komnaty. Chłopiec ze strachem poderwał głowę i skulił się w sobie.

– Skąd wiedzieliście, że pojawię się w Abydos?

Kapłan zawahał się.

– No skąd? – warknął, krążąc wokół więźnia.

– Bo... Powiedziano nam, że złapałeś naszą przynętę... I dlatego wszyscy byli pewni, że tam przyjdiesz.

Gwałtownie obrócił się w stronę drżącego chłopca. Jednym ruchem ręki przywołał obraz dawnego znajomego z obozu, który tak tajemniczo pojawił się w Paryżu.

– Znasz go? – wycedził przez zęby. – To jeden z was?

Chłopiec zadrzał. Twarz przyoblekła mu się trupią bladością. Słabo kiwnął głową, a Set zmrużył oczy, przypatrując mu się uważnie. Ten nos... I te oczy. Zerknął na iluzoryczny obraz Oliverververa, a potem znów na kapłana.

– Jesteście do siebie tak bardzo podobni... Dlaczego?

Chłopiec otworzył szerzej oczy.

– Dlaczego?!

– To mój brat – wydukał ze strachem. – Proszę, nie rób mu krzywdy...

Briant znieruchomiał.

– Twój brat...

Na jego twarzy zatańczył uśmiech. Ignorując przerażony szloch więźnia, wypadł ze świątyni i z powrotem skierował się ku Komnacie Piasków. Może jednak instynkt dobrze podpowiedział mu, kogo porwać. Może i ten bachor sam w sobie nie był przydatny, ale miał brata, który na pewno zrobi wszystko, by go jeszcze kiedyś zobaczyć.

Gdy wyłonił się z cieni w zrujnowanym pomieszczeniu, które niegdyś nazywał swoim domem, przekonał się, że przecucie go nie zawiodło. Trupio blady Oliver zerwał się z ziemi. Migoczące światełka świeczek i dym kadzidełek sprawiały, że rysy jego twarzy zdawały się ostrzejsze. Zimne podmuchy wiatru wpadającego do środka przez dziurę w ścianie rozwiewały duszną woń wytwarzaną przez topiący się воск i kadzidła.

– Przyszedłeś – powiedział cicho. Jedyne oczy zdradzały jego strach. – Czy moje modlitwy zadziałały?

– Modlitwy? – Zerknął na świece i kadzidła, wreszcie domyślając się ich funkcji.

– Nie. Sam przyszedłem.

– Co zrobiłeś z chłopcem?

– Z twoim bratem, chciałeś chyba powiedzieć?

– Tak. – Pobladł jeszcze bardziej. – Gdzie on jest?

– W moim pałacu. Do którego nie wejdzie nikt prócz mnie, zaznaczam. Jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, jestem twoją jedyną nadzieją.

Twarz Olivera zabłysła lodową furją.

– Postawmy sprawę jasno – rzucił Briant, opierając się o pokrytą graffiti ścianę. – Mam wszelkie powody, by go zabić. Zaatakował mnie. I jest twoim bratem, a to ty wciągnąłeś mnie w pułapkę. Musisz się naprawdę postarać, żeby przekonać mnie, że korzystniej będzie zachować go przy życiu.

– Jeśli go zabijesz, nigdy nie dowiesz się niczego o Soni.

– To tylko kwestia czasu, bym sam się wszystkiego dowiedział. Ale bądźmy szczerzy, dlaczego mam się trudzić, skoro mogę to samo osiągnąć dużo szybciej? Zawrzyjmy umowę. Ty powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Wszystko. A ja oddam ci twojego małego, słodkiego braciszka. Wchodzisz w to, Oliververver?

– Antoine – przerwał chłopak drżącym głosem. – Tak mam na imię.

– Nieważne. To co, umowa stoi?

– Tak... Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. O Sługach Pustyni. O tym, dlaczego mnie zaatakowaliście. I o tym, gdzie jest Sonia.

Antoine poruszył się niespokojnie. Wydawał się przerażony. Sygnet na jego dłoni lśnił, odbijając płomyki świec. Tym razem widniejący na nim znak nie był już dla Brianta tajemnicą.

– Słudzy Pustyni to zgrupowanie, które wywodzi się od starożytnych kapłanów... Twoich kapłanów. Przez setki lat po odejściu bogów byli ci wierni, ale potem... Potem, gdy nastąpiło chrześcijaństwo i zaczęto tępić dawne kultury, zmieniliśmy się. Przyjęliśmy nowe motto. Nowy cel.

– Zniszczyć magię?

– Tak – przyznał z oporem. – Zniszczyć magię. Przez setki lat wytępiliśmy wiele

gatunków, wiele zjawisk, wiele talentów. Ale zawsze wiedzieliśmy, że pewnego dnia wrócicie... Starożytni bogowie, najpotężniejsi w dziejach. Aby zniszczyć magię do końca, trzeba pozbyć się i was. Gdy pojawiły się pierwsze znaki, zaczęliśmy was szukać. Zwłaszcza ciebie.

– Dlaczego?

– To chyba jasne. Jesteś najpotężniejszy. Gdybyś stanął po naszej stronie, razem moglibyśmy wszystkich pokonać.

– A potem, gdy zostałbym sam, wystarczyłoby zniszczyć mnie? Ależ to naiwne. W życiu bym się na to nie zgodził. Tym bardziej że na pewno nie potrafilibyście pomóc mi zniszczyć bogów.

– Skąd wiesz? – obruszył się Antoine. – Może jesteśmy silniejsi, niż myślisz?

– Na pewno nie jesteście aż tak potężni. Ale... Nie rozumiem. Skoro chcieliście się ze mną sprzymierzyć, dlaczego mnie zaatakowaliście?

Chłopak skrzywił się odrobinę.

– Dlatego, żebyś chciał się z nami sprzymierzyć. Chcieliśmy wydać się potężnymi. Poza tym... Jak sam widzisz, po dobroci nie bardzo chcesz się do nas przyłączyć.

– No raczej! Nie potrzebuję nikogo, a już szczególnie was.

– No widzisz... Zastawiliśmy w Abydos pułapkę. Ja miałem cię do niej zwabić. Miałeś w nią wpaść i...

– Sonia wpadła – przerwał ze złością. – Gdzie ona teraz jest?

– Ja...

– Gdzie?!

– Nie wiem – wycedził Antoine. – Nie uczestniczyłem w tej misji! Cały czas byłem w Europie. Nie wiem, gdzie jest ani co się z nią stanie.

– W takim razie nie jesteś mi potrzebny! Ani ty, ani twój brat.

Kapłan otworzył szerzej oczy.

– Nie, zaczekaj! Nie wiem, co z Sonią, ale mogę się tego dowiedzieć! Spotkajmy się tutaj jutro w południe... Do tej pory zdobędę niezbędne informacje. Przysięgam. Poznam ich plany. Będę wiedział wszystko.

Bóg pustyni zmrużył oczy.

– Lepiej od razu zaproponuj im wymianę. Twój brat za Sonię. Będzie szybciej i prościej.

– Nie, nie – szepnął Antoine. – To się nie uda. Na pewno nie. Oni... Oni zrobią wszystko, by cię dostać w swoje ręce. Nie zgodzą się na wymianę. Nie zależy im na moim bracie. Chcą tylko ciebie...

– To przekonaj ich, że nie idę na żaden inny układ – odparł lodowato. – Postaraj się, jeśli tak bardzo zależy ci na tym dzieciaku. Widzę cię tu jutro w południe. Jeśli nie przyjdiesz lub spróbujesz urządzić jakąś zasadzkę... Bądź pewien, że zobaczysz go jedynie jako rozrzucone po pustyni kości.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał. – Ale... Ale jeśli coś mu się stanie...

– To co? – prychnął z drwiną.

Antoine zacisnął pięści. Nie dokończył.

– Zdobądź wszystkie informacje i dopilnuj, żeby nic nie stało się Soni, a twój brat

także nie ucierpi. Ale jeśli będziesz chciał mnie oszukać... Jeśli będziesz chciał mnie okłamać... Nie zobaczysz go nigdy więcej. Rozumiesz?

– Nie mam zamiaru cię oszukać – zapewnił cicho. – Za bardzo zależy mi na bracie.

– I dobrze – rzucił, rozkładając ramiona. Płomyki przygasły. Ciemność sięgnęła po niego z kątów. Nim rozpląnął się w nicość, dobiegł go niepewny głos kapłana.

– Zmieniłeś się, Briant... Jesteś teraz inny. Uważaj.

– Zawsze byłem taki – uciał, a echo jego głosu rozpląnęło się w wypełnionym kadzidłowym powietrzu.

Rémi wstrzymał oddech i wkroczył do gabinetu Ra. Starał się opanować. Ukryć targającą nim złość. Na siebie, bo był za wolny. Na Seta, bo ten parszywy bóg znów mu się tchórzliwie wymknął. Nie znosił przegrywać. Nie znosił! A rozmowa ze wściekłym Słońcem była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

– Co to miało być? – warknął na wejściu kierownik, gwałtownie odwracając się od okna. – Dlaczego ci się nie udało?

Horus wbił wzrok w podłogę.

– Dlaczego?! Jesteś aż tak słaby? Tak bardzo do niczego?

Rémi zacisnął pięści.

– Nie jestem do niczego.

– To dlaczego ponownie nie udało ci się go dorwać? Kapłanka powiedziała przecież, że to może się udać! Co zrobiłeś źle?

– Nic nie zrobiłem źle!

– Więc dlaczego morderca twojej rodziny nie jest teraz tutaj, pokonany i zniewolony?!

– Bo widocznie popełniliśmy jakiś błąd! – syknął Rémi. – Wyrocznia powiedziała, że nam się uda, j e ś l i dobrze się do tego zabierzemy. Nie moja wina, że było inaczej!

Kierownik wskazał ręką drzwi.

– Wynoś się, nie mam ochoty cię teraz oglądać! Spróbuj zawieść mnie następnym razem!

Horus rzucił mu urażone spojrzenie i umknął z gabinetu.

Juan Mandara ze złością wpatrzył się w szalejącą za oknem śnieżycę. Znowu porażka. Jak to możliwe? Zacisnął usta w wąską linię. Pozostało jeszcze jedno wyjście. Ostatnia szansa.

Tym razem musiało się udać.

Rozdział czternasty

PORWANA

Metalowe drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Sonia skuliła się i oparła czoło na podkurczonych kolanach. Echa ich słów wciąż unosiły się w powietrzu.

„Co robiłaś z Setem?”

„Kim dla niego jesteś?”

„Co masz wspólnego z bogami?”

Nie wiedziała, kim byli. Nie odpowiadali na jej pytania, nie reagowali na jej złość. Przychodzili, pytali, a gdy nie dostawali odpowiedzi, odchodzili. Potem wracali, by zacząć przesłuchanie od początku. Nie reagowała. Czekwała, nieustannie próbując wysłać mu jakiś sygnał, jakikolwiek. Gardło miała wyschnięte na wiór, pusty żołądek ścisnął się ze strachu. Podejrzewała, że może w ten sposób chcą ją zmusić do mówienia. A może po prostu osłabić. Gdyby aż tak bardzo zależało im na odpowiedziach, na pewno wynalęzliby jakiś sposób. Poprzestali na groźbach, przynajmniej jak dotąd. Bała się, że jej upór popchnie ich dalej.

Ale... Ale co miała im powiedzieć? Nie miała pojęcia, kim byli. Wiedziała tylko tyle, że to nie ona była celem ich ataku, lecz on. Byli jego wrogami. Nie mogła im nic powiedzieć. Nie mogła go zdradzić.

Przygryzła wargi do krwi, wspominając ostatnie słowa, jakie wyrzekli. W zamglonych zielonych oczach błyszczał strach.

„Set wróci po ciebie, to pewne. Przyjdzie cię uratować. I bardzo dobrze. Będziemy na niego czekać. Nawet jeśli nie chcesz z nami współpracować, i tak nam pomożesz. Dzięki tobie wpadnie w naszą pułapkę. I nawet jego moc na nic się przy niej nie zda. Będzie słaby. Zrobi wszystko, co mu rozkażemy. Dzięki tobie”.

Z całej siły zacisnęła powieki. *Nie. Nie może im się udać!*

Z desperacją ponownie spróbowała połączyć ich umysły. I znów bez skutku. Słodki zapach kadzidła drażnił jej płuca.

Wreszcie, wycieńczona strachem, pytaniami i smutkiem, zasnęła. Nawet przez sen wciąż czuła słodką woń. Szła wśród utkanych z dymu pnączy, które z niewiadomego powodu budziły w niej obawę. Kątem oka dostrzegała przemykające wokół cienie, choć gdy próbowała skupić na nich wzrok, znikwały. Uchem łowiła dziwne szepty. Gdy jakiś kształt zamajaczył wśród kadzidła, podeszła bliżej, przyciągnięta ciekawością. Szepczące głosy nasilały się z każdym jej krokiem. Dym rozstał się, ukazując śpiącą na kamiennym ołtarzu dziewczynę. Sonia znieruchomiała na widok wyrastających z jej pleców skrzydeł. Były smukłe i piękne, lśniące najczystszyimi odcieniami złota, błękitu i czerwieni. I drżały. Podobnie jak całe ciało dziewczyny. Sonia ostrożnie podeszła bliżej. Śpiąca była bardzo piękna i wyglądała bardzo młodo. Oddychała ciężko, jej powieki trzepotały niczym motyle skrzydła. Otaczały ją woale słodkiego kadzidła. Jej karminowe usta poruszały się. Sonia wstrzymała oddech, próbując usłyszeć jej szept. Wyłapała jego sens dopiero po chwili.

– Walcz, Sonia – powtarzała gorączkowo dziewczyna ze skrzydłami. – Walcz...

Sonia zmarszczyła brwi. Jej serce przyspieszyło.

– Izydo? – zapytała cicho. – To ty?

Bogini znieruchomiała. Sonia wzdrygnęła się, gdy poczuła na nadgarstku palący uścisk dłoni. Spróbowała się z niego uwolnić, ale była za słaba. Znaki piekły ją równie mocno jak wówczas, gdy powstały.

Dziewczyna otworzyła wypełnione światłem oczy.

– Walcz, Sonia – szepnęła z rozpaczą. – Pomóż mi.

Sen rozprysł się na miliony kawałków. Sonia poderwała głowę i nieprzytomnie rozejrzała się wokoło. Wydawało jej się, że echo głosu bogini wciąż unosi się w powietrzu. Oddychając ciężko, wbiła wzrok w drzwi.

Izyda miała rację. Powinna walczyć. Gdyby mogła wezwać Brianta na pomoc, już dawno by to zrobiła. Sama musiała sobie poradzić. Sama musiała uciec.

Zerwała się z niewygodnego łóżka i przemknęła iskrzącymi się oczami po pokoju, patrząc na niego z zupełnie nowej perspektywy. Skupiła uwagę na kadzidle, potem na nodze drewnianego łóżka i uśmiechnęła się ponuro.

Wylamię ją i owinę... kawałkiem bluzki.

Była to jedyna tkanina, jaką dysponowała. Nie podarowali jej nawet koca, by mogła ochronić się przed chłodem. Zaciśnęła palce na swojej ulubionej bluzce i szarpnięciem oderwała jej dolny fragment. W jej głowie powstawał plan.

Gdy znów do mnie przyjdą, podpalę prowizoryczną pochodnię i cisnę nią im prosto w twarz, jak tylko pojawią się w drzwiach. I wtedy...

Skrzywiła się.

Nie. To głupie. Muszę wymyślić coś innego.

I wtedy szcęknął zamek.

Obróciła się z przerażeniem w stronę drzwi.

Za szybko! – pomyślała w panice.

Jej oczy zabłysły z determinacją. Przyskoczyła do dymiącej łagodnie kadzi, wrzuciła do niej kawałek bluzki i pociągnęła ją bliżej drzwi. Adrenalina krążyła jej w żyłach, dodając sił. Słodkie kłęby dymu atakowały ją w twarz i choć wstrzymywała oddech, i tak powodowały odruch wymiotny.

Materiał zajął się ogniem od migoczących czerwienią węgielków dokładnie w momencie, gdy drzwi się uchyliły. Odskoczyła od kadzi i kopnęła jej nóżkę, tak jak uczyła się na zajęciach samoobrony, wkładając w to całą swoją siłę. Węgielki wystrzeliły w porywaczy, którzy pojawili się w szparze w drzwiach, niczym płonący grad. Odruchowo zasłonili twarze, ktoś wydał z siebie zaskoczony jęk. Wpadła między ich czarne szaty, myśląc tylko o tym, by uciec. Poczowała na ramieniu czyjeś palce, ale udało jej się wyslizgnąć. Kolejne ręce złapały ją za ramiona. Krzyknęła z rozpaczą. Czyste od kadzidla powietrze korytarza wypełniło jej płuca, stając się zastrzykiem nowej energii. Syknęła wściekle i szarpnęła się jeszcze raz. Porywacze poluzowali uchwyty, więc natychmiast rzuciła się przed siebie. Wypadła z mrocznego kręgu i pognała przed siebie oświetlonym jasno korytarzem. Mknęła niczym na skrzydłach wiatru, a sił dodawały ścigające ją krzyki. Krzyki bólu i wściekłości. Zaryzykowała jeden szybki rzut oka w tył. Rosłe postaci kuliły się na ziemi, przyciskając dłonie do twarzy. Spomiędzy ich drżących

palców spływała... krew?

Odwróciła się i skupiła na ucieczce. Serce łomotało jej w piersi. Światło elektryczne, tak obce po godzinach spędzonych w półmroku, sprawiało jej ból. Zakręt był coraz bliżej. Nie wiedziała, co będzie dalej. Wyjście? Kolejny korytarz?

Nieważne. Liczyło się, by uciec. Każdy krok przynosił jej wyzwolenie, oczyszczał umysł z mgły. Wypadła zza zakrętu i zderzyła się z kolejnym porywaczem. Z całej siły odepchnęła się od niego i pognąła dalej, ku coraz bliższym schodom.

Zawołał coś w jej stronę, głosem ociekającym groźbą. Wydłużyła krok jeszcze bardziej. Do pierwszego stopnia brakowało jedynie kilku metrów. Ale wtedy za jej plecami rozległ się huk. Z jej gardła wydarł się krzyk, gdy tajemnicza siła rzuciła ją o podłogę i pozbawiła tchu. Plujące dymem kule migotały jej przed twarzą. Spróbowała zerwać się z ziemi, ale czyjeś silne dłonie boleśnie przycisnęły ją do niej. Nim opary kadzidła wciągnęły ją w otchłań nieświadomości, zdążyła wydać z siebie ostatni rozpaczliwy krzyk, którego echo przebiło się przez wszystkie bariery, odnalazło utraconą więź i dotarło do samego serca pustyni.

Potem ponownie pochłonęła ją ciemność.

Znieruchomiał. W jego oczach zabłysł strach. Zerwał się z poślaczanego krzesła, nie pamiętając o więźniu. Wybiegł na świeże powietrze, z całej siły próbując odzyskać to, co urwało się tak szybko. Połączenie. Ale ona ponownie milczała jak grób. Jakby to nigdy się nie zdarzyło. Jakby to był jedynie wytwór jego wyobraźni.

Ale przecież nie był.

Jej przerażony krzyk wciąż rozdzierał mu duszę. Jeszcze silniej niż obecne w koszmarach jęki kuzyna.

Do południa brakowało ponad dwóch godzin, ale wiedział, że nie wytrzyma na pustyni ani chwili dłużej. Zanurzając się w piaski portalu, z całych sił starał się przekonać samego siebie, że jej krzyk nie musiał znaczyć najgorszego... Nie mógł. Żyła. Na pewno.

Oparł się o zniszczoną ścianę na najwyższym piętrze kamienicy w centrum Paryża i zatopił w myślach, czekając na Antoine'a.

Tak bardzo się bał, że może już być za późno... Nie mógł jej stracić. Stała się tak ważną częścią jego życia, że nie mógł już wyobrazić sobie swojej przyszłości bez niej. Pomogła mu odzyskać wiarę. Siłę. Siebie. Nigdy nie sądził, że jeszcze kiedyś będzie mu kogoś aż tak brakować.

Gdzie ona jest? Gdzie...? – myślał rozpaczliwie.

Wreszcie ciszę opuszczonego budynku zakłóciły pośpieszne kroki. Wbił wyczekujące spojrzenie w dziurę po drzwiach. Ktoś wbiegł na ostatnie piętro i jak burza wpadł do salonu. Blond włosy zabłysły w blasku dnia, jasne oczy przemknęły wyczekująco po otoczeniu.

– Przyszedłeś godzinę wcześniej – zauważył czujnie Briant.

– Gdzie mój brat?

Zmarszczył brwi.

– Gdy Sonia będzie bezpieczna, wtedy go odzyskasz. Przecież obiecałem.

Antoine spochmurniał, a bóg pustyni wyciągnął w jego stronę rękę, na której spoczywała stworzona przez kurz karteczka.

– Co to jest?

– Weź.

Antoine zawahał się, ale ostatecznie ujął ją ostrożnie, jakby była czymś śmiertelnie groźnym. Zerknął na nią, a potem ponownie skupił uwagę na Władcy Piasków.

– To współrzędne?

– Tak. Jeśli wszystko się uda, bądź tam następnego dnia o dwunastej. Wtedy odzyskasz brata.

Kapłan zmrużył oczy.

– Nie możesz go przyprowadzić tutaj?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie. Jeśli ci zależy, to się tam pojawisz. A przecież ci zależy... Nieprawdaż? Zamiast odpowiedzieć, Antoine skrzywił się i niepewnie obrócił kartkę w palcach.

– To nie współrzędne twojego pałacu, prawda? – zapytał z wahaniem.

– Żartujesz? Oczywiście, że nie. Zresztą powinieneś wiedzieć, że nie mógłbym ich nawet podać. On znajduje się w księżycowym wymiarze. Nie mógłbyś tam trafić.

– Tak, słyszałem. Księżycowy wymiar... Świat, którego przebliski widać w fatamorganach. To prawda? Z tymi fatamorganami?

Briant kiwnął głową, a Antoine ponownie zerknął na współrzędne.

– Jeśli to nie twój pałac, to co to za miejsce?

– Odpowiednie na wymianę – uciał ze zniecierpliwieniem. – A teraz przejdźmy wreszcie do rzeczy. Zdobyłeś informacje?

Antoine pobladł prawie niedostrzegalnie.

– Tak. Wiem wszystko. Tylko... musisz uważać. Spodziewają się ciebie.

– Jak to?

– Nie moja wina! Domyślili się, że skoro Sonia była z tobą w Abydos, musi być dla ciebie ważna i z pewnością będziesz chciał jej pomóc. Oni... Oni absolutnie nie myślą o tym, by się z tobą targować. Spisali mojego brata na straty... Poświęcili go dla większej sprawy. Dla złapania ciebie.

Set zmarszczył brwi.

– Są przekonani, że w końcu ich namierzysz. Dziwią się nawet, że tak długo to trwa. Bazę otacza starożytne pole ochronne, ograniczające magię... Nie wiem, jak ono działa, tajemnica jego stworzenia wciąż nie jest do końca wyjaśniona, ale...

– Ja wiem. Możesz mówić dalej.

Antoine zawahał się.

– Wiesz... W ciągu tych tysięcy lat utraciliśmy wiele z tego, co kiedyś umieliśmy. Szczególnie wówczas, gdy nasze zgromadzenie postanowiło zniszczyć całą magię. Wtedy zakazano jej praktykowania nawet we własnych szeregach... Z wyjątkiem najwyższych kapłanów. Potem... Potem zrozumieliśmy, że porzucenie magii było błędem. Że bez jej potęgi nie uda nam się zrealizować naszej misji. Ale było już za późno. Ocalała szczątkowa wiedza, próbowaliśmy też odtworzyć niektóre...

– Po co mi to mówisz? Nie obchodzi mnie wasza historia, jeśli nie potraficie mi pomóc, a wręcz chcecie mnie zniszczyć.

– Nie wszyscy! Nie pamiętasz, co ci mówiłem? Niektórzy wciąż są ci wierni i mogliby...

– Nie trzeba. Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

– Taa, właśnie widzę – prychnął. – Mówię ci to dlatego, że ostatnio dokonaliśmy odkrycia. Nie wiem, czy działa na pewno, ale podobno znowu udało nam się pojąć, jak stworzyć Oko Ra.

– Oko Ra? – powtórzył czujnie. – Jak to możliwe? Nikt nigdy nie mógłby odgadnąć, jak je stworzyć. To zbyt skomplikowane.

– Mówię tylko, co słyszałem. Nie wiem, czy naprawdę działa. Pewnie nie, tak samo jak poprzednie próby. Ale nie wiem. Są przekonani, że wreszcie im się udało. I to właśnie Oko Ra chcą wykorzystać jako pułapkę. Jak tylko wejdiesz, żeby uwolnić Sonię, aktywują je. Jeśli im się uda, będziesz bezsilny.

– Wiem, co się stanie – uciał ze złością. Oko Ra... Wyłączające całą magię. Mogące uczynić zeń zwykłego śmiertelnika. – Ale wierz mi, nie zdążą go nawet włączyć. Będą zbyt wolni i zbyt słabi. Gdzie jest Sonia?

Antoine poruszył się niespokojnie. I powiedział.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuła, był zniechęcający aromat kadzidła, który otaczał ją ze wszystkich stron. Sonia uniosła ociężałe powieki. Jęknęła cicho, gdy jej głowę przeszył straszliwy ból. Musiała odczekać kilka długich sekund, by odzyskać ostrość widzenia. Czowała się tak bardzo słaba... Pobladła i z przerażeniem szarpnęła się w łańcuchach, a potem błyskawicznie rozejrzała wokoło.

Znajdowała się w centrum niebotycznej sali, która wyglądała jak wnętrze starożytnej egipskiej świątyni. Masywne kolumny malowane w kwiaty lotosu niknęły gdzieś w mroku sklepienia, ze ścian spoglądały malowidła o jaskrawych barwach. Jedyne światło pochodziło od ustawionych wokół niej siedmiu kadzi, od których rozchodziły się ramiona trującego kadzidła. Naprzeciw niej, przy ścianie, znajdował się monumentalny posąg będący jedynym naznaczonym upływem czasu elementem pomieszczenia. Nie potrafiła nawet rozpoznać, kogo przedstawiał.

Szarpnęła się ponownie, ale łańcuchy trzymały bardzo mocno. Przytwierdzały ją do umieszczonego na kamiennej platformie słupa. Przyjrzała się im z przerażeniem. Ograniczały jej ruchy niemal zupełnie. Gdy była nieprzytomna, na pewno zwiślała w nich jak kukiełka. Coś chrupnęło pod jej stopą. Zdezorientowana, spojrzała w dół. Te drobne czarne bryłki... Zmartwiła. Stała na węglach. Zawirowało jej przed oczami. Węgle?! Czyżby oni chcieli ją... spalić? Szarpnęła się z rozpaczą.

Nie! Nie!!! – krzyknęła w duchu.

Z desperacją spojrzała na łańcuchy. Zamiast ukochanych jeansów i obdartej koszulki miała na sobie jakąś białą długą suknię. Na stopach zaś skórzane, plecione sandały. Skrzywiła się. Jeśli już musi umierać, wolałaby być ubrana w swoje brudne, obdarte rzeczy.

Niespodziewanie drzwi prowadzące do sali otworzyły się z hukiem i do środka wpadł oddział uzbrojonych w dziwną broń ludzi. Sonia nie знаła się na broni i nie mogła na pewno stwierdzić, że była ona w jakikolwiek sposób nietypowa. Może i Briant by ją rozpoznał, ale ona nie. Dla niej wyglądała dziwnie.

Biegający na czele mężczyzna o orlim nosie uśmiechnął się do niej drapieżnie.

– Przygotuj się, dziewczyno – rzucił, sięgając do kieszeni. – Wie już, gdzie jesteś. Zaraz nadejdzie. No dalej, wołaj o pomoc...

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie, które jednak nie zrobiło na nim większego wrażenia. Złoty sygnet lśnił na jego dłoni. Gdy od upuszczonej przez niego zapalniczki zajęły się pierwsze węgle, Sonia wydała z siebie rozdzierający jęk. Wbiła plecy w słup, pragnąc zająć jak najmniej miejsca. Ogień z trzaskiem przeskakiwał na kolejne węgielki, zbliżając się do niej coraz bardziej. Płomienie były coraz bliżej. Ich żar dokuczał coraz bardziej. Wpatrywała się w nie z paniką.

I wtedy wybuch rozerwał drzwi i wprawił w drżenie podłogę. Poderwała głowę, a kapłani schowali się głębiej za kolumny i podest. Pochodnie przygasły ze złowrogim sykiem, świat zawirował, opanowany przez chaos. Serce Soni zadrżało.

– Briant, uważaj! – wrzasnęła po francusku. Najgłośniejsze, jak mogła, czyli jak jej się wydało, żałośnie słabo. – To pułapka, nie...

Dym niemal z fizyczną siłą uderzył ją w twarz, pozbawiając tchu. Schyliła się, próbując odzyskać oddech. W oczach stanęły jej łzy. Ogień był coraz bliżej. Widziała go jak przez mgłę, gdy pełził w kierunku jej stóp.

Gdzieś z oddali dobiegały ją wystrzały z dziwnej broni. Rozległ się ogłuszający huk, a sklepienie i ściany rozbłysły na ułamek sekundy złotym blaskiem. Potem powietrze wypełniły krzyki, w których słycać było popłoch.

Dusiła się od nadmiaru dymu. Wirowało jej przed oczami. Gdy myślała, że dłużej już nie wytrzyma i zaraz straci przytomność bądź wypluje wnętrzności, zupełnie nagle powróciła jej zdolność prawidłowego oddychania. Uniosła głowę, łapiąc powietrze w spragnione go płuca.

Jakiś cień wskoczył na podwyższenie, a towarzyszący mu podmuch wiatru zmiótł z niego płonące węgle. Ich odbłaski zatańczyły na ścianach, gdy toczyły się po podłodze. Łańcuchy rozpadły się, a ona się zachwiała. Briant podtrzymał ją ostrożnie i z przerażeniem spojrzał w jej brudną, zmęczoną twarz. Jej serce załomotało. Wstrzymała oddech. Wydało jej się, jakby w migoczącym półmroku upiornej świątyni zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Z oszołomieniem wpatrzyła się w pełne głębi oczy, w których pośród brązowych cieni wirowały iskierki czerwieni i złota. W oczy, w których dostrzegała ocean ulgi, ale i strach, i poczucie winy. Zadrżała, nie potrafiąc zapanować nad chaosem, który zawładnął jej sercem.

– Sonia – wyjąkał. – Ja...

Uśmiechnęła się przez łzy i przytuliła do niego na tyle, na ile pozwalał jej chybotający się świat. Zamilkł gwałtownie.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – szepnęła.

Zawahał się, zaskoczony.

– Jasne, że tak – odparł cicho, zanurzając twarz w jej włosy. – Nie mogłem cię

przecież zostawić.

Gdyby coś jej się stało... Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, jak mógłby to przetrwać. Bez niej jego z trudem podźwignięty z ruin świat runąłby na wieki. Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Nigdy. Nie miała pojęcia, jak wiele dla niego znaczyła... Jedyna osoba, która nie chciała widzieć w nim złego boga. Zależało mu na niej tak strasznie, że aż nie mógł tego pojąć. Zabawne, że musiał ją stracić, by się o tym przekonać.

A w tej sukni... Wyglądała niemal jak Astarte.

– Chodź, idziemy stąd. – Choć wywołał chaos, usunął napastników i zniszczył Oko Ra, które chcieli uruchomić, nie byli tu bezpieczni. – To miejsce też jest chronione, musimy wyjść z budynku, żeby móc przywołać portale...

Pomógł jej podejść do krańca podestu, a potem zeskoczył na ziemię i wyciągnął do niej rękę, mając wielką nadzieję, że jakoś uda jej się zejść. Wciąż się zataczała, co poskutkowało tym, że właściwie spadła z krawędzi. Udało mu się ją złapać i bezpiecznie postawić na ziemi. Wstrzymał oddech, gdy ich twarze znalazły się tak blisko siebie, jak jeszcze nigdy wcześniej. Sonia uniosła wzrok. Jej zielone oczy zdawały się lśnić i przyciągać go do siebie. Była taka piękna. Nawet zabrudzona i wycieńczona, była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział.

Zapomniał zupełnie, gdzie się znajdują. Przestał dostrzegać poruszający się wokół mrok i migoczące czerwienią węgle. Widział tylko ją. Jej cudowne oczy, perfekcyjne usta, rozsypane złote włosy. Nachylił się w jej stronę, a ich usta połączyły się w pocałunku, wspanialszym niż wszystko, co dotąd przeżyli.

„Nie” – zareagował gwałtownie jakiś cichy głos w jego umyśle.

Zamrugał, a wizja rozplynęła się w nicość. Odwrócił wzrok.

– Powinniśmy już iść – wykrztusił.

– Dobrze – szepnęła i pozwoliła mu poprowadzić się w stronę wyjścia.

Prawie rozplakała się z ulgi, gdy wreszcie pojawili się wśród znajomych zabudowań pałacu.

– Siedź tu – zarządził Briant, podprowadzając ją do fontanny. – A ja zaraz wrócę z amuletem. Jasne?

Kiwnęła głową i osunęła się na kamienną obręcz zamykającą tafel krystalicznej wody. Utkwiła wzrok w odbijające się w niej gwiazdy, które mrugały do niej nieśmiało. Briant zawahał się, a potem wyczarował z piasku szklankę, zanurzył ją w fontannie, burząc obraz nieba i wcisnął jej do rąk.

– Pij, jest czysta – powiedział i rozsypał się w piasek.

Uniosła szklankę drżącymi dłońmi i przystawiła ją do ust. Gdy poczuła smak ożywczej wody, aż zakręciło jej się w głowie. Wypiła wszystko jednym duszkiem, a następnie sięgnęła w stronę fontanny. Westchnęła, gdy zmęczone palce dotknęły kojącego chłodu. Zanurzyła obie ręce aż po łokcie. Niewiele brakowało, a zanurkowałaby w niej cała. Powstrzymała się jednak.

Sącząc wodę i mącząc drugą dłonią migoczącą srebrem tafel, nie mogła powstrzymać nawrotu bliskich wspomnień... Wspomnień tego, co zdarzyło się, jak jej się

wydawało, ledwie kilka uderzeń serca temu.

Wzdrygnęła się ze strachu, gdy Briant zmaterializował się z nicości. Zrzucił z ramienia plecak, który zostawiła w Abydos, i usiadł obok niej na fontannie. Wstrzymała oddech. Posłał jej zaniepokojone spojrzenie i ostrożnie, jakby była ze szkła, ujął jej drżącą dłoń. Zagryzła wargę, próbując zapanować nad burzą w myślach. Wbiła wzrok w piasek, starając się nie dostrzegać z tak oszałamiającą ostrością wszystkiego, co robił. A mimo to wiedziała dokładnie, kiedy zamknął oczy i zacisnął drugą dłoń na starożytnym wisiorze. To wszystko... To wszystko było tak bardzo intensywne! I tak dziwne... Nigdy wcześniej się tak nie czuła.

Skrzywiła się, gdy jej ciało chwyciły skurcze związane z uzdrowicielską magią. Przed oczami ponownie stanęła jej scena, gdy złapał ją przy podium. Znalazła się wtedy tak blisko, że mogła dostrzec każdy detal jego twarzy, wszystkie odcienie brązu zawarte w jego lśniących oczach. Przez jedną krótką chwilę wydało jej się, że zajrzała do jego duszy i ujrzała w niej... Serce załomotało jej gwałtownie w piersi. Zupełnie jakby... No bo przecież wiedziała, co zawsze działo się w filmach w takim momencie. Gdy chłopak ratował dziewczynę od śmierci, zawsze kończyło się to romantycznym pocałunkiem wśród płomieni lub walących się budynków. Jakaś część jej duszy wyobrażała sobie, że z nimi będzie tak samo. Wręcz oczekiwała, że tak będzie. Serce szeptało, że to przecież idealny moment. Taki jak na filmach. I jeszcze to, jak na nią patrzył... Naprawdę wydawało jej się, że dostrzegła to coś w jego twarzy. Ale potem odwrócił wzrok i odsunął ją od siebie, pozostawiając chaos w jej myślach.

Kilka chwil później ból i zmęczenie zniknęły, a wraz z nimi uzdrawiający blask spowijający jej sylwetkę.

– Jak się czujesz? – zapytał niepewnie Briant, puszczając jej rękę. Niemal go nie usłyszała, tak głośno szumiało jej w uszach. Natychmiast zaplotła dłonie na kolanach.

– Dobrze.

– Na pewno? Wyglądasz inaczej. I jesteś cała czerwona. Może masz gorączkę?

– Nie! Wszystko dobrze.

– Skoro tak mówisz.

Nerwowo wpatrzyła się w przestrzeń. *Co się działo?* Nie mogła połapać się we własnych odczuciach. Z jednej strony była tak oszołomiona i szczęśliwa. A z drugiej... Z drugiej nagle przestała wiedzieć, jak się zachowywać naturalnie. Tajemnicza nerwowość opętała jej duszę. Miała ochotę uciec od niego jak najszybciej, ale z drugiej strony chciała odwlekać ten moment w nieskończoność.

Co się stało? Dlaczego tak nagle zrozumiałam, że...? – nie mogła dokończyć myśli.

– Przyniosłem ci plecak – rzucił Briant, chyba nie mogąc dłużej znieść dziwnej ciszy. – Aparat został w Abydos, ale chyba i tak był zupełnie zniszczony.

– Nic nie szkodzi.

Zerknęła na niego kątem oka. Przyglądał jej się z odrobiną zagubioną miną. Jej serce zamarło z przerażenia. *Co to mogło znaczyć? Chyba nie domyślił się niczego, prawda? A może jednak...?* Poruszyła się niepewnie.

– Wyczaruję iluzję, żeby ukryła twoją dziwną suknię – zasugerował Briant ostrożnie. – No wiesz, twoja rodzina mogłaby być trochę zdziwiona...

Wyprostowała się z przerażeniem.

– Rodzina – jęknęła. – Przecież oni umierają ze strachu! Co dziś jest? Niedziela?

– Poniedziałek.

Zerwała się jak porażona.

– Muszę iść – wyjąkała. – Oni...

– Spokojnie. – Także wstał. – Nawet nie wiedzą, że zniknęłaś. Wyczarowałem iluzję, która ich oszukała. Wciąż oszukuje.

Wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Tak.

– To... dobrze. Nie miałabym siły tłumaczyć im tego wszystkiego.

Podał jej kurtkę.

– Tak właśnie myślałem.

Zarzuciła ją na siebie, a potem ruszyła wraz z nim w stronę Komnaty Piasków. Gwiazdy migotały na niebie, a poruszane wiatrem palmy szumiały przyjemnie. Śpiew cykad w normalnych warunkach na pewno wpływałby na nią kojąco, ale teraz... Nie mogła się rozluźnić, gdy czuła obok siebie jego obecność. Wydawało jej się, że on także czuł się z nią nieswojo, z panującą między nimi ciszą, ale nie odzywał się, dostosowując się do jej milczenia.

Wzdrygnęła się, gdy natychmiast po wyłonieniu się z portalu lodowaty wicher uderzył ją w twarz. Skuliła się i spod przymrużonych powiek rozejrzała po zasypanej ulicy. Tak bardzo znajomej... I tak bardzo odległej. Ze wzruszeniem zerknęła w stronę domu, którego okna rozświetlało ciepłe światło. Obróciła się do milczącego Brianta.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Przepraszam – jęknął w tym samym momencie.

Uniosła brwi.

– Chyba się przesłyszałam. Czy to możliwe? Straszliwy bóg zniszczenia i chaosu przeprasza marną śmiertelniczkę?

Skrzywił się.

– Nie jesteś marną śmiertelniczką. I nawet ja potrafię przeprosić, jeśli ktoś prawie przeze mnie zginął.

– Prawie nic mi się nie stało...

– No właśnie, prawie. Mogło być dużo gorzej. Mogłaś przeze mnie umrzeć. Znowu.

– Mogłam zginąć, gdyby nie ty. To duża różnica.

Zmarszczył brwi. Serce zaczęło gwałtownie tłuc jej się w piersi.

– Nie jesteś na mnie zła? – zapytał niepewnie. – Czy może tylko czekasz, żeby znowu spektakularnie wyrzucić mnie za drzwi?

Roześmiała się z trudem.

– Ten etap mam już za sobą. Naprawdę.

– No, nie wiem, chyba ci nie ufam.

Uniosła wzrok i natrafiła na jego oczy błyszczące blaskiem tysiąca gwiazd. Uśmiechał się złośliwie, ale wesoło. Ale potem uśmiech zbladł na jego twarzy. I tylko oczy wpatrywały się w nią równie intensywnie.

– Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało – powiedział cicho.

Jej serce przyspieszyło. Ciepłe światło latarni tańczyło w jego czarnych włosach, błyszczało w zamkniętych oczach i nadawało jego twarzy tajemniczy wyraz. Wstrzymała oddech. Czuła się odrobinę jak w jakimś śnie. Galopujące serce szeptało coś do niej. Usłyszała, nim rozum zdążył zaprotestować i nim zdążyła w pełni pojąć to, co zamierzała. Uniosła się na palcach stóp i pocałowała go delikatnie, niczym muśnięcie pustynnej bryzy.

– Dziękuję – szepnęła i odsunęła się od niego.

Zdrętwiały Briant wpatrywał się w nią z osłupieniem. Spuściła wzrok i obróciła się w stronę domu. Musiała uciec stamtąd jak najszybciej. *Co on sobie teraz pomyślał? A może nie jestem dla niego nikim więcej niż przyjaciółką...?*

– To cześć – wydusiła.

Poczuła jego rękę na ramieniu.

– Zaczekaj.

Obejrzała się na niego ze strachem. Rumieniec palił jej policzki. Błogosławiła nocne ciemności, że choć częściowo je skrywały.

Jego oczy błyszczały niesamowitym blaskiem.

– Jestem bogiem zniszczenia – przypomniał cicho, z wahaniem. Pytająco.

– Wiem – odparła zduszonym głosem. W środku cała skręcała się z niepokoju. Krew szumiała jej w głowie, zagłuszając rozszalałe myśli.

– Nie przeszkadza ci to?

– Nie – odparła drżącym głosem.

Uniósł powątpiewająco brwi.

– Naprawdę?

– Tak...

Na jedną krótką chwilę przymknął oczy. Odniosła wrażenie, że rysy jego twarzy stały się łagodniejsze. Gdy na powrót uniósł na nią wzrok, wydał się trochę inny. Zanim zdążyła zrozumieć, w jaki dokładnie sposób, delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował. Przymknęła oczy, w jej sercu rozkwitła euforia. Gdy się od niej odsunął, wciąż czuła się tak nierealnie, jakby nie mogła to być rzeczywistość.

– Do zobaczenia, Sonia. – Jego głos był podobny do szumu wiatru.

Nim zdołała odpowiedzieć, zniknął niczym piękny sen. Przez chwilę, oszołomiona, stała w miejscu, a wicher targał jej włosy. Uniosła roziskrzony wzrok w niebo. Miała ochotę tańczyć i krzyczeć z radości... Przymknęła oczy i uśmiechnęła się do gwiazd. Wątpiła, by był na świecie ktoś szczęśliwszy od niej.

Rozdział piętnasty

ECHA PRZESZŁOŚCI

Neftyda otworzyła przed nim portal, który doprowadził go do Dat. Wkroczył do sali Sądu z martwą pustką w sercu. Czuł na sobie spojrzenia innych, gdy jego kroki odbijały się echem od wiecznych ścian. Nie dbał o to, czy były współczujące, czy niechętnie. Nie dbał o żadnego z nich. Nienawidził ich wszystkich. Nie byli dla niego niczym więcej niż zatęchłe powietrze Krainy Umarłych.

Migotliwe ka Astarte obejrzało się nań z przestraczem. Siedzące na jej ramieniu ba zatrzepotało utkanymi z mgły skrzydłami. Na widok jej pięknych, smutnych oczu pustka wypełniająca jego duszę stała się jeszcze bardziej nieznośna.

– Astarte – szepnął do niej z rozpaczą, przystając, jak najbliżej mógł. – Dlaczego to zrobiłaś?

Zadrżała.

– Wybacz. Musiałam. Dla moich ludzi... Ty zrobiłbyś to samo.

– Nie. Ciebie nigdy bym nie zdradził.

Uniósł z wahaniem dłoń, ale jego palce zamiast na ukochaną twarz natrafiły na nicość. Zagryzła wargę i zwróciła oczy ku zasiadającemu na świetlistym tronie Ra. Bogowie powstali. Rozpoczął się sąd. Pomimo potępiających szeptów pozostał przy jej boku. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. Nie opuszczać jej aż do końca.

– Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz – szepnęła tylko do niego. Stała wyprostowana, dumnie jak królowa, którą od zawsze była. Widział w ostrych rysach jej twarzy, że nie żałowała swojego czynu.

Bogowie przemawiali kolejno, ale on nie słyszał powtarzających się słów „zdrada” i „zbrodnia”. Widział tylko ją. I z całych sił pragnął, by było tak już zawsze. Nie chciał, by odchodziła. Zrobiłby wszystko, byle tylko jej na to nie pozwolić. Ale zawiódł.

Musiał pozwolić jej odejść.

– Rozumiem, kochana – powiedział cicho, gdy z napięciem obserwowała, jak jej ba siada na Wadze Życia.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. Waga opadła. Jej oczy wypełniły się łzami. Nigdy nie kochał i nie tęsknił za nią bardziej niż wtedy, gdy Ammit pożarła jej ba i jej dusze rozpadły się w nicość na jego oczach.

Wspomnienie znikło, jakby nie było niczym więcej od snu, zastąpione przez obraz zalanego słońcem tarasu. Łomoczące dziko serce zagłuszało wszelkie myśli. Echa przeszłości rozsadały mu czaszkę. Odetchnął ciężko i podparł głowę na drżącej dłoni. Te wspomnienia... Przywoływały to wszystko, o czym nie chciał już pamiętać. Ból i rozpacz, które zamknął potem w twierdzy z lodu i złości. I nienawiści do Ozyrysa. Tego, przez którego ona zginęła... I to na zawsze. Nie mógł nawet pocieszać się tym, że jest szczęśliwa w Dat. Bo nie była. Jej dusze rozpląnęły się w praprzestrzeniach Nu, oceanu chaosu, z którego kiedyś wyłonił się świat. Stracił ją na zawsze, lecz nie zapomniał o niej nigdy.

Ponuro wpatrzył się w tańczące na powierzchni jeziora smugi światła. Potrzebował

czasu, by na nowo uspić wszystkie te starożytne wspomnienia. Nie chciał, by znów go dręczyły. Teraz miał nowe życie. Inne. Teraz wszystko miało skończyć się inaczej. Astarte należała do przeszłości. Umarła na zawsze, ale Sonia żyła. Była bezpieczna, u siebie. Uczepił się myśli o niej jak ostatniej deski ratunku. I dopiero to pomogło mu choć chwilowo zapomnieć o przeszłości.

Wsluchując się w szept pustynnego wiatru, zatęsknił za melodią jej głosu, która bez wątpienia pomogłaby odsunąć wszystkie dręczące go myśli. Ale wiedział, że do niej nie pójdzie ani nie wyśle jej żadnej wiadomości. Nie chciał zniszczyć tego, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Nie chciał burzyć kruchego snu, który stał się rzeczywistością.

Przecież wczoraj nie była sobą – pomyślał. Po tym, co przeżyła, nie mogła myśleć racjonalnie. W normalnych okolicznościach... na pewno zachowałyby się inaczej.

I dlatego został, nieobecnie przypatrując się ceniom przepływającym po kamieniu.

Ocknął się dopiero, gdy wychwycił uchem tak bardzo nienaturalny dla pustyni dźwięk latającej maszyny. Uniósł głowę. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem powstał z hebanowego mebla i skierował się ku świątyni. Przemierzając ogrody, przypatrywał się, jak helikopter rozrasta się na coraz większy fragment nieba, a potem schodzi do lądowania gdzieś za okalającymi pałac wydmami. Zagwizdał przywołująco, jednak odpowiedziała mu cisza. Sahary znów nie było. Skrzywił się z zawodem i pchnął ciężkie drzwi.

– Czas na ciebie – rzucił w stronę więźnia, który wpatrzył się w niego zmęczonymi oczami.

Rozpadły się trzymające go więzy, a silna dłoń boga pustyni postawiła go na nogi. Chłopiec zachwiał się i nie wywrócił tylko dzięki stalowemu uściskowi na ramieniu.

– Co chcesz ze mną zrobić? – wychrypiął z wyraźnym trudem, próbując się opierać.

– Spokojnie. Przyleciał twój brat, chcę mu cię tylko oddać – odparł Briant, obrzucając go zmartwionym spojrzeniem. Chłopiec zacisnął nieufnie zęby. Wymizerniał straszliwie, głównie przez uparte odmawianie wody i jedzenia.

Duma małego kapłana z jednej strony mu imponowała, ale nie była mądra. Wątpił, by Antoine cieszył się z takiego stanu brata.

Nie wierzył, by chłopiec był w stanie o własnych siłach dojść do helikoptera, dlatego wezwał pustynię, by porwała ich obu w wiry swoich wiatrów. Pojawili się tuż za granicą pałacu. Ich oczom ukazał się lśniący helikopter, znieruchomiały wśród fal złotego morza. Briant wbił w niego uważne spojrzenie. Kojarzył tę maszynę... Na pewno. Ułamek sekundy później wiedział już skąd. Właśnie takie helikoptery ścigały go w lipcu, gdy wraz z Sonią uciekł na pustynię. Spochmurniał i zwrócił spojrzenie na stojącego sztywno Antoine'a.

– Ethan...! J... jak ty wyglądasz!? – Jasne oczy z furją wbiły się w twarz boga pustyni. – Co mu zrobiłeś?!

Briant puścił chłopca, który natychmiast rzucił się pędem w stronę kapłana. Antoine objął go troskliwie.

– Nic mu nie zrobiłem – odparł Set, postanawiając przemilczeć rany od klów Sahary, które dawno uleczył amuletem. – Nie chciał tknąć niczego, co mu przyniosłem do jedzenia. Odważny i uparty. W miarę go polubiłem. W przeciwieństwie do ciebie.

Antoine zmarszczył nieufnie brwi.

– Mam nadzieję, że jesteś równie usatysfakcjonowany z naszej współpracy jak ja – mówił dalej Briant. – I że już nigdy więcej się nie zobaczymy. Tyczy się to zarówno ciebie, jak i was wszystkich. Nasze kolejne spotkania mogłyby zakończyć się tragicznie. Nie mam zwyczaju darować nikomu zdrady.

Obrócił się na pięcie i znikł im z oczu, przekroczywszy granice księżycowego wymiaru. Nim zamienił się w piasek, który pomknął w stronę świątyni, usłyszał jeszcze drżący głos starszego z braci.

– Chodź, Ethan – mówił cicho Antoine. – Już dobrze, nic ci nie grozi. Jestem z tobą.

Briant skrzywił się z bólem, materializując się pośrodku opustoszałego dziedzińca. Gdzieś z odmętów pamięci wyłonił się obraz Dena. Choć zwykle oschły i złośliwy, w trudnych chwilach potrafił stać się osobą, na której wsparcie zawsze mógł liczyć.

Mijając fontannę, spojrzął na refleksy słonecznych promieni, które tańczyły po jej falującej powierzchni. Wydało mu się, że z oddali dobiegł go śmiech. Znieruchomiał ze zdziwieniem. Świat zawirował mu przed oczami. Przeszłość zaatakowała jego umysł tak silnie, jak jeszcze nigdy wcześniej. Z głuchym jękiem osunął się na ziemię. Otoczenie straciło kontury. Głowę wypełnił huk godny katarakt na Nilu. A potem wszystko zniknęło.

Izyda zaśmiała się perliście, wspierając się na ramieniu swego męża. Set przyglądał mu się uważnie, gdy kroczył wystrojony w królewskie szaty. Na sam jego widok coś skręcało go we wnętrzościach. Miał ochotę się na niego rzucić. Nienawiść płonęła w jego żyłach.

To on powinien być królem. Nadawał się do tego od dziecka. Gdyby nie Izyda, Ozyrys nigdy nie opanowałby tronu. Tronu, który należał się jemu.

Wybuch intensywnych kolorów oślepił go. Musiał mrużyć oczy, tak jaskrawy był otaczający go piasek, tak oślepiająca biel ścian. Zacisnął pięści. I nagle wszystko ustało. Ból w głowie ustąpił, a dusza boga uniosła się, pozostawiając gdzieś w dole targane drgawkami ciało śmiertelnika.

Spędził całe tygodnie, szykując się do tego dnia. Królowa Etiopii użyczyła mu swego pałacu, by mógł rozmyślać w spokoju z dala od innych bogów. Posiadanie mocy niszczenia było niezwykle korzystne, choć nie gwarantowało sukcesu. Wiedział jednak, że w końcu znalazł sposób na to, by zabić boga. A zgodnie z prastarymi wierzeniami prymitywnego plemienia, z którego pochodzili jego rodzice, jedynie zabójstwo mordercy mogło przywrócić zmarłemu życie. Nie wiedział, czy mu się powiedzie. Jej dusz nie mógł przecież odnaleźć w Dat. Ale musiał spróbować. Nie mógł zrezygnować z ostatniej szansy ponownego jej ujrzenia.

Poza tym chciał się zemścić. I odzyskać koronę, która powinna należeć się jemu.

Unosił się nad złotym morzem, chłonąc w siebie gorącą bryzę i wsłuchując się w pulsującą życiem pustynię. Był każdym ziarenkiem piasku, a równocześnie żadnym z nich. Był sobą. Był bogiem.

Uśmiechnął się przymilnie.

– Bracie, na dowód mojej dobrej woli ku temu, by zapanowała między nami wieczna zgoda, chciałbym ofiarować ci specjalny urodzinowy prezent.

Oczy Ozyrysa zabłysły z zaintrygowania. Izyda uniosła brwi. Pstryknął palcami, a ustawiona w centrum piramida rozpadła się w piasek. Goście wydali z siebie zduszone

okrzyki zachwytu. Wśród plujących ogniem pochodni znajdował się misternie złocony sarkofag. Dzieło najznamienitszych etiopskich rzemieślników.

Stał się całą Saharą i wszystkim, co było jej częścią. Był skorpionem wygrzebującym się z piasku, karawaną wielbłądów zmierzającą ku oazie, targaną wiatrem wydumą. Był pustynią, ale był też ponad nią. Był wszystkim. Był sobą.

– To bardzo nietypowy prezent – zauważył Ozyrys, przesuując dłonią po pięknych rzeźbieniach.

– Oryginalny – zgodził się. – Na początku miał być dla mnie. Ludzie wierzą, że jedynie prawdziwy król może się w nim położyć. Oczywiście musiałem spróbować. Ale nic z tego. Nie jestem królem. Ty nim jesteś, bracie. I dlatego należy się tobie. Bo jesteś władcą z krwi i kości, nieprawdaż?

Izyda prychnęła.

– Oczywiście, że tak!

Czerwone oczy zabłyśły. Dłonią ozdobioną w pierścienie wskazał złoty sarkofag.

– Udowodnij.

Zamruczał wraz z nadchodzącą burzą. Jak cudownie było znów poczuć swą moc... Wsłuchał się w świst pustynnych wichrów. Zakłócał go dziwny dźwięk. Bardzo dziwny i denerwujący. Skupił na nim uwagę i ujrzał niewielki helikopter szykujący się do startu. Helikopter zdrajców. Kapłanów, którzy chcieli zniszczyć magię. Zabić bogów.

Wzbrała w nim wściekłość.

„Nie...! Nie rób tego” – jęknęła z przerażenia ludzka część jego duszy, stłamszona gdzieś w nicości.

– Zasłużyli na śmierć – wysyczał wraz z wiatrem i wcielił się w błyskawicę, która z rykiem uderzyła w maszynę i wypełniła ją ogniem. Wybuch wstrząsnął pustynią.

Burza oklasków wypełniła wspaniałą komnatę. Ozyrys uśmiechnął się triumfalnie. Sarkofag pasował do niego idealnie. Jak robiony na miarę. Oczy boga pustyni rozbłyśły. A sekundę później świat pogrążył się w ciemności. Bogowie krzyknęli, gdy ziemia zadrżała, a w ich sercach rozkwitł chaos. Nim król bogów zdążył podnieść się ze złotej pułapki, zabójcze ostrze Berła Zniszczenia przebiło jego serce. Jego krzyk zanikł wśród wszechobecnej paniki.

Set wyszarpnął broń z ciała brata. Jego oczy jarzyły się niezdrowym blaskiem. Usta rozciągnęły się w niebezpiecznym uśmiechu.

Wiek sarkofagu zatrzasnęło się z hukiem.

Czuł w sobie potęgę wszystkich pustyni Ziemi. Bicie jego serca wstrząsało powierzchnią planety. Oddech wzburzał fale. Wzrok wypalał blizny w lasach.

„Zabiłeś ich. Nie! To ja... Ja ich zabiłem” – zapłakała przerażona ludzka część duszy. Dusza boga wezbrała pogardą.

– Tak, zabiłem – zagrzmiał wraz z nadchodzącą burzą. – Całe tysiące!

Etiopscy słudzy dźwignęli skrzynię na ramiona i pobiegli za nim w stronę Nilu. Zaprowadził ich kamiennym tarasem nad sam brzeg. Krzyki króla bogów były muzyką dla jego uszu. Niemal wyczuwał drgania wywoływane przez łomoczące o wieko dłonie. Smakował się w wyczuwalnej w głosie brata bezradności. Rozpaczy. Bólu. Nawet magia go opuściła, stłumiona przez zatrute kadzidło, jego najnowsze odkrycie.

Stał się Wszechświatem. Planetami, płonącymi gwiazdami, wirującymi galaktykami, czarnymi dziurami. A jednocześnie był ponad tym wszystkim. Ponad Wszechświatem. Był sobą. Był chaosem. Był wszystkim.

Złoty sarkofag z pluskiem wylądował w wodzie, wywołując gwałtowne fale. Set uśmiechnął się lodowato. Silny prąd z pewnością zabierze jego umierającego brata tak daleko, że nikt nigdy nie znajdzie jego ciała. Kucnął nad Nilem i otworzył dłoń. Robak o lśniącym pancerzu poruszył szczypcami.

– Dopilnuj, by na pewno umarł – szepnął i wypuścił go do wody.

Ozyrys krzyknął po raz ostatni. Potem jego sarkofag pogrążył się w toni, a władca pustyni odwrócił się i odszedł, by zapanować nad chaosem, który sam wywołał.

Wzniósł się jeszcze wyżej, ponad Wszechświat, który przeistoczył się w niewielką bańkę, drobny pęcherzyk unoszący się wśród nieskończonych czeluści praoceanu chaosu.

„Stałeś się mordercą” – szepnął głos w jego głowie. „Stałeś się tym, kim pogardzałeś. Stałeś się tym, za kogo cię biorą”.

Zadrzał ze złości. Chciał przestać słuchać tych słów, ale nie mógł. Ludzka cząstka związana z jego wcieleniem była silniejsza, niż zakładał. Nie było to zbyt wygodne.

„Stałeś się mordercą” – wybuchł Briant de Ramen. „JA stałem się mordercą!”

Miał ochotę wrzasnąć na to swoje idiotyczne wcielenie, że przecież był nim od dawna. Nie był jednak na tyle szalony, by krzyczeć na samego siebie. Nu coraz uporczywiej naciskało na niego ze wszystkich stron. Zaczął się dusić.

„Jak ja teraz spojrzę jej w oczy...?” – wyszeptał z rozpaczą żyjący w nim człowiek. „Teraz, kiedy wiem już na pewno, że... Kiedy ona we mnie wierzy! Ale się myli. Zawsze się myliła! Jestem przeklęty... Jestem tobą!”

Świat zawirował, a on runął gdzieś w tył. Z prędkością światła przemknął przez kosmos. Ziemia urosła i szybko przesłoniła gwiazdy. Powiększała się coraz bardziej. Widział już tylko Saharę. Tylko jej część. Tylko Pałac Pośród Piasków. Tylko skulone na ziemi ciało.

Zachłysnął się powietrzem i nieprzytomnie wpatrzył w złoto dziedzica. Obrazy umknęły jak cienie. Boska istota zlała się z ludzką. Zadrzał. Wspomnienie kuli ognia wypalało piętno na jego duszy. Uniósł wzrok znad podłoża i oparł się na łokciu. W oddali, hen za świątynnym murem, ku niebu wznosił się pióropusz dymu. Przerazenie zmieniło jego serce w ważący tony głąz. Zataczając się, powstał i oparł o fontannę.

Krzyki Ozyrysa przebudziły dręczące go koszmary pełne wrzasków Jeana. Obie jego ofiary wyły przeraźliwie w jego głowie, zagłuszając wszystko inne.

Bardzo powoli szok zaczął ustępować pełnej świadomości tego, co zrobił. Tego, że ukazał swą prawdziwą, ukrywaną dotąd twarz. Że upadł tak nisko, jak ludzie, którymi pogardzał. Zabił.

Wezwał moc i zniknął, by wyłonić się z podmuchu piaszczystego wiatru w miejscu, które opuścił niewiele wcześniej. Z bliska widok był jeszcze straszniejszy. Płomienie buchały wysoko w górę, kłęby czarnego dymu odpływały w błękit nieba.

Wydał z siebie zduszony jęk i uniósł drżącą dłoń. Siła jego woli z trudem zdusiła płomienie, aż pozostał sam dym, ciężki i smolisty.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. To przecież nie mogła być prawda. To musiał być

kolejny sen. Kolejny koszmar... Ale nie był.

Wpatrywał się we wrak, z trudem utrzymując się na nogach. Dym drażnił go w nos i wyciskał łzy z oczu. A potem dostrzegł pierwsze ciało, a raczej to, co z niego zostało. Zacisnął powieki, nie będąc w stanie patrzeć na spopielone strzępy. Żołądek podszedł mu do gardła. Osunął się na piasek, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wbił paznokcie w pustynię, nie radząc sobie z pustką żarłocznie pożerającą mu duszę.

...Co ja zrobiłem? – pomyślał. J... jak to możliwe?

Jego twarz wykrzywiła się w strasznym grymasie. Antoine, jego mały brat... Mały i niewinny brat. Ze wstrętem spojrzął na swoje dłonie. Nie chciał być takim bogiem. Nie chciał być sobą. Tak strasznie, że aż nie potrafił w pełni pojąć tego uczucia. Chciał być zwykłym nastolatkiem ze szczęśliwą rodziną. Chciał być okropnym, rozpuszczonym bachorem, za którego wszyscy zawsze go uważali.

Nie chciał być bogiem. Nie chciał widzieć tyle zła. Nie chciał czynić tyle zła.

Skulił się w cieniu smolistego dymu.

Był mordercą.

Choć przez cały dzień szalała śnieżno-deszczowa zamieć, było pochmurno i nieprzyjemnie, a na dodatek spała tylko kilka godzin, duszę Soni wypełniała dziwna lekkość. Nie zauważała szarości dnia, chlupoczącej przy każdym kroku, pokrywającej chodniki śnieżnej brei. Znużenie jedynie pomagało jej pogрузić się w krainie snów na jawie. Nie przejęła się zupełnie tym, że nie potrafiła sklecić ani jednego sensownego zdania na temat tajgi i dostała jedynekę z geografii, co jeszcze miesiąc lub dwa miesiące wcześniej z pewnością przyprawiłoby ją o zawał serca.

Wpatrując się w zapłakaną szybę autobusu i nieobecnie śledząc umykające przystanki przystrojone w świąteczne reklamy, wciąż wracała myślami do poprzedniego wieczoru. To wszystko... wydawało jej się tak nierealne. Jak sen, a nie jawa. Najpierw koszmar, potem piękny, ale sen. Musiała powtarzać sobie, że to wydarzyło się naprawdę. Policzki zaczęły ją palić, więc próbowała skierować myśli ku czemuś innemu, by się opanować. Skupiła się na tym, co z pewną dozą niedowierzania oceniała jako prawdziwy cud. Przywołała tę chwilę, gdy próbowała uciec porywaczom. I gdy... użyła magii? Czy to możliwe? Czy wspomnienie ich obezwładnienia i bólu było prawdziwe, czy może było jedynie halucynacją wywołaną przez dziwne kadzidło?

Korciło ją, by ponownie spróbować nawiązać kontakt myślowy z bogiem pustyni albo chociaż wysłać mu piaskową wiadomość, ale nie była w stanie tego zrobić. Blokowały ją wydarzenia poprzedniego dnia. Bała się, żeby nie okazały się nieprawdą. Czymś, o czym już zdążył zapomnieć. I powstrzymywał ją strach, że jednak wcale nie użyła magii. Że oszukały ją zmysły.

W końcu Briant mówił, że Wybrani nie byli w stanie czarować sami z siebie. I nawet jeśli próbował ją pocieszyć, opowiadając o Wybranym, który potrafił przywoływać magię, wiedziała, że kłamał. To nie miało prawa się wydarzyć. Dlaczego więc... wewnętrzny głos i pamięć mówiły jej coś zupełnie przeciwnego?

Gdy wróciła do domu, prawie zapomniawszy zamknąć za sobą drzwi, rzuciła

kurtkę i buty i zawlekła się na górę. Padła na łóżko. Myśli wirowały jej w głowie. Wyczerpanie opanowało jej świadomość.

– Sonia? – zapytał ktoś cicho.

Z trudem uniosła powieki. Lilia przysiadła na krawędzi łóżka, nie odrywając od starszej siostry poważnego spojrzenia.

– Co? – wymruczała Sonia.

– Musimy porozmawiać.

Z niechęcią wcisnęła głowę w poduszkę.

– Teraz? Nie widzisz, że już śpię? – wymamrotała, nie spodziewając się, że Lilia cokolwiek z tego zrozumie.

– Sonia. Widziałam go. Wiem, że to nie jest żadna Marysia Żaluzja.

Gwałtownie poderwała głowę z poduszki i wlepiła w młodszą siostrę oszołomione spojrzenie. Jej myśli wirowały, przetrawiając to, co usłyszała.

Lilia patrzyła na nią niepewnie.

– Widziałam go. I wiem, kim jest.

Nie potrafił określić, ile godzin jego myśli zajmowała tylko ta jedna rzecz. Ile czasu minęło, nim z odrętwienia wybudziło go tęczne światło liter, które zabłyśły nieopodal jego twarzy. Wbił w nie zamroczone spojrzenie.

„Mamy problem, Briant. Nie wiem, co mam zrobić. Lilia...”

Umknął wzrokiem gdzieś w bok. Na samą myśl o Soni zrobiło mu się niedobrze. Nie był nawet w stanie zmusić się do tego, by skończyć lekturę jej wiadomości. To był błąd, że tak się do niej przywiązał. Nie powinien był nikogo do siebie dopuścić. To było zbyt duże ryzyko. Nie tylko z powodu jego wrogów. W gruncie rzeczy nie uważał ich za realne zagrożenie. On miałby nie dać im rady...?

To on sam stanowił zagrożenie dla bliskich. Gdyby podobna sytuacja powtórzyła się kiedy indziej... Skąd gwarancja, że gdyby to Sonia znajdowała się obok, a nie kapłani... Zacisnął pięści. Zabiłyby ją. Na pewno. Odkąd zginęła Astarte, nie mógł przecież znieść widoku żadnej śmiertelnej dziewczyny.

Musiał to skończyć, nim było za późno. Musiał ją ochronić... Głównie przed samym sobą.

– Sonia – szepnął, wyobrażając sobie, jak zniecierpliwiona wpatruje się w piasek, czekając na odpowiedź. Na pewno jej zielone oczy zaśniły, a na pięknych ustach zakwitł uśmiech, gdy dostrzegła wyłaniające się z nicości litery. Na pewno nie takiej odpowiedzi się spodziewała. – Nie powinniśmy dłużej utrzymywać ze sobą kontaktu. To jedyna słuszna droga. Chcę być sam. Na zawsze. I ty tak naprawdę też tego chcesz.

Potrząsnął głową, starając się odgonić sprzed oczu wyobrażenie szoku na jej twarzy.

– Jestem tym złym bogiem i nie potrzebuję nikogo. Nie chcę cię już więcej widzieć. Nie chcę naszej przyjaźni i...

Głos uwiązał mu w gardle. Krtań zacisnęła się, uniemożliwiając mu wypowiedzenie słów, których bał się najbardziej. Wróciły do niego echa Abydos. Wtedy, gdy ją wreszcie

znalazł... Był taki szczęśliwy. Wierzył, że przyszłość ma sens. Że może być znów piękna. Lepsza od przeszłości.

Ależ był głupi.

– Nigdy więcej nie próbuj nawiązywać ze mną kontaktu... Żegnaj.

Zacisnął zęby i powstał ze smaganego wiatrem piasku. Wzniósł w umyśle mur, by nigdy więcej nie mogła się przebić do jego myśli, czy to za pomocą piaskowych wiadomości, czy umysłu. Odwrócił się od wraku i skupił wzrok na majaczącej wśród suchych fal fatamorganie ukazującej jego pałac.

Serce bolało go równie mocno jak wtedy, gdy utracił Astarte. Tylko że tym razem to on zniszczył wszystko, a nie ona.

Dziwnie ociążałe myśli krążyły jej w głowie, nie potrafiąc ukształtować się w nic konkretnego. Odetchnęła cicho i z trudem uniosła powieki. Raziło ją światło wpadające do środka przez na w pół zasłonięte okno. Głowę wciąż rozrywały echa odległego bólu.

Nie rozpoznała pomieszczenia, w którym się znajdowała. Zmarszczyła brwi. Proszący za oknem śnieg mógł oznaczać, że jest na feriach... Zamglone wspomnienia nabrały ostrości.

Nie była na feriach.

Strach ścisnął jej serce.

– Estera? Obudziłaś się...? – zapytał ktoś cicho.

Podерwała głowę i wbiła oczy w ustawiony nieopodal drzwi fotel. Z ulgą rozpoznała Rale'a, który uśmiechnął się do niej blado i odłożył na bok grubą książkę.

– Jak się czujesz?

Skrzywiła się nieznacznie.

– Dziwnie. Taka... Zużyta. Zmęczona.

Prychnął z wymuszonym rozbawieniem.

– Zmęczona? No co ty. Spałaś ponad tydzień.

– Ile?!

– Tydzień.

Zamrugła z oszołomieniem.

– Czekaj... Czyli mamy już grudzień?

Rale kiwnął głową. Zamknęła oczy, próbując odegnać gnębiące ją wizje. Kierownik. Gdańsk. Dom. Odepchnęła je od siebie jak najdalej, żeby się nie rozplakać i z powrotem skupiła uwagę na bogu słońca, przypatrującemu się jej uważnie.

– I co teraz? – zapytała słabo. – Skoro już się obudziłam i Mandara widział, co umiem... Nie da mi spokoju. Będzie chciał więcej wizji. A ja...

– Spokojnie, nie będzie tak źle. Thot zgodził się ze mną, że coś z tobą nie tak i być może narzuciłaś na siebie psychiczną blokadę, która hamuje twoje umiejętności i sprawia, że nie jesteś w stanie przemóc się, by używać tak potężnej magii, jaką możesz przywołać. Oznacza to, że będziesz traktowana w miarę ulgowo. Oczekują, że z czasem pokonasz samą siebie i wyzwolisz pełnię swojej mocy. Nie znaczy to, że nie będziesz ćwiczyć albo nie chodzić z nami na misje – przestrzegł – ale dasz radę to przetrwać.

– A... Myślisz, że będę musiała pokazać im kryjówkę Seta? – wyjąkała.

– Nie wiem. Może chwilowo nie. Ale kiedyś na pewno.

Kiwnęła głową.

– Dziękuję... Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Wzruszył ramionami i uciekł wzrokiem za okno. Przypatrywała mu się przez chwilę. Miała wrażenie, że był inny niż wcześniej. Bardziej smutny...? Przygaszony? Czujny?

– Rale... Wszystko dobrze?

– U mnie? Tak, jasne.

Zmarszczyła brwi.

– Co się działo, jak spałam? – zapytała, mając nadzieję, że może to zdradzi jej, co budziło jego niepokój.

– Horus zorganizował wyprawę do Abydos, by pojmać Seta. Nie udało się, oczywiście. I tyle, jeśli chodzi o ważne rzeczy. Plotki przekażą ci raczej koleżanki, bo mnie to niezbyt obchodzi.

Zmarkotniała. *A więc kolejna porażka...*

Rale obserwował podłogę, jakby szukając w niej odpowiedzi na tylko jemu znane pytania. Wydawało jej się jednak, że to nie klęska Horusa była tym, co zajmowało jego myśli.

Rozdział szesnasty

ŁZA PUSTYNI

Przerażenie utrudniało jej zebranie myśli.

Musiałoby stać się coś koszmarnie złego.

Całą noc spędziła bezsennie, leżąc w księżycowej poświacie i roztrząsając najgorszą wiadomość, jaką dostała w życiu. Gdy spanikowana rozmową z siostrą, napisała do niego z prośbą o pomoc, spodziewała się, że będzie zły. Ale absolutnie nie była przygotowana na to, że ją odrzuci... Tak nagle. Tak dziwnie. Tak okrutnie. Nawet się osobiście nie pofatygował, co albo było znakiem tego, że nie znaczyła dla niego kompletnie nic, albo coś innego musiało być na rzeczy. Coś poważnego. Bardzo poważnego. Miotła się, przyjmując raz jedną konkluzję, raz inną. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Chciała krzyknąć ze złości, z desperacją wpatrując się w przestrzeń.

Czy mówił poważnie? Nie chciał jej więcej widzieć? Nie miała pojęcia. W jednej chwili była przekonana, że tak. W następnej, że to przecież niemożliwe, że musi chodzić o coś innego.

Tylko co do jednego nie miała żadnych wątpliwości. Że tego tak na pewno nie zostawi. Jest jej winien wytłumaczenie. Nie odpuści mu tego.

W nieskończoność roztrząsała, co też mogło się wydarzyć. Dlaczego tak zareagował? Dlaczego odciął się od niej tak gwałtownie i niespodziewanie? Bała się, że jego dziwne zachowanie doprowadzi do tragedii. Nie wiedzieć czemu miała wrażenie, że jest w ogromnym niebezpieczeństwie. I nie pomagało nawet powtarzanie sobie, że to absurdalne. Że na pewno nic mu nie grozi, że to wyraz zwykłej fobii, nadinterpretacji.

Jest bogiem. Nie można go zabić – myślała i tylko z rozpaczą odpychała od siebie wspomnienia słów Wyklętego.

„Odkryłem sposób, jak zabić boga”.

Doskonale pamiętała pewność w jego głosie.

Co, jeśli jakimś cudem udało im się dostać do Pałacu Pośród Piasków, przelamać starożytne bariery i... wcielić swój plan w życie? – pomyślała. *Co, jeśli jego już... nie ma?*

Gwałtownie potrząsnęła głową.

Nie! To niemożliwe. Niemożliwe. Skąd w ogóle przyszło mi to do głowy? To głupie!

Nie wiedziała, co się stało, ale musiała się dowiedzieć. Musiała z nim porozmawiać. A ponieważ nie reagował na jej piaskowe wiadomości, musiała znaleźć sposób na to, by jakoś przedostać się na Saharę. Do samego jej serca.

Musiała wykorzystać swoją magię. Tylko tak mogła osiągnąć cel.

Być może była to jedyna droga, by odzyskać to, co nieoczekiwanie stało się dla niej tak ważne.

Odrzuciła koc i ze zdecydowaniem zerwała się z łóżka. Nie poszła dziś do szkoły, nie była w stanie. Nie obchodził jej wyraz zmartwienia w oczach mamy ani troska taty. Nie była już małą dziewczynką. Musieli to zaakceptować. Sama dokonywała własnych wyborów. A w tej chwili najważniejszy był dla niej on. Nic innego nie mogło się z tym równać.

Zbiegła po schodach, układając w głowie plan. Tak bardzo niepewny, tak bardzo oparty na niewiadomych, na domysłach, na nadziei.

– Idę na spacer! – zawołała w stronę kuchni i zanim ktokolwiek z obecnych w domu osób zdążył wyrazić wątpliwości co do tego pomysłu, porwała z wieszaka kurtkę i wypadła w szalejącą na zewnątrz zamięć.

Powiew zimna natychmiast sypnął jej w twarz ostrymi jak igły drobinami lodu. Zacisnęła zęby, naciągnęła na głowę wyszarpniętą z kieszeni czapkę i ruszyła w stronę zmarzniętej furtki. Przedzierając się przez pokrywające wszystko zasy, starała się nie czuć kłuszącego jej policzki i stopy zimna. Spodziewała się, że tenisówki to nie najlepszy pomysł na taką pogodę, ale nie miała zamiaru biegać po pustyni w kozakach.

Bo musiało jej się udać. Przeniesie się tam.

Dam radę. To nic takiego – powtarzała sobie w myślach, próbując ignorować wszystkie cisnące się na myśl wątpliwości.

Była pewna, że jeśli chce się dostać na Saharę, to tylko dziś. Nie mogła liczyć na to, że w najbliższej przyszłości warunki będą równie perfekcyjne. Zdawało się, jakby egipski bóg ciemności zawładnął całym światem i zmusił go do posłuszeństwa. Noc była jeszcze mroczniejsza niż zwykle. Burza śnieżna wściekle atakowała wszystko, co ośmieliło się znaleźć na jej drodze. Lodowe tumany chaotycznie wirowały w powietrzu, próbując zmylić drogę wędrowcom.

Gdy dotarła wreszcie do zaśnieżonego, trzęsącego się na wietrze ogrodzenia, była wykończona i nie mogła zapanować nad szczękającymi zębami. Przebiła wzrokiem ciemność spowijającą zasypaną działkę. Wiatr wył wśród zamrożonej roślinności i poruszał zlodowaciałymi gałązkami, których cienie tańczyły na śniegu w świetle bladych latarni. Obawa ścisnęła ją za serce. Zanim zdążyła jej ulec, wspięła się na wyginającą się niebezpiecznie siatkę i zeskoczyła na drugą stronę. Poślizgnęła się na stwardniałym podłożu i jedynie cudem zachowała równowagę.

Zagłębiła się w zimno, z sercem ogłuszająco obijającym się o klatkę piersiową. Po dłuższej chwili błędzenia wśród poruszających się szkieletów roślin stanęła wreszcie przed wyniosłą górą piasku. Zielone oczy przygasły ze strachu. Nie miała pojęcia, jak stworzyć portal. Nie wiedziała, czy w ogóle potrafi... czy w ogóle jest to możliwe.

Wspięła się na hałdę i stanęła na jej szczycie.

„Kiedy chcę się przenieść w inne miejsce, muszę najpierw zlać się w jedno z tym, w którym się znajduję. To podstawa. Dzięki temu znikają bariery. Staję się wolny. Mogę się znaleźć, gdzie tylko chcę”. Tak powiedział jej kiedyś Briant, gdy zapytała go, jak podróżuje cieniem. Miała nadzieję, że jego dawne słowa pomogą jej odnaleźć drogę do Pałacu Pośród Piasków. Nie miała nic innego, co mogłaby wykorzystać.

Zamknęła oczy i rozłożyła ręce. Uniosła głowę w stronę zakrytych chmurami gwiazd, pozwalając, by lodowaty wiatr bezlitośnie smagał ją po twarzy i wnikał pod kurtkę. Musiała stać się jednością z zimną wściekłością wichru. Z chaosem nieznaną litości zamięci. Z piaskiem uśpionym pod jej stopami. Z przenikającą powietrze nocą. Musiała przeniknąć do świata, którym rządził bóg zniszczenia. Stała więc nieruchomo, całym sercem próbując wczuć się w szalejącą wokół moc natury. Z każdą upływającą minutą robiło jej się coraz zimniej. Ale wciąż nie czuła tego czegoś, na co czekała. Magii.

Energii. Czegokolwiek, co byłoby inne od zwyczajności.

Tłumione z całych sił wątpliwości dawały się jej we znaki coraz mocniej i mocniej. Ale nie mogła im ulec. Nie mogła się poddać. Wytężała umysł, próbując przywołać stan sprzed kilku dni, gdy stawiała czoło porywaczom. To musiało się powtórzyć. Musiało jej się udać.

Nie miała pojęcia, jak długo tak trwała samotna, otoczona chaosem zimy. Ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Zimno wysysało z niej wszystkie siły. I choć dusza szeptała rozpaczliwie, że musi wytrzymać, to zdrętwiałe ramiona oraz ciało słabły coraz bardziej... I bardziej... I bardziej. W końcu nie mogła powstrzymać ogarniających ją zawrotów głowy. Zatoczyła się w tył i bez sił runęła na pokrytą lodem ziemię. Upadła na coś bardzo twardego. Leżała bez ruchu, niezdolna do uchylenia powiek. Zawiodła. Było jej tak zimno, że dopiero po dłuższej chwili odczuła, że temperatura powietrza była dziwnie wysoka. Że przestało wiać. Że burza ustała.

Otworzyła oczy i spojrzała w idealnie równą powierzchnię płyty z piaskowca. Z niedowierzaniem poderwała się z ziemi i powiodła wzrokiem po Komnacie Piasków. Z piersi wyrwało jej się niedowierzające westchnienie. Prędko zrzuciła kurtkę, czapkę i rękawiczki i wybiegła z komnaty Świątyni Gwiazd. Serce ścisnęło jej się ze strachu, ale jednocześnie szalało z radości. Udało jej się... Nie wiedziała jak, ale zrobiła to. Użyła magii! Sama! Bez niczyjej pomocy, bez niczyjzego wsparcia. Jednak euforia wyparowała z niej natychmiast, gdy tylko ujrzała wyjście ze świątyni. Ze zdumieniem zatrzymała się pomiędzy sięgającymi nieba kolumnami. Jej uwagę przykuło zasnute czarnymi chmurami niebo. Gwałtowny wiatr szarpał liśćmi palm. Duszne powietrze przesycone było napięciem. W cieniach czaiła się groza.

Dręczące ją przecucia stały się jeszcze gorsze.

Rozglądnęła się po opustoszałym dziedzińcu, żywiąc cień nadziei, że jej przyjaciel wyłoni się zaraz z jednego z korytarzy, na jej widok przystanie ze zdziwieniem, a potem... Zagrzało, aż się wzdrygnęła. Wizje umknęły w nicość. Była sama.

– Briant? – zawołała niepewnie, wychodząc pod gołe niebo, po którym gnały przestraszone chmury.

Odpowiedziała jej jedynie cisza, jeszcze bardziej złowroga niż przedtem. Powoli skierowała się w stronę Pałacu Cieni. Gdy nie zastała w nim żywej duszy, jeszcze bardziej zaniepokojona wybiegła do ogrodów. W końcu nogi zaprowadziły ją na plac, na który w lipcu sfrunęli z nieba na ogromnym feniksie. Przystanęła obok starego posągu i z rezygnacją rozejrzała się dookoła. Była sama.

Nagle na szczycie złotej wydmy wznoszącej się za ogrodem pojawiła się na jedną krótką chwilę sylwetka Sahary. Sonia natychmiast pognęła w tamtą stronę, błagając całą otaczającą ją naturę, by nie było to okrutne złudzenie.

Zarośnięta ścieżka doprowadziła ją do podstawy wydmy. Wbiegła na nią najszybciej, jak mogła, starając się przewyciężyć trud gnania po sypkim piasku, który zdawał się specjalnie utrudniać jej wspinaczkę. Wreszcie, zasapana z wysiłku, stanęła na szczycie. Uniosła wzrok znad podłoża, słysząc jedynie ogłuszające walenie serca. Na widok stojącej nieruchomo na tle pustyni sylwetki przyspieszyło jeszcze bardziej.

– Briant...?

Nie zareagował. Może dlatego, że jej szept zabrzmiał bardziej jak szelest pustynnego wiatru niż ludzki głos. Podeszła bliżej, walcząc z burzą uczuć szalejących w jej głowie. Ogarnął ją niezrozumiały strach. Przypatrująca jej się Sahara zastrzygła ostrzegawczo uszami. Briant drgnął i odwrócił się płynnie. Zatrzymała się, porażona stęzałymi rysami jego twarzy, przez które wydawał się obcy. Na jej widok cofnął się o krok i otworzył szerzej nienaturalnie czerwone oczy.

– Co tu robisz? – rzucił trochę oschle. – Jakim cudem się tu dostałaś? Przecież to niemożliwe.

– Użyłam magii – odparła niepewnie. – Potrafię... Naprawdę.

– Niemożliwe.

– A jednak.

Skrzywił się.

– To w takim razie użyj jej znowu i odejdz stąd natychmiast!

– Ale...

– Której części mojej wiadomości nie rozumiałaś? – wybuchł nagle, aż się przestraszyła. Jego oczy wbijały się w jej własne, a wypełniający je ogień był przerażający. – Nie chcę już cię znać. Ani ty nie powinnaś chcieć znać mnie. Odejdz natychmiast, zanim cię wyrzucę.

Zaplotła ręce na klatce piersiowej i posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Czego nie rozumiałam? – warknęła. – Skąd ci się to nagle wzięło! Wydawało mi się, że wszystko było dobrze. Że byliśmy przyjaciółmi. Że mogliśmy... – Pokręciła głową. – A potem stało się to! Wysłałeś mi jakąś głupią wiadomość i oczekujesz, że mnie zadowolę?! Że odpuszczę? Ot tak? Nie zostawiam przyjaciół! A już na pewno nie tych, którzy mnie potrzebują. Jeśli nie chcesz mnie znać, powiedz mi dlaczego. Teraz. Nie chowając się za piaskowymi wiadomościami jak jakiś tchórz!

Jego oczy zabłysły. Ale nie groźnie lub z furją. Inaczej. Jej złość natychmiast zbladła.

– Nie jestem twoim przyjacielem, Sonia – powiedział cicho, jakby z rezygnacją i odwrócił się w stronę horyzontu. – Jestem mordercą. Powinnaś trzymać się ode mnie z daleka.

Zmarszczyła brwi.

– Jak to?

Milczał przez chwilę, jakby walcząc z samym sobą. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos był ciepły jak powietrze na biegunie.

– Rozbiłem helikopter. Zabiłem ludzi. Stałem się tym, za kogo wszyscy mnie mają.

Nie rozumiała. Wpatrywała się w niego z oszołomieniem. Nie, to nie tak. Nie chciała tego zrozumieć. To... to wydawało się zbyt nierealne. Zbyt straszne. Zbyt niemożliwe. Dlaczego niby...

Obrócił się w jej stronę. Przez ułamek sekundy wydało jej się, że dostrzeża w jego spojrzeniu kotłujące się cienie przerażenia, rozpacz i niechęci, ale był to jedynie błysk, tak krótki, że nie wiedziała, czy prawdziwy.

– Nie wierzysz – syknął, w mgnieniu oka zjawiając się tuż obok i zaciskając drżące palce na jej ramieniu. – To patrz.

Nagle świat zniknął, a oszołomiona Sonia ujrzała zbierający się do startu helikopter i idące w jego stronę dwie niewielkie postaci. Poczowała straszliwy gniew boga burz i jego palącą żądzę śmierci. Powietrze wibrowało od nienawiści. Błyskawica wystrzeliła z czystego nieba, a maszynę pożarł wybuch ognia, który wstrząsnął pustynią. Świat pograżył się w czerwieni.

Wspomnienie urwało się tak nagle, jak się zaczęło. Briant szybko cofnął rękę, a ona uniosła na niego porażony wzrok. Nie była w stanie nic powiedzieć. Ale on i tak wyczytał z jej twarzy wszystko, co chciał. Widział jej szok, rozpacz i niedowierzanie. Widział zawód, strach, ból. Chłonał ten widok, choć ranił go chyba równie mocno jak ją. Jej oczy stały się szkliste, a cera chorobliwie biała. Miał wrażenie, że zaraz ucieknie, wybuchnie płaczem albo zemdleje.

– Dlaczego? – zapytała głucho.

– Dlaczego? – Jad słyszalny w jego głosie przestraszył nawet jego samego. – Co za śmieszne pytanie! Czego innego spodziewałaś się po bratobójcy?

– Czego? – wyjąkała płacząco. – Nie wiem! Ale po tobie wszystkiego, tylko nie tego! Co oni ci zrobili? Przecież... Przecież cię znam! Nie mogłeś tego zrobić!

– A jednak. Może taki jestem naprawdę. Może powinnaś się mnie bać.

– Nie będę! Jesteś moim przyjacielem i...

– Nie jestem! Nie mam przyjaciół i wcale ich nie potrzebuję. Przynoszę tylko śmierć. Ciebie też ona spotka, jeśli wciąż będziesz się mnie trzymać. Nie rozumiesz? Naprawdę jesteś aż tak głupia i ślepa? Co z tego, że cię lubię? Możesz być dla mnie najważniejsza na świecie, ale gdy przyjdzie ten moment i stanę się bogiem, stanę się bogiem w pełni, wtedy to wszystko nie będzie nic znaczyło! Zabiję cię równie łatwo, jak zabiłem ich! Jak zabiłem Ozyrysa! Jedyne, co ci może pomóc, to być jak najdalej! Czy naprawdę musi dojść do tragedii, żeby to do ciebie dotarło?!

– W pełni bogiem? – szepnęła czujnie. – To się stało...?

– Tak – warknął, odwracając się w stronę pustyni. – Lepiej odejdz, zanim to wróci.

Obserwowała go, mając wrażenie, jakby jej świat rozsypał się na kawałki. Czująco sływały jej po twarzy. Cała drżała. Jakaś część jej chciała płakać dalej i uciec od niego jak najszybciej. Tak jak uciekła w lipcu. Ale teraz... Teraz ta druga część była silniejsza. Wiedziała, że nie odejdzie, nawet jeśli tym razem nie powie, że jest niewinny. Nie była taka jak kiedyś. Poza tym widziała jego spojrzenie. Tak strasznie nienawidził się za to, co zrobił. I nawet jeśli ona też czuła się z tym źle... Nawet jeśli napawało ją to przerażeniem, jednak została.

Zagrzmiało. Kręcąca się wokół Sahara obejrzała się nerwowo. Briant uparcie wpatrywał się w horyzont. Ostrożnie, tak by szum nadchodzącej burzy zagłuszył jej kroki, podeszła bliżej. Rzucił jej wrogie spojrzenie, a jego oczy krzyczały do niej, by odeszła, ale równocześnie błagały, by została.

– Nieważne, co zrobiłeś, i tak wciąż jesteśmy przyjaciółmi – powiedziała cicho, sięgając ku jego dłoni.

Odsunął ją gwałtownie. Prawie niedostrzegalnie zmarszczyła brwi.

– To nic nie zmienia. Nigdzie nie pójdę.

– A powinnaś. Widziałaś przecież, co...

– Przestań! To, że zrobiłeś coś strasznego, nie znaczy od razu, że zrobisz to ponownie! Wierzę w ciebie, Briant. Potrafisz nad tym zapanować.

Skrzywił się.

– A co, jeśli nie?

– Wiem, że tak – szepnęła i ostrożnie ujęła go pod ramię.

Tym razem jej nie odepchnął. Jedynie opuścił głowę.

Gdy wpatrywała się w zachodzące słońce, z całej siły starała się odpędzić obawy, że nie miała racji.

– Sprawdziłeś, czy na pewno nikt nie przeżył? – zapytała ostrożnie po pewnym czasie. – Dwie osoby nie wsiadły jeszcze do środka, gdy...

Wyczuła, że zdrętwiał.

– Nikt nie mógł tego przeżyć.

– Czyli nie sprawdzałeś?

– A po co miałem sprawdzać, skoro wiem, że wszyscy zginęli?

– Nie wiem. Może dla spokoju sumienia...? Nie wiem, przepraszam. Nie złość się...

– Spokoju sumienia? – jęknął z niedowierzaniem, odsuwając się od niej. – Żartujesz? Jak widok tego, co zrobiłem, miałby mi pomóc? Poza tym mojego sumienia już nic nie uspokoi.

Zmarszczyła brwi.

– Nie możesz obwiniać się za wszystko i bez końca... To cię zniszczy.

– Jak mogę się nie obwiniać? Przecież to moja wina!

– Ale zamartwianie się nic nie da! – zawołała. – Skup myśli na czymś innym, proszę. Spróbuj. Możesz to naprawić.

– Niby jak?

– Stając się silniejszym. Umiejąc zapanować nad byciem w pełni bogiem. Nigdy więcej do tego nie dopuszczając. To nie koniec świata, Briant. Musisz żyć dalej...

Rzucił jej pochmurne spojrzenie.

– Czas na ciebie, Sonia. Idź do domu.

– Nie pójdę.

– Chcę być sam. Muszę zostać sam. Proszę, odejdz.

Zawahała się, bijąc się z myślami.

– Dobrze, ale... Ale tylko, jeśli obiecasz... Jeśli obiecasz, że nie na zawsze.

– Naprawdę chcesz, żeby to nie było na zawsze? Lepiej to przemyśl.

– Nie muszę nic przemyślać. Chcę wciąż być twoją przyjaciółką.

Zerknął na nią niepewnie.

– Niech więc będzie... Nie na zawsze.

Uśmiechnęła się blado, rzuciła mu ostatnie zatroskane spojrzenie i niechętnie odwróciła się w stronę pałacu. Kilka uderzeń serca później zbiegła z wydmy.

Gdy Briant był już pewien, że Sonia na pewno nie wróci, lecz pójdzie do Komnaty Piasków, wziął głęboki oddech i przeniósł się w miejsce katastrofy. Obraz wraku ponownie uderzył go swoją brutalnością. Wstrzymał oddech i podszedł bliżej, rozglądając się czujnie. Przepłoszył zainteresowane zwłokami szakale. Przerazenie ponownie ścisnęło

mu serce. Ból wypełnił spojrzenie. Uciekł nim jak najdalej w bok. I zatrzymał się w pół kroku, nie mogąc w to uwierzyć.

Kilka metrów dalej, obok szczątków śmigła, na piasku znajdowały się ślady stóp.

Przypatrzył im się z oszołomieniem, a potem podążył ich śladem. Znikały za najbliższą wydumą. Gdy wbiegł na jej szczyt, w oddali dostrzegł leżący na pustyni kształt. Z przerażeniem rzucił się w jego stronę.

Rozpoznał ich dopiero z bliska. Przypadł do nieruchomych ciał, wpatrując się w ich twarze osłonięte przed palącym słońcem fragmentem koszuli.

– Antoine – szepnął, ostrożnie dotykając ramienia, którym kapłan obejmował młodszego brata, jakby chciał ochronić go przed śmiercią. – Antoine! – Briant nachylił się nad jego twarzą w próbie wyczucia oddechu. – Żyj, proszę... Żyj!

Dopiero po chwili dostrzegł, że pierś Antoine'a unosi się lekko. Z trudem w to wierząc, skupił uwagę na Ethanie. Po chwili był już pewien. Wyprostował się z niedowierzaniem. Obaj żyli. Byli na skraju śmierci, ale żyli.

W chwili, gdy sięgnął po swoją magię, Antoine charknął i uchylił zapuchnięte powieki.

– Ty... – wymamrotał złowrogo i spróbował się podnieść. – Jak...

– Spokojnie – mruknął Briant. – Wyciągnę was z tego. Masz moje słowo.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał kapłan, było złoto piasku, w który przemienił się cały świat.

W pierwszej chwili nie dotarło do niego, że te okropne jęki dudniące w jego uszach to dźwięki wydawane przez niego samego. Antoine otworzył oczy, z trudem łapiąc oddech. Zaskoczył go widok kamiennego sufitu i unoszący się w powietrzu aromat suchego piasku.

Jego serce zamarło, gdy wspomnienia wróciły do niego z całą swoją siłą. Ethan, biedny i słaby. Pilot uruchamiający maszynę. Drzenie ciała brata, gdy pomagał mu iść w stronę helikoptera. Jaskrawa błyskawica z czystego nieba. I wybuch, który zasłonił cały świat. To, jak rzucił się w bok, starając się osłonić Ethana przed straszliwym żarem. Straszliwy ból poparzonych pleców, krzyk rozzierający ciężkie od dymu powietrze. Jego własny krzyk. Słaniający się na nogach brat, po którego szarej twarzy spływały łzy przerażenia, gdy starał się pomóc mu czołgać się po pustyni, byle dalej od ognia i smrodu zniszczenia. Każdy centymetr okupiony piekielnym bólem i krwią. Straszliwy gorąc. Omdlenie Ethana. Nadludzki wysiłek, jakim było oderwanie kawałka koszuli, która stała się jednością ze spalonym ciałem. Ochrona przed zabójczym słońcem. I świadomość tego, że umrą. Samotni, cierpiący, wycieńczeni. Ale razem.

A potem ta twarz.

Jak to się stało, że żył? Że nic nie czuł? Że...

Poderwał głowę, oczekując, że ból pleców wyrwie z jego piersi potworny jęk. Jednak nic takiego się nie stało. Krew zagotowała mu się w żyłach, gdy natrafił na spojrzenie czujnych kasztanowych oczu. Z trudem zapanował nad furją. Rozejrzał się dookoła, siadając na zimnej posadzce. Z wrażenia odebrało mu dech. Ujrzał wysokie

malowane ściany. Ogromny kominek zastawiony zdjęciami, ozdobne wyjście na zewnątrz. Usłyszał szum papirusu. Wbił wzrok w istotę, której służyli jego odlegli poprzednicy. Skupił się na zwisającym z jego szyi wisiorze. Krzyżu ankh.

To musiał być Pałac Pośród Piasków.

– Chyba już ci lepiej – rzucił Briant i sięgnął w stronę stołu.

Antoine zdrętwiał, gotów odeprzeć ewentualny atak. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, próbując zrozumieć, co się stało.

– Gdzie mój brat? – rzucił ze strachem, spodziewając się, że z gardła wydobędzie się charkot zamiast słów. Jednakże wszystko było dobrze. Głos miał taki jak zawsze. – Co z nim zrobiłeś?

Bóg pustyni wziął z blatu szklany kielich i wyciągnął go w jego stronę.

– Jedynie przeniosłem z piasku i położyłem na fotelu. Tam, za tobą. To woda... dla ciebie. Od razu mówię, że nie zatruta. Powinieneś się napić, jesteś odwodniony.

Kapłan obrócił się i wbił wzrok w fotel, na którym znajdowała się skulona bezładnie postać. Poblądł.

– Spokojnie, żyje – odezwał się szybko Briant, jakby odgadując jego myśli. Odstawił kielich na stół i podszedł do Ethana, na co Antoine zareagował natychmiast, zrywając się z podłogi.

Siedząca pod ścianą Sahara zwróciła na niego spojrzenie złotych oczu i zawarczała cicho, odkrywając kły. Bóg pustyni zmarszczył brwi.

– Nie bój się. Mam zamiar mu pomóc. Ale ostrzegam, spróbuj się na mnie rzucić, a mój pies ugryzie cię w nogę.

– Niby dlaczego mam ci ufać? – zapytał, z trudem panując nad tym, by przemawiać ze spokojem. – Prawie nas zabiłeś! Złamałeś umowę.

– Dlaczego masz mi zaufać? – prychnął. – Dlatego, że tylko dzięki mnie żyjesz.

– Nie rozumiem.

– Czego znowu?

– Czemu nam pomagasz, skoro to wszystko przez ciebie.

Spochmurniał.

– Właśnie dlatego, że to wszystko przeze mnie. Chcesz zapytać jeszcze o coś, czy pozwolisz mi wreszcie ulżyć twojemu bratu w cierpieniach?

Z napięciem obserwował, jak bóg pustyni kładzie rękę na ramieniu jego brata, a drugą na amulecie. Gdy Ethan zaczął świecić i oddychać ciężiej, poblądł i jedynie ostatkiem sił powstrzymał się od rzucenia się w stronę brata.

Nie ufał Setowi. Ani trochę. Po tym, co się stało...

Wreszcie Ethan zachłysnął się powietrzem i otworzył oczy. Briant odsunął się od niego jak najszybciej, a Antoine w moment zapomniał o czuwającej bestii i przypadł do brata. Bóg pustyni gestem uspokoił zjeżoną Saharę. Antoine upewnił się szeptem, czy u Ethana na pewno wszystko w porządku, a potem obejrzał się na Władcę Piasków.

– Wciąż nie rozumiem – oznajmił, marszcząc brwi. – Jesteś zupełnie nieprzewidywalny.

– Pustynia jest zmienna – odparł ponuro.

– Dlaczego nam pomogłeś?

– Bo tak.

– Dlaczego?

– A co cię to tak interesuje? – zezłościł się.

– To ważne. Bardzo.

– Niby czemu?

– Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie zrozumiem, kim właściwie jesteś. W jakim stopniu mogę ci zaufać.

– Zaufać mi? – powtórzył z niedowierzaniem. – To się nie opłaca. Nawet ja nie jestem w stanie przewidzieć swoich działań. Chcesz wiedzieć, co się stało? Dlaczego? Świetnie! Powiem ci, i chcę, żebyś przekazał to dalej, innym kapłanom. Żeby wycofali się z wojny ze mną jak najprędzej. Inaczej z pewnością zginą. Nie jestem teraz taki sam jak w starożytności. A właściwie jestem, ale tylko czasami. Zazwyczaj nie, zazwyczaj jestem... Nawet nie wiem. Kimś pomiędzy. Ani w pełni bogiem, ani zupełnie człowiekiem. Jestem kimś pośrodku. Ale bywa tak, że dusze boga stają się silniejsze. I kończy się to tragicznie. Na przykład wysadzeniem helikoptera.

Antoine zmrużył oczy.

– Po co ci berło?

– Uważaj, bo ci powiem! Czas na was. Zaprowadzę was do portali, które przeniosą was tam, dokąd będziecie chcieli.

– Do portali? – powtórzył z niedowierzaniem. – Naprawdę istnieje coś takiego?

– Tak.

Bracia popatrzyli na siebie niepewnie, a potem wstali i ostrożnie ruszyli za nim przez starożytne korytarze. Briant przez całą drogę czuł na sobie ich nieufny wzrok. Z prawdziwą ulgą powitał Komnatę Piasków.

– To tutaj – powiedział, obracając się do nich. – Wystarczy wejść do największego z portali i pomyśleć, gdzie chcecie się znaleźć. Nie patrz tak podejrzliwie, Antoine. Gdybym chciał waszej śmierci, zostawiłbym was na pustyni. To wasza droga do wolności.

Kapłan zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że to nie kolejna pułapka.

– Nie.

Ostrożnie podszedł do wirującego piasku i przyjrzał mu się ciekawie.

– Niesamowite – szepnął. – Jak to działa?

– Nie denerwuj mnie nawet! Włóż do środka i nie chcę cię więcej widzieć!

Antoine uśmiechnął się krzywo.

– Chodź, Ethan. – Wziął brata za rękę i jeszcze raz spojrział na boga pustyni. – Nie oczekuj, że będę ci wdzięczny i zapomnę ci to wszystko.

– Nie oczekuję. Ja też wam nie wybaczę porwania Soni. I tego, że chcecie nas zniszczyć.

Kapłan zawahał się.

– Ale widzisz... Ja mam jednak nadzieję, że się kiedyś spotkamy. Tym bardziej że muszę ci coś powiedzieć.

– Niby co?

Wyprostował się bardziej.

– Ja wiem, gdzie ono jest.

Briant zdrętwiał.

– Co?

– Twoje berło.

– Nie możesz! Nawet ja nie wiem. I nie, nie nabierzesz mnie tym razem, tak jak z Abydos!

– Wiem naprawdę.

– Nie mów mu – syknął przerażony Ethan, szarpiąc brata za rękę. – Proszę!

Antoine uśmiechnął się blado.

– Mam przyjaciela, który ma dostęp do archiwów. Sprawdził dla mnie zapisy z najstarszych rękopisów. Wiem, gdzie znajduje się Berło Zniszczenia.

– Tak? Znalazłeś to w archiwum? W takim razie dlaczego nikt z was go jeszcze nie odnalazł? Naprawdę myślisz, że w to uwierzę?!

– Wiem, gdzie jest, ale nie potrafię się tam dostać. Nikt nie potrafi. To zaginione miejsce.

Bóg pustyni przypatrywał mu się nieufnie. Oczy Antoine'a zabłyśły niczym gwiazdy.

– W starożytności nazywano je Łzą Pustyni.

Świat zamarł. Dźwięki zamilkły. Serce znieruchomiało. Była tylko ona. Nazwa przedzierająca się z odmętów niepamięci.

– Łza Pustyni – szepnął bóg burz, a przed oczami zajaśniała mu wizja sadzawki o nietypowym kształcie i pochylających się nad nią palm. Spomiędzy zielonych liści prześwitywały mury świątyni. Świątyni ze skarbcem. Z berłem.

Antoine zmrużył oczy, Ethan pobladł gwałtownie. Porażony Briant z trudem skupił myśli.

– Nie rozumiem – wyjąkał. – Dlaczego mi to powiedziałeś? Przecież...

– Nie jestem twoim wrogiem – przerwał kapłan z powagą. – Nie pamiętasz, co mówiłem?

Bóg pustyni przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

– Trzymaj się, Briant – rzucił Antoine i wraz z bratem wkroczył w portal. – Pokaż im wreszcie, kim naprawdę jesteś.

W następnej sekundzie zniknęli.

Serce ogłuszająco łomotało mu w piersi. Spojrzał na Saharę czekającą w wejściu do komnaty.

– Łza Pustyni – szepnął do siebie. Samotna oaza wśród morza piasku. Miejsce, gdzie niematerialne dusze boga zstąpiły w ciało umierającego chłopca, by stworzyć potężną istotę.

Wiedział już, gdzie znajduje się jego największy skarb.

Bał się jednak, że nie starczy mu odwagi, by go odzyskać.

Skoro wywołał tyle zła, jedynie na chwilę stając się prawdziwym sobą... Co będzie, gdy przeistoczy się w niego na zawsze?

Rozdział siedemnasty

FAŁSZYWA BOGINI

Palce pana Mandary bębniły ze zniecierpliwieniem o lśniący blat biurka.

– No, dalej – warknął, a jego czarne oczy iskrzyły się niczym węgielki. – Pokaż mi, gdzie jest Sonia Milewska!

Jej dusza skuliła się ze strachu.

Nie! – krzyczała całą sobą, lecz nie mogła nic zrobić. To nie ona panowała nad swoim ciałem.

„Ester, to jedyne słuszne wyjście” – dudnił obojętny głos Rale’a. „Przecież i tak nic dla niej nie znaczysz. Ani tak naprawdę ona dla ciebie”.

Z rozpaczą obserwowała, jak tworzy magiczny kokon, w którym zamigotał obraz Soni idącej wśród strzelistych budowli.

– Wiecie, gdzie to jest – powiedział z zadowoleniem kierownik. – Zlikwidujcie ją.

Wyklęty i stojąca u jego boku Astrid skłonili głowy i zniknęli Esterze z pola widzenia.

Uciekaj, Sonia, szybko, uciekaj. Uciekaj! – powtarzała Estera gorączkowo, modląc się o to, by jakimś cudem przyjaciółka ją usłyszała.

Sonia wzdrygnęła się i obejrzała z przestraszonym za ramię. Jej wielkie zielone oczy były takie niewinne i dobre. Nagle pobladła i zaczęła uciekać. Ziemia zadrżała, a ją pochłonęły jęzory piekielnego ognia.

Gwałtownie otworzyła oczy. Serce szaleńczo łomotało jej w piersi. Wpatrzyła się w biały sufit rozjaśniony blaskiem gwiazd, wciąż mając przed oczami obrazy koszmaru.

To tylko sen. Spokojnie. Tylko sen – próbowała się uspokoić.

Rozluźniła spięte mięśnie, wsłuchując się w spowalniający oddech. Przymknęła ciężkie powieki. W końcu uspokoiła się na tyle, że zdołała z powrotem zasnąć. Wystarczy poczekać.

Wydało jej się jednak, że coś nieznacznie zaburzało naturalnie głęboką ciszę nocy. Leżała nieruchomo, starając się rozpoznać tajemniczy dźwięk. Wystarczyła chwila, by upewniła się w swoich domysłach. To był cichy płacz, prawie bezgłośny. Uniosła czujnie głowę. Któraś z jej przyjaciółek płakała. Mrok poruszał się przed jej oczami, utrudniając rozpoznanie, która dokładnie. Skupiła się na leżącej najbliżej Rin. Spała z delikatną twarzą skierowaną w stronę okna i oddychała głęboko. Estera przeniosła więc swoją uwagę na drugą część pokoju. Błada ręka Astrid bezładnie zwisała z krawędzi łóżka, Amanda wzdychała ciężko, a jej zakrywająca oczy maska połyskiwała jedwabnie. Na posłaniu Bairre dostrzegła jedynie skłębioną kołdrę i wystające spod niej stopy w skarpetkach w serduszka. Anita leżała przytulona plecami do ściany, ściskając w palcach kołdrę. Niesforne fale jej włosów sterczały we wszystkie strony. To z pewnością ona płakała.

– Anita? – szepnęła Estera zduszonym głosem, ostrożnie siadając na swoim łóżku.

Szloch natychmiast zamarł, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Estera wstała i lawirując między porzucanymi po podłodze ubraniami, podeszła do udającej

pograżoną we śnie Rumunki.

– Anita – szepnęła ponownie, kucając obok niej.

Błyszczące od łez oczy wpatrywały się w nią nieszczęśliwie.

– Co się stało?

– Nic – odparła cichutko. – Naprawdę... Przepraszam, że cię obudziłam.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak... Powiedz. Może mogę ci jakoś pomóc?

Pokręciła gwałtownie głową, wzbudzając swoje piękne włosy.

– Nie możesz. Nikt nie może. Idź spać, proszę. Nie przejmuj się mną.

– Jak mogę się nie przejmować!

– Ej – odezwał się nagle czyjś bardzo zaspany głos.

Estera i Anita wzdrygnęły się i spojrzały w stronę półśpiącej Astrid, której głowa wychynęła gdzieś zza Bairre.

– Co jest? Jest środek nocy, a jutro... A zresztą, nieważne. O czym gadacie?

– O niczym – jęknęła desperacko Anita, ale było już za późno.

Astrid wyskoczyła spod kołdry i sekundę później wskoczyła na łóżko Rumunki.

– Au...

– Ups, wybacz. Miałam nadzieję, że ominę twoje nogi. No, to o co chodzi?

– Co się dzieje? – zapytała rozspanym głosem Bairre, wychynawszy spod poduszki. – Błagam, tylko nie mówcie, że to znowu Steve przyszedł po czajnik...

– Chodzi o Anitę – szepnęła Estera. – Trzeba ją pocieszyć...

– Co się stało? – zapytała z troską Astrid.

– Nic... Naprawdę.

Rozległo się ciche pstryknięcie i ciemności nocy rozproszyło ciepłe światło lampki nocnej. Mogali zdjąć rękę z włącznika i dosiadła się do Irlandki.

– Też chcę posłuchać i pomóc.

– Ale kiedy naprawdę... – próbowała się bronić Anita, rzucając Bairre rozpaczliwe spojrzenie.

– Skoro już przez ciebie nie śpimy – przerwała ponuro Amanda, ściągając z oczu żelową maskę – to musisz nam powiedzieć. Dla przyjaźni można nawet nabawić się worów pod oczami. Więc mów, co ci na duszy ciąży, i nie dręcz się więcej, bo to niezdrowe.

– Dokładnie – dołączyła się nieśmiało Rin. – Poczekaj, zaparzę ci zaraz relaksującej herbaty.

– Nie trzeba, dziękuję...

– Trzeba – ucięła z powagą Japonka. – Naprawdę pomaga.

Rin podeszła do czajnika, a Anita zadrżała i wbiła nieszczęśliwe spojrzenie w rudowłosą boginię tkactwa.

– To stało się wczoraj – wydusiła. – To, czego się bałam. Oni wiedzą, Bairre. Wiedzą!

– Wiedzą?! Ale... To... O rany – stęknęła Irlandka.

Rumunka wybuchła płaczem, Bairre z przerażeniem w oczach złapała ją za rękę, a pozostałe dziewczyny wymieniły między sobą skonsternowane spojrzenia.

– O co chodzi? – zapytała niepewnie Astrid. – Kto wie co?

– O... oni wszyscy – wyjąkała Anita przez łzy. – Wiedzą, że ja...

– Zaczekaj! – zawołała Bairre. – Zastanów się.

– Och, co za różnica! I tak jutro wszyscy na pewno się dowiedzą... Bo ja... Ja tak naprawdę nie... – Schowała twarz w dłoniach, wyslizgując się przyjaciółce. Wszystkie nachyliły się bliżej w oczekiwaniu na zdradzenie cennego sekretu. – Ja... Ja nie jestem boginią!

Zdrętwiały, a Anita skuliła się w sobie.

– Co? – wydusiła w końcu Astrid.

– Nie jestem boginią – powtórzyła prawie niesłyszalnie. – Nigdy nie byłam. Myślałam, że udało mi się wszystkich oszukać, ale dzisiaj... a może raczej wczoraj... wieczorem kierownik wezwał mnie do siebie na rozmowę i... I on powiedział, że coś jest ze mną nie tak... Kazał mi udowodnić swoją boskość, ale ja... Ja nic nie zrobiłam! Nic! Stałam jak sparaliżowana, nie mogąc nawet prosić o jakąkolwiek pomoc...

Bairre wydała z siebie zduszony krzyk.

– Och, nie! Ale...

– Nie mogłam – zapłakała Anita. – Nie byłam w stanie... I teraz... Teraz na pewno już po mnie!

– Nie rozumiem – wyjąkała Rin, przeciskając się pomiędzy przyjaciółkami, by podać Anicie parujący kubek. – Jak udało ci się oszukiwać ich tak długo? I w czasie selekcji na obozie.

– Ktoś mi pomógł – szepnęła, a Bairre zdrętwiała. – Dla bezpieczeństwa tej osoby nie mogę powiedzieć, kto dokładnie. Dzięki temu zareagowałam na zatrute babeczki tak jak inni bogowie i nie zasłałam jak śmiertelnicy... Ale to była tylko sztuczka. Nie jestem boginią. Nawet taką, której imię zagubiło się przez wieki! Jestem nikiem...

– Nie mów tak – zaprotestowała Astrid, przytulając się do niej niepewnie. – Nie jesteś nikiem, Anito... Tak mi przykro, kochana. Może nie jest aż tak źle? Gdybyś tylko powiedziała wcześniej! Przecież mogłyśmy jakoś pomóc...!

Estera przypatrywała się Rumunce jak porażona. *Anita... fałszywą boginią?* Pobladła. *Nie jestem jedyna...* Ale możliwe, że już wkrótce pozostanie tylko ona. Chyba że... Myśli szaleńczo wirowały jej w głowie. Mogła pomóc. Musiała pomóc. Powinny trzymać się razem... Musi się udać.

Dołączyła się do słów pociechy sphywających od wszystkich przestraszonych koleżanek, lecz dużo bardziej skupiła się na swoim wnętrzu. Przywołała kontakt z bogiem słońca, tak jak niegdyś z Izydą, i wysłała do niego wiadomość, błagając o to, by ją usłyszał i się obudził.

Nie dał jednak żadnych znaków życia.

„Rale!” – zawołała bardziej natarczywie.

Nie zareagował. Poruszyła się niespokojnie.

„RALE!”

Po plecach przebiegł jej znajomy dreszcz, gdy wyczuła jego odpowiedź.

„Rany, Estera” – jęknął nieprzytomnie. „Czy ty wiesz, która jest...”

„Potrzebuję twojej pomocy” – przerwała mu nerwowo. „To bardzo ważne. Zatrzymaj czas i jak najszybciej przyjdź do mojego pokoju. Proszę”.

„Eee. Ale... Że co?”

„Błagam, to strasznie pilne!”

„Co się stało?”

Zawahała się jedynie na ułamek sekundy.

„Chodzi o Anitę. Ona potrzebuje twojej pomocy. Proszę, przyjdź. Od tego zależy jej życie”.

Wydało jej się, że wyczuła, jak zdrętwiał.

„Anita?” – zapytał czujnie. „Ta z kręconymi włosami? Jedna z twoich przyjaciółek?”

„Tak. Błagam, przyjdź... Zatrzymaj czas, to ważne”.

„Ja... nie mogę”.

Strach zmroził jej serce.

„Jak to?!”

„Nie mogę... Chciałbym jej... tobie pomóc, ale to nie takie proste. Jestem w pokoju z Thotem. On potrafi wyczuć moją magię czasu. Nie może się wydać, że wciąż jej używam. Nigdy nie pozwolę, by się o tym dowiedział i na mnie doniósł. Zbyt wiele od tego zależy. Rozumiesz?”

„Ale...”

„Spokojnie. Nie zostawię was. Przyjdę rano”.

„Kiedy?”

„Tuż przed śniadaniem. Bądźcie w pokoju same, tak będzie najlepiej. Spóźnijcie się na śniadanie, powiedzcie, że wyjdziecie później czy coś takiego”.

„Dobrze... Do zobaczenia”.

Kontakt się urwał, a ona na nowo skupiła się na tym, co działo się wokół niej. Anita uspokoiła się nieco i sączyła niemrawo napar od Rin. Astrid mówiła coś cicho kojącym głosem.

Gdy wreszcie z powrotem zdecydowały się pójść spać, Estera przytuliła Anitę na pocieszenie.

– Wiem, jak pomóc – szepnęła niemal bezgłośnie do ucha załamanej przyjaciółce.

– Rano musimy spóźnić się na śniadanie. Tylko we dwie.

Anita zdrętwiała. Estera uśmiechnęła się do niej niepewnie, a potem odeszła, odprowadzana podejrzliwym i przestraszonym spojrzeniem czekoladowych oczu.

Żadna z nich nie zmrużyła już oka do samego rana. Nie były w stanie.

Gdy wreszcie niebo odbijające się w jeziorze nabrało barw przygnębiającej szarości i nadszedł czas pobudki, niemrawo zwlekły się z łóżek. Estera spojrzała na bladą Anitę, która mięła w dłoniach krwistoczerwoną koszulę i wbijała wzrok w podłogę.

– Nie idę na śniadanie – rzuciła stanowczo, gdy zatroskana Bairre zwróciła jej uwagę, że zaraz muszą wyjść, a ona wciąż jest w piżamie.

– Ale...

– Oj, cicho, Astrid – ucięła Amanda. – Ja na jej miejscu też bym nie poszła.

– Ale to może tym bardziej zwrócić ich uwagę...

Anita potrząsnęła głową.

– Nie mam siły oglądać ich wszystkich... Idźcie beze mnie.

– Zostanę z tobą – zadeklarowała natychmiast Estera. – Kompletnie nie jestem głodna.

– Ja też zostanę – zdecydowała Bairre i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Nie kłopotcie się za bardzo – zaprotestowała Anita, zerkając na Esterę. – To i tak urocze, że któraś chce ze mną zostać.

– To nie kłopot!

– Niby nie... Ale, Bairre, ty powinnaś pójść. Masz dziś ciężkie zajęcia, potrzebujesz siły.

– Ty jesteś ważniejsza!

– Idź. Będzie mi dobrze z Esterą.

Irlandka zawahała się, ale ostatecznie wyszła za pozostałymi lokatorkami. Zostały tylko we dwie. Anita spojrzała podejrzliwie na Esterę, odrzucając bluzkę z powrotem w stronę szafy.

– No i niby jak... – zaczęła, po czym zamarła ze zdumienia, gdy bluzka znieruchomiała w powietrzu. – Co...?

Drzwi otworzyły się niepewnie, ukazując otoczonego iskrzącym się złotem Rale'a. Estera poruszyła się niepewnie, a Anita pobladła jeszcze bardziej.

– Ale... – Poczzerwieniała gwałtownie, zerwała się z łóżka i wbiła w Esterę wściekły wzrok. – Ty! Ty zdrajczyń! Wydałaś mnie kierownikowi?!

– Nie!... Nie zrobiłabym tego!

Rumunka zaplotła dumnie ręce na piersi, przybierając pozę, której pozazdrościłaby jej każda królowa. Na jej twarzy odbijała się nieufność, oczy iskrzyły się groźnie.

– Tak? To co on tu robi?!

Stojący w drzwiach Rale skrzywił się odrobinę.

– Spokojnie, już wyjaśnię – wyjąkała Estera. – Rale, możesz wejść, jeśli chcesz.

– Nie może! – warknęła Anita.

– Zostanę tu, dzięki.

– Anita, posłuchaj... Chcę ci pomóc. Naprawdę. Bo widzisz... Ja też nie jestem boginią. Tylko udaję Izydę.

– Co? Nie żartuj! A twoje świetne wyniki na ćwiczeniach to może wzięły się znikąd?!

– Oj, posłuchaj! Nie pamiętasz, jak długo beznadziejnie mi szło...? Nie umiałam używać magii, bo jestem tylko człowiekiem. Potem nagle nastąpiła zmiana. Zupełny zwrot. Odkryłam magię, wszyscy się ucieszyli. Odważyłam się, przezwyciężyłam wewnętrzną blokadę, jak publicznie uznał kierownik. To nieprawda. Nie jestem boginią. Pomaga mi Rale.

Anita zmrużyła nieufnie oczy, a Estera spojrzała na prawdziwego Ra, odsłaniając nadgarstek.

– Mógłbyś odsłonić mój Znak?

Mrugnął i natychmiast na jej drżącej ręce zajaśniało złoto. Anita wpatrzyła się w niego z osłupieniem. Nieufność wyparowała z jej twarzy.

– Niemożliwe – szepnęła głucho.

– Estera mówi prawdę – wtrącił ostrożnie Rale.

Rumunka zadrżała i zerknęła na niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

– Niby dlaczego jej pomogłeś? Przecież ciągle płaszczysz się przed Ra, a wobec nas zachowujesz się jak snob.

Uśmiechnął się krzywo.

– Cieszę się, że przynajmniej to mi wychodzi. Ale mam swoje powody, żeby się tak zachowywać. Bardzo ważne.

– Tak? A co jest tak ważnego, że potajemnie wspierasz tych, którymi oficjalnie gardzisz?

– Nie powiem – mruknął z urazą.

– Ach, tak? Nie powiesz? To ja cię oświecę! Szpiegujesz i tyle! A ty, Estero, albo jesteś głupia, albo z nim najzwyczajniej w świecie współpracujesz!

– Nie szpieguję dla Mandary – uciął Rale lodowato.

Anita zamilkła czujnie.

– Szpieguję Mandarę... dla siebie. On więzi mojego brata. Muszę robić wszystko, co każe.

Estera spojrzała na niego z zaskoczeniem, a Anita zmarszczyła brwi.

– Jasne – prychnęła, ale całkowicie bez przekonania. – A teraz możesz tak sobie stać i z nami jawnie rozmawiać? Nie szkodzi ci to?

– Nie. Zatrzymałem czas.

Odruchowo spojrzała na zawieszoną w próżni bluzkę.

– Nikt się nie dowie o tej rozmowie. Estera ma rację. Mogę ci pomóc. Wybiorę cię i będę wspierał w ćwiczeniach. Zmanipuluję powietrze wokół twojej ręki i dzięki temu nikt nie zauważy znaku podczas twoich czarów. Razem przekonamy ich, że jesteś boginią.

– Nie wiem, czy to się uda w moim przypadku. – Ze zniechęceniem opadła z powrotem na łóżko. – Ja już jestem przez kogoś wybrana. I nie pomaga. Na spotkaniu z kierownikiem... Byłam nawet zbyt spanikowana, żeby nawiązać z nią kontakt myślowy. Dla mnie jest już chyba za późno.

– Jesteś Wybraną? – wyjąkała Estera, wymieniając z Rale'em zdumione spojrzenia. – Przez kogo?

– Nie powiem.

– To i tak nieważne – uznał Rale. – To nie może być ktoś bardzo silny, inaczej skutecznie by cię wspierał i nikt nie nabrałby wątpliwości.

– A ty jesteś kim, że tak mówisz? – odparła Anita z urazą.

– Zobaczysz, jeśli tylko się zgodzisz. Tylko wtedy. Nie rozpowiadam tego na prawo i lewo. To zbyt cenna tajemnica.

Uniosła brwi.

– To co? – zapytał trochę zaczepnie. – Chcesz pomocy czy nie? Bo uprzedzam, za niedługo skończy nam się czas. A wtedy nie może mnie tu być.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Chyba... chcę.

Odwzajemnił promienny uśmiech i Esterze wydał się w tej chwili podejrzenie zadowolony. Bardziej niż przez ostatnie tygodnie.

– To świetnie – powiedziała z ulgą Estera. – Zobaczysz, teraz wszystko będzie

dobrze. Anito, miło mi przedstawić ci Ra, dawnego króla bogów.

Anita zamrugnęła z konsternacją.

– Kogo? Ra?

– Tak. – Rale uniósł głowę. – Kierownik wcale nie jest Słońcem. Nie jest żadnym z jego trzech wcieleń. Może kiedyś wszystko ci wyjaśnię. Teraz nie ma na to czasu.

Rozłożył ręce, świat przyoblekło złoto.

– Czeka! – zawołała Anita.

Zdziwiony Rale otworzył oczy.

– Tak?

Zarumieniła się intensywnie.

– Hm... Czy godzi się, żebym paradowała przy królu bogów w samej piżamie...?

– Udam, że nie widzę – parsknął, a potem z uśmiechem tańczącym na ustach zaczął recytować słowa w starożytnym języku, którego nie rozumiała żadna z nich.

Anita zadrżała i spojrzała na swój nadgarstek, a Estera przypatrywała się wszystkiemu z boku. Wreszcie Rale szepnął:

– Wybrałem.

Znak Ra rozbłysł, by po chwili zniknąć pod warstwą czarów.

Przez cały czas oszołomiona Anita przypatrywała się Rale'owi ogromnymi oczami. Gdy poganiany kończącym się czasem, opuścił ich pokój, wciąż nie do końca otrząsnęła się z szoku.

– I jak się czujesz? – zapytała Estera, przysiadając obok niej.

Anita natychmiast zarzuciła jej ręce na szyję.

– Dziękuję – szepnęła roztrzęsiona. – Nie masz pojęcia, jaka jestem ci wdzięczna.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – odparła cicho, a po chwili wahania dodała: – Wiesz co... Musisz udawać, że wszystko zawsze było w porządku. Chyba rozsądniej będzie jednak pójść na śniadanie... Nie uważasz?

Anita odsunęła się i niepewnie zerknęła na zegar.

– O rany, nawet bardzo się nie spóźnimy...

– To co, idziemy?

– Tak. Tylko czekać, muszę się przebrać!

Gdy biegły przez błękitne korytarze, świat wydawał im się dużo piękniejszy.

– Nie możemy nikomu powiedzieć o Rale'u – szepnęła Estera, zbiegając po schodach. – Musisz więc jakoś wytłumaczyć innym, skąd ta nagła zmiana w twoim zachowaniu. I w czarach.

– Tak... Ale Bairre muszę powiedzieć prawdę.

– Bairre? Dlaczego akurat jej?

– To moja najbliższa przyjaciółka. Jest dla mnie jak siostra. Poza tym to ona mnie wybrała jako pierwsza. Należy jej się wyjaśnienie.

– Okej... Ale lepiej, żeby Rale nie wiedział. A co z innymi?

Anita zeskoczyła trzy ostatnie stopnie i zwolniła przed samą stołówką.

– Nie wiem. Chyba rzeczywiście muszę je przekonać, że nigdy nie miałam takiego problemu...

– Ale jak?

Wzruszyła ramionami.

– Wymyślę coś na bieżąco. Może... Że to była próba przyjaźni? I lojalności naszej paczki?

– Myślisz, że będą skłonne w to uwierzyć?

– Muszą być.

Gdy przemykały pomiędzy stolikami w stronę nienaturalnie cichych współlokatorek, starały się nie zerknąć ani razu w stronę prawdziwego Ra, który śmiał się w kącie wraz z Thotem, Anubisem i wianuszkami wiernych kierownikowi bogiń.

Na poobiedniej przerwie wszystkie zebrały się w pokoju, żeby zagrać w pożyczoną od Johna i Steve'a grę planszową. Od śniadania, gdy Anita z właściwą sobie energią oznajmiła, że cała nocna szopka była jedynie sprawdzianem ich przyjaźni i że spisały się znakomicie, nie wracały do tego tematu. Estera nie była pewna, czy na pewno uwierzyły, ale jedno było jasne – żadna nie miała zamiaru go już poruszać. Przynajmniej jeszcze nie.

– Czekaj, nie rozumiem. Że niby co się dzieje, jak wyrzucę sześć oczek? Przecież to bez sensu! – złościła się właśnie Amanda, gdy drzwi wystrzeliły z framugi z głośnym hukiem, a na puszysty bławatkowy dywan wkroczył tęgi asystent kierownika.

Amanda zaniemówiła, a wszystkie wpatrzyły się w niego ze zdziwieniem.

– Dzień dobry – powiedziała Astrid. – Możemy w czymś pomóc?

Mężczyzna wbił spojrzenie w znieruchomiałą czujnie Anitę.

– Masz iść ze mną – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Gdzie? – zapytała niespokojnie Amanda. – Bo wie pan, to ważna gra.

– Gdy Ra wzywa, nie ma nic ważniejszego – uciał i skinął na Anitę.

Rumunka pobladła odrobinę, rzuciła Esterze szybkie spojrzenie i podniosła się z podłogi.

– Grajcie same – powiedziała i opuściła pokój.

Przez całą drogę do gabinetu pana Mandary walczyła z ogarniającą ją paniką.

Na pewno zaraz mnie wyrzucą... – myślała. Będę musiała jakoś ich przekonać, żeby dali mi jeszcze jedną szansę... Tylko jak?

– Wchodź – mruknął asystent, otwierając przed nią eleganckie drzwi.

Nogi miała jak z waty, ale jakoś udało jej się wejść do nowoczesnego wnętrza. Siedzący za monstrualnym biurkiem kierownik obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Anita przystanęła nieopodal wejścia, mając nadzieję, że nie wygląda na aż tak przerażoną, jak się czuła. Pan Mandara z powrotem pochylił się nad ekranem srebrnego laptopa, jakby zapominając o jej obecności. Nerwowo bawiąc się palcami, zastanawiała się, czy powinna się odezwać, czy też będzie lepiej, jeśli zachowa milczenie.

– Wzywał mnie pan – powiedziała w końcu niepewnie.

Kiwnął głową, ale nawet nie unióśł głowy.

– Zgadza się.

Przygryzła wargę, mając wielką ochotę zapaść się pod ziemię. Uznała, że nie będzie mówić nic więcej, skoro wyraźnie nie jest nią zainteresowany. Stała więc w milczeniu, starając się jak najbardziej wtopić w otoczenie, i obserwowała, jak Mandara marszczy

brwi, przemykając czarnymi oczami po ekranie. W głowie ponownie przebrzmiewały echa głosu Rale'a.

„Wcale nie jest Słońcem. Nie jest żadnym z jego trzech wcieleń”.

Ale w takim razie kim był siedzący przed nią człowiek? Innym bogiem, śmiertelnikiem? Jeśli tym drugim, co sprawiło, że znalazł się w samym środku starożytnych bogów? Jak dowiedział się o nich wcześniej niż prawdopodobnie oni sami o sobie? Czym kierował się, stając na ich czele i podając się za jednego z najpotężniejszych z nich? Jak zdobył taki autorytet? I... z jakiego powodu?

Odgłos otwieranych drzwi sprawił, że natychmiast wyleciały jej z głowy wszelkie rozważania. Obróciła się, by zobaczyć, jak do środka wsuwa się Rale. Ich spojrzenia spotkały się na jedną krótką chwilę. Serce Anity przyspieszyło.

Co on tu robi?

W pierwszej chwili przeraziła się, że ją wydał. Potem, że ktoś inny sypnął. Ale odrzuciła te myśli, gdyż nie wydawały jej się logiczne.

Rale wyglądał, jakby też chciał się dowiedzieć, dlaczego się tu znalazł.

– Dzień dobry – powiedział i stanął obok niej. – Dlaczego chciał mnie pan widzieć?

– Zaraz zobaczysz – mruknął pan Mandara zza laptopa.

Rale zerknął pytająco na Anitę. Wzruszyła ramionami, żeby pokazać mu, że nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Równocześnie położyła dłoń na nadgarstku, żeby dać mu znać, że może chodzić o jej magię.

„Może masz rację” – usłyszała jego głos w swoich myślach. „Zaraz się dowiemy. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze”.

Uniosła lekko kąciki ust. Bardzo chciała w to wierzyć równie mocno jak on.

W tym momencie drzwi otworzyły się ponownie. Spojrzeli w ich stronę. Do gabinetu wszedł wyprostowany sztywno chłopak o krótkich czarnych włosach i lśniących odrobinę drapieźnie oczach w kolorze złota. Ich odcień był jednak inny od tęczy Rale'a, których barwa przywodziła na myśl słoneczne promienie. Jego przypominały złoto oczu pumy.

Szczupła, ładna twarz wydawała im się znajoma, jakby już kiedyś widzieli kogoś o podobnych rysach.

Kierownik uniósł wzrok i zmarszczył brwi.

– Nie kazałem ci ściągać maski – zauważył.

Rale zdrętwiał i przyjrzał się chłopcu uważniej. Rémi skrzywił się trochę i z widoczną niechęcią pstryknął palcami. Tak dobrze znana wszystkim maska zmaterializowała się na jego twarzy.

– Świetnie – odezwał się pan Mandara, zamykając komputer. – Bez zbędnych wstępów przejdę do sedna sprawy. Wezwałem was – mówiąc to, wbił spojrzenie w Rale'a – żebyście osobiście się przekonali, co czeka tych, którzy próbują coś przede mną ukryć. – Skupił uwagę na Anicie. – Wracając do naszej rozmowy, kochana. Nie jesteś jedną z nas. Jesteś oszustką, która próbowała podszywać się pod...

– Nie, nieprawda! – zawołała przestraszonym głosem.

Kierownik aż zdrętwiał ze złości.

– Mnie się nie przerywa, dziewczyno!

– Przepraszam... Ale to jakieś nieporozumienie! Oczywiście, że jestem jedną z was. Jestem boginią ognia.

Uniósł brwi.

– Tak? O czym innym świadczą twoje nieumiejętności magiczne. I co innego wyznałaś dziś w nocy koleżankom z pokoju.

Zamarła, nie wierząc własnym uszom.

„Ja nic nie powiedziałem, przysięgam!” – przestraszył się Rale. „Skąd on może to wiedzieć?”

– A potem – kontynuował tymczasem kierownik, uważnie obserwując jej reakcję – podejrzanie wycofałaś swe słowa... Jakbyś straciła odwagę. Pojęła swój błąd. Szkoda tylko, że przyjaciółki widziały, jak wcześniej płakałaś, co? Twoja rozpacz była nie do podrobienia, Anito. To mówi samo za siebie. Nie jesteś boginią.

– Nie – szepnęła rozpaczliwie.

– Tak. A teraz...

Musiała coś zrobić, nie mogła tak stać... Musiał uwierzyć, że jest inaczej!

– Nie – powtórzyła tym razem głośniej. Jej głos stał się zaskakująco spokojny. – Jestem władczynią ognia. Mogę to udowodnić.

Mężczyzna prychnął powątpiewająco. Anita zmrużyła oczy, wsłuchując się w to, co gorączkowo szeptał jej w duszy Rale. Wiedziała, co zrobić.

– Niech pan patrzy – zażądała cicho i skupiła się w sobie.

Zamknęła oczy. Pozwoliła, by zalała ją magia. Westchnęła i poczuła łaskotanie na skórze. Otworzyła wypełnione płomieniami oczy.

Kierownik patrzył na nią z konsternacją.

– Wciąż mi pan nie wierzy? – zapytała, zerkając w szybę, w której odbijała się jej spowita tańczącymi płomieniami sylwetka. – Śmiertelniczkę ten ogień zamieniłby w popiół.

Pozwoliła, by ogień tańczył na jej skórze jeszcze chwilę, po czym kazała mu zniknąć. Zgasł w jednej sekundzie.

– Proszę mi wybaczyć, że nie byłam wczoraj wystarczająco przekonująca. Obawiam się, że za bardzo się przestraszyłam. Czy dziś jest pan zadowolony?

Rysy jego twarzy stężyły odrobinę.

– Odnoszę wrażenie, że jak na starożytnie boginie jesteście zaskakująco tchórzliwe. Ale... cóż zrobić. W zasadzie tak. Możesz odejść. Choć nie, zaczekaj jeszcze i powiedz... Jak wytłumaczysz to, co przekazała mi jedna z twoich koleżanek? O co chodziło z tymi płaczami w nocy?

Z zażenowaniem spuściła wzrok, a jej policzki zaróżowił rumieniec.

– To przez tę wczorajszą rozmowę z panem – wyjąkała, modląc się, by okazała się przekonującą kłamczuchą. – Czułam się tak beznadziejnie... Bo nie jestem taka zdolna, jaka powinnam być... Bardzo przepraszam. Będę się bardziej starać, obiecuję.

Kierownik nie wyglądał na do końca przekonanego, ale ku jej uldze powiedział:

– No dobrze. Idź. Ale pamiętaj, mam cię na oku!

Dygnęła z gracją i uczyniła pierwszy krok w stronę wyjścia.

– A my? – zapytał niepewnie Rale. – Czy my też możemy iść, czy chce nam pan

pokazać coś innego?

– Nie. Idźcie.

Cała trójka jak najszybciej opuściła biuro. Wszyscy odetchnęli w głębi duszy, gdy zamknęły się za nimi nieprzyjazne drzwi.

– Horus, idziesz na siłownię? – rzucił Rale, nie zwracając na Anitę najmniejszej uwagi. Jakby w ogóle jej nie było.

– Nie wiem. Może.

– No, chodź! Zdażymy poćwiczyć walkę na miecze, zanim zacznie się ten głupi wykład.

– No... Okej.

Zbiegli po schodach, a Anita powlekła się w pewnej odległości za nimi, odprowadzając ich wzrokiem.

„Któraś musiała was zdradzić” – szeptał jej Rale w duszy. „Zdemaskuj ją, to niebezpieczne dla ciebie i Estery przebywać w jej towarzystwie. Od dawna krążą o was plotki, ale plotki to jedno, a bezpośredni donos to drugie. Nie możecie dać Mandarze kolejnych powodów do niepewności. I tak jesteście na czarnej liście. Nie myśl, że ci uwierzył. Szczerze wątpię. Pewnie chce dowiedzieć się o was więcej. Kto wam pomaga, co potraficie. Musicie być cały czas czujne”.

„Nie mogę uwierzyć, że to któraś z nas...”

„Przykro mi, ale nie ma innej opcji. Ja na ciebie nie doniosłem, to równałoby się wspanianiu samego siebie. Powodzenia”.

Zerwał kontakt, a ona westchnęła nieszczęśliwie. Im bliżej była pokoju, tym wolniej szła. Na samą myśl o zdradzie krajało jej się serce. Przez te kilka miesięcy stworzyły wspaniałą grupę, której część stanowili też bliźniacy i czasami Otto. Już nigdy tak nie będzie. Któraś z nich zdradziła. Z duszą na ramieniu otworzyła drzwi do ich pokoju.

– Wygrałam! – piszczała akurat Mogali.

Anita powiodła spojrzeniem po nich wszystkich, beztrąsko wyłożonych na dywanie. Zacisnęła blade usta w wąską linię.

– Co się stało? – zapytała niespokojnie Estera.

Zamknęła za sobą drzwi, a potem podeszła bliżej.

– Mamy wśród nas zdrajczynię – oznajmiła, zakładając ręce na piersi i patrząc na nie z wyrzutem.

Znieruchomiały, oszołomione, świadome wagi oskarżenia. Zapomniały o grze i całą swoją uwagę skupiły na Anicie. Przyglądała im się czujnie, szukając śladu fałszu, drgnięcia powieki, które mogłoby pomóc zdemaskować jedną z nich. Jednak wszystkie wyglądały na równie zagubione, gdy wybuchły chórem pytań.

– Co? Jak to?

– Co masz na myśli?

– Zdrajczynię?!

– Tak. Zdrajczynię – odparła lodowato. – Pytanie tylko, która jest na tyle fałszywa, że udaje naszą przyjaciółkę, ale równocześnie donosi o wszystkim, o czym rozmawiamy. Kierownik wiedział dokładnie, co zdarzyło się dzisiaj w nocy. I wcale nie wyglądał na

przekonanego, że to była próba przyjaźni. Naprawdę myślał, że nie jestem boginią! Prawie mnie stąd wywalił! Przez którąś z was znalazłam się w ogromnym niebezpieczeństwie! To mogło spotkać każdą z nas. Każdą! Bo jedna z nas to podła donosicielka!

Wyraźnie poszarzały na twarzach. Estera zerkała na zamurowaną Amandę, Bairre wpatrywała się w Anitę z przerażeniem w ogromnych oczach, Mogali mrugała z oszołomienia, a Rin z nieszczęśliwą miną przypatrywała się dywanowi.

– Niemożliwe – jęknęła Astrid.

– A jednak – ucięła drżącym głosem. – Czy ten ktoś ma choć tyle odwagi i honoru, żeby się przyznać? Czy może powinnam rozpocząć jakieś dochodzenie albo coś równie głupiego, ale być może niezbędnego?

– To nie ja! – wyjąkały wszystkie prawie chórem.

– To musi być któraś z was! Zapewniam, sama na siebie nie naskarżyłam.

Zapadła nerwowa cisza, której żadna nie była w stanie przerwać. Anita robiła się coraz bardziej zła, a one blade. Wreszcie Rin niepewnie wstała z podłogi.

– To ty? – wyjąkała Astrid.

– Nie – odpowiedziała Rin. – Ale wiem kto.

Wpatrzyły się w nią z napięciem.

– Czy naprawdę nie masz zamiaru się przyznać? – zapytała cicho Japonka, nie patrząc na nikogo konkretnego. Odpowiedziała jej cisza. Rin zmarszczyła brwi. – Chciałam oszczędzić ci jeszcze większego wstydu... Ale jak nie, to nie, Mogali.

Mogali wzdrygnęła się i zrobiła wielkie oczy.

– Co?! Ale... To nieprawda! To nie ja!

– Nie kłam! – zezłościła się Rin. – To oczywiste! Dziewczyny, tylko na nią popatrzcie. Ona niby ma dar słuchania na odległość?! Co za bzdury! Na pewno mówiła nam to, co przekazał albo wręcz kazał jej kierownik! Cały czas nas podpuszczała, żeby przekonać się, jak zareagujemy, jak oceniamy dane fakty! Ale wpadłyśmy, co? No, ale kto mógł spodziewać się kłamstwa po sympatycznej, kochanej Mogali? Była taka fałszywa...

– Nieprawda! – zaprotestowała oskarżona z przestachem. – Naprawdę mam taki dar! Nie okłamałam was! Nigdy bym tego nie zrobiła. Naprawdę. Błagam, uwierzcie... Jesteście moimi jedynymi przyjaciółkami...

Anita spojrzała na nią niechętnie.

– Nie pogrążaj się już bardziej – poprosiła Astrid smutno.

– Ale to nie ja!

– Nie kłam! – zawołała Rin. – Zostałaś rozpracowana.

– Nie!

– Nie wierzę, że mogłaś nam to zrobić – warknęła Amanda, rozgoryczona. – I co, jesteś z siebie zadowolona?!

– Co? Nie. To nie ja!

– Wyjdź stąd – szepnęła Bairre. – Nie chcemy się już z tobą zadawać.

– Wystarczająco nas zawiodłaś – dorzuciła Estera.

W oczach Mogali pojawiły się łzy.

– To naprawdę nie ja...

- Drzwi są tam – syknęła Rin, wskazując na wyjście.
 - Nie jestem oszustką! – zawołała Mogali, na drżących nogach podnosząc się z dywanu. – Nie zdradziłam! To nie ja, przysięgam...
 - Idź stąd, błagam. Nie mam już siły cię oglądać – wyszeptała Anita.
 - To naprawdę nie ja! – wybuchła płaczem Afrykanka i szlochając, wybiegła na korytarz, z całej siły zatrzaskując za sobą drzwi.
- Anita z westchnieniem opadła na łóżko.
- „Zdemaskowana” – przekazała Rale’owi łamiącym się głosem. A potem zamknęła oczy, pragnąc, by to wszystko okazało się tylko koszmarnym snem.

Rozdział osiemnasty

TRZY PYTANIA

Rale stanął nieopodal drzwi i odchrząknął cicho.

– Dzień dobry, chciał mnie pan widzieć...

Kierownik zatrzasnął ekran laptopa i wskazał mu fotel przed ogromnym biurkiem.

– Tak. Usiądź.

Zrobił to ostrożnie, jakby fotel miał zaraz zamienić się w śmiertelną pułapkę. Starając się nie dostrzegać świdrujących go ciemnych oczu – tak ciemnych, że powinno być dla wszystkich oczywiste, że on nie może być Słońcem – zastanawiał się intensywnie, co było powodem jego wezwania. Czyżby popełnił jakiś błąd? Czy Thot okazał się jeszcze bardziej czujny, niż myślał? Czy został zdemaskowany?

A jednak pan Mandara nie wyglądał na złego. Czyli istniała szansa, że może nie ma się czego bać... Choć i tak serce głucho dudniło mu w piersi.

– Powiedz, Ray... Nie nużą cię te codzienne ćwiczenia, ciągle te same?

Chłopak zamrugał niepewnie.

– Nie tęsknisz za czymś bardziej ekscytującym? – pytał dalej Mandara. – Nie ciągnie cię do przygód?

– Ja... Nie wiem... Może, ale...

– Spokojnie, możesz się przyznać, że ćwiczenia cię nudzą. Ostatnio ciągle błędzisz myślami w obłokach, zamiast się skupiać. Dlatego pomyślałem, że trzeba cię trochę ożywić. Mam zatem dla ciebie zadanie specjalne.

– Zadanie specjalne? – powtórzył nerwowo.

– Tak. Musimy namierzyć naszego wroga. Ty to zrobisz, Ray.

Zdrętwiał.

– Wroga?

– Tak. – Kierownik odchylił się w fotelu. – Masz dowiedzieć się, gdzie będziemy mogli pojmać Seta, żeby go wreszcie zniszczyć.

Otworzył szerzej złote oczy. Zrobiło mu się niedobrze z wrażenia. Prawie nie mógł skupić się na tym, co mówił mu fałszywy Ra. Jak bardzo pragnął móc uciec na pustynię z zaginionym bratem, znaleźć się stąd jak najdalej...

– Ryan. Nie słuchasz mnie.

– Słucham – wydusił, ale nie zabrzmiało to wiarygodnie. Ani trochę.

Pan Mandara uniósł brwi.

– Ach, tak? Co masz zatem zrobić?

– Yyy.

– No właśnie. Pójdziesz do Wyrocznia i zadasz jej trzy pytania.

Rale uniósł zszokowany wzrok. Wyrocznia. Zrobiło mu się jeszcze słabiej. Gdyby nie siedział, z całą pewnością runąłby teraz na podłogę, przytłoczony wszystkimi swoimi klęskami.

Wyrocznia! – pomyślał. A więc to on... To był on od samego początku...! Ale... To przecież niemożliwe... To katastrofa...!

– Trzy pytania, Rayan. Dokładnie takie, jakie ci podam.

Prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Bał się nawet domyślać, jakie będą to pytania.

– Kiedy mam tam iść? – wydusił.

– Teraz.

– Teraz?

– Tak. Skup się. Chcę wiedzieć, kiedy będzie możliwość złapania Seta. Gdzie. I co zrobić, żeby udało się nam go w końcu pojmać. Jasne?

Poszarzał na twarzy.

– Rayan. Pytam, czy to jasne.

– Tak...

– Cudownie. Siergiej cię zaprowadzi. A potem przyprowadzi z powrotem. Chcę jak najszybciej znać jej odpowiedzi.

Skinął głową, a potem jak w transie podążył za eleganckim mężczyzną, który zmateriałizował się znikąd, a przynajmniej takie Rale odniósł wrażenie. Przemierzając labirynt korytarzy, rozpaczliwie starał się znaleźć jakiś sposób na wyjście z tej sytuacji. Ale nie znalazł. Dopóki nie wiedział, gdzie znajduje się jego brat ani jak go uwolnić, musiał być posłuszny. Ale... Czy naprawdę nawet w takiej sytuacji?!

Wyrocznia... Jego zaginiony skarb. Duch wiedzący wszystko o przeszłości i teraźniejszości. Siła, do której z poradą zwracał się starożytny świat... Przynajmniej ulgą było to, że nie potrafiła przepowiadać przyszłości. Gdyby to było w jej mocy... Briant już dawno byłby zgubiony. Wszyscy byliby zgubieni.

Jak to możliwe, że Mandara wszedł w jej posiadanie? Musiał śledzić ich przez korytarze w jego dawnej świątyni... Musieli go przeoczyć, nie zauważyć jego samochodu, wielbłąda, czegokolwiek. Podążył za nimi. To nie wiatr ich śledził. Musiał usłyszeć ich rozmowę... Co kompletnie nie miało sensu. Nie mógł ich rozumieć. Musiałby znać staroegipski... To on musiał zabrać Kapłankę wtedy, gdy pobiegli do samochodu po liny. Potem... Ray mógł się tylko domyślać, co się dalej działo. Wyrocznia pomogła mu wszystko zrozumieć. Odnaleźć ich. Poznać ich plan zjednoczenia wszystkich odrodzonych. Dlatego zorganizował letni obóz.

Rale odetchnął niespokojnie. Pamiętał, że on sam nie był ani trochę zainteresowany obozem. Ale potem wszystko się zmieniło. Pojmali Leviego. Zabili rodzinę Brianta. Był wówczas tak bardzo zagubiony... Nie wiedział, jak dotrzeć do Seta; nie wiedział, jak odnaleźć brata... Zdesperowany, pojechał na obóz, podejrzewając – a właściwie będąc pewnym – że to wszystko jest powiązane. Natychmiast rozpoznał Władcę Piasków, choć na żywo nigdy wcześniej go nie widział, jedynie oczami Leviego. Chciał poznać tajemnice organizatorów obozu, ale zgubiły go zwodnicze ciemności nocy... Kierownik nie zorientował się, z kim ma do czynienia. Przyjął go w swoje szeregi, z uśmiechem przedstawiając się jako Ra. Rale został więc pomniejszym bóstwem słońca.

Wrócił do rzeczywistości, gdy Siergiej zatrzymał się przed metalowymi drzwiami skrytymi gdzieś w sercu strzeżonej części hotelu. Nim Rale się obejrzał, zatrzasnęły się za nim głucho. Z bijącym gwałtownie sercem spojrzął na utkane ze światła ba Wyroczni.

– Panie mój – zaświergotało i przybrało zwiewną kobiecą postać. – Co cię do mnie

sprowadza?

– Przecież wiesz – odparł ponuro, uważnie rozglądając się wokół.

– Tak, to prawda... Spokojnie, nie ma tu żadnych kamer. Ani mikrofonów, cóż za zabawne słowo. Dzisiejszy świat jest bardzo dziwny, mój panie.

Skrzywił się i nieufnie obejrzał się na drzwi. Siergiej pewnie podsłuchuje. Z powrotem zwrócił się do Kapłanki Słońca. Czuł się okropnie, ale przecież wiedział, co ma zrobić. Co musi zrobić.

– Ogromnie dziwny – zgodził się głucho. – Powiedz mi, kiedy będzie możliwość pojmania Seta.

Jej oczy załśniły.

– Już wkrótce, panie. W dniu, który według używanego teraz kalendarza oznaczony będzie jako czternasty stycznia. W godzinach popołudniowych.

Zadrżał i przymknął oczy.

– Gdzie? – wydusił.

– W miejscu zapomnianym przez wszystkich prócz niego – odparła i płynnie wyrecytowała ciąg liczb.

– To były... współrzędne geograficzne?

– Tak, panie.

– Możesz powtórzyć?

– Jak sobie życzysz.

Dopiero gdy zapamiętał, poprosiła go o trzecie pytanie. Wydało mu się, że jej głos stał się nieco złowieszczy.

– Czy... czy uda nam się go wtedy pojmać? – zapytał, wbijając w nią błagalne spojrzenie.

Proszę, powiedz „nie”! Proszę! Proszę!

Zamyśliła się na moment.

– Trudno stwierdzić... Widzę tyle różnych czynników... Ale najważniejszy wydaje mi się Wyklęty. On... On jest kluczową postacią, choć... Choć nie umiem do końca powiedzieć dlaczego.

Wpatrzył się w nią czujnie.

– On pomoże czy przeszkodzi?

– Ja... nie wiem. Może pomóc, może przeszkodzić... Jest bardzo potężny i pamięta wiele... Ale to on jest przyczyną największego cierpienia pana pustyni, które wciąż rozlega się echem w jego snach.

Rale zmarszczył z niepokojem brwi.

– Chodzi o Astarte?

Skinęła głową.

– Nadal ją pamięta? Po tylu wiekach i w nowym życiu? Nawet przed odzyskaniem pełni mocy i wszystkich wspomnień...?

– Oczywiście.

Astarte... Pamiętał ją doskonale. Czarująca księżniczka, która zdradziła ich wszystkich. I na zawsze zmieniła życie jednego z najważniejszych i najbliższych mu bogów.

– Strażnik robi się niecierpliwy – zauważyła cicho Wyrocznia. – Śpiesz się, o Słońce.

Nerwowo obejrzał się na drzwi, a następnie skupił się na jej umarłej twarzy.

– Gdzie jest mój brat?

Uśmiechnęła się, jej tęczołki zabłysły. A potem przed oczami ujrzał obraz szklanych drzwi, za którymi rozciągała się zasłona z trującego kadzidła. Ułamek sekundy później już nawet wiedział, gdzie dokładnie są zlokalizowane. Z trudem łapał oddech. Tak blisko... Tak blisko! W tym samym budynku... Gdyby tylko zechciał, mógłby udać się tam natychmiast... Ale nie mógł. Z wielu powodów.

– Dziękuję – szepnęła.

Kapłanka uśmiechnęła się smutno i skłoniła z czcią.

– Do zobaczenia, mój panie – słyszał jej piękny głos, gdy podchodził do drzwi. – Naprawdę dziwny jest świat, w którym prawdę zamyka się w piwnicy, a król bogów musi się ukrywać...

Rzucił jej ostatnie spojrzenie, akurat by zobaczyć, jak rozmywa się w nicłość, i wyszedł. Siergiej powitał go nieprzyjaznym mruknięciem w stylu: „Co tak długo?”, a potem powiódł korytarzami z powrotem do gabinetu fałszywego Ra. Rale przytoczył jej odpowiedzi na trzy pytania kierownika, który nie miał najmniejszych problemów z odczytaniem jej słów. Nie był co prawda zachwycony nie do końca jasną odpowiedzią, ale szybko zinterpretował ją w najbardziej oczywisty sposób.

– Wezwij do mnie Wyklętego! – zawołał do Siergieja, a potem wbił w Rale’a triumfujący wzrok. – Wreszcie nam się uda. Wreszcie!

Rale siedział sztywno na fotelu, starając się nie pograżyć w rozpacz. Co z tego, że dzięki przysługującemu mu unikalnemu prawu zadania nieograniczonej liczby pytań dowiedział się, jak odzyskać brata, skoro mogło się okazać, że już wkrótce będzie na to wszystko za późno...? Pozostało mu mieć się marną nadzieją, że może słowa Wyrocznia można zinterpretować jakoś inaczej. Że Mandara poszedł złą drogą. Że Briant okaże się silniejszy... Że wszystko jakoś się ułoży. Nie potrafił się jednak zmusić do wiary w ten beznadziejny optymizm.

Nie miał nawet jak go ostrzec. Pałac Pośród Piasków chroniony był tak potężną magią, że nic nie było w stanie się przez nią przedrzeć. A nie wiedzieć czemu nie potrafił już nawet nawiedzić w snach Soni... Nie znał innych sposobów.

Tak bardzo jak w ciągu ostatnich tygodni nie bał się chyba nigdy wcześniej.

Oparty o szarą ścianę zaniedbanej kamienicy, uważnie przyglądał się kolejnym osobom wychodzącym ze znajdującej się po drugiej stronie ulicy szkoły. Wylewali się ze środka niczym wyzwolone morze i rozbiegali się we wszystkie strony, tak bardzo zwyczajni. Tak boleśnie zwyczajni i radośni. Wreszcie wśród grupki rozchichotanych dziewcząt dostrzegł właśnie ją. Gdyby Briant był wrażliwy na panujący wokoło zimowy chłód, na sam jej widok zrobiłoby mu się ciepło, przynajmniej na sercu. Wyglądała prześlicznie w czerwonej czapce i szaliku, ładnie pasowały do jej jasnych włosów. W tej chwili poczuł jeszcze mocniej, że czerwień i złoto są jego ulubionymi barwami.

Obserwował każdy jej najdrobniejszy gest, który towarzyszył temu, jak rozmawiała z koleżankami, i zastanawiał się, czy spróbować zwrócić na siebie jej uwagę. Po dość długiej chwili wahania uznał, że lepiej będzie odejść niezauważonym. Tak jak poprzedniego dnia. I jeszcze wcześniejszego. Nie był pewien, czy była już gotowa na rozmowę. Ani czy on był. Chyba wystarczyło, że na nią spojrzął, upewnił się, że naprawdę istnieje jeszcze ktoś, kto nim nie gardzi, nie brzydzi się, nie boi. I że była to właśnie ona.

Właśnie miał rozproszyć się w drobiny kurzu i zniknąć, gdy Sonia, jakby przyciągnięta jego wzrokiem, zerknęła w jego stronę. Znieruchomiał. Ciekawiło go, jak zareaguje. Na jej wargach zatańczył porozumiewawczy uśmiech. Rzuciła coś w stronę znajomych i ani na chwilę nie spuszczać z niego zielonych oczu, przebiegła przez zakorkowaną ulicę.

– Cześć! – zawołała śpiewnie. – Widziałam cię wczoraj i byłam ciekawa, czy dzisiaj też przyjdiesz.

– Widziałas mnie? – zdziwił się. A był pewien, że idealnie wtopił się w szary śnieg ulicy.

– Tak. Ale zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, zniknąłeś. Dobrze, że dzisiaj nie uciekłeś.

– Ja nigdy nie uciekam!

Uniosła brew.

– Aha, jasne. Każdy czasami ucieka. Każdy. Nawet ty. I nie udawaj, że jest inaczej.

– Nie muszę udawać.

Wymownie uniosła brwi.

– Skoro tak mówisz... Przeszedłeś po coś konkretnego?

Spojrzał na nią z pustką w głowie. Roześmiała się.

– To w takim razie zabieram cię na ciasto. Chodź!

Wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła w stronę ich kawiarenki. Wstrzymał oddech, gdy przez jedną krótką chwilę ujrzał obraz ich ostatniej rozmowy i towarzyszących jej okoliczności.

– Wszystko dobrze? – zapytała cicho, przypatrując się jego bladej twarzy.

Czy zauważyła cienie pod poważnymi i pozbawionymi dawnego blasku oczami? Na pewno. Nie sposób było ich nie dostrzec.

Zamrugął, odpychając zbyt świeże wspomnienia.

– Tak. Ale wiesz? Miałaś rację. Dobrze, że wtedy wróciłem. Oni żyli. I wiem już, gdzie jest berło.

– To dobrze – odetchnęła ostrożnie, jakby w obawie przed poruszeniem delikatnego tematu.

Ale widział, że ogromnie jej ulżyło.

– Masz ochotę na coś konkretnego? – zapytał, gdy znaleźli się w przytulnym wnętrzu kawiarni.

– Nie, zdam się na ciebie. A ja pójdę zająć nasz stolik.

Stojąc za panią z trójką wiercących się bez przerwy dzieci, coraz bardziej niecierpliwie czekał na swoją kolej. Ponuro wpatrywał się w otaczające go ze wszystkich stron świąteczne ozdoby. Boże Narodzenie zbliżało się ogromnymi krokami. Jeszcze

tylko kilka dni... Nachmurzył się jeszcze bardziej. Na półmiskach wystawiono ciasteczka w kształcie choinek i mikołajów. Na ciastach pyszniły się nawiązujące do świąt ozdoby z kolorowego lukru. Na szyby przyklejono złote gwiazdy. Nad stolikami wisały przywiązane do lamp piernikowe prezenty. W powietrzu unosił się zapach słodkich ciast. Na widok tego wszystkiego robiło mu się niedobrze. Zaczynał żałować, że tu przyszedł. Otaczająca go radość i słodycz jeszcze bardziej podkreślały to, jakie święta czekają go w tym roku. Samotne. Nijakie. Ponure.

Samotne.

Z Saharą – poprawił się w myślach, ale bez entuzjazmu. Super. Święta z psem.

Gdy wreszcie nadeszła jego kolej, wybrał jedyny wypiek niewyglądający za bardzo świątecznie, czyli tort czekoladowy. Dla Soni kupił dzbanek herbaty, a dla siebie największą kawę, jaka tylko była możliwa.

– Nie wiedziałam, że pijesz kawę – wyraziła zdziwienie przyjaciółka, gdy przyniósł wszystko do ich stolika. – I to jeszcze w wiadrach.

– No widzisz. Nie wiesz o mnie wszystkiego.

– Teraz już chyba wiem. – Uśmiechnęła się do niego, ale on nawet nie wysilił się na tyle, by choć udać mniej przygnębionego. – Skoro wreszcie wiesz, gdzie szukać, kiedy wybierzemy się po twoje berło? – zapytała, wyciągając z dzbanka saszetkę z liśćmi. – Pewnie nie możesz się już doczekać.

Skrzywił się i wpatrzył w taniec pary umykającej z kawy. Z jednej strony – owszem, nie mógł się tego doczekać. Berło było dopełnieniem jego mocy. W pewnym sensie częścią jego duszy. Ale była też ta druga strona... Berło było tak bardzo potężne. Dzięki niemu nic już nie będzie go ograniczać. To, do czego był zdolny teraz, czasami przerażało. Gdy odzyska berło... Czy wzmocniona dusza boga ponownie zdusi duszę człowieka, tak jak to się stało w t e d y? Wtedy, gdy wybuchł helikopter. Zamienił się w kulę ognia, a siedzący w nim ludzie...

Briant z całej siły zacisnął powieki.

Nie myśl o tym! Nie myśl...!

Gdzieś z oddali dobiegł go zaniepokojony głos Soni. Nie rozumiał jej słów.

Ziemia zadrżała pod wpływem jego furii.

– *Nie możliwe! – wybuchł. – Jak to go znalazła?! Nie mogła go znaleźć!*

Demon poruszył się nerwowo.

– *Nil zaniósł skrzynię na brzeg w odległej krainie – wyjaśnił ostrożnie. – Wraz z upływem lat wrosła w drzewo. Izyda odnalazła ją w kolumnie w królewskim pałacu.*

Zaklął w myślach. Jego siostra była na tyle potężna, że mogła go wskrzesić. Musiał ją powstrzymać.

– *Wiesz, gdzie go trzyma?*

– *Tak. Ale to miejsce jest bardzo silnie chronione, także przez magię, której nie potrafimy pokonać. To magia światła.*

– *Poradzę sobie! Powiedz mi tylko, gdzie to jest.*

Zamrugął. Wizja znikła, ustępując miejsca zatroskanej twarzy Soni.

– *Mówiłaś coś? – zapytał, z trudem panując nad myślami. Nienawidził tych wizji! Miał ich tak strasznie dość...*

– Pytałam, czy dobrze się czujesz. Ale już wiem, że to tylko kolejny przebłysk przeszłości. Już się przyzwyczaiłam. Za niedługo chyba w ogóle nie będę na nie zwracać uwagi. A jeszcze wcześniej pytałam, kiedy pójdziemy po berło.

Wpatrzył się w czekoladowe ciasto, na które zupełnie stracił ochotę.

– Nie wiem – mruknął, choć przecież ostatnio wybrał już jedną datę. – Na pewno jeszcze nie teraz.

– Po świętach?

– Nie wiem.

Na twarzy Soni odbiło się zdziwienie.

– Briant? Na pewno wszystko z tobą okej?

– Tak – odparł twardo i rzucił jej lekko wyzywające spojrzenie.

– Aha. Ale... Nie rozumiem. Śpieszyłeś się do tego przez tyle miesięcy, a teraz odpuszczasz? Nie chcesz go odzyskać? Przecież jest dla ciebie takie ważne.

– Chcę.

– No właśnie. Zabierzesz mnie ze sobą? Proszę?

– Nie wiem.

– Ale nie mówisz „nie”? – ucieszyła się.

Poruszył się niespokojnie. *Może... Może to nie był taki zły pomysł?* W końcu Łza Pustyni już w starożytności znajdowała się na pełnym odludziu, a teraz, gdy pustynia była jeszcze większa, a przez to on jeszcze potężniejszy, to już zupełnie. Nikt się tam z pewnością nie zapuszcza. Nikt o niej nie pamięta. Nikt o niej nie wie. Będą bezpieczni. A poza tym... Może przy niej będzie w stanie lepiej zapanować nad swoją mocą? Nad ewentualną przemianą w prawdziwego boga zniszczenia...?

– Nie mówię – przyznał wreszcie.

– Cudownie!

– Ale nie mówię też „tak”.

– Wiem, wiem.

Wydawała się bardzo zadowolona. Umknął wzrokiem od jej rozjaśnionej twarzy i przyglądał się wiszącemu nad ich stolikiem piernikowi.

– Jak spędzasz święta? – zapytał, nim zdążył się nad tym zastanowić.

– W domu. Przyjeżdża do nas cała rodzina, i to na dodatek na kilka dni. Będę musiała dzielić pokój z dwiema kuzynkami. Masakra.

– Aha.

No tak. Mógł się tego spodziewać. Po co w ogóle pytał?

Sonia poruszyła się niespokojnie.

– Briant?

– Co?

– Może... Może wpadniesz do mnie na święta? Chociaż na chwilę?

Spojrzał na nią dziwnie. Zmieszała się odrobinę, ale kontynuowała:

– Jako Marysia Żaluzja. Posiedzisz z nami w salonie, przy choince. Będzie mnóstwo ciast, będziesz mógł pić tyle kawy, ile tylko będziesz chciał... Będzie fajnie. Mogę powiedzieć, że twoja rodzina w ogóle nie obchodzi świąt, ale chciałeś zobaczyć, jak to wygląda. Moi rodzice na pewno się zgodzą. Babcia też, bo będzie mogła

poczęstować jeszcze kogoś swoimi daniami. Siostra... Ona zna prawdę, ale przysięgam, to nie moja wina... Ale nie wyda cię. Jest tobą absolutnie zafascynowana. Co ty na to? Chcesz?

Przez ułamek sekundy naprawdę się wahał. Mógłby choć przez chwilę poczuć się normalnie... Ale przed oczami mignął mu obraz zgromadzonej przy choince rodziny Soni i jego samego, wciśniętego gdzieś w kąt. I jeszcze Lilii, wpatrującej się w niego bez przerwy.

– Nie. Wolę być sam.

Sonia wyraźnie przygasła. Briant był ciekaw, czy wyczuwała, że tak naprawdę rozpaczliwie nie chciał być sam przez te kilka dni. Wolał jednak to, niż cierpieć z powodu rozbudzonych wspomnień z tych szczęśliwych czasów, gdy żyli wszyscy jego bliscy.

– Ale obiecaj mi coś.

– Co takiego?

Uśmiechnęła się do niego.

– Że zobaczymy się tuż po świętach. Przed sylwestrem.

– Jak chcesz.

– Ja chcę. Bo wiesz, ktoś musi zjeść moje pierniki!

Zmusił się do uśmiechu.

Zrobiłby prawie wszystko, żeby było już po świętach. Bez wątpienia najgorszych w całym jego dotychczasowym życiu.

Rozdział dziewiętnasty

ŚWIĘTA

Bezszelestnie wsunął się do pogrążonej w półmroku komnaty. Czerwone światło samotnej pochodni zabłysło krwawo w zabójczej klindze. Podeszedł do ustawionego w centrum sarkofagu, zniszczonego przez czas. Wbił spojrzenie w martwą twarz brata.

– Tym razem na pewno cię już nie znajdzie – szepnął i wbił miecz w miękkie, zielonkawe ciało.

Wizja rozwiała się, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie. Briant skrzywił się i rzucił kaktusowym koktajlem z fikuśną słomką. Żółtawe szkło rozprysło się o posadzkę i zmieniło w drobiny piasku, które gorący wiatr natychmiast uniósł w niebo. Starając się nie pamiętać tego, jak pociął ciało Ozyrysa i rozrzucił po całym świecie, skupił myśli na żalostnej strawie, którą żywił się od miesięcy. Piasek i tylko piasek. Wszędzie piasek. Nawet Saharze przestały już smakować wyczarowywane od czasu do czasu piaskowe przysmaki.

Gdy przypomniał sobie wszystko to, co każdego roku szykowali w domu na Boże Narodzenie, stracił resztki dobrego humoru. Tegoroczne święta były tragicznie beznadziejne. Nawet gorsze, niż się spodziewał. Gdziekolwiek by spojrzał, cokolwiek by zrobił, cały czas napływały do niego wspomnienia dawnego, szczęśliwszego życia. Porównanie z sytuacją, w której się znalazł, jeszcze bardziej podkreślało otaczającą go beznadziejność. Gdy próbował zagłuszyć wspomnienia, w pierwszym, rozpaczliwym odruchu starał się myśleć o Soni. Ale wtedy przypominało mu się, że ona teraz robi dokładnie to, do czego on tak straszliwie tęsknił. Że jest z rodziną, a nie sama; że jest w przytulnym, wypełnionym świąteczną atmosferą domu, a nie w starożytnej, pustej świątyni; że patrzy na pachnącą choinkę, a nie na tropikalne palmy; że z nieba pada śnieg, a nie leje się żar; że rozmawia z przyjaciółmi i rodziną, a nie z psem lub samą sobą. Stół na pewno ugina się od wyśmienitych potraw, które przypuszczalnie są inne od tych, do których on sam przywykł, ale dla niej z pewnością były symbolami świąt. Zamiast szumu wiatru jej uszy wypełnia muzyka kolęd, może trzaskanie drew w rozpalonym kominku. W powietrzu zamiast kurzu unosi się zapach ciast, świerkowych igieł. Na pewno jest bardzo szczęśliwa. Kto by nie był?

– Ja nie byłem – powiedział do siebie głucho.

Teraz oddałby wszystko, żeby jego życie wyglądało tak jak dawniej. Wtedy, zanim wszystko runęło, nie uważał się za osobę szczególnie zadowoloną. Denerwowali go bracia, szczególnie młodszy o rok Rémi. Den był w miarę okej, mimo że miał irytujący zwyczaj ciągłego wywyższania się. Zupełnie jakby bycie starszym bratem zobowiązywało go do wygłaszania przemyślanych prawd życiowych. Za to Élodie była bardzo fajną siostrą, choć męczyło go to, że chciała spędzać z nim tyle czasu. Ale zawsze go lubiła i brała jego stronę w każdej kłótni. Bardzo to sobie cenił i chętnie wykorzystywał. Co do rodziców, zawsze uważał, że byli całkiem w porządku, jednak przyznawał się do tego kolegom jedynie do połowy podstawówki.

Z bólem wspominał, jak nigdy nie lubił rodzinnych obiadów i wieczorów. Uważał,

że tyle innych rzeczy mógł zrobić w tym czasie! Sam, ewentualnie z przyjaciółmi, jeśli akurat wraz z rodziną przebywał w Paryżu lub gdy znajomi przyjechali do niego na kilka dni. Mógłby grać w swoje ukochane gry wojenne, oglądać filmy wypełnione destrukcją, planować z przyjaciółmi wymarzone wagi. Nie przepadał za świętami, bo był skazany na towarzystwo wszystkich tych babć, dziadków, ciotek, wujków i kuzynów. Najbardziej nie znosił tych ostatnich. Wszyscy byli mali i ogromnie irytujący. Mieli też wredny zwyczaj demolowania ogrodu zawsze wtedy, gdy on miał się nimi zajmować. Ciotki uważały, że opieka nad niepokornymi kuzynami wyjdzie mu na dobre. Élodie była na to za słodka, Den zbyt czarujący, Rémi zbyt zabawny. Briant był inny. Nie udawał, że ciekawi go opowieść wujka, wywracał oczami, gdy czyjaś historia była przydługa, na pytania odpowiadał jak najkrócej i z miną mówiącą: „Rany! Zostawcie mnie wreszcie”. A teraz... Teraz zrobiłby wiele, żeby to wszystko wróciło. Mógłby nawet zajmować się kuzynami.

Chciał odzyskać rodzinę. Nie chciał być sam.

Chcę do domu. Do prawdziwego domu. Nie tego tu.

Zazwyczaj uwielbiał swój pałac, ale dziś miał go szczerze dość. Pozwolił sobie na absurdalną myśl, jak byłoby cudownie, gdyby mógł wrócić do swojego domu we Francji i zastać w salonie wszystkich tych, których już nie było. Już nigdy by na nich nie narzekał. Przeprószyłby Rémię za bezsensowną kłótnię tuż przed pożarem w Paryżu. Wybaczyłby Denowi, że w pierwszy dzień szkoły zrobił z niego pośmiewisko. Kupiłby Élodie mnóstwo czekolady i oglądałby z nią jeden z jej ulubionych, beznadziejnych, dziewczyńskich filmów. Kupiłby mamie jej ukochane czekoladki i porozmawiał z nią o faraonach. Poszedłby z tatą na ryby i siedział w deszczu nad rzeką tyle, ile tylko tamten by chciał. Z przyjemnością mógłby siedzieć z nimi wszystkimi przy obiedzie nawet cały dzień. I patrzeć na nich, słuchać ich głosów, słuchać tego, co przydarzyło im się w minionym tygodniu, opowiedzieć im wszystko to, co przeżył...

Zacisnął powieki. Bez sensu. Powinien przestać o tym myśleć.

Ale wizja powrotu cały czas była obecna w jego głowie. Cały czas wracała, drażniąc go bez końca. Nie potrafił jej nie ulec. Gdy wreszcie otworzył błyszczące zdecydowaniem oczy, słońce już dawno zaszło. Wstał z posadzki. Miał mnóstwo wątpliwości, ale musiał je zignorować.

Inaczej nigdy się nie uspokoi. Musiał to zrobić. Po prostu musiał. Nawet jeśli miało go to wpędzić z powrotem w otchłań smutku. Nawet jeśli miała to być najstraszniejsza konfrontacja marzeń i rzeczywistości.

Wstrzymał oddech i zanurzył się w portal. Przeniósł się w miejsce, które równocześnie straszliwie chciał i którego tak rozpaczliwie nie chciał oglądać. Do domu.

Wiatr uderzył w niego z całą swoją furją, aż odebrało mu dech. Mrużąc oczy w ochronie przed lodowymi kroplami, niepewnie rozejrzał się po otulonym nocnym mrokiem parku. Niektóre drzewa były przystrojone kolorowymi światełkami, dzięki czemu przez ułamek sekundy poczuł się, jakby czas się cofnął. Ogród nigdy się nie zmieniał.

Podążył tak dobrze sobie znaną ścieżką i już po chwili pomiędzy drzew wyłoniła się masywna bryła zamku. Jego dachy zdawały się stanowić jedność ze spadającym

z chmur zmrożonym deszczem, wieże dumnie patrzyły w serce burzy. Nieliczne rozświetlone okna rzucały na śnieg ciepłe snopy światła. Briant skrzywił się nieznacznie. Z okazji świąt wszystkie powinny jaśnieć. Wszystkie, a nie tylko kilka.

Podszedł do okien salonu i zajął do środka. Nie obawiał się, że ktoś mógłby go zauważyć. Nie tylko dlatego, że w pomieszczeniu paliło się światło, a on stał w ciemnościach. Także z tego powodu, że istniało małe prawdopodobieństwo, aby ktoś spojrzął na zewnątrz. Po co miałby to robić? Wszystko, co piękne i związane ze świętami, znajdowało się w środku.

Tęsknie wpatrzył się w obraz, który wydawał mu się jedynie utopią. Choinka błyszczała od ozdób i kolorowych lampek, które odbijały się w złoconych ramach pysznych malowideł. Zabytkowy stół uginał się od świątecznych potraw. W kamiennym kominku tańczyły czerwono-żółte płomienie. Ciotka Eleonora i wujek Alfred przypatrywali się im w milczeniu, przytuleni w smutku. Natychmiast uciekł od nich wzrokiem, by nie przypominać sobie tego, co zrobił ich jedynemu synowi. Pozostała rodzina tłoczyła się przy tarasowych drzwiach.

Przesunął się wzdłuż ściany, przeskoczył zmurszały murek i zajął w zajmujące prawie całą ścianę okno. Ze zdumieniem wpatrzył się w pomarszczoną twarz niemowlęcia śpiącego spokojnie w ramionach rozpromienionej ciotki Matyldy. Skrzywił się niechętnie. A więc jego nowy kuzyn zdążył się narodzić w czasie jego wygnania na pustynię. Zastąpił jego krewnym zmarłą rodzinę.

Dziecko poruszyło się niespokojnie pod jego płonącym zazdrośnie spojrzeniem. Oderwał od niego wzrok i przyjrzał się rodzinie, która wyglądała tak nieprzyzwoicie radośnie.

Jak to, nie pamiętają już o mamie i tacie? – pomyślał z żalem. O moich braciach i siostrze? Jak ich twarze mogą promieniować taką bez troską, jeśli to wszystko wydarzyło się tak niedawno?! A Jean? O nim też zdążyli już zapomnieć? Tak szybko?

Zacisnął zęby, opierając policzek o lodowaty mur. Wystarczyło pół roku, by wymazać ich z pamięci. Wystarczył miesiąc, by przestali o nim pamiętać.

Jego serce zalała gorycz. Płonącym wzrokiem przemknął po salonie. Choinka stała nie tam, gdzie powinna. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Była na dodatek za mała. Ozdoby na kominku były ustawione niesymetrycznie. Paliło się za mało świec. I, przede wszystkim, brakowało tu kilku osób. Powinien być tam z nimi. On, Élodie, Rémi, Den, mama, tata. Wszyscy. Bez nich to nie święta. To nie dom. To nie rodzina. Żaden nowy kuzyn nigdy nie zapełni pustki, która wytworzyła się po ich śmierci i jego ucieczce. A bez nich... To nie byli już jego bliscy.

Cofnął się od drzwi, jakby parzyły. Spojrzał na wyniosły zamek i piękny park. To była przeszłość. Tylko przeszłość. Wiecznie żywe wspomnienia, ale nic więcej. Przyszłość była na pustyni. Nie tu. Dawny Briant odszedł wraz z rodziną. Najwyższy czas, by ten nowy wreszcie to zrozumiał. I zaakceptował.

Musiał żyć dalej. Nowym życiem.

Cofał się coraz bardziej, nie mogąc pozbyć się obrazu rodzinnej sceny. Takiej jaskrawej, takiej nierealnej, takiej obcej. To nie był już jego świat.

Zatrzymał się między klombem a fontanną i obrócił wokół własnej osi, chłonąc

obraz uśpionego parku. Ze wszystkich stron napływały wspomnienia. Wszystko wokół, od ścieżki po wiatr, mówiło mu, że to nie jego miejsce. Że należy teraz do pustyni. Że powinien stąd odejść.

Zatrzymał się i spojrział na stary zamek. Zagrzmiało. Jego oddech w postaci pary umykał w burzowe chmury. Bryła wyglądała tak bardzo niesamowicie w nocnej aurze. Tak... nierzeczywiście. Obco. W oddali ujrzał przemykające między drzewami psy. Duchy zmarłych patrzyły na niego zza drzew i zza szyb zamku.

– Żegnajcie – powiedział cicho i uniósł wzrok w kotłujące się niebo.

Wyciągnął dłoń w stronę śnieżnej burzy. Z jej serca wystrzeliła biała wstęga błyskawicy i porwała go w noc. Na zawsze.

Nie mógł wiecznie żyć przeszłością. Wreszcie to zrozumiał.

– Nie za dużo tych pierników? – zapytała mama, obserwując pakowane przez Sonię metalowe pudełko.

– Nie. Im więcej, tym lepiej. Muszą jej starczyć na długo.

– A z kim się spotykasz?

– Z Marysią Żaluzją.

– Aha. Kochanie, jesteś pewna, że tyle zje?

– Jasne! To przecież pierniki – prychnęła Sonia i wyszła z kuchni.

– Trzeba cię gdzieś podwieźć? – zawołała za nią mama.

– Nie, nie trzeba – odkrzyknęła, zarzucając kurtkę. – Spotkamy się niedaleko stąd.

– To Marysia mieszka gdzieś w okolicy? – zdziwiła się kobieta, zaglądając do przedpokoju.

Sonia w ostatniej chwili powstrzymała się od rzucenia jej zniecierpliwionego spojrzenia. Jak dotąd nigdy nie przeszkadzało jej, że mama wypytywała się o tyle różnych rzeczy. Ale akurat tego tematu nigdy z nią nie poruszała. Starła się unikać rozmowy o Marysi za wszelką cenę. Strach przed tym, że odkryliby prawdę, był zniewalający. Tym bardziej że pod groźbą donosu musiała wszystko wyjaśnić siostrze.

– Nie, ona mieszka na drugim końcu świata – odparła, wsuwając stopy w ciepłe buty. – Ale tak bardzo nudzi jej się w święta, że uznała, że może podjechać.

– To może zaprosz ją do domu? Zmarzniecie.

– Proponowałam, ale ona bardzo nie chce robić nam kłopotu.

– Przecież nie robi.

Założyła na głowę kolorową czapkę.

– Ona jest strasznie uparta. Uznała, że robi, i raczej nic jej nie przekona, że jest inaczej.

Zabrała pierniki i łokciem otworzyła sobie drzwi. Do przytulnego wnętrza natychmiast wtargnął lodowaty podmuch. Szybko wymknęła się na zewnątrz.

– Tylko wróć najpóźniej za dwie godziny! – Dobiegł ją głos mamy, powstrzymując ją od zatrząśnięcia drzwi. – Jutro wyjeżdżamy, a jeszcze nie skończyłaś się pakować.

– Dobrze, dobrze. Pa!

Zamknęła drzwi, wbiła uważne spojrzenie w czający się wokół półmrok

i skierowała się ku furtce. Dopiero gdy znalazła się na chodniku, z jasnej nocy wyłoniła się tak doskonale znajoma postać. Uśmiechnęła się promiennie, choć w jej oczach migotała troska.

Gdy spacerowali wśród księżycowych promieni, wydawało im się, jakby istniała tylko terażniejszość. Obserwując go kątem oka, Sonia starała się odgadnąć, jak się czuje. Z jednej strony odnosiła wrażenie, że jest dziwnie spokojny, z drugiej – wydawało jej się, że dostrzega w jego spojrzeniu iskry smutku albo złości.

– Sonia – zaczął w pewnym momencie z wahaniem. – Powiedz mi... Jak dostałaś się na Saharę? Wtedy, gdy...

– Wiem kiedy – przerwała łagodnie, spostrzegając, że nie chciał wymawiać tego na głos. – Po prostu. Poszłam na budowę, weszłam na tę górę piasku. Wczułam się w burzę śnieżną. I w końcu się udało. Przeniosłam się.

Zmarszczył brwi.

– Niemożliwe. To by oznaczało, że użyłaś magii. I to niesamowicie potężnej.

Kiwnęła głową.

– I to nie pierwszy raz...

– Jak to?

– Gdy porwali mnie kapłani, próbowałam uciec. Rzuciłam w nich płonąca kadzią i...

– Płonącą kadzią?

– Tak, a co? Nie było nic innego. Próbowałam się przez nich przedrzeć, ale byli wszędzie. Szarpnęłam się rozpaczliwie, a oni nagle odpuścili. Upadli na ziemię, a z oczu spływała im... jakaś substancja.

– Krew? – zaniepokoił się.

– Nie wiem! Ale przestań, to obrzydliwe. Nie udało mi się uciec, niestety... Ale jestem pewna, że wtedy także użyłam magii. I ja... ja wiem, że to bez sensu, że to nie ma prawa się dziać, ale... ale tak jest.

– Nie mam pojęcia, skąd ci się to wzięło – przyznał, przypatrując się jej z fascynacją. – To coś więcej niż cechy Podobnych. Autentycznie masz w sobie magię. Dlaczego? Nie wiem. Jak to możliwe? Nie mam pojęcia. Ale to fantastyczne!

Odwzajemniła uśmiech.

– I tak się zastanawiałam... Może właśnie dlatego wybrała mnie Izyda, choć nie spotkała mnie nigdy wcześniej? Może przyciągnęła ją moja umiejętność...?

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Ale właściwie możesz mieć rację.

Przez chwilę szli w milczeniu, podziwiając ośnieżony świat i pogrążając się w myślach.

– Zastanawiam się, co się z nią dzieje – odezwał się w końcu Briant.

– Z Izydą?

– Tak. Zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś. Moim zdaniem wygląda to tak, jakby była pogrążona w zatrutym śnie.

– W czym?

– We śnie wywołanym zatrutym kadzidłem. Pogrążony w nim bóg nie potrafi się sam wybudzić. Stopniowo obumiera, ale bardzo powoli. Może to trwać całe wieki.

Czasami może mu się jednak udać wyzwolić na chwilę umysł. I na krótko skontaktować się z Wybranymi.

Uniosła brwi.

– Właśnie coś takiego mi się przytrafiło.

– No widzisz.

– Ale... To by znaczyło, że Izyda naprawdę jest w niebezpieczeństwie. Miałam kiedyś sen, w którym prosiła mnie o pomoc.

– Naprawdę? Powiedziała ci, gdzie się znajduje?

– Niestety nie.

Spochmurniał.

– Szkoda. Mogłaby być dobrą sojuszniczką.

Z warkotem minął ich stary, plujący spalinami samochód.

– Rany, taki grat jeszcze jeździ? – prychnął Briant, zasłaniając nos.

Zerknęła na niego uważnie, niemal nie czując spalin. Jej serce przyspieszyło.

– Izyda nie może być twoją sojuszniczką, ale ja jestem – powiedziała powoli. – Zabierzesz mnie na wyprawę po berło?

Wbił wzrok w ziemię.

– Oj, proszę – szepnęła błagalnie.

– No... dobrze.

Pisnęła radośnie i w niepohamowanym odruchu euforii wrzuciła go do zaspy. Upuścił pudło pierników, które z brzdękiem potoczyło się po chodniku.

– Hej!

– Wybacz – odparła śpiwnie.

Przypatrując się, jak podskakuje wśród spadających płatków śniegu, powtarzał sobie, że to dobra i przemyślana decyzja. Co mogłoby jej się stać? Przecież będą tam sami. Tym razem na pewno będzie bezpiecznie.

Uśmiechnął się i podmuchem wiatru zrzucił na nią czapę śniegu z pochylającej się nad drogą choinki. Krzyknęła z zaskoczenia, wygrzebując się spod białego puchu.

– Z bogiem wojny nie wygrasz! – zawołał, rzucając w nią ogromną śnieżką.

Uchyliła się, a potem schowała za najbliższym samochodem.

– Zobaczymy! – odkrzyknęła.

Uśmiechnął się i sięgnął po nową śnieżkę. Na jedną krótką chwilę zapomniał, że jest zmagającym się z milionem problemów nastoletnim bogiem. I był tak bardzo szczęśliwy.

Fajerwerki rozbłysły na niebie, zasypując je deszczem złotych iskier. Siedział wśród targanych wiatrem wachlarzowatych palm i przypatrywał się prywatnemu pokazowi, przegryzając pierniki i tylko cudem nie łamiąc sobie na nich zębów. Co jakiś czas rzucał jednego Saharze, która leżała obok niego na posadzce i obserwowała migoczące wybuchy światła.

Żegnał stary rok bez żalu. Był to czas wielkich zmian. Bólu. I choć znalazł też Sonię, to jednak z całych sił życzył sobie, by nowy rok był lepszy.

Księżyc przypatrywał mu się drwiąco, ale gwiazdy zdawały się migotać porozumiewawczo.

Naprawdę wierzył, że będzie lepiej. Rozpoczną od zdobycia Berła Zniszczenia. Umówił się z Sonią na czternastego stycznia. Już od pewnego czasu planował pójść tam właśnie wtedy. Odzyskanie pełni potęgi było przecież fantastycznym prezentem na szesnaste urodziny.

Uśmiechnął się i przymknął oczy, a dusze boga podsunęły mu wspomnienie tego, jak na jego głowie spoczęła przed wiekami korona bogów i jak stał się władcą całego świata.

Sonia zawiesiła na gwoździu nowy, kupiony na sylwestrowym wyjeździe kalendarz i przyjrzała mu się z zadowoleniem. Jej wzrok powędrował wzdłuż kratek, zatrzymując się na czternastym styczniu. Wyjęła z piórnika flamaster i zaznaczyła go zamaszystym kółkiem.

Dzień, w którym wszystko się zmieni.

– Jeszcze tylko tydzień – powiedziała do siebie z nutką radości w głosie.

Jej dobrego humoru nie zepsuł nawet stos zadań domowych. Zerknęła na ustawione na honorowym miejscu na komodzie szklaną bransoletkę i skarabeusza, a potem zabrała się za fizykę.

Czasami łapała się na tym, że nie do końca wierzy w to, co się jej przydarzyło. Że to chyba musi być tylko sen... A jednak nie był.

Uśmiechnęła się do siebie.

Nie zrezygnowałyby z ostatnich miesięcy za żadną cenę.

Rozdział dwudziesty

SZEPTY PUSTYNI

Nie pamiętał, by kiedykolwiek pustynia była aż tak niespokojna.

Nad jałową powierzchnią unosiły się potępieńcze jęki i odległe westchnienia. Zaostrzone cienie nadawały wydmom złowrogi wygląd. Tej nocy nawet zwierzęta pozostały w ukryciu w obawie przed wiszącą w powietrzu złowrogą aurą. Nastroszona Sahara czujnie obserwowała wypełniony szelestami ogród. Władca Piasków nieruchomo wpatrywał się w zamarłą taflę wody.

Ta noc była dziwna. Natura przebudziła się ze swojego snu i okazywała niepokój. Nie było księżyca. Nawet gwiazdy zbladły. Co chciała przekazać? Czyżby chciała go przed czymś... przestrzec?

Zmarszczył brwi.

Przed odzyskaniem Berła Zniszczenia? Czy to tego się boi? Bez sensu – pomyślał. To przecież część mojej duszy... Tylko z nią mogę stanowić realne zagrożenie dla innych bogów. Dlaczego miałbym tego nie robić?

Poruszył się niespokojnie. Prawda była taka, że sam się tego bał. Co, jeśli jedynie odzyskanie berła dzieliło go od przeistoczenia się w boga, którym kieruje wyłącznie zło? Który potrafi tylko niszczyć i... zabijać?

– Jeśli o to chodzi, niepotrzebnie się martwisz – mruknął w przestrzeń.

Wszystkie szelesty zamarły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nad pustynią zapadła upiorna cisza.

– Wiem, co robię. Jestem wystarczająco silny – dodał cicho.

Nic złego na pewno się nie stanie.

Odzyskanie Berła Zniszczenia to była jedyna słuszna droga. Nie mógł się jej bać. Nie mógł się wahać... A jednak złe przeczucie, którego nie potrafił zdusić, zagnieździło się gdzieś na dnie jego serca. W pełni wyparły je dopiero pierwsze złote promienie wynurzające się zza horyzontu. Światło słońca odeгнаło mroczne myśli.

Życie nie było aż tak bezwzględne. Nic złego nie mogło się dziś stać. Nie dziś, w dniu, w którym mógł uzyskać narzędzie niezbędne do tego, by przestać być jedynie pionkiem w rękach losu.

Będzie niezwyciężony. Zbuduje nową przyszłość.

Nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, kiedy nadszedł czas wyruszenia w podróż. Zdecydowanym ruchem podniósł się z ziemi i rozplął w czerni starożytnych korytarzy. Zdobiący jego szyję Amulet Ozyrysa promieniał chłodem śmierci. Sahara bezszelestnie stąpała u jego boku.

Ze zdecydowaniem zanurzyli się w największy portal Komnaty Piasków.

Dziś wreszcie wszystko miało się zmienić.

Musiał zmrużyć oczy, gdy pojawił się przed domem przyjaciółki. Z zaskoczeniem spojrzał na pokrywającą wszystko biel, która odbijała blask intensywnego słońca. Nie wiedząc do końca czemu, spodziewał się, że cały świat pogrążony dziś będzie w szarości burzowych chmur.

Nieopodal trzasnęła furтка. Obrócił się w jej stronę.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołała Sonia, ostrożnie kierując się w jego stronę po pokrytym lodem chodniku. – Ale słuchaj, jak już zdobędziemy berło, to obowiązkowo musimy iść do cukierni kupić jakiś tort! Słyszysz? Musimy!

Poślizgnęła się, ale udało mu się złapać ją za ramię, zanim zdążyła upaść.

– Mam dla ciebie prezent – oznajmiła, ukazując dłoń, na której spoczywał fioletowy kamień o owalnym kształcie.

– Kamień?

– Tak, ale niezwykły! Będzie ci zawsze o mnie przypominał. To ametyst. W moim ulubionym kolorze. Zaczarowałam go specjalnie dla ciebie. Dosłownie cały weekend medytowałam, żeby wydobyć z siebie moją dziwną moc! No dalej, weź go... A teraz unieś pod światło... O, właśnie tak!

Ametyst rozblęsnął fiołkowym blaskiem, rzucając refleksy na ich twarze. Po chwili w powietrzu zalśniły drobne, eleganckie litery.

Nie ma dnia bez nocy ani światła bez cieni.

– Oba są nam potrzebne – oznajmiła z namysłem. – Pamiętaj.

Zerknął na nią z ukosa, opuszczając dłoń. Fioletowe światło rozproszyło się w blasku dnia.

– Niby do czego?

– Jak to? Do pełni życia! – odparła i pocałowała go w policzek. – Pamiętaj.

– Tak, tak. Jasne. Dzięki. I wow, nie sądziłem, że kiedykolwiek uda ci się zrobić coś takiego.

Odsunęła się z iskierkami wesołości w oczach.

– Jak widać, gdy się postaram, to wychodzi. Idziemy wreszcie? Już nie mogę się doczekać!

– Tak, chodźmy.

Zanim się rozmyślę – dodał w duchu.

Szli otoczeni bielą i ciszą poranka. Mroźne powietrze było przyjemnie świeże i wydawało się takie czyste. Zachwycona Sahara truchtała w pewnej odległości przed nimi, badając ślady w zasypnym rowie.

– Podoba ci się prezent? – odezwała się Sonia, by przerwać milczenie.

– Trochę dziwny, ale może być.

– Może być? No dzięki! Następnym razem w ogóle nie będę się starać! Albo jeszcze lepiej, nic ci nie dam.

– O nie, tego chyba bym nie przeżył.

Zaśmiała się, próbując jak najbardziej zarazić go dobrym nastrojem. Wydawało jej się, że był dziś nieco inny niż zazwyczaj. Nie wiedziała dokładnie, w jaki sposób, ale wyczuwała, że coś było nie do końca tak, jak być powinno. Był bardziej spięty niż zazwyczaj. Tłumaczyła to sobie tym, że wreszcie miał odzyskać berło... Modliła się, żeby naprawdę tam było! Bała się, jak przetrwałby kolejną porażkę.

Wreszcie znaleźli się przed przechyloną bramą. Briant przeskoczył ogrodzenie pierwszy, a potem odwrócił się, żeby pomóc jej przejść.

– Nie trzeba – sapnęła, przewieszając się przez krawędź. – Już raz sama to zrobiłam. W śnieżycę. Poradzę sobie.

– Jak chcesz.

Odsunął się szybko, a ona zgrabnie zeskoczyła w śnieg.

– Widzisz?

– Brawo.

Sahara zapisztzała żałośnie, wsadzając pysk między kratki.

– Pomożesz jej?

– Nie. Da radę. Chodź.

Z lekkim oporem podążyła za nim. Sahara pobiegła wzdłuż ogrodzenia, a nim zdążyli dojść do uspionych pod śniegiem pagórków piasku, już znalazła się obok, otrzepując ciało z resztek białego puchu. Briant niepewnie zatrzymał się przed wzniesieniem. Denerwował się coraz bardziej. Przypomniał mu się nocny strach pustyni. Czy powinien...?

– Będzie dobrze – szepnęła Sonia, przypatrując mu się czujnie.

– Wiem. Ale...

– Nie bój się.

– Ja się nie boję – oznajmił, ze złością wbijając wzrok w śnieg. – Nigdy. Niczego.

Białe i złote drobiny zawirowały w powietrzu, tworząc magiczne przejście. Przekroczyli je bez wahania.

Sonię uderzyło to, że tym razem ze wszystkich stron otoczyły ich suche fale pustyni. Nigdzie nie dostrzegła najmniejszej nawet oznaki istnienia wody i życia. Gorąco lejące się z nieba było niewyobrażalne. Wielkie, jasne słońce królowało na bezchmurnym niebie.

– To na pewno dobre miejsce? – zapytała, zdejmując zimową kurtkę. Mimo upału, nie wiedzieć czemu, po plecach przemknął jej lodowaty dreszcz. – To miała być oaza...

Rzucił jej odrobinę ponure spojrzenie.

– Bo kiedyś była to oaza.

– Och...

– Zostało po niej jedynie wejście do skarbcza.

Rozejrzała się i dopiero wówczas obok miejsca, w którym kręciła się Sahara, dostrzegła wyrastający z wydmy fragment niezwykle starej kamiennej ściany.

– Ale szczęście, że nie jest całkiem zasypane!

– Szczęście? Nie ma czegoś takiego. Starożytna magia utrzymuje je na powierzchni.

– No... To i tak dobrze, że nikt go jeszcze nie odkrył przez te tysiące lat.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Proszę cię! Naprawdę myślałaś, że wejście do skarbcza, w którym znajduje się coś tak cennego jak Berło Zniszczenia, może zostać odnalezione przez byle śmiertelnika?! Chroni je iluzja o niebo silniejsza od tej w Abydos. Prawie nikt nie potrafi jej przejrzeć ani przez nią przeniknąć.

Zdecydowanym krokiem podszedł do kamiennego portalu, a ona czujnie rozglądnęła się dookoła. Coś niedobrego unosiło się w powietrzu... Zerknęła na rozradowaną Salaawę i przejętego boga pustyni, próbującego odczytać prawie niewidoczne zarysy dawnych hieroglifów zdobiących portal. Nie wyglądali, jakby też to wyczuwali... Zmarszczyła brwi.

– Co się tak krzywisz? – zapytał Briant, zerkając w jej stronę.

Poruszyła się niepewnie.

– Nie wiem. Mam jakieś takie dziwne... wrażenie.

– Wrażenie?

– To nic takiego... Chyba. To pewnie przez to, że za każdym razem, jak się gdzieś wybieraliśmy, napadały nas mumie albo kapłani... Może tak automatycznie spodziewam się, że zaraz coś się na mnie rzuci? Głupstwo, prawda? Jesteśmy tu przecież zupełnie sami...

– Tak, sami – odparł, przypatrując się jej trochę dziwnie, i wrócił do napisu.

Sonia westchnęła i położyła kurtkę obok obwąchującej próg Sahary.

– Udało ci się odczytać te hieroglify?

– Nie. Są zupełnie nieczytelne, a ja nie mogę sobie przypomnieć treści. To jest strasznie denerwujące.

– Myślisz, że napisali tu coś ważnego?

– Nie wiem. Może... Nieważne. – Wyprostował się.

– Jak masz zamiar odpieczętować wejście?

– Odpieczętować?

– No tak. – Wskazała na zamurowane drzwi. – Przecież nie przejdiesz przez ścianę.

Uniósł brew.

– Mówisz o tej ścianie? – zapytał, zanurzając w przejściu całą dłoń.

Sonia splonęła rumieńcem.

– Iluzja. Jak mogłam pomyśleć inaczej?

Spróbowała zrobić to samo, ale natrafiła na zaskakująco lodowaty kamień.

– Znowu? – jęknęła, z rezygnacją opuszczając rękę. – Czemu to nie chce mnie przepuścić?

– Chyba... Chyba przepuści tylko mnie. Tak mi coś świta...

– Co? Nie mam zamiaru czekać na zewnątrz! Chcę wejść tam z tobą!

Bezradnie wzruszył ramionami, a jej oczy zabłysły z determinacją.

– Spróbuj mnie przeciągnąć przez to przejście tak jak w Abydos! Wtedy się udało.

– Ale tym razem się nie uda – odparł bez chwili wahania. – Naprawdę. Zaufaj. Mam... Mam takie przeczucie. Powinnaś zostać. Tylko ja mogę tam wejść. Dla ciebie mogłoby się to bardzo źle skończyć.

Skrzywiła się z zawodem.

– Na pewno?

– Tak. Przykro mi.

– Skoro tak mówisz... Zostanę. Zabierz berło i jak najszybciej wróć, bo już nie mogę się doczekać, aż je zobaczę. No i nie chciałabym za długo stać tu samotnie!

– Sahara zostanie z tobą.

– No tak, ale ona to nie ty... Pośpiesz się, chciałabym też wrócić, zanim zamkną moją ulubioną cukiernię.

– Nie wierzę! Tylko cukiernia ci w głowie.

– Idź już! – Roześmiała się i delikatnie popchnęła go w stronę portalu. – Tylko wiesz, żwawo. Tam mają najlepsze ciasta.

Posłał jej rozbawione spojrzenie, a potem zanurzył się w zapieczętowany korytarz. Poczł łagodny opór i tańczące na skórze iskry magii, gdy pozwoliła mu przejść. Uderzył go ciężar powietrza wypełniającego skarbiec i wirujący w nim kurz. Otulił go drażniący zapach starości. Płaski, łagodnie pochyły korytarz zniknął gdzieś w mroku, którego nie rozpraszały przytłumione słoneczne promienie. Briant niepewnie obejrzał się na zewnętrzny świat. Z tej perspektywy wydawał się odległy i jakby widziany przez grube szkło. Jego kontury były lekko zniekształcone i nieustannie zdawały się poruszać, przywodząc na myśl taflę wody o łagodnym nurcie.

– Wszystko dobrze? – Usłyszał przytłumiony głos Soni, która zdawała się jedynie cieniem na tle jasności. Niczym duch.

– Tak – odparł, a echo zwielokrotniło jego głos, gdy uciekł w głąb nieruchomego tunelu.

Odwrócił się od wejścia. Duchota otaczała go gęstym woalem, brakowało mu tchu. Ostrożnie ruszył w mrok, przypatrując się idealnie gładkim ścianom korytarza. Czy były tu jakieś pułapki? Zupełnie nie pamiętał. Bardzo szybko czerń pochłonęła go w całości. Zanurzał się w jej chłodne odmęty, z niepokojem zauważając, że nie potrafił przeniknąć jej wzrokiem. Poruszał się na oślep, jak zwykły śmiertelnik. Jego oddech rozchodził się w głuchej pustce, która obserwowała go w milczeniu. Drgnął, gdy wydało mu się, że coś otarło się o jego ramię. Znieruchomiał i wstrzymał oddech, ale nie wyłowił z ciemności żadnego innego dźwięku prócz bicia swego serca. Uniósł dłoń, zdecydowany przywołać ciepłe światło lewitującego płomyka... Jednak nic się nie stało. Zaskoczony, spróbował jeszcze raz. Ponownie bez skutku. Nie mógł przywołać swoich mocy! Poczł się nagle tak bardzo bezbronny... Tak żałośnie słaby.

Zacisnął zęby. Pamiętał już, co takiego napisano na portalu. Pradawne zaklęcie wiążące magię.

Dopiero gdy skoncentrował się najbardziej, jak umiał, udało mu się wyczarować słaby, szamoczący się jakby w agonii płomyk. Jego blady blask wydobył z mroku tańczące cienie posągów pokrytych woalem pajęczyn. Starając się nie dostrzegać ich potwornych, pomarszczonych pysków oraz ślepi odbijających płomieni, ostrożnie przekroczył znajdujące się między nimi przejście. Zatrzymał się i rozglądnął uważnie, niestety płomyk nie rozpraszał ciemności przepastnej komnaty, w której progu się znalazł. Udało mu się dostrzec jedynie niewyraźne kontury schodów prowadzących gdzieś w dół oraz kamienną bryłę ustawioną nieopodal wejścia. Po chwili rozpoznał w niej rodzaj pochodni. Gdy przyłożył do wypełniających ją węgielków ogień, błyskawicznie się nim zajęły i w mgnieniu oka rozjarzyły się tak bardzo, że musiał szybko się od nich odwrócić.

Z oszołomieniem wpatrzył się w komnatę, którą rozjaśnił blask odbijający się od niezliczonej ilości złotych luster. Strome, zakurzone stopnie prowadziły na odległą o kilka

metrów posadzkę. Dwa rzędy wspaniale pomalowanych kolumn, sięgających aż ku pogrążonemu w półmroku sklepieniu, wytyczały drogę kończącą się u stóp olbrzymiego posągu, zdającego się wypełniać całą przestrzeń naprzeciw wejścia. Pomalowane na czerwono oczy Salaawy groźnie wpatrywały się w przybywających do komnaty, masywna dłoń dumnie zaciskała się na smukłym berle. Nie mogąc oderwać wzroku od przyzywającej go własnej podobizny, bóg pustyni zaczął ostrożnie schodzić po nieużywanych od tysiącleci schodach. Choć wiedział, że był w skarbcu sam, nie mógł pozbyć się upiornego wrażenia, iż jest nieustannie śledzony. Szedł wśród rzędu kolumn, coraz bardziej zadzierając głowę. Gdy stało się to niewygodne, opuścił wzrok.

Zatrzymał się z oszołomieniem.

Na kamiennym ołtarzu, otoczona wzorami z ziaren piasku, spoczywała ona. Długa, smukła laska połyskująca złotem, migocząca rubinami. Promieniująca odbierającą dech potęgą, która przez wieki nie pozwoliła zbliżyć się do niej ani jednemu ziarenku kurzu. Piękna, potężna, tak doskonale znajoma.

Kasztanowe oczy zabłyśły iskrami czerwieni.

Berło Zniszczenia. Wreszcie.

Uniósł drżącą dłoń, nie mogąc czekać ani chwili dłużej. Nie pamiętał o wątpliwościach, nie potrafił oprzeć się zewowi natury. Nie pamiętał o strachu, nie pamiętał o Soni. Było tylko ono i nieprzemожone pragnienie, by ponownie stało się częścią jego duszy. Ogłuszające bicie serca dudniło mu w uszach.

Zacisnął zimne palce na równie lodowatym metalu. I stał się w pełni sobą.

Głowę przeszła mu paląca błyskawica bólu. Z oddali dobiegł go jego własny krzyk, ale go nie rozpoznał. Jego umysł zalała powódź jaskrawych obrazów. Sceny z przeszłości, strzępy rozmów w wymarłym języku, kolorowe obrazy, gwałtowny śmiech, zapomniane twarze, śpiew modlitw. Jego głowę wypełniał huk. Wszystko dokoła wirowało w szaleńczym tańcu, którego nie potrafił zrozumieć.

– Nasz czas nadszedł – powiedział cicho Set, a jego czerwone oczy jarzyły się łagodnym blaskiem w panującej wokół ciemności.

Arcykapłan zadrżał i zgiął się w ukłonie aż do ziemi. Jego biała szata odcinała się od mrocznych ścian niczym skrzydła ćmy. Przejął berło tak ostrożnie, jakby było ze szkła.

– Nie zawiedźcie mnie i tym razem – przestrzegł chłodno bóg burz.

– Nigdy, panie – zapewnił kapłan głosem zdradzającym ściśnięte gardło.

Set z trudem oderwał wzrok od zakłętej w metalu części jego samego.

– Żegnaj, kapłanie – powiedział tak cicho, że równie dobrze mógł to być jedynie szept wiatru.

Gdy przejęty człowiek uniósł wzrok, w świątyni nie było nikogo prócz niego samego.

Obraz z przeszłości rozwiązał się w nicość. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, nie było nic poza nią. Potem coś zabłyśło nieśmiało w oddali. Jakiś głos odezwał się cicho.

Złote oczy Ra jaśniały z powagą.

– Musimy iść.

– Już?

– Tak. To jedyna szansa, by zachować moc.

Bóg pustyni poruszył się niespokojnie. Oby rzeczywiście była to prawda. Oby uśpienie pomogło ich słabnącej sile życiowej... Gdyby oddał berło na próżno...

Ra z zamyśleniem zapatrzył się w widoczną za oknem pustynię.

– To będzie nowy początek – powiedział. – Dla wszystkich. Dla ciebie też.

Opuścił głowę, by ukryć złowrogi uśmiech.

– O tak, wiem...

Nowy początek. Nowa szansa. Tym razem wszystko potoczy się inaczej. Ozyrys umrze natychmiast. Horus nigdy się nie narodzi. A jeśli nawet przypuszczenia Thota, że wszyscy zstąpią na ziemię w jednym czasie, okażą się prawdziwe, to nic nie szkodzi. Będzie przygotowany. Tym razem nie da się oszukać. Z przyjemnością go zabije.

I nikt go już nie powstrzyma. Zostanie królem. Na zawsze.

Zwinnie podniósł się ze złotego krzesła.

– Chodźmy więc, drogi Ra – rzucił, mrużąc oczy. – Nie możemy kazać innym czekać. To byłoby niestosowne.

Zdziwiony bóg Słońce zerknął w jego stronę. A potem zaprowadził go do Dat.

Gdy wstępował do wielkiego sarkofagu utkanego ze światła gwiazd, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Czerwone oczy iskrzyły się z triumfem.

Przebudzi się w nowym świecie. I to będzie jego świat.

Otworzył oczy. Burza wspomnień ucichła, gdy wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce w jego pamięci.

Kłęczał na zakurzonej posadzce, z całej siły zaciskając palce na metalowym drzewcu. Oddychał coraz spokojniej, wpatrując się w rysujące podłogę rozwidlone ostrze berła. Czuł się... inaczej. Jakby przebudził się z bardzo głębokiego snu i na powrót rozpoznawał otaczające go przedmioty. Zrozumiał, że przez całe swoje dotychczasowe życie znajdował się jakby za jakąś zasłoną, która przeszkadzała mu widzieć świat. Teraz wreszcie opadła, ukazując intensywne barwy kłębiącej się w kątach ciemności, oszałamiającą zieleń i turkus kolumn, złoto piasku. Przestał być ślepcem, przestał być głuchy. Słyszał więcej. Szepty cieni, taniec powietrza, westchnienia kamieni. Prócz otaczającej go woni starości, kurzu i braku światła, wyczuwał również unoszącą się w powietrzu woń pradawnych kadzideł.

Powoli powstał z posadzki. Skupił wzrok na trzymanym w ręku berle. Gdy opierał jego zakończony drapieżnym półksiężycem drzewiec o ziemię, było właściwie tak wysokie jak on. Przesunął palcami po złotej powierzchni, rozkoszując się niewyczuwalnymi od tak dawna wibracjami zakłętego metalu. Powędrował wzrokiem wzdłuż ozdobnych pierścieni uchwytu ku zwieńczeniu mającemu kształt głowy Salaawy, której oczy jarzyły się blaskiem krwawych rubinów. W miejscu, gdzie trzon przekształcał się w głowę pustynnego psa, znajdowała się ozdobna obręcz złożona z geometrycznych pasów, z których co drugi inkrustowany był turkusem.

Uśmiechnął się tym samym uśmiechem, który rozjaśniał jego rysy po każdej zwycięskiej bitwie. Berło zadrżało, ciesząc się wraz z nim, gotowe posłuchać jego wszystkich rozkazów. Odetchnął, chłonąc w siebie otaczającą go energię pustyni. Wreszcie był sobą. Dopiero teraz w pełni pojął, że tęsknił za tym całe swoje śmiertelne

życie, a nawet jeszcze dłużej. Jak mógł się tego bać? Jak perspektywa odzyskania pozycji najpotężniejszego z bogów mogła budzić w nim obawę?

Nie musiał już czekać, aż odzyska wszystkie uszione umiejętności. Aż wszystko sobie przypomni. Znów był sobą. Teraz nikt go nie pokona. Nawet Wyklęty. Morderca Astarte. I jego rodziny.

Obrócił głowę w stronę wejścia do komnaty, wychwytyjąc odległy dźwięk. Jego spojrzenie trafiło na najbliższą kolumnę. Z wrażenia wstrzymał oddech. Ta scena... Czarnowłosy chłopiec zagubiony na pustyni, przytulony do puszystej kuli, otoczony tumanami piasku. Albo ta obok. Ten sam chłopiec z przerażeniem wpatrujący się w roztrzaskaną starożytną rzeźbę. A tam poniżej... Pogrzeb rodziny, chłopiec skulony za drzewem, przytulony do jego szorstkiej kory.

Z niedowierzaniem rozejrzał się po innych kolumnach. Na każdej z nich znajdowała się niezliczona ilość małych scen składających się w ozdobne paski, namalowane na kamieniu tysiące lat temu. Na wszystkich z nich widział siebie. Siebie jako syna nomadów, jako młodego boga, jako zazdrosnego brata, jako zabójcę, jako króla, jako przeciwnika Horusa, jako pokonanego, jako obrońcę Ra.

Z wrażenia ciężko oparł się na berle, złościąc w posadzce kolejne dwie rysy. To wszystko ukazywało jego historię.

Jeden z obrazków już z daleka przykuł jego uwagę. Podszedł bliżej, nie potrafiąc go zidentyfikować, dopasować do pamięci. Malunek przedstawiał go stojącego nad skruszałym ze starości sarkofagiem Ozyrysa. Ubranego w bardzo współczesne ubrania, z Amuletem Ozyrysa na szyi.

To nigdy się przecież nie zdarzyło.

Zakręciło mu się w głowie. Te malowidła... One pokazywały też... przyszłość?

Ale, zaraz. Jakim cudem...? Dlaczego niby...?

Coś szturchnęło go w bok. Obrócił się szybko. Zapomniał już, że tak potrafi. Sahara machnęła puszystym, rozwidlonym ogonem i z uwielbieniem spojrzała mu w oczy.

– Co tu robisz? – fuknął na nią ze złością.

Jak mógł zatopić się w myślach tak bardzo, że jej nie usłyszał? Zawsze powinien być czujny.

– Miałaś zostać przy...

Powietrze przeszył czyjś odległy krzyk. Briant zdrętwiał i gwałtownie obrócił się w stronę schodów.

Nie...

Salaawa jakby wyczuła jego myśli i nim zdążył jej rozkazać, natychmiast skoczyła w stronę schodów, a on ostatni raz spojrzał na malowidła. Jeśli raz opuści skarbiec, już nigdy tu nie wróci. Wszystko ulegnie samozniszczeniu. Gdyby tylko mógł zostać tu choć kilka sekund dłużej...

Zacisnął zęby i pobiegł w stronę wyjścia. Ona była ważniejsza niż wszelkie sekrety świata. Nawet te z przyszłości..

Mknąc przez mrok, z całych sił przeklinał paskudne zaklęcie ograniczające jego możliwości. Gdyby tylko mógł zamienić się w piasek... Gdyby tylko...

Gdzieś przed sobą usłyszał ujadanie Sahary. Miał ochotę zawyć z frustracji. Czemu

ten korytarz był taki długi?! Przecież tam działo się coś straszliwie złego!

Wreszcie ujrzał światło dzienne. Tknięty przecuciem, a może kierując się dawnym odruchem, zacisnął palce na berle, które natychmiast rozsypało się w smugę złotego piasku.

Im bliżej był wyjścia, tym straszniejsze myśli wirowały mu w głowie. Jednak gdy wyskoczył ze starożytnego korytarza, ujrzał obraz, który był od nich milion razy gorszy. Znieruchomiał i wpatrzył się w wypełnione nienawiścią płonące oczy. Serce łomotało mu w piersi jak szalone, a dusze krzyczały z przerażenia.

Tylko nie to!

Rozdział dwudziesty pierwszy

BERŁO ZNISZCZENIA

Gdy ziemia zadrżała, warująca przy progu Sahara jak oparzona zerwała się z piasku. Sonia z przestachem obejrzała się w jej stronę akurat w momencie, gdy Salaawa zniknęła za zaczarowanym przejściem.

Przygryzła nerwowo wargę.

Oby wszystko było dobrze... – pomyślała.

Tak strasznie się bała, że coś mogło pójść nie po ich myśli, że coś groźnego czekało na niego w mroku, że była to kolejna pułapka... Albo że przemienił się w straszego boga, który nie będzie o niej pamiętał. Tak bardzo chciała móc pobiec za nim jak Sahara... Dlaczego nie mogła tam wejść? Ani nawet nawiązać z nim myślowego kontaktu? Nie wiedziała, czy to ona robiła coś nie tak, czy może...

Nie. Wszystko z nim w porządku – uspokajała się w duchu. Wystarczy poczekać. Na pewno nic mu się nie stało... Poradzi sobie z każdym zagrożeniem.

Choć starała się uspokoić swoje myśli, wraz z upływem czasu denerwowała się coraz bardziej. Jej przecucia stawały się gorsze z każdą chwilą. Teraz, kiedy została sama, było to jeszcze bardziej niezdrowe. Wcześniej mogła pocieszać się tym, że Salaawa leży spokojnie, a zatem nic im nie grozi. Ale teraz...

Nie mogąc znieść bezczynności, podniosła się z nieprzyjemnie gorącego podłoża i podeszła bliżej portalu. Zachowując minimalny dystans, nachyliła się bliżej, próbując przeniknąć wzrokiem potężną iluzję lub wyłowić uchem jakiegokolwiek dźwięki.

Nagle wydało jej się, że zza pleców dobiegł ją jakiś szelest. Odwróciła się z mocno bijącym sercem, w pustynnym krajobrazie nie dostrzegła jednak nic podejrzanego. Jedynie gdzieś tam piasek robił się ciemniejszy od przepływających po niebie chmur. Rozluźniła spięte mięśnie i zerknęła w górę, prosto w bezkresny błękit nieba i królujące na nim słońce.

Nie było żadnych chmur.

Blednąc, spojrzała na wijące się na piasku cienie, które zbliżały się do niej coraz szybciej. Pustynia szeptała gorączkowo, że powinna uciekać stąd jak najszybciej. Rozejrzała się i wbiła wzrok w szczyt portalu. Sięgnęła ręką w stronę pierwszej nierówności i pospiesznie zaczęła wspinać się ku górze. Byle dalej od ziemi. Nie było to proste, na dodatek kamień był bardzo szorstki i się kruszył. Miała przeraźliwe wrażenie, że każdy kolejny ruch spowoduje, że runie w dół. A jednak wspinała się dalej. Gdy zawisała na krawędzi półki, rozpaczliwie próbując się na nią podciągnąć, fragment skały ukruszył się pod jej palcami. Z krzykiem bólu zawisała na jednej ręce. Ostatkiem sił wbiła paznokcie w inne miejsce i wdrapała się na półkę, modląc się, by nie okazała się równie delikatna i krucha, jak jej krawędzie. Próbując uspokoić oddech, przyjrzała się swojej kryjówce.

– O nie – szepnęła z rozdrażnieniem. Owszem, znalazła się z dala od czarnego piasku, ale bez wątplenia była widoczna jak na dłoni!

Panika ścisnęła ją za gardło.

O nie. Tylko nie to!

Czarny piasek kojarzył jej się tylko z jednym. Oczami wyobraźni ponownie znalazła się na pustyni w lipcu, a nad nią pochylała się potężna sylwetka potwora.

Wyklęty!

Spróbowała nawiązać kontakt z Briantem, znowu bez skutku. Wezwała więc magię, z całych sił starając się stworzyć wokół siebie najlepszą iluzję w dziejach. Serce głucho tłukło się w jej piersi.

Tylko nie on...

Wzdrygnęła się, gdy nad wydumą naprzeciw wejścia do skarbcza pojawił się utkany z mgły prostokąt, który wypluł z siebie kilka czujnych postaci. Skryta za zasłoną iluzji Sonia wbiła w nie nieprzyjazne spojrzenie.

Bogowie! Dwa, cztery, osiem... Ośmiu – policzyła w myślach.

Mrużąc oczy, próbowała przyjrzeć im się uważniej. Może uda jej się odgadnąć, kim są. Nagle pobladła.

O nie. Ta dziewczyna. Obok Astrid. Przecież to...

– Estera – wyszeptwała prawie bezgłośnie, w bezruchu obserwując, jak bogowie zbliżają się coraz bardziej.

Dlaczego? – krzyczała jej zraniona dusza. Jak ona może być po ich stronie?! Jak może im pomagać?

Niespodziewanie czarny piasek eksplodował, a Sonia skuliła się, jak najbardziej mogła. Z całej siły tłumiąc obezwładniającą ją falę paniki, patrzyła na formującą się postać istoty, która nawiedzała ją w najgorszych koszmarach. Błagała wszystkie siły na ziemi, aby jej nie dostrzegł. Żeby nie przejrzał jej czarów. Nie przeniknął przez jej iluzję.

Wyklęty wyprostował się na całą swą imponującą wysokość. Strwożone serce dziewczyny przyspieszyło jeszcze bardziej. Zdążyła już zapomnieć wszystkie szczegóły wyglądu, które czyniły go tak przerażającym... Gdy wciągnął w nozdrza unoszące się w drgającym od gorąca powietrzu zapachy, jej serce zamarło. Odwrócił się i spojrzał prosto na nią.

– Nie ochroni cię przede mną żadna marna magia, śmiertelniczko – wycharczał z wyraźną satysfakcją. – I tak cię zabiję.

Poczuła szarpnięcie, gdy brutalna siła magii porwała ją w powietrze. Krzyknęła najgłośniej i najbardziej rozpaczliwie, jak tylko potrafiła. W następnej sekundzie demon cisnął nią o podłogę. Leżała wgnieciona w piasek, rozpaczliwie próbując odzyskać dech.

– Kto to jest? – zdziwił się nieznany głos.

W polu jej widzenia zamigotały jakieś cienie. Uniosła przerażony wzrok. I napotkała nim na twarz dawnej przyjaciółki. Estera wydała z siebie zduszony jęk, a stojąca obok Astrid pobladła.

– Sonia...? Co ty tu robisz?!

– Jak to co? – odpowiedział za nią Wyklęty, obserwując starożytny portal. – To chyba oczywiste. Służy Setowi.

– Nieprawda – wycharzczała żałośnie, próbując wyglądać najbardziej nieporadnie, jak tylko się dało. Nie mogli wiedzieć, że jest silniejsza, niż myślą. Wpatrywała się w twarz Estery, zastanawiając się intensywnie, czy wciąż jest osobą, której może ufać.

Która może jej pomóc.

– To co tu robisz? – zapytała nieufnie Estera, choć jej drżące dłonie mówiły, że rozpaczliwie nie chciała wierzyć w słowa demona. Sonia dostrzegła w niej strach. Strach tak ogromny, że natychmiast rozumiała, że nie może liczyć na jej wsparcie.

Była sama.

– Ja... – zaczęła słabo, ale przerwał jej upiorny warkot.

Ze skarbca niczym złota strzała wyskoczyła Sahara i rzuciła się w stronę demona. Sonia natychmiast zerwała się z ziemi i rozłożyła ręce, by przywołać magię. Nie była jednak wystarczająco szybka. Wyklęty odtrącił Salaawę, która uderzyła w piasek i została natychmiast unieruchomiona przez stojących najbliżej niej bogów. Przerazona, Sonia opuściła drżące ramiona. Czuła na sobie spojrzenia ich wszystkich.

– Tym razem nie uda ci się uciec – obiecał złowieszczo Wyklęty.

Sonia poczuła, jak coś dziwnego dzieje się z jej stopami. Rzuciła przestraszone spojrzenie w dół, próbując ruszyć nogami. Jednakże ani drgnęły. Unieruchomiły je wpełzające na jej buty jęczory czarnego piasku. Szarpnęła się, ale ani drgnęła. Serce podskoczyło jej do gardła.

Nie uda jej się uciec, nie bez pomocy magii.

– Jeśli jednak powiesz nam wszystko, co wiesz, twoja śmierć może być nieco mniej bolesna – zaproponował demon. – Co ty na to?

– Ale... – wyjąkała Estera. – Może ona rzeczywiście jest ofiarą? Może Set ją porwał?

– Właśnie – zgodziła się Astrid.

Sonia rzuciła im szybkie spojrzenie. Nawet one same w to nie wierzyły.

Ale... Jeśli jej krzyk usłyszała Sahara...

Być może nie wszystko jest jeszcze stracone.

Nagle oczy Wyklętego zabłysły, jakby odgadł jej myśli. Wyprostował się i obejrzał na wejście do skarbca. Serce Soni zamarło. Ponieważ właśnie w tej chwili z iluzji kamiennej ściany wyłonił się bóg pustyni.

Na jego przystojnej twarzy odbijała się lodowata niechęć, nieco bardziej czerwone oczy błyszczały złowrogo. Czy tylko jej się zdawało, że odrobinę się zmienił? Że stał się bardziej... Wyniosły? Dumny? Silny?

– Znowu ty – wycodził. – A miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał cię oglądać.

Demon drapieżnie poruszył kolczastym ogonem.

– Wiedziałeś, że mieliśmy się jeszcze spotkać, Secie... Ja jestem twoim końcem.

– Chciałbyś. Jak rozumiem, wiesz, że sam nie dorównujesz mi w walce, więc wzięłeś ze sobą kilku bogów. Dla wyrównania sił? Chyba zapomniałeś, że cała armia to i tak zbyt mało, by mnie pokonać.

– Nawet z berłem nie jesteś aż tak silny – prychnął demon.

– Chcesz się przekonać?

– Nie muszę z tobą walczyć, byś zrobił to, co zechcę.

– Ciekawe!

– Niestety nie mnie przypadnie przyjemność zanurzenia w twym sercu ostrza

śmierci... Horus jest jednak z tego powodu niezwykle szczęśliwy, zapewniam. A teraz... Oddaj mi Berło Zniszczenia, Secie. I zwiąż w nim swoją moc.

Briant zmrużył oczy.

– Bo jak nie, to zabijemy twojego psa. I ją.

Sonia znieruchomiała. Rzucił jej szybkie spojrzenie, w którym dostrzegła błysk strachu. Ale może tylko jej się wydawało.

– Chcesz mojego berła? – warknął, a wydmy poruszyły się nieco.

Bogowie rozejrzeli się czujnie.

– To walcz o nie jak wojownik, a nie jak tchórz!

Wyklęty prychnął z pogardą.

– Nie muszę zniżać się do twojego poziomu, bożku piaskownicy. Nie masz wyjścia, jeśli ci na nich zależy. A chyba zależy... nieprawdaż?

Briant wpatrywał się w niego z kamiennym wyrazem twarzy. Choć Sonia widziała po jego sztywnej postawie, że wewnętrznie wcale nie był spokojny.

Obserwując jego nieruchome oczy, miała ochotę się rozplakać. Z jednej strony chciała zawołać, by się nie zgadzał, nigdy. Chciała, by był wolny i silny, by jego życie przestało wyglądać jak pasmo nieszczęść. Jeśli się podda... Na pewno go zabiją. Na pewno! Nie chciała tego tak bardzo! Z drugiej jednak strony najbardziej na świecie bała się, że pozwoli jej umrzeć. Że wyda na nią wyrok. Nie chciała umierać. Tak strasznie... Ale... Musiał coś zrobić. Musiał podjąć decyzję, której ona nie byłaby w stanie podjąć.

Życie dla jednego z nich. Śmierć dla drugiego.

Z trudem łapała oddech. Najgorsze było jednak to, że nie mogła nic zrobić, jedynie czekać i błagać w kłębiącej się w niej sprzeczności, by ratował siebie, ale nie skazywał jej.

Po paru sekundach, które zdały ciągnąć się w nieskończoność, Set zacisnął usta w wąską linię. Bogowie zdrętwieli. Czas zwolnił. Z przerażeniem obserwowała, jak egipski bóg rzuca Wyklętemu mordercze spojrzenie, a potem powoli wyciąga przed siebie dłoń.

– Świetnie – oznajmił Władca Piasków bezbarwnym głosem. – Wygrałeś. Oto moje berło, a w nim moja moc.

Sonia jęknęła z rozpacz.

Nad wyciągniętą dłonią zawirował piasek i uformował się w złotą laskę zwieńczoną głową Salaawy. Wyklęty nieufnie zmrużył płonące oczy.

W oczach Soni stanęły łzy. A więc wybrał ją zamiast siebie. Nie pozwolił jej zginąć. Będzie żyła. Jakże bardzo wstydziła się ulgi, którą odczuwała jakaś część jej. Nie chciała, by całe jego życie zaważyło się jeszcze bardziej. Przez nią... Tak bardzo tego nie chciała... Gdyby mogła zrobić cokolwiek...

– Brawo – prychnął Wyklęty. – Wreszcie zrobiłeś coś mądrego. Thot, weź to od niego.

Wysoki, chudy chłopak niepewnie podszedł bliżej. Briant spojrzał na niego z lodowatą niechęcią. Bóg czasu z wahaniem wyciągnął dłoń po berło.

– Nie bój się! – warknął Wyklęty. – Przecież nic ci nie robi. Związał swoją moc. Jest teraz słaby niczym jego śmiertelna dziewczyna. Czy naprawdę muszę wam wszystko

tłumaczyć?

– Oni wciąż nic nie pamiętają, nie widzisz? – rzucił Briant. – I daleka droga przed nimi, jeśli będą ślepo słuchać czegoś takiego jak ty i człowieka udającego Słońce.

– Nie odzywaj się – warknął demon, a potem rzucił Thotowi złe spojrzenie.

Bóg czasu szybkim ruchem zabrał Berło Zniszczenia, a następnie wycofał się na bezpieczną odległość. Briant zaplótł ręce na piersi i rzucił wszystkim wrogie spojrzenie. Uważnie przypatrujący mu się Wyklęty przekrzywił głowę.

– Coś łatwo poszło – wymruczał podejrzliwie. – Czy na pewno nie próbujesz żadnych sztuczek, bożku piaskownicy?

– Nie nazywaj mnie tak.

– Bo co? Rzucisz we mnie garścią piachu? A może zamordujesz mnie spojrzeniem? Bez berła jesteś nikim. – Obrócił się do bogów, których magia przygniatała do ziemi Saharę. – Dajcie ją tu.

Briant zmarszczył brwi.

– Co chcesz zrobić?

– Och, nic nowego... Jedyne odebrać ci ją, tak jak odebrałem życie wszystkim, którzy kiedykolwiek byli dla ciebie ważni.

Demon z całej siły kopnął unieruchomioną Salaawę. Briant poczerwieniał na twarzy, a jego źrenice zabłyśły z furją.

– Zostaw ją!

– Nie, mój drogi przyjacielu... Zobaczmy, jak zareagujesz, gdy wywlekę jej wnętrzności i zmuszę tę dziewczę do ich zjedzenia...

– Co?! – wrzasnął Set, a Sonia pobladła gwałtownie. – To złamanie umowy! Miałeś im nic nie robić!

– Tak? Nie przypominam sobie.

Wyrwał Thotowi berło i uniósł je wysoko nad głowę. Briant zmrużył płonące oczy. Przypatrująca mu się z przerażeniem Sonia dostrzegła łagodny ruch jego dłoni. W momencie gdy demon opuścił złotą laskę, celując w brzuch psa, piasek spod jego stóp eksplodował i utworzył nad Saharą tarczę, która przejęła na siebie cios. Wyklęty poderwał głowę w stronę swojego wroga, a fałszywe berło w jego ręce rozsypało się w piach. Briant uniósł w niebo swój prawdziwy artefakt. Bogowie natychmiast zaatakowali go swoją magią, ale zaskoczenie sprawiło, że okazali się zbyt wolni. Z ciemniejącego gwałtownie nieba wystrzeliła wstęga błyskawicy, trafiła w Berło Zniszczenia, a następnie odbiła się od niego w postaci dziewięciu promieni i zaatakowała każdego z nich plującą iskrami energią.

Sonia natychmiast wezwała całą swoją moc i uwolniła się z czarnego piasku. Szybko odsunęła się od trzaskających błyskawic i rozejrzała wokoło, szukając sposobu, by pomóc. Krzyknęła ze zgrozą, gdy niespodziewanie Wyklęty wyzwolił się z uderzenia błyskawicy. Przez jedną krótką chwilę spojrzął jej w oczy, aż zadrżała.

– Marne sztuczki ci nie pomogą! – zawył w stronę boga pustyni. – I tak cię zniszczę!

Rzucił się w jego stronę, wyszarpując zza pasa ogromny topór. Briant płynnie odskoczył i przerywając wstęgę elektryczności, obrócił berło, a następnie zamachnął się

na demona śmiercionośnym ostrzem.

– Sonia! – zawołał po francusku. – Wprowadź chaos i uwolnij Saharę! A potem uciekaj!

Wyczuła, jak wypełnia ją jego moc. Znak Seta rozjarzył się czerwienią. Sięgnęła do serca, gdzie czekała na nią jej własna magia. Rozłożyła ramiona, tworząc straszliwą iluzję. Przez ułamek sekundy ujrzała, jak jej czar przemienia świat jego wrogów w płataninę jaskrawych iskier, gdzie ziemia była niebem, a niebo ziemią. Jak tylko skończyła, wyczuła, jak magia Władcy Piasków umyka z jej serca. Pomknęła w stronę unieruchomionej Salaawy, w ostatniej chwili uchylając się przed uderzeniem kolczastego ogona. Z wojowniczym okrzykiem uderzyła ręką w powietrze nad Saharą, unicestwiając wiążącą ją magię, która rozprysła się na boki w postaci błękitnych iskier. Salaawa zerwała się z piasku i warcząc, skoczyła w stronę obracających się w chaotycznym tańcu walki Seta i jego dawnego sługi.

Sonia rzuciła poważne spojrzenie w stronę bogów, aby upewnić się, że jej iluzja jest na tyle potężna, by skutecznie ich obezwładniać. W innej sytuacji widok tego, jak wiją się na piasku i bezskutecznie próbują wstać lub walczyć z wizjami, wydałby jej się zapewne straszny, ale teraz nie czuła dla nich litości. Nawet dla Estery, krzyczącej głośniejsz niż inni.

Zadowolona z efektu, zerknęła na wirującego z furją boga wojny, a potem w stronę otaczających ich wydm, które zdawały się drżeć. Zmarszczyła brwi. Ma uciekać?! Nigdy w życiu! Może przecież pomóc.

Odbiegła trochę dalej, by mieć lepszy widok na demona, a następnie złączyła dłonie i przywołała swoją magię.

– Jesteś stworzeniem mroku, tak? – szepnęła. – Ciekawe, czy spodoba ci się podarunek od Wybranej bogini nieba!

Rozsunęła ręce, pomiędzy którymi zaśniła kula oślepiająco jasnego, tęczowego światła, a potem zamachnęła się i rzuciła nią w demona. Gdy tylko kula zetknęła się z jego skórą, wybuchła i zalała najbliższe otoczenie blaskiem. Demon zawył i skulił się w sobie, a Set z okrzykiem bólu przeturlał się w bok.

Pobladła, a mrużący obolałe oczy Briant zerknął w jej stronę.

– Miałaś uciekać! – wrzasnął. – Na co czekasz?

– Nie mam zamiaru cię zostawić!

– No, dalej! Biegnij!

Wyklęty uniósł głowę i wbił w nią pełne nienawiści spojrzenie krwawiących ślepi. Zacisnął palce na trzonie ogromnego topora.

– Briant! Za tobą!

Zerwał się z ziemi i uniósł berło, gotowy do odparcia ataku. Ostrze topora ze świstem przecięło powietrze. Ale bynajmniej nie pomknęło w jego kierunku.

Sonia otworzyła szeroko oczy i uniosła ręce w obronnym geście. Czas jakby zwolnił. Krzyk zamarł na jej ustach. Przerażony Briant wyciągnął dłoń w jej stronę. Jej magia sprawiła, że broń rozpadła się na setki ostrych jak brzytwa odłamków. Posłuszny jego magii piasek zawirował tuż przed nią, formując się w ochronną tarczę.

Płonące oczy Wyklętego z chorobliwą fascynacją śledziły tor lotu zabójczych

odłamków. Z hukiem zderzyły się z ciągle kształtującą się tarczą, szczęśliwie omijając jej dopiero umacniające się centrum. W przestraszonych oczach Soni pojawił się blady cień ulgi. Kąciki jej ust zadrgały w zapowiedzi uśmiechu.

I wtedy jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie, a z piersi wyrwał się pełen bólu krzyk, gdy ostry metal przebił najsłabszy punkt tarczy, a następnie jej ciało, by na końcu spalić się na popiół. Poczowała falę bólu tak strasznego, jakiego nigdy wcześniej nie mogła sobie nawet wyobrazić. Jakby ktoś wlał jej do krwi rozgrzane do białości żelazo. Świat zachwiał się w posadach. Zatoczyła się i wbiła nic nierozumiejące spojrzenie w pobladłą twarz przyjaciela. Przycisnęła drżące dłonie do piersi, rozpaczliwie próbując zatrzymać uciekające z niej życie.

Usłyszała, jak zawołał jej imię. Otoczyła ją dziwna cisza przerywana jedynie jej przestraszonym oddechem. Zakręciło jej się w głowie.

Z westchnieniem osunęła się na ziemię, mając świadomość jedynie tego, że robi się coraz słabsza. Oczy zaszyły jej mgłą. Czuła łzy na swojej twarzy. Świat wokół niej zaczął tracić kontury. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, były zrozpaczone oczy bladego chłopca, którego imienia nie mogła sobie już przypomnieć. Wydało jej się, że ktoś szepnął jej imię... Później nie widziała już nic.

Ogarnęła ją najgęstsza na świecie ciemność.

Rozdział dwudziesty drugi

UKŁAD

To nie mogło dzieć się naprawdę. Nie mogło!

Przecież ona... Ona nie mogła zginąć! Nie...

Briant z rozpaczą patrzył, jak osunęła się na piasek. W pierwszym odruchu chciał rzucić się w jej stronę, zerwać z szyi Amulet Ozyrysa i spróbować ją ratować. Jednak nic nie zrobił. Zupełnie nic. Jako bóg widział tyle śmierci, że potrafił dostrzec, gdy nadchodziła, nieubłagana. Gdy nic nie dało się zrobić.

Wciąż miał przed sobą jej obraz. Ten sprzed kilku zaledwie sekund... Gdy spojrzała na niego, przekonana, że uratował ją i tym razem. Z całej siły zacisnął palce na berle. Zawiódł. A ona umarła. Została zamordowana! Przez niego.

Tak jak Astarte.

Otworzył oczy i wbił płonący nienawiścią wzrok w istotę, która odebrała mu wszystkie najbliższe osoby. Jego twarz wykrzywiła się w straszliwym grymasie. Wyklęty triumfalnie wyszczerzył kły. Bogowie uwolnieni z iluzji, która umarła wraz z Sonią, szybko wracali do siebie.

Zepchnął smutek gdzieś na dno serca i zastąpił go oceanem furii. Zakręcił berłem i ze straszliwym okrzykiem wbił je w ziemię, przelewając w nie wszystko, co czuł. Całą rozpacz, całą winę, całą wściekłość, cały ból. Ziemia zatrzęsała się gwałtownie, zwalając wszystkich z nóg i wzburzając piasek ze wszystkich wydm naokoło. Gwałtowny wichur porwał złote drobiny wysoko w górę, gdzie zawirowały szaleńczo, tworząc burzę piaskową. Powietrze wypełniło się straszliwym hukiem. Z ciemniejącego w zastraszającym tempie nieba wystrzeliły wstęgi piorunów, rzucając upiorne błyski na pograżony w chaosie świat.

Set wyrwał z ziemi Berło Zniszczenia i rzucił się na demona.

Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

– Zostaw mnie! – wrzeszczała Estera, wrywając się Astrid, która odciągała ją jak najdalej od Seta, Wyklętego i... Soni.

Sonia! O Boże, przecież to niemożliwe! Ona... ona nie mogła umrzeć! Nie, nie, nie!

– krzyczała w duszy Estera.

– Przestań! – warknęła znajdująca się na skraju wytrzymałości Neftyda. – Zarządzili odwrót! Musimy się wycofać. Nie damy mu rady! Nie, gdy stał się w pełni sobą i na dodatek napędza go złość... Jesteśmy za słabi!

– Ale... tam jest Sonia!

– Ona nie żyje! – wrzasnęła Astrid. – Już za późno! Nic nie zrobisz! Sama musisz się ratować!

Po twarzy Estery spłynęły łzy rozpacz. Załkała, ale przestała się wrywać. Chwiejąc się i wywracając na uciekającym spod nóg podłożu, nieskutecznie osłaniając oczy, usta i nos od gwałtownych piaskowych tumanów, próbując dostrzec cokolwiek

w złowrogim półmroku, pobiegły razem w stronę mglistego portalu.

– *Dlaczego go zabiłeś?* – zawodziła Izyda, pochylona nad pustym sarkofagiem. – *Jak mogłeś mi go odebrać? Czy naprawdę nie rozumiesz, że nie chciał jej śmierci...? Że gdyby nie podszept podarowanego mu przez ciebie sługi, tego, którego zabiłeś po zniszczeniu największej świątyni, nigdy nie skazałby cię na takie cierpienie? Byliście braćmi! Kochałam go! Dlaczego go zabiłeś...?*

Gwałtownie obrócił się w jej stronę. Świat zamarł, tak jak jego oddech. Patrzył na zrozpaczoną boginię, ale jej nie widział. Przed szeroko otwartymi oczami majaczył mu obraz Astarte.

– *Sługi? – warknął. – Demona?*

I wszystko stało się jasne. Zadrżał gwałtownie.

Wyklęty!

Zacisnął pięści i wypadł ze świątyni. Burza otoczyła go swymi mrocznymi ramionami. Pustynia przeniosła go do swego serca. Świat zadrżał w posadach, niezdolny znieść jego rozpacz i jego złości.

Przez wieki nienawidził brata, podczas gdy to jego własny sługa zadał mu najdotkliwszy cios! Gdyby tylko mógł, z chęcią ponownie zabiłby jego imię i tym samym jego, by skazać go na niekończące się męki w Dat. Gdyby tylko wiedział...

Set poruszał się z prędkością błyskawicy, wkładając w ciosy całą siłę niszczycielskiego żywiołu. Nic nie było w stanie go powstrzymać. Nie, gdy napędzały go desperacja i szal zemsty. Był szybki jak pioruny, zwinny jak wiatr, silny jak huragan. Czasami kątem oka dostrzegał Saharę, która kąsała demona, gdy nie patrzył w jej stronę.

Wyklęty syknął, gdy po raz kolejny Berło Zniszczenia zadało mu piekącą jak diabli ranę. Cofnął się o kolejny krok. Znów chybił. Powoli tracił siły. Wypełnione ogniem ślepie zabłyśły z furją. Nie mógł przegrać...!

Zawirował, strzelając kolcami z ogona i zamachnął się toporem, wkładając w cios całą swą siłę. Oczy boga wojny zaśniły triumfalnie. Odskoczył i wykonał szybki ruch berłem. Drzewce zadrżało gwałtownie, gdy wbiło się prosto między żebra Wyklętego. Demon zawył i szarpnął się w tył. Set uśmiechnął się drapieźnie i odsunął poza zasięg pazurów. Tkwiące głęboko w ciele demona berło dymiło. Smolista, sycząca wściekle krew spływała z rany, wyparowując po dotknięciu zaklętego złota. Briant uniósł dłoń do nieba, a drugą w stronę serca wroga. Wyklęty szarpnął za berło, ale nie mógł go wyciągnąć, gdyż paliło jego skórę jak siarka.

– *Nie uda ci się mnie zabić!* – zawył, rzucając się w stronę boga pustyni.

– *Przeciwnie!* – zawołał Set, uskakując i wzywając kolejne błyskawice. – *To ja jestem twoim końcem!*

Ich spojrzenia spotkały się na jedną krótką chwilę. Ogniste oczy jarzyły się z desperacją. W kasztanowoczerwonych wirowały zabójcze iskry. Pioruny wystrzeliły z czarnych chmur. Demon warknął i uniósł głowę. Ułamki sekundy przed tym, jak trafiły weń błyskawice, rozpadł się w miliony czarnych ziarenek, które w jednym momencie pochłonęła burza piaskowa.

Energia zamiast w ciele Wyklętego wypaliła dziurę w ciemnożółtej pustyni.

– Nie! – zawołał wściekle Set. – Wracaj! Walcz ze mną!

Ale już był sam, otoczony przez złote morze.

Warknął ze złością i podniósł z ziemi berło. A potem z oporem odwrócił się w stronę jedyne go spokojnego miejsca na całej Saharze. Czerwień jego oczu zbladła. Wykonał łagodny ruch dłonią, uspokajając burzę i rozrywaną wstrząsami ziemię. Piasek opadł na pustynię, układając się w nowy wzór wydm. Po wejściu do skarbcza nie został najmniejszy ślad.

Czując się niczym w najgorszym z koszmarów, podszedł ostrożnie do spoczywającego nieruchomo ciała, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Nastroszona Sahara podbiegła do Soni pierwsza i trąciła ją nosem w znieruchomiałą dłoń. Jego serce skurczyło się w bólu.

Przecież... To niemożliwe! Przecież ona nie może...

Osunął się na piasek obok niej. Zamrugął i z bólem spojrzał na jej śliczną twarz oświetloną światłem zachodzącego słońca. Spoczywała na poduszce ze złotych, rozrzuconych w nieładzie włosów. Lekko zadarty nosek rzucał cień na jeden z policzków, sprawiając wrażenie, jakby znaczyła go szrama. Karminowe usta były lekko uchylone, przez co jeszcze bardziej wyglądała, jakby tylko spała. Zadrżał. Jak bardzo chciał wierzyć, że żyje... Jak bardzo chciał nie dostrzegać rdzawej plamy na jej sercu i otaczającym ją piasku.

Wbił paznokcie w piasek. To nie tak miało być. Nie tak miało się to wszystko skończyć! Mieli żyć razem długo i szczęśliwie. Dlaczego tak się nie stało?

Jaki on był koszmarnie głupi, gdy myślał, że może ją przed wszystkim ochronić! Nie powinien był jej tu ze sobą zabierać... W ogóle nie powinien był się z nią przyjaźnić. Ani się w niej zakochiwać. Gdyby to wszystko się nie zdarzyło... na pewno nadal by żyła.

Wpatrzył się w jej twarz zgaszonymi oczami.

To wszystko była jego wina.

– Przepraszam, Sonia – szepnął rozdartym głosem. – Zrobiłbym wszystko, by to zmienić. Gdybym tylko mógł...

Z rozpaczą spojrzał na porzucone obok berło. Teraz lśniące na nim zdobienia nie wydawały mu się już takie piękne. Rubiny krwawo jaśniały w blasku umierającego słońca.

Nie czuł już euforii ani nawet cienia satysfakcji. Zapłacił za nie cenę, na którą nigdy nie chciałby się zgodzić.

Gdyby tylko był jakiś sposób... Zrobiłby wszystko! Mógłby zrzec się całej swojej mocy, absolutnie wszystkiego, byle tylko ją odzyskać... Nie chciał znów mieć w sercu tej okropnej pustki. Nie chciał być sam. Chciał być z nią. Na zawsze.

Zacisnął palce na złotym drzewcu tak mocno, aż zabolalo. Berło Zniszczenia. Jakże trafna miało nazwę. Dlaczego zamiast niszczyć, nie mogłoby naprawiać...? Dlaczego w całej swej potędze nie mogło wrócić jej życia...?

Zmarszczył brwi, gdy przez jedną krótką chwilę ujrzał przebłysk wspomnienia. Kolumna w skarbcu. Chłopiec pochylony nad starożytnym sarkofagiem.

Odrzucił berło i drżącymi płacami dotknął zawieszzonego na szyi Amuletu Ozyrysa.

Desperacki pomysł pojawił się w jego głowie.

Amulet... Tysiące lat temu posłużył Izydzie do wskrzeszenia samego Ozyrysa.

Pobladł.

Ale przecież nie miał pojęcia, gdzie jest Izyda. Ani nawet jak się z nią skontaktować.

Jeśli te malowidła naprawdę pokazywały przyszłość...?

Jak oparzony zerwał się z piasku.

– Sahara! – rzucił słabym głosem. – Zostań tu. Pilnuj Soni.

Zmaterializował się najbliżej starożytnej świątyni, jak tylko mu pozwoliła. Przemykając w półcieniu monumentalnych kolumn, wyczuwał w nagrzanym powietrzu jeszcze więcej nienawiści niż wcześniej. Duchy Abydos rozpoznały w nim najczystsze wcielenie starożytnego bóstwa i jeszcze bardziej niż kiedyś zapragnęły jego cierpienia.

Biegając kamiennymi korytarzami, łowił uchem wrogie szept. Cienie zdawały się poruszać i sięgać w jego stronę, a hieroglify pełzać po ścianach. Lecz tym razem był silniejszy. Nawet ciemność, poprzednim razem skrywająca przed nim swe tajemnice, musiała mu ulec. Bo tym razem był w pełni sobą. I był gotów zrobić wszystko, by zmienić przeszłość.

Bez trudu odnalazł skryte za iluzją przejście. Odpychając wspomnienia tego, jak odkrył je razem z nią, zanurkował w sekretny korytarz. Już wkrótce znalazł się na pierwszym rozdrożu. Nawet się nie zatrzymując, skręcił w prawo. W tunel, z którego zionęły lodowaty chłód i straszliwa niechęć, wysyłające mu jasny sygnał.

Trzymaj się z daleka.

Nie posłuchał. Musiał odnaleźć grobowiec boga, którego kiedyś zabił, i coś mówiło mu, że powinien podążyć właśnie tą ścieżką. I dlatego na każdym kolejnym rozdrożu wybierał korytarz, który bardziej go odpychał. Z każdym pokonanym zakrętem wyczuwał, że powietrze stawało się coraz zimniejsze, korytarze bardziej zakurzone, pajęczyny rozrośnięte, a tajemnicza obecność wypełniająca każdy centymetr świątyni – bardziej złowroga.

Groza wypełniała to miejsce. Bez wątplenia każda inna istota, która zapuściłaby się w ten labirynt, już dawno by zawróciła. Nawet Briant, choć uważał się za osobę najodważniejszą na świecie, robił się coraz bardziej nerwowy. Wydawało mu się, że jego oddech niesie się upiornym echem we wszystkie strony. Z pustych kątów obserwowały go martwe oczy. Serce biło szybciej niż normalnie. Ale szedł dalej. I nie miał zamiaru się zatrzymać.

Wreszcie gdy wydechane przez niego powietrze zaczęło zamieniać się w obłoczki pary, a przytłaczająca go nienawiść stała się nie do zniesienia, ujrzał przed sobą ozdobny portal. Wszedł ostrożnie do ogromnej, pogrążonej w mroku komnaty. Jej ściany pokrywały prastare malowidła o wciąż widocznych kolorach, ale jeden rzut oka upewnił go, że nie ukazywały nic interesującego. Jedynie to, co sam wiedział. Przy kolumnach spoczywały zachwycające skarby, na które nie zwrócił najmniejszej uwagi. Wbił za to spojrzenie w największy, najbardziej ozdobny sarkofag, jaki kiedykolwiek powstał.

Spoczywał na bogatym wzniesieniu w samym centrum i roztaczał wokół siebie zielonkawe światło. Briant podszedł do niego powoli, wstrzymując oddech. Jak do dzikiego zwierzęcia, które mogło rzucić się na niego w każdej sekundzie.

Nie ufał niczemu w tym grobowcu.

Spojrzał na wyrzeźbioną w wieku twarz swojego starożytnego brata, czując, jak po skórze przebiegają mu dreszcze. Alabastrowy sarkofag zdawał się delikatnie drzeć, a nieruchome oczy śledzić każdy jego ruch. Ostrożnie obszedł kamienny prostokąt, przyglądając się pokrywającym go malunkom, ale kątem oka nieustannie pilnował malowanej twarzy. Na wszelki wypadek.

Gdy nie znalazł nic ciekawego, zatrzymał się zmartwiony. Skupił wzrok na wieku sarkofagu i zmarszczył brwi z determinacją. Położył lodowate ręce na krawędzi kamienia. Skrzywił się, gdy poczuł, jak wieko wyżera mu skórę dłoni. Tłumiąc jęk, pchnął je z całej siły. Rozległ się upiorny zgrzyt, gdy płyta przesunęła się o kilka centymetrów. Pchnął jeszcze mocniej, a wieko odsunęło się o kolejne centymetry. Przez powstałą szparę z wnętrza sarkofagu z upiornym syczeniem wydobył się zielony dym. Briant odskoczył jak najszybciej i odsunął się aż pod ścianę, z przestachem przyglądając się swoim dłoniom. Nie dostrzegł jednak na nich nawet najmniejszego pęcherza czy rany.

Dopiero po dłuższej chwili, gdy nabrał pewności, że wściekle zielony dym rozpląnął się w powietrzu, odważył się wrócić do podwyższenia. Natychmiast otoczył go odrażający aromat rozkładu. Poszarzał na twarzy, z trudem powstrzymując odruch wymiotny, ale po raz ostatni pchnął płytę. Wieko z hukiem upadło na podłogę, jedynie cudem nie rozpadając się na części.

Otoczony oparami pleśni, zmusił się, by zajrzeć do środka, z całych sił odrzucając nasuwające mu się obrazy tego, co może tam znaleźć. I znieruchomiał ze zdumieniem. Oraz ulgą.

Sarkofag był pusty.

Nie było nawet trumny-pułapki, którą podarował Ozyrysowi.

Nachylił się nad ozdobionym rzędami drobnych linii wnętrzem sarkofagu. Nie od razu zorientował się, że linie te nie były liniami, lecz rzędami malutkich hieroglifów. Wskoczył do sarkofagu i przysunął twarz do zatartych miejscami znaków. Przeskakiwał od fragmentu do fragmentu, chłonąc ich treść.

Gdzieś tu musi być jakaś wskazówka... – myślał gorączkowo.

Wreszcie jego oczy załśniły, gdy natrafił na dokładny opis wskrzeszenia boga zmarłych. Skrzywił się z zawodem. Amulet Ozyrysa i moc Izydy. Super. Tyle to sam wiedział.

Mam amulet, owszem, ale co z Izydą? Naprawdę nie ma innego sposobu?

– Bez sensu – warknął pod nosem, prostując się i spoglądając na ogromne ściennie malowidło ukazujące Ozyrysa. Martwe oczy zdawały się patrzeć prosto w jego własne. Przekrzywił głowę, mrużąc oczy. Myśli szalały mu w głowie.

Pamiętał doskonale słowa pana Mandary. Ozyrys wciąż był martwy. Czekał na wskrzeszenie.

I to była jego szansa.

– Ozyrysie? – szepnął z wahaniem w pustkę grobowca. – Czuję, że tu jesteś. Wiem,

że mnie słyszysz. Nie wątpię, że wciąż mnie nienawidzisz, ale... Mam dla ciebie propozycję. Skontaktuj się z Izydą, gdziekolwiek się znajduje. Na pewno możesz... I... proszę, powiedz jej, że potrzebuję jej pomocy, by przywrócić życie Soni. Ona jest taka niewinna... Nie zasłużyła, by umrzeć tak młodo. Pomóż jej. Jeśli to zrobisz, obiecuję, że pomogę im przywrócić do życia i ciebie. Słyszysz? Zrobię to. Przysięgam. Na wszystkie moje dusze. Tylko ją uratuj... Proszę...

Z prawdziwym trudem wypłuł z siebie ostatnie słowo. Zamilkł, z wyczekiwaniem wsłuchując się w panującą wokół ciszę. Wydało mu się, że otaczająca go pełna nienawiści aura nieco przygasła. Jeśli to była prawda... Jeśli to nie było złudzenie... To mogło znaczyć tylko jedno.

Duch Ozyrysa zgodził się na układ.

– Dziękuję – powiedział cicho i wyskoczył z sarkofagu.

Rzucił malowidłu ostatnie spojrzenie i pobiegł w stronę wyjścia.

Nie miał dużo czasu.

Gwiazdy migotały na bezkresnym niebie, równie czarnym jak jego nastrój. Sahara kręciła się wokół niepewnie, przyglądając się jego przygotowaniom.

Wreszcie, z trudem panując nad nerwami, podszedł do spoczywającej na piasku Soni. Obrzucił ją wypełnionym żalem spojrzeniem, po raz kolejny łapiąc się na skrywanej nadziei, że tak naprawdę jest jedynie pogrążona we śnie... Wyglądała tak spokojnie. Tak pięknie, gdy jej rysy oświetlał księżyc. Gdyby tylko nie widać było zakrzepłej krwi...

Ostrożnie, jakby była ze szkła, uniósł jej bezwładne ciało i zaniósł na prostokątny ołtarz z piaskowca, znajdujący się w środku okręgu stworzonego przez siedem trzaskających smutno pochodni.

– Dam radę, Sonia – obiecał cicho, delikatnie kładąc ją na kamieniu. – Zobaczysz.

Do jej znieruchomiłych dłoni włożył jarzący się blado Amulet Ozyrysa, a następnie podpalił i zgasił siedem ułożonych wokół kadzideł, których delikatne zapachy natychmiast zatańczyły w powietrzu. Uniósł drżące ręce wysoko w górę i zamknął oczy. Z całych sił modląc się, by Ozyrys wywiązał się ze swojej części umowy, zaczął mamrotać zaklęcia mające połączyć jego magię z potęgą krzyża ankh. Z każdym wypowiedzianym zdaniem czuł, jak zwiększa się natężenie magii w otaczającym go powietrzu. Ogień pochodni poruszał się coraz gwałtowniej mimo braku wiatru. Powietrze aż trzeszczało. Gdy zaczął obawiać się, że dłużej nad nią nie zapanuje, otworzył wypełnione wirującą energią oczy i położył dłonie na zimnym amulecie.

– Błagam, Izydo! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Musisz mi pomóc.

Spojrzał w stronę nieba i wykrzyczał wraz z wiatrem ostatnie słowa zaklęcia. Ziemia zadrżała łagodnie, bezchmurne niebiosy wypłuły oślepiającą wstęgę błyskawicy, która wniknęła w Amulet Ozyrysa, rozjarzając go tęczowym blaskiem. Powietrze wypełnił ogłuszający huk. Bóg pustyni zacisnął powieki i odwrócił głowę, nie mogąc znieść takiej jasności.

Wydało mu się, że ktoś szepnął jego imię. Dziewczęcy głos, tak bardzo mu znany. Nie głos Soni, ale inny. Nim jednak zdążył przypisać go konkretnej osobie, światło znikło,

a wraz z nim zgasły z sykiem wszystkie pochodnie.

Nad pustynią zapadła ciężka cisza.

Briant otworzył oczy i wbił je w leżącą spokojnie Sonię. Tętno przyspieszyło mu gwałtownie. Trzymany przez nią krzyż łagodnie lśnił, ale coraz słabiej.

– S... Sonia?

Nadal się nie poruszała. Nie dostrzegał zmiany.

Ale przecież musiała nastąpić.

Nachylił się ostrożnie, by wyczuć jej oddech, a ręką ujął jej bladą dłoń w poszukiwaniu pulsu. W szeroko otwartych oczach jaśniała rozpaczliwa nadzieja.

Czekał długo. Bardzo długo. Na jakikolwiek znak. Na jakiegokolwiek drgnienie. Na choćby najpłytszy oddech.

Jednak nic się nie zmieniło. Pozostała równie nieruchoma jak wcześniej.

Równie martwa.

Z piersi wyrwał mu się głuchy jęk. Ciężko osunął się na ziemię, oparł głowę o kamienną ścianę ołtarza i zacisnął powieki.

Nie udało się.

Ona odeszła.

Odeszła na zawsze!

– Nie...! – szepnął z rozpaczą. – To niemożliwe...! Nie...

Nie miał siły dłużej udawać kogoś silnego. Nie walczył już ze łzami. Pozwolił, by spłynęły mu po twarzy.

Jak mogło do tego dojść? Jak to możliwe...?

Gdy poczuł trącający go ostrożnie nos Sahary, przytulił się do niej w poszukiwaniu wsparcia.

– Jaki byłem głupi! – wydusił drżącym głosem, chowając twarz w jej sierść. – Łudziłem się, że w dzień moich urodzin nie stanie się nic złego... A stało się najgorsze. Straciłem ją! Straciłem, Saharo... Na wieki...

Nie rozumiał, dlaczego się nie udało. Przecież wszystko zrobił dobrze! Nawet wybrał godzinę, gdy magia nocy była najsilniejsza. Zrobił wszystko dokładnie w tym miejscu, w którym umarła, żeby zwiększyć moc zaklęć! Co więc poszło nie tak?!

– Przepraszam, Sonia – szepnął drżącym głosem. – Tak mi przykro... Zrobiłbym wszystko, byś mogła żyć!

Miał wrażenie, jakby cały jego świat runął. Ponownie. Jakby cofnął się w czasie, znów do tego przeklętego momentu, gdy został sam na świecie... Sam. Z raną w sercu i pustką w duszy. Ze złością i pustynią jako jedynymi towarzyszami. Z zemstą jako nadzieją. Z rozpaczą jako nieodstępującym go towarzyszem. Poczuciem winy widocznym za każdym razem, gdy spojrzał w swe odbicie.

Otworzył wypełnione nieszczęściem oczy, w których obok głębin rozpacz i cieni cierpienia migotały iskierki bezsilnej złości.

– Ozyrysie! – wydusił złowrogo. – Bądź przeklęty za to, że dałeś mi nadzieję... Gnij w swojej śmierdzącej Krainie Umarłych aż do końca świata! Nigdy nie pomogę ci się z niej wydostać. Nigdy. A jeśli kiedyś cię wskrzeszą, przysięgam, że znów cię zabiję. Tym razem skuteczniej niż kiedyś.

Uniósł wzrok ku zrozpaczanej czerni nocy. Niby był tak bardzo potężny. Miał władzę nad zniszczeniem, pustynią, iluzją i ciemnością. Niby tak wiele potrafił. Niby był taki inteligentny i sprytny. Znał każdy fortel wojenny, jaki kiedykolwiek został wymyślony. A jednak był tak słaby... Nie mógł ocalić niczego, co kochał. Ani rodziny, ani przyjaciół. Ani nawet dziewczyny, dla której mógłby zrobić wszystko.

Wiedział, że gdzieś obok spoczywało na piasku porzucone przez niego berło. Przedmiot, dla odzyskania którego jeszcze dzisiaj rano zrobiłby prawie wszystko. Teraz... Teraz nie miał siły nawet go oglądać. Może gdyby dało się cofnąć czas... Ale niestety nie było to możliwe.

Na nowo musiał przyzwyczać się do tego, że kolejna osoba nigdy już do niego nie wróci. Że znów utracił kogoś na wieki. Że znów przez niego zniszczono czyjeś niewinne życie.

– Chcę, by wróciła – szepnął w przestrzeń martwym głosem. – Tylko tego... Czy to naprawdę tak wiele?

Gdzieś z oddali dobiegł go pomruk burzy.

Życie było tak bardzo niesprawiedliwe! Dlaczego odbierało mu wszystko, na czym mu zależało? Nie zasłużył na to! Ani tym bardziej ona. Powinna żyć... A on nie powinien znów zostać sam. Nie chciał tego więcej.

Na chwilę przestał oddychać, by powstrzymać napływające nieustannie łzy. Miał tego wszystkiego tak bardzo dość! Tak bardzo... Nie miał sił, by zmierzyć się z rzeczywistością... Ale przecież powinien być silny. Silny i potężny... Nie taki jak teraz.

Podniósł się i wpatrzył w jej nieruchomą twarz. Wbił paznokcie w piaskowiec. Musiał się z tym pogodzić, ale nie mógł pograżać się w rozpacz. Miał tyle do zrobienia... Musiał się zemścić. I...

Pobladł ze zgrozy.

Doskonale wiedział, co powinien zrobić następnego dnia. Musiał tam pójść. Musiał im powiedzieć, nawet jeśli bał się tego najbardziej na świecie. Musiał. Był jej to winien. Jej rodzina miała prawo wiedzieć, jak zginęła. I dlaczego. Z czyjej winy.

Obserwując tańczący w jej włosach wiatr, na jedną krótką chwilę pozwolił sobie ulec kuszącym go myślom. Mógłby stworzyć iluzję. Tak potężną, że nigdy nie zorientowaliby się, że to nie jest prawdziwa osoba... Uniknęliby nieszczęścia. Myśleliby, że wciąż jest z nimi... Nie musiałby im nic tłumaczyć...

Odrzucił ten pomysł, zanim zdążył na dobre zagościć w jego myślach. To by nic nie zmieniło. Wcale nie uniknęliby nieszczęścia. Nawet najbardziej doskonała iluzja jest ostatecznie tylko iluzją. Nie może ich tak oszukać. On sam nie chciałby zostać tak okłamany. Zasługiwali na to, by poznać prawdę. Całą. Ona... też na pewno by tego chciała.

– Powiem im wszystko – obiecał drżącym głosem. – A potem... Potem przyprowadzę ich tutaj, by mogli cię zabrać. Na zawsze.

Przesunął dłonią po krawędzi ołtarza. Piaskowiec zadrżał, a następnie zaczął się przemieniać. Jego środek łagodnie zapadł się do wnętrza kamiennego bloku, pozostawiając jedynie grube na dwa palce ściany. Gdy ciało Soni znalazło się wewnątrz ołtarza, wszystko znieruchomiało. Piasek zawirował i uformował się w prostą pokrywę

sarkofagu, która z cichym stukotem odcięła ją od świata.

Briant ciężko oparł się o skrzynię i schował twarz w dłoniach. Sahara kulila się na ziemi przy jego nogach. Niczym skała, która się nad nią zamknęła, trwali w bezruchu aż do świtu, wyznaczającego nadejście nowego dnia. Dnia, którego tak bardzo nie chciał. Któremu nie miał siły stawić czoła.

Bowiem świat bez niej stracił dla niego całe swoje znaczenie. Nie był nic wart.
Absolutnie nic.

Z trudem panował nad trzęsącymi się dłońmi. Prawie nie mógł oddychać, a oszalałe serce wyrywało mu się z piersi. Zerknął w szybę samochodu, za którym się chował. Widoczna w niej Marysia Żaluzja jeszcze nigdy nie wyglądała na tak przestraszoną.

Plan był prosty. Pojawi się jako ona, bo ją znają. A potem... Dopiero później ukaże im swoją prawdziwą twarz. I opowie wszystko. Całą prawdę.

Policzył do dziesięciu i dopiero wówczas zmusił się do opuszczenia bezpiecznego cienia. Wbił spojrzenie w tak dobrze znany sobie dom i z niezdecydowaniem ruszył w jego stronę. Z każdym krokiem atakowało go coraz więcej wspomnień... Tyle obrazów! Jej uśmiech, roześmiane oczy, jedyny prawdziwy pocałunek... Zadrżał. Miał ochotę uciec stamtąd jak najprędzej i zaszyć się gdzieś w jakimś ciemnym, odludnym miejscu, w którym mógłby w spokoju rozpamiętywać nieszczęście, jakie ją spotkało...

Ale nie mógł. Był jej to winien.

Czując się jak we śnie, przystanął przed furtką i uniósł dłoń, by zadzwonić przez domofon. Ujrzał ją dopiero wtedy. Jego ręka zamarła, podobnie jak serce. Obok domofonu wisiała śnieżnobiała kartka, a na niej znajdował się krzyż oraz... jej imię i nazwisko. Z wrażenia odebrało mu dech. Nie rozumiał wprowadzić zdań wypisanych pod jej imieniem, ale mimo to nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, co oznaczały.

– Niemożliwe – wydusił.

Skąd oni mogli wiedzieć o tym, że... odeszła? Przecież...

Ogarnęły go bardzo złe przeczucia. Bardzo, bardzo złe.

Wyczuł za sobą czyjąś obecność. W ostatniej chwili powstrzymał odruch, który kazał mu zaatakować skradającego się za jego plecami intruza. Zamiast tego obrócił się czujnie. I spojrzał w nagle dużo starszą, zastygłą w wyrazie smutku twarz babci Soni. Jej oczy były podpuchnięte i zaczerwienione od długiego płaczu.

– Marysiu! – westchnęła płaczliwie i przytuliła się do niego.

Z przerażenia wstrzymał oddech, próbując zrozumieć, co się dzieje.

Jak mogli tak szybko dowiedzieć się, że ona...? No bo przecież...

Babcia szepnęła coś przez łyzy, ale nie rozumiał ani słowa.

– Dzień dobry – udało mu się wydusić, gdy stłumił nowe wyrzuty sumienia, że kobieta cierpiała przez niego...

Łagodnie ujęła go za ramię i powtarzając coś z bólem, otworzyła furtkę i pociągnęła go w stronę domu. Musiał walczyć ze sobą z całych sił, by nie stawiać jej oporu. Tak strasznie chciał uciec... W głowie słyszał tylko ogłuszający szum. Tak bardzo nie chciał tam być... Tak bardzo!

Nim zdążył się uspokoić, babcia wprowadziła go do salonu, w którym znajdowała się pogrążona w rozpacz najbliższa rodzina Soni. Atmosfera była tak przytłaczająca, że niewiele brakowało, by przestał nad sobą panować i wybiegł na zewnątrz. Oni wszyscy... Byli tak bardzo nieszczęśliwi. Przez niego ją stracili... Gdyby nie on, nadal by żyła. Nie musieliby teraz jej opłakiwać. Nie musieliby żałować, że nie spędzili z nią jej ostatnich chwil...

„To przez ciebie” – szeptały ponuro głosy w jego głowie. Najgorsze, że nie potrafił się z nimi nie zgodzić.

Nikt nie zwrócił większej uwagi na jego pojawienie się, za co był bardzo wdzięczny. Wykorzystał to, że babcia wreszcie go puściła, i wycofał się pod bezpieczną ścianę, bliżej wyjścia. Zrobił to w samą porę, bowiem niemal w tym samym momencie do salonu od strony kuchni wszedł poważny człowiek w mundurze policjanta. Nie był to jednak tata Soni. Briant zdrętwiał i oparł się o ścianę, ze wszystkich sił starając się nie rzucać w oczy.

Dręczące go przeczucia stały się jeszcze mroczniejsze.

Policjant zaczął rozmawiać z bladymi jak śmierć rodzicami Soni, a kilka innych osób przysłuchiwało się temu w ciszy przerywanej cichym płaczem. Bóg pustyni starał się zapanować nad przerażeniem i przyszykować do chwili, w której będzie musiał wszystko im wyjaśnić. To wszystko... To wszystko było jeszcze gorsze, niż myślał! Jak on da radę...?

Nagle poderwał głowę i otworzył szeroko oczy.

CO?! To przecież niemożliwe! Dlaczego... Dlaczego on...?

Dlaczego wśród tylu niezrozumiałych słów usłyszał te tak dobrze sobie znane? Dlaczego on powiedział... Briant de Ramen?

Wbił nic nierozumiejący wzrok w twarz policjanta. Dlaczego on wymówił jego imię?!

Przecież... Przecież... O nie.

Wstrzymał oddech, a na jego twarzy odbiło się przerażenie.

O nie. Nie, nie! Nie mogli przecież... Nie mogli im wmówić, że to moja wina...! Nie mogli!

Ukradkiem rozejrzał się po salonie. Nikt na niego nie patrzył, więc z oszołomieniem wycofał się z pomieszczenia, a potem oparł o ściankę pustego korytarza, walcząc z zawrotami głowy.

– To przecież nie ja – szeptał jak w gorączce. – Nigdy bym tego nie zrobił... Jak oni mogli...?! To nie ja! Nie chciałem... Jak mogli?

Najgorsze było jednak to, że gdzieś w głębi duszy rozumiał tę strategię. I coś mu mówiło, że na ich miejscu zrobiliby dokładnie to samo. To był przecież idealny sposób na jeszcze głębsze pogrążenie wroga. Na jeszcze mocniejsze jego zniszczenie. Sposób, by uderzyć w ostatni czuły punkt. Tak, by nigdy się już nie podniósł.

Zrobić go mordercą osoby, która była dla niego całym światem.

Idealne rozwiązanie.

Przez szum jego rozszalałych myśli przedarł się odległy szloch. Znieruchomiał gwałtownie. To płakała jakaś dziewczyna. Uniósł wzrok. Na pierwszym piętrze. Niczym w transie podszedł do schodów, a potem zaczął się wspinać. Najciszej jak umiał, bojąc się, że delikatny głos zaraz zniknie. Jego serce przyspieszyło, gdy okazało się, że płacz dochodzi z pokoju Soni. Stał przed drzwiami i ostrożnie pchnął je drżącą ręką. Otworzyły się z cichym zgrzytem. Blond włosy załśniły w blasku słońca, gdy siedząca przy biurku dziewczyna gwałtownie obróciła się w jego stronę.

W jego oczach odbił się ból. Z kolei na twarzy Lilii zakwitło czyste przerażenie.

Zerwała się na równe nogi, a szklana bransoletka wyslizgnęła się jej z rąk i po zderzeniu z podłogą rozprysła się na kilkanaście kawałków. Zdrętwiał, gdy dziewczynka cofnęła się w popłochu. Z jej oczu wyczytał straszliwe oskarżenie, które potwierdziło jego obawy.

Jej broda drgnęła.

– Zabiłeś moją siostrę! – Wybuchła gwałtownym płaczem.

Szybko zamknął za sobą drzwi.

– Rodzice myślą, że jesteś przyjaciółką Soni...! Ale ty nie jesteś nawet dziewczyną! Jesteś egipskim bogiem! Od początku wiedziałam! To ty uratowałeś mnie z pożaru... Sonia mi powiedziała... A ty... ty ją... ty ją zabiłeś! Dlaczego...? – zaszlochała rozpaczliwie. – Myślałam, że jesteś taki wspaniały... A ona... Sonia tak strasznie cię lubiła... Wciąż o tobie mówiła... Jak mogłeś ją potem zabić?!

Spojrzała na niego przez łzy, szukając odpowiedzi w jego bladej twarzy.

– Nie zabiłem jej – zaprzeczył powoli. – Nigdy nie zrobiłbym jej nic złego.

– Ale...

– Nigdy! – Jego oczy zaśniły niebezpiecznie. – Słyszysz?! Nigdy nie chciałem, by coś jej się stało. Jasne?

– Ale...

– Nie zabiłem jej. – Ciężko oparł się o drzwi. – Ja... Ja zrobiłbym dla niej wszystko. Rozumiesz? Wszystko! Ona była... Była kimś więcej niż najlepszą przyjaciółką...

„No właśnie” – wysyczał głos w jego głowie. „I to ją zabiło... Gdyby trzymała się z daleka, nic by jej nie było... To twoja wina. Przynosisz śmierć i zniszczenie wszystkiemu, obok czego przechodzisz”.

– Dlaczego mam ci wierzyć? – wrzasnęła Lilia. – Że to nie ty? Jak mi to udowodnisz?

– Czy naprawdę myślisz, że tak wygląda twarz kogoś, kto ją zdradził i pozbawił życia? – zezłościł się, wpatrując się w nią z rozpaczą. – Zrobiłbym dla niej wszystko... Przysięgam, że to prawda.

– Wszyscy są przekonani, że to ty... – Głos jej się załamał. Schowała twarz w dłoniach, kuląc się na fotelu. Jej ciałem wstrząsnął płacz. – To wszystko jest takie niesprawiedliwe...! Ja chcę, żeby Sonia wróciła... Chcę mieć starszą siostrę...! Nie chcę zostać sama!

– Przykro mi – wydusił, czując się nagle krańcowo wykończonym. – Ale wiesz... Ona i tak zawsze będzie z tobą. W sercu i tak dalej. Nie zostawiłaby cię. Jesteś jej młodszą siostrzyczką, dla której zrobiłaby wszystko. Nigdy cię nie opuści. Pamiętaj o tym. To, że jej nie widzisz... To, że jej nie ma obok, nie znaczy, że nad tobą nie czuwa. Słyszysz...? Kochała cię tak, jak mnie nikt nigdy nie kochał. Nie masz pojęcia, jaka z ciebie szczęściara, że miałaś taką siostrę.

Lilia szlochała z rozpacz, a on zadrżał. Tak bardzo bolało, gdy musiał mówić o niej w czasie przeszłym... Stała się już historią, dołączając do Astarte. Na samą myśl o tym miał ochotę krzyknąć.

– Żegnaj, Lilia – powiedział zduszonym głosem. Ostrożnie podszedł do niej i położył na biurku obok jej głowy naprawioną szklaną bransoletkę.

A potem jak najszybciej opuścił pokój Soni. Zbiegł po schodach, mając wrażenie,

że jeśli natychmiast stąd nie ucieknie, to z pewnością się udusi albo wybuchnie.

Tak potwornie bolało go, że to on stał się winny jej śmierci...! Tak strasznie! To przecież było tak niesprawiedliwe!

W hallu wejściowym wpadł na wychodzącego z salonu tatę Soni.

– Przepraszam – wyjąkał po angielsku, próbując jakoś zapanować nad kłębiącą się w nim burzą.

– Witaj, Marysiu – odparł słabym głosem. – To bardzo miło, że przyszłaś... Widzę, że rozmawiałaś z Lilią?

– Ja... No tak.

– Dziękuję ci. – Uśmiechnął się blado i z trudem. Wyglądał, jakby ledwie znosił całą zaistniałą sytuację. Nic dziwnego. – Ona ciężko to wszystko przeżywa... Jak my wszyscy zresztą. Możesz z nami usiąść, jeśli chcesz... Herbata jest w kuchni.

– Eee, dziękuję – wyjąkał. – Ja chyba... już pójdę.

– Oczywiście... Rozumiem. Będziesz na... na pogrzebie?

Pobladł.

– Na pogrzebie?

Tata zadrżał.

– Tak... Będzie w środę. O dwunastej.

Briant z trudem przełknął ślinę.

– Ja... No bo... Ciało Soni...

– Spokojnie, niczym się nie martw – przerwał tata zduszonym głosem. – Będzie można się z nią pożegnać przed mszą...

– Ale... Nie rozumiem. Widział pan... jej ciało? Znaleźli je?

W oczach mężczyzny pojawiło się cierpienie.

– Tak, Marysiu. Przynajmniej tyle nam zostawił ten... Ten... – Załamał mu się głos. – Przepraszam – szepnął po chwili i odszedł.

Błady jak śmierć Briant odprowadził go oszołomionym wzorkiem aż do momentu, kiedy zniknął za drzwiami. A potem odwrócił się na pięcie i z trudem panując nad wirującymi mu w głowie obrazami, wypadł z wypełnionego rozpaczą domu. Obił się o furtkę i wybiegł na ulicę, skąd mógł już się teleportować. Nie dbając o to, czy ktoś zauważy, jak nagle znika, natychmiast przeniósł się na Saharę.

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Zamknięty kamienny sarkofag wciąż znajdował się pośrodku siedmiu wypalonych pochodni. Leżąca obok nich Salaawa zerwała się z piasku i ze zdziwieniem zastrzygła uszami.

– Miałaś być jej strażniczką! – warknął, kompletnie wytrącony z równowagi, przypadając do kamiennej skrzyni. – Miałaś jej pilnować! A ty... Pozwoliłaś im ją zabrać!... Jak ja im teraz wytłumaczę, co się naprawdę stało?! – wyjąkał, z całej siły zaciskając palce na krawędzi sarkofagu. – Jak...?

Opuścił głowę. I zmarszczył brwi. Poruszył palcami, ze zdziwieniem obserwując, jak pozostawiają na piaskowcu dziwne ślady.

Zupełnie jakby...

Ukląkł i przyjrzał im się z bliska. W lśniącej, gładkiej powierzchni odbiło się słońce. Zdrętwiał. Skoro tak łatwo zostawić na tym ślady... Jego źrenice poszerzyły się

ze zdumienia.

Przecież to bez sensu! – zirytował się w myślach i zdecydowanym ruchem przejechał dłonią po powierzchni wieka. Aż się wzdygnął, gdy przez nowo powstałe rysy ujrzał twarz. Twarz dziewczyny o blond włosach. Twarz Soni...

– Ale... To niemożliwe!

Pod wpływem jego gestu drobinki piasku osypały się z całego grobowca, ukazując go w pełnej formie. Aż zachwiał się z wrażenia. I to bynajmniej nie dlatego, że cały sarkofag okazał się szklany. Raczej dlatego, że leżąca w nim zmarła wyglądała zupełnie tak, jakby spała.

Osunął się na ziemię i wbił wzrok w jej twarz. Nic nie rozumiał. Zupełnie nic. Przecież podobno ją znaleźli! Więc dlaczego wciąż tu była...? To bez sensu.

Zadrżał.

Musieli podsunąć im inne ciało. I za sprawą magii sprawić, że wszyscy uwierzyli, że to ona... Przecież... To nie byłoby trudne do zrobienia, wystarczyło proste zaklęcie...

Z trudem łapał oddech, wpatrując się w nią z przerażeniem. Co teraz? Powinien do nich wrócić...? Na samą myśl zrobiło mu się słabo. Ale co innego mu zostało? Miał nic nie robić? Ale... To by było złe. Obiecał.

– Co mam zrobić, Sonia? – zapytał pustkę.

Leżała w sarkofagu, wciąż równie spokojna.

Nie miał już siły... Nie wiedział, co powinien uczynić. Rozdzierał go smutek, nieskończony ból odbierał mu chęć do życia. Stał się tak słaby... Tak żałośnie słaby.

Zamknął oczy.

– Nie chcę być słaby – szepnął.

Miał tego wszystkiego tak bardzo dość! Nie chciał już cierpieć... Nie chciał, by ból był tak silny. Nie chciał dłużej z trudem panować nad drżeniem głosu, nie chciał z całych sił hamować nowych łez... To wszystko będzie go osłabiać jeszcze bardziej. Aż w końcu nie wytrzyma i oszaleje albo pograży się w apatii podobnej do śmierci.

Zacisnął pięści.

Żałoba donikąd go nie zaprowadzi...

– Nie chcę być takim bogiem! – pożałił się pustyni. – Chcę być silny. Jak kiedyś.

Otworzył oczy, w których pojawił się obraz wirującego piasku. Zdecydowanym ruchem podniósł się z ziemi i spojrzał na szklany sarkofag. Otarł ostatnie łzy, a potem obejrzał się na Saharę, czekającą na niego przy porzuconym w zapomnieniu berle. Podeszedł do niego i po chwili wahania podniósł je. Spojrzał nieobecnie na krwistą czerwień zdobiących je rubinów, a potem odwrócił się w stronę skąpanego w blasku słońca sarkofagu. Ze złotego drzewca opadły poruszone jego palcami zagubione drobiny piasku.

– Przepraszam, Sonia – szepnął, przymykając przepelnione smutkiem oczy. – Ale nie jestem tą osobą, w którą wierzyłaś. Myślałem, że mogę się zmienić... Dla ciebie. Ale teraz, gdy cię już nie ma... To niemożliwe. Za późno.

Po plecach przebiegł mu gwałtowny dreszcz.

– Jestem tym złym bogiem – oznajmił cicho.

Zacisnął dłoń na promieniującym potęgą berle.

Uniósł powieki. Jego tęczęwki lśniły czerwienią.
I nie chciał tego zmieniać.

Epilog

Promienie słońca zatańczyły na gładkiej powierzchni szklanego sarkofagu. Bóg pustyni nieruchomo wpatrywał się w twarz dziewczyny, która była dla niego całym światem. Przy której mógł zapomnieć nawet o Astarte. Tak bardzo mu jej brakowało, że aż nie potrafił znaleźć na to odpowiednich słów. Ale nie czuł już bólu ani rozpacz. Może jedynie ich stłumione echa.

– Wybacz, Sonia – powiedział cicho. – Mam nadzieję, że przebaczysz mi, że pustynia stanie się miejscem twojego ostatniego spoczynku. Bo widzisz... Oni wierzą w swoją wersję wydarzeń. Wiem, że nigdy nie uwierzą w moją. Ale będzie ci tu dobrze... Na pewno. Będę cię strzegł... A oni... Na pewno duchem jesteś z nimi. I to jest najważniejsze. Nie musisz się niczym martwić, jesteś tu bezpieczna. Wciąż chroni cię moja magia, kochana. Spokojnych snów. Mam nadzieję, że zobaczymy się kiedyś w Dat. I że nie zapomnisz mnie do tego czasu. Że mi wtedy wszystko wybaczysz... A teraz... Odpoczywaj w grobowcu godnym królów. Przynajmniej tyle mogę ci dać...

Rzucił jej ostatnie smutne spojrzenie, a potem się cofnął. Fontanny piasku wystrzeliły w górę. Wiatr uderzył go w twarz. Sahara odbiegła, z niepokojem obserwując rosnącą ku niebu budowlę z piaskowca.

Pośrodku pustyni, w miejscu, w którym narodził się jej władca, rozkwitła w całości wykonana ze szkła piramida. Transparentne ściany odbijały oślepiające światło dnia niczym nowe słońce. Złote promienie zalewały całe jego wnętrze migotliwym wachlarzem. Wschodnią ścianę zdobiło wspaniałe wejście strzeżone przez dwa dumne posągi Salaawy, strażniczki grobów faraonów.

Odszedł wraz z pustynnym psem, rozplywając się wśród wydm, a ona została. Spoczywała w samym sercu piramidy, na niewielkim podeście otoczonym barwionymi czerwienią kryształowymi różami z Jerycha, zamknięta w zaklętym szkłe. Jej włosy lśniły złotem, usta miały kolor płatków dzikiej róży. Na jej zakrwawionej piersi spoczywał zimny Amulet Ozyrysa, symbol klęski najpotężniejszego z bogów. Artefakt, którego już nie potrzebował i którego nie chciał nigdy więcej widzieć. Chroniony spowijającą ją magią. Jej blade palce zaciskały się na nim kurczowo.

Promienie zachodzącego słońca na jedną krótką chwilę przeniknęły przez szkło grubych ścian i rozpostarły nad sarkofagiem wstęgę barwnej tęczy. W rozmigotanym świetle wydało się, jakby drgnęła. Lecz gdy promienie zbladły, ustępując miejsca nocy, spoczywała dalej nieruchomo na szklanym łożu, niczym umarła królowa.

I tylko raz na jakiś czas krystaliczne wieko bladło, pokrywane delikatną mgiełką jej słabego oddechu.